Pamiętniki

buczacko-jazłowieckie
z czasów wojny wszechświatowej
od roku 1914 do roku 1920.

Kreślił Antoni Sieniawski
inspektor szkół w Buczaczu.

Pamiętnik rodzinny.



Antoni Siewiński ur. we Lwowie, 2.I. 1858.

Już zaraz z początkiem wojny wszechświa-
towej zacząłem pisać i notować wszystko,
co się działo w mieście i w okolicy mia-
sta Buczacza. Notatek tych miałem spisa-
nych bardzo ścisłym pismem około czter-
dziestu arkuszy. Niestety w maju r. 1915.
buszowali Moskale po wszystkich domach,
szukając za mosiądzem, miedzią i inny-
mi metalami, a zabierali przy tym
wszystko, co im pod rękę wpadło. Żona mo-
ja, obawiając się, by notatki moje nie
wpadły przypadkiem w ręce Moskali i
nie naraziły mnie na nieprzyjemności,
wrzuciła je do pieca i spaliła.
W notatkach tych były opisane dokła-
dnie nadużycia popełnione przez wojska

moskiewskie, a szczególnie przez urzędników moskiewskich, więc gdyby notatki te dostały się w ich ręce, byliby mnie z całą pewnością uwięzili. Po raz drugi napisałem te pamiętniki i posłałem je w r. 1915 do redakcji Słowa polskiego i jak dowiedziałem się później, nie doszły one miejsca przeznaczenia, ale utknęły w wojskowej poczcie cenzurowanej przez władze austriackie w Stanisławowie. Nie wysłano ich dalej tylko schowano w kasynie oficerskiem i przepadły. Niezrażony niepowodzeniem napisałem je po raz trzeci i doprowadziłem te pamiętniki do roku 1920 go. t.j. do końca wojny wszechświatowej i do pokoju zawartego z bolszewikami.

Pamiętniki te piszę dla swoich synów, by im zostawić pamiątkę z miasta, w którym spędzili swe młode lata i pokończyli szkoły średnie, jakoteż dla przyjaciół, znajomych i tych, którzy ze mną w Tarnowie byli aresztowani. Obecnie wojna już minęła, wiele zdarzeń zapomniałem, wyobraźnia i pamięć zaćmiły się i poglądy moje, jak w ogóle u wszystkich Polaków zmieniły się na całą tę sprawę. Może to i dobrze. Na każdy sposób szkoda mi swoich poprzednich prac i notatek. Synowie moi brali czynny udział przez cały czas tej strasznej wojny i wszyscy czterej, gdyby chcieli, mogliby prace moje uzupełnić i stokroć więcej napisać, niżeli ja to w tych pamiętnikach umieściłem, a

a nawet mogliby niejedną rzecz sprostować. Buczacz jest miastem niewielkim, liczącym przed wojną 14.000 mieszkańców. Rozciąga się ono wzdłuż rzeki Strypy i małego potoka, który wpada poniżej kościoła do Strypy. Miasto to założone w XIV. stuleciu przez panów Jazłowskich, którzy później przybrali nazwisko Buczackich, gdyż w okolicy znajdowało się bardzo wiele bukowych lasów. Dziś niestety tych lasów nie ma. W jarach powycinano wszystkie drzewa, a wzdłuż rzeki widać tylko po obu stronach urwistego jaru olbrzymie skały kamienne ułożone warstwami. Dopiero poniżej miasta znajdują się lasy, a w nich rosną dęby, brzozy, osiki, graby, tylko buków nie ma. Trzy kilometry za miastem znajdują się ruiny tak zwanego Monasterka. Stał tu niegdyś kościółek i jakiś klasztor. Tuż obok tych ruin wytryska na wzgórzach parę źródeł, a potok z nich tworzy prześliczny wodospad, iskrzący się przy świetle słonecznym. Krople wody rozbryzgują się w tęczowe kolory, a drobne brylanciki wody tworzą całą tęczę. Podanie miejscowe mówi, że Monasterek ten spalili i zburzyli Tatarzy, przyczym wymordowali zgromadzonych tam ludzi w liczbie 40. osób. Buczacz dostał się w spadku panom Potockim, w których ręku jeszcze dotychczas pozostaje. Miasta Buczacz, Jazłowiec, Trembowla, Kamieniec Podolski

stały niegdyś na straży granic Polski. W grodach tych siadzieli rycerze i orlim okiem spoglądali na całą okolicę, pilnie bacząc, by wróg jaki nie wkradł się do ziem polskich, a gdy się zjawił Tatar, lub inny jaki poganin, wpadali na niego niespodziewanie, odbierali zdobycz i odpędzali rabusiów. – Nad Strypą, na szczycie wysokiego jaru wznosił się niegdyś potężny zamek, z którego pozostały dziś tylko ruiny. O mury tego zamku rozbijały się niegdyś hordy tatarskie i tureckie. Po zdobyciu przez Turków w 1672 Kamieńca Podolskiego stanął sułtan turecki Mahomed IV. pod Buczaczem i tu pod rozłożystą lipą, która dotychczas jeszcze stoi, zawarł z Polakami nieszczęsny Traktat Buczacki, w którym Polacy zgodzili się oddać Turkom całe

Podole i Ukrainę, do tego płacić haracz w kwocie 22.000 dukatów. Bóg jednak zesłał Polakom dzielnego bohatera pana Sobieskiego, który do wykonania tej ugody nie dopuścił, tylko pod Chocimem zadał Turkom taką klęskę, iż z kraju ustąpili, a pozostali tylko w Kamieńcu Podolskim. – Przy ulicy Kolejowej, zwanej także ulicą Sobieskiego jest studnia, zwana studnią pana Sobieskiego. Podanie mówi, że król Sobieski z tej studni wodę pił.

W czasie pierwszego rozbioru Polski w r. 1772 Marja Teresa, obawiając się powstań Polaków, kazała w Małopolsce zburzyć wszystkie zamki z wyjątkiem zamków w Żółkwi, Olesku i Podhorcach na pamiątkę, iż zamki te były niegdyś własnością Króla Sobieskiego. – Ładnie mi wdzięcznie!

Gdyby nie pomoc Polaków w czasie oblężenia Wiednia przez Turków w r. 1683, – nie byłoby Austrii. – Za to w 91 lat później chciwy ród Habsburgów zamiast pomóc Polakom, wyciągnął łapczywe pazury i zabrał południową część Polski. Wówczas to spalono i zburzono zamek buczacki. W czasie pożaru zamku rozgrzała się do czerwoności żelazna armata i wygięła w dziwny sposób, tworząc linię w kształcie dużej drukowanej litery „S". Armatę tę można oglądać na podwórzu kościelnym pod murem ozdobionym potężnymi, tureckimi kulami. W czasie wszechświatowej wojny różne wojska armatę tę podziwiały i robiły z niej fotograficzne zdjęcia.

Ozdobą miasta jest ratusz zbudowany

kosztem Mikołaja Potockiego. Zbudował on również klasztor O.O. Bazylianów, dwie cerkwie, kościół parafialny i synagogę. Mikołaja Potockiego nazywają tak, że starosta Kaniowski i opowiadają o nim, że to był wielki figlarz i wesoły pan. Wiele z tych opowiadań jest zmyślonych przez ludzi złych, niegodziwych lub głupich, na dowód zaś tego, że Kaniowski był człowiekiem patriotycznym i uczciwym mamy zbudowane przez niego liczne kościoły i drewny, cerkwie i klasztory, i to nie tylko w Buczaczu, ale w całej Wschodniej Małopolsce.

– W mieście są dwa budynki szkolne postawione w roku 1904. Budynki piękne, dwupiętrowe. Każdy z nich posiada po 20 sal szkolnych, pomieszkania dla dyrektorów

szkolnych. Jest tu także olbrzymi gmach w któ-
rym się mieści gimnazjum. Z tej szkoły
wychodzą dzielni ludzie i dobrzy patrioci.
Żydów przed wojną było tu 8.000, Polaków
3.000, Rusinów 3000. Do szkoły wydziało-
wej żeńskiej uczęszczało 450 żydowek,
a 350 Katoliczek. W mej szkole było
180 żydów, a 120 Katolików. Obecnie
zaraz po wojnie stosunek ten nieco się
zmienił i tak: w roku 1922 miałem
w mej szkole 154 Katolików, a tylko
70 żydów. Miasto było po niedawnym
pożarze nanowo odbudowane, kamienice
były piękne, domy murowane, a w nich
pełno towarów, gdyż tu były główne
składy towarów na całe Podole

W składach znajdowały się ogromne zapasy
sukna, płótna, odzieży, wyrobów żelaznych,
mebli, kolonialnych towarów i t. p. Wszystko
to było własnością żydowską. Polacy i
Rusini mieli też domki, ale te były się
po przedmieściach, a ludność katoli-
cka trudniła się rzemiosłem np. ślusarstwem,
kowalstwem, murarstwem, szewstwem i
kuśnierstwem, zaś na dalszych przedmie-
ściach rolnictwem. Kobiety uprawiały ogro-
dy, pielęgnowały kukurydzę, fasolkę i in-
ne zwyklejsze warzywa. Burmistrzem mia-
sta był zawsze żyd. Od 36 lat rządził
miastem burmistrz Bernard Stern. Lic-
kany był to człek, dobrze jadł, jeszcze
lepiej pił, lecz pijanym nigdy nie był
zapamiętale grał w karty, lecz prawie

zawsze przegrywał. Wszyscy urzędnicy
magistraccy byli sami żydzi, tylko
jeden kasjer Zatorowski był katoli-
kiem. Nawet w gimnazjum było kilku
żydów profesorów, a w szkołach powszech-
nich było również kilka żydówek.
Ponieważ każdy człowiek jest omylny, przeto
jeśli żyd coś złego zrobił, a katolik
mu ten błąd wytknął, zaraz go nazwa-
no antysemitą i miał z tego powodu
wiele nieprzyjemności. Żyd bowiem,
choćby najuczciwszy, potrafi się zawsze
tak sprytnie i niezauważenie mścić,
przytem ukrywać się za parawanem,
że krzywdząc katolika mówi „My
temu nie winni" chociaż każdy
w tym widzi rękę żyda.

Ha, trudno, jeśli w religji żydowskiej
jest napisane: „Oko za oko, ząb za ząb"
— Znam jednak kilku żydów uczciwych
i szlachetnych, ale, wszędzie wyjątki być
muszą. — Żydzi o szkołę bardzo
dbają, kształcą dzieci i posyłają je do
szkoły ludowej, wydziałowej i do gimna-
zjum i mogę tu jako stary i doświadczo-
ny nauczyciel powiedzieć, że żydzi
uczą się dobrze. Mieszczanie o szkołę mniej
dbają. Za to było tu przed wojną mnó-
stwo szynków, a w nich wieczorami
i w święta piło na umór tak, że w
ciągu lat katolicy przepili całe śród-
mieście, a żydzi stali się właściciela-
mi najpiękniejszych kamienic w mieście,
a kogo tu winić?

Lecz dość już będzie opisu tego dziś zupełnie zniszczonego i zrujnowanego miasta, a przystąpię do właściwej rzeczy.

~

Wieszczowie nasi prosili Pana Boga o wojnę ludów, a cały naród polski krzywdzony przez półtora wieku przez chciwych i drapieżnych zaborców oczekiwał chwili zrzucenia tych katów. Już na kilka lat przed wybuchem tej wojny młodzież nasza tworzyła w tym celu rozmaite związki np.: Związek Strzelecki, Drużyny Bartoszowe, Zarzewie, Związki Skautowskie, gdzie przede wszystkim uczono ćwiczeń wojskowych, uczono się strzelania, długich pochodów i t.p. poznawania i rysowania map, podchodzenia nieprzyjaciela.

Dziwna rzecz, że młodzież nie miała żadnych nauczycieli, ani instruktorów (mówię to o Buczaczu), a rzadko kto ze starszych przyszedł na te ćwiczenia, a jeśli przyszedł, to tylko z ciekawości, nikt tej młodzieży radą nie dopomógł, nikt nie przypuszczał, że ta młodzież, to bohaterowie, o których historja z największym uznaniem wspominać będzie. — Kapitanem mym synowie, jeździli nim na Bukowinę, na Węgry, w Karpaty, a przez myśl im nie przeszło, że w rok później tam naprawdę bić się będą. Brali zwykle ze sobą bochenek chleba, kawał pieczonego mięsa, a bardzo mało pieniędzy. Jeździli całymi milami w nieznane im strony, mając tylko mapę

w ręku, nocowali w polu, w lesie, gdzie się udało. Młodzież śpiewała najchętniej rotę Konopnickiej i bojkotowała towary pruskie. Bojkotowanie to jednak było trudne, bo żydzi całą falangę dzierżyli handel i wszystkie towary sprowadzali z Prus. Niektórzy tylko polscy kupcy sprowadzali towary krajowe, choć nieraz były droższe, ale zato lepsze od niemieckich. Mimo to ~~[illegible]~~ bojkotowanie to było syzyfową pracą, jednak miało ono wielkie znaczenie, bo podtrzymywało ducha narodowego i to przeciw Prusakom.

Było to po wojnie prusko [rosyjsko] -japońskiej. Wielu Polaków spod zaboru moskiewskiego walczyło i umierało w obronie caratu na kraicach wschodniej Azji. Spodziewali

się więc Polacy ze strony Moskali ulg, bo myśleli nawet że razem z Moskalami pójdą na Prusaków.

Wtem nagle jak grom z nieba spadła na nas wiadomość, że moskiewski Protorej Eulogiusz porozumiawszy się z rządem moskiewskim oderwał od Królestwa Polskiego ziemię Chełmską i przyłączył ją do moskiewskiego państwa. Poznali wówczas Polacy, że Moskale niczym się nie różnią od Prusaków. Ćwiczono się jednak dalej, a nawet robiono ogromne zebrania młodzieży we Lwowie i Stanisławowie, gdzie nawet pod dozorem i krytyką austriackich oficerów stawiano warty, odbywano wielkie manewry i to tak składnie, że wprawili w podziw starszych wytrawnych oficerów austriackich.

Chwila działania nadeszła prędzej, niżeli się spodziewano. Oto dnia 28 czerwca r. 1914 zastrzelił Serb Gawriło Princip następcę austriackiego tronu i jego żonę.

Gdy wiadomość ta doszła do Buczacza, pierwsze moje słowa, które wypowiedziałem, były: „Morderstwo to pociągnie za sobą straszliwy rozlew krwi" I tak się stało.

W odwecie zato napadli Austriacy na Serbię. Nie będę tu jednak opisywał historii tej wojny, gdyż to należy do historyków i uczonych polityków, nie będę wyszukiwał winnych, ani ich sądził, bo sąd mój może byłby stronniczy, jakto zawsze w historii bywa, przyznać jednak muszę, że wojna ta dawno przepowiadana i oczekiwana była następstwem zbrodniczego i niesprawiedliwego

podziału Polski pomiędzy trzy zbrodnicze dynastie Habsburgów, Hohenzollernów i Holstein Gottorpów. Łatwe zagarnięcie ziem polskich zaostrzyło apetyt trzech łapczywych zaborców i ich potomków, iż nigdy nie byli syci zdobytymi już krajami. Byli przy tym tak dumni, że uważali się za najbardziej kulturalnych ludzi na świecie, szczególnie Niemcy myśleli, że cywilizacja świata tylko od nich zależy. Naród polski wiele wycierpiał przez te 146. lat niewoli. Ileż to Polaków zginęło w obronie Ojczyzny w bitwach, a potem na szubienicach w Warszawie, Wilnie, we Lwowie, w r. 1846. W zaborze pruskim nawet modlić się po polsku nie było wolno, w Rosji moskwiczono młodzież. Austria siała niezgodę najpierw między dworami, a chłopami;

a potem między Polakami, a Rusinami, aczby według Machiawelskiej polityki wszyst-kich za łeb trzymać, nie pytając ~~o to~~ o to, że Polacy i Rusini to jeden naród, a różni ich tylko obrządek. Tej polityki trzymała się Austria do ostatniej chwili swego istnienia. Te niesprawiedliwości i ucisk narodu polskiego pobudzały nas do modlitw i śpiewaliśmy po kościołach: „Boże Ojcze Twoje dzieci płaczą żebrzą lepszej doli." — Przez półtora wieka pławiła się Polska we łzach i krwi, wreszcie Pan Bóg wysłuchał naszych modłów i powołał nas do nowego życia.

Z początkiem ~~tej~~ tej wojny jednak inaczej myślano i nikt nie przypuszczał, iż kogo Bóg chce ukarać, temu rozum odbiera. Pokazało się to w tej ~~[illegible]~~ wojnie — wyraźnie, że każdy krok, który wrogowie nasi uczynili, aby naszej Ojczyźnie zaszkodzić, im tylko szkodę przyniósł, a my zawsze prędzej, czy później korzyść odnosili.

Lecz nie o polityce chcę tu mówić, gdyż będą tacy, którzy o tej sprawie szeroko mówić będą. Mnie tu głównie zależy na tym, bym napisał pamiętnik dla moich drogich synów, dla przyjaciół, którzy może kiedyś czytać go będą.

W czasie powstania tej wszech-światowej wojny miałem czterech synów. Dwaj najstarsi byli już na uniwersytecie, a trzeci Marian miał lat 17 i był uczniem VII klasy gimnazjalnej; a najmłodszy Roman 14 letni młodzieniec ukończył właśnie niż-sze gimnazjum. Mieliśmy w domu

również na wychowaniu bratanicę 14. letnią dziewczynkę Stefanię Druszczyńską, była to bardzo dobra i miła panienka.

Najstarszy Józef był w latach poborowych i właśnie wzięto go do wojska, a w jesieni miał się stawić jako jednoroczny ochotnik. Wyjechał był właśnie rowerem na Węgry, ale już w Mikuliczynie doszła go wiadomość, że Austriacy wydali Serbom wojnę. Musiał więc jako poborowy natychmiast wracać i stawić się do wojska. Tymczasem nowe coraz groźniejsze wieści nas dochodziły. Wybuchła wojna moskiewska, francuska, belgijska. Ruszyli się Prusacy i nie pytając na żadne prawa

narodów, zburzyli Belgię i przedostali się na ziemię francuską.

W Buczaczu nakazano mobilizację. Tysiące młodzieży i ludzi starszych powołano pod broń. Jechały na zachód przez Buczacz całe pociągi z rekrutami i urlopnikami. Na obliczach tych ludzi nie było widać żadnego przygnębienia. „Na Moskala!" wołali wszyscy. Myśleli, że w trzech miesiącach zetrą całe państwo Moskiewskie i będzie już po wojnie.

Tymczasem nadchodziły wieści z dziwnymi wiadomościami. Oto jakiś dotychczas nieznany nikomu Józef Piłsudski zebrał drużynę, którą nazwano Legionami polskimi, przeszedł granicę do Kongresów-

ki, pobił Moskali i odebrał im miasto Kielce. Wieść ta, jak iskra elektryczna, poruszyła umysły młodzieży polskiej. Najstarszy mój syn Józef musiał wyjechać do Stanisławowa, a potem do Lwowa, jako austriacki poborowy, jednak dwaj następni Zygmunt i Marian zaczęli się przygotowywać do drogi, gdyż z Buczacza i okolicy około 200. młodzieży wybierało się, by wstąpić do Legionów. Byli to studenci, rzemieślnicy i chłopcy wiejscy. Niektórzy ze starszych chcieli chłopców powstrzymać, jak im się zdawało od nierozważnego kroku. Bardzo źle zapisali się członkowie tutejszego towarzystwa „Sokół". Gdy był jeszcze spokój, każdy z nich mełł językiem na nutę patriotyczną, ale dziś;

gdy trzeba było wziąć oręż do ręki, nie było ich, nie było komu młodzieży tej poprowadzić. Zato dziś ci sami ludzie chcieliby w polityce rej prowadzić, a gdy trzeba było bronić ojczyzny i światu dać poznać, że Polacy istnieją, nie było ich. Później nawet w czasie hajdamaczyzny deklaracje hajdamakom podpisywali, ale o nich napiszę na swoim miejscu.

Na czele buczackiej drużyny stanął samorzutnie Władek Winiarski (dziś pułkownik) student VIII klasy gimnazjalnej, chłopak rzutny i obyty w świecie. Pod jego rozkazy przeszli wszyscy studenci, rzemieślnicy, chłopcy wiejscy, nawet akademicy, drużyny strzeleckie i drużyny Bartoszowe. Cztero-

kowie Sokoła nazywali mtowarzysz należących do Związków Strzeleckich warchołami, teraz pokazało się, kto Ojczyznę bardziej miłował.

Przyszła wiadomość, że wojska austriackie są już w Kamieńcu Podolskim i posuwają się w głąb państwa moskiewskiego, że zdobyto Belgrad, stolicę Serbów, że Prusacy zrujnowali Belgię i idą na Paryż, – a Polacy w Królestwie Polskim biją Moskali. Jednym słowem, same zwycięstwa! Byli jednak i sceptycy, którzy nie wierzyli wszystkiemu. Dochodziły nas bowiem głuche wieści, ile to samych Serbian zginęło pod Belgradem nad Dunajem. Mówiono, że zginął tam cały 30-ty pułk lwowski,

że Moskale zbierają ogromne siły i z pięciomilionową armią prą w głąb Galicji, lecz tłómaczono to w ten sposób, że Austria chce uniknąć losu Napoleona I. i Karola XII. umyślnie wciągając armię moskiewską do Galicji, by Moskali łatwiej otoczyć i pobić. Największej bitwy spodziewano się nad Dniestrem pod Niżniowem, tu miała się załamać potęga moskiewska. Niedarmo bowiem jeszcze w roku 1912. przyjechał do Burcacza naczelny wódz armii austriackiej Hetzendorf z całym swoim sztabem. Tu siedział kilka dni, inżynierowie wojskowi badali okolicę, robili rysunki, plany wojenne, a Hetzendorf uchodził za dzielnego wojownika równego Napoleonowi I.

Winiarski zarządził że wojs

drużyna ćwiczenia wojskowe po powiecie.
W drużynie tej byli nawet ludzie starsi wie-
kiem, szczególnie nauczyciele ludowi i dobrze
zrobili ci starsi, że poszli. Myśleli bowiem,
że to tak łatwo odbywać dalekie i uciążli-
we pochody, poodparzali sobie nogi i po-
znali, że choć duch ochoczy, ale ciało mdłe.
Po pięciu dniach zostali tylko chłopcy
młodzi, chętni i wytrwali.

7.

Było to 18. sierpnia r. 1914, urodziny
cesarza Franciszka Józefa I. Burmistrz
miasta Bernard Stern zamówił żydowską
muzykę i kazał jej grać po ulicach
miasta cesarski hymn ludowy. Tłum
przeważnie żydowski, jak zwykle w ta-
kich razach zebrał się niezmierny,

wrzeszczał, ajwajkował, a muzyka od
czasu do czasu na ulicy stawała, grając
na przemianę kołomyjki i krakowiaki,
podnoszono w górę portret cesarza,
burmistrz wyłaził na krzesło i miał
mowę do tłumu:
„Co wun sobi mizli?
taki Serb! taki wesz! Mi jemu pokażimy,
coto znaczy nasz cesarz! My dzis nasze-
mu cesarzowi darujimy Belograd! Niech
żyje nasz najjaśniejszy pan!"
„Niech żyje! wiwajt!" krzyknął tłum
Naraz ktoś krzyknął:
„Niech żyje linoleum i cerata!"
„Wiwajt! niech żyje!"
„Gewałt! kto krzyknął linoleum i cerata?"
wrzeszczy burmistrz.

Jakoś pomiarkowano, zaczęto szukać za
dowcipnisiem, który sobie z tłumu zakpił,
ale go nie znaleziono. Potem poszli
na ulicę Trzeciego Maja do czytelni imie-
nia Kaczkowskiego. Była to czytelnia
staromoskalofilska. Mieszkała tam ko-
bieta z trojgiem dziećmi. Naraz padły
ze wszystkich stron kamienie i zaczęto
wybijać szyby, omal nie pozabijano
dzieci i matkę, które były wielkiem nie-
winne i z polityką nie miały nic do
czynienia. Potem chciano pójść za Czar-
ny Most, gdzie była bursa moskalo-
filska, tak zwana kacapska, ale inspe-
ktor policji Stefanus zawrócił wrzeszczą-
cy tłum napowrót na rynek.

W rok później z bursy tej, pięknej kamienicy
śladu nie zostało, bo pidsusidki kamie-
nie rozebrali, a materiał budowlany
wzięli dla siebie. Wieczorem dnia tego
była wspaniała iluminacja. Żydzi oświe-
cili wszystkie okna i powywieszali czarno-
żółte austriackie chorągwie.

Porozlepili żydzi afisze z uwiadomieniem, że
w magistracie odbędzie się posiedzenie
w sprawie żydowskiej i zapraszano na
to posiedzenie mieszkańców miasta. Wy-
bitniejsze osoby tak Polacy jak i Rusini dostali
osobne zaproszenie. Takie zaproszenie i ja
otrzymałem. Poszedłem. W sali pełno żydów
i kilka osób z inteligencji katolickiej.
Na katedrę wylazł sobie jakiś żydek i
w aramejskim języku zaczął czytać ja-

kich cytaty z książki, a potem w żargonie.
wymowną miał przemowę. Po nim miał
mowę jakiś prawnik, zdaje się Eisenberg,
po polsku, w której zwracał się do Pola-
ków i Rusinów, by im, to jest żydom,
wspólnie pomagali, by żydom przyznano
osobną narodowość, a oni zato utworzą le-
giony, by wspólnie z legionami polski-
mi i ruskimi bili Moskali i tym dopo-
mogli wspólnej ojczyźnie. W mowie tej
jednak dawał się odczuwać strach przed
moskiewską nahajką, bo o niej aż kilka
razy wspominał. Na to odpowiedział mu
pan Chlebek, profesor gimnazjalny, że
żydzi w Polsce nigdy żadnych krzywd nie
doznali, czego najlepszym dowodem jest,
że w czasie prześladowań żydów w całej Eu-
ropie schronienie znaleźli w Polsce

przytułek i opiekę i zostali najbogatszymi
ludźmi w Polsce, jeśli zaś żyją w Polsce,
powinni myśleć po polsku i czuć się Pola-
kami pomimo swego mojżeszowego wyznania.
W podobny sposób powiedział do żydów
urzędnik pocztowy Sijak po rusku.
— Żydzi jednakże chcieli się popisać i po-
kazać, że także coś umieją.
„Dlaczego my nie możemy mieć legionów? powie-
dzieli sobie. Zebrał wówczas na pocze-
kaniu adwokat Alter wszystkich młodych
żydów i wyszedł z nimi za miasto, tam
ustawił ich w szeregi, a potem uformo-
wał z nich czwórki i dalej w pochód do
miasta. Szedłem właśnie wówczas do sta-
rostwa i słyszę na polu, zwanym „Fidor”
odgłos trąbki: „Tratata! Tratata”

Myślałem z początku, iż to nasi polscy legioniści wracają z ćwiczeń, bo już ich od pięciu dni nie było w Buczaczu. W mieście dzieci wszyscy mieszkańcy zebrani, by ich gdzie Rosjanie nie zabrali, bo Husiatyn był już w ich ręku, a treny austriackie już się cofały. Mnóstwo narodu na furach, bryczkach, pieszo z tłumokami na plecach uciekali przez miasto, a głuchy huk armat bijących we wschodniej stronie słychać było aż do miasta. Tymczasem patrzę, idą żydy. Każdy z nich tłusty, tęgi jak był karmiony brahą, pyski im się świecą jak lakierowane lampy. Idą czwórkami, a dla dodania sobie animuszu i żeby nie zmylić kroku mówią sobie głośno: „Anc, cwaa! Anc, cwaa!”

a doktor Alter na czele.

Widząc to, przypomniałem sobie żartobliwy wiersz napisany przez księdza Juszczepińskiego pod tytułem: „Wojna żydowska”:

„Był to jednego żydowskiego lata
Co robił strachów na całego świata,
Żydziów się schodzili;
By wojsko zrobili. Aj! waj! mir!
A ich wielki hetman nazywał się Wreń i t.d.”

Głupi żydkowie myśleli, że tworzyć Legiony to rzecz łatwa, że w przeciągu doby da się to zrobić, nad czym polska młodzież o orlem sercu całe lata pracowała. Waleczność tych tchórzem podszytych, opasłych, tłustych żydów pokazała się zaraz w następnym dniu. Gdy żydzi usłyszeli pierwsze strzały pod Dżurynem, cała ta paczka rozleciała się na cztery wiatry

z uciekła na zachód, gdzie oparli się
aż w Wiedniu i tam odetchnęli ze strachu.
Inni pochowali się w mieście po jakichś
zaułkach, skąd potem jak szczury powy-
łazili i utworzyli legion lichwiarzy,
paskarzy, zdzierców i denuncjantów, a
trzymali tylko z tymi, którzy byli silniej-
szymi. Widziałem wprawdzie Żydów rze-
czywiście szlachetnych, ofiarnych i uczci-
wych, lecz jest ich tak znikoma garstka,
że słowo: „Żyd" może być obelgą dla
każdego uczciwego człowieka.
Z początku przechodziły przez Buczacz
na wschód bezustannie wojska austria-
ckie, a szczególnie węgierskie, hu-
zary w czerwonych spodniach i czapkach
a niebieskich kabatach, cykliści

czarno ubrani, piechota w bladoniebieskich
ubraniach, armaty, jaszczyki z amunicją, fur-
gony, pionierzy z czółnami. Nam nieobez-
nanym jeszcze z wojną zdawało się, że to
straszna siła, zwłaszcza Madziarzy, lud
wesoły, śmiali się do naszych dziewcząt, a
te wynosiły im z domów słodkie i kwa-
śne mleko, kwaszone ogórki, bułki,
lub papierosy, które Madziarzy chętnie
brali. Szły również rezerwy złożone z sa-
mych Polaków i Rusinów, dla których mie-
szkańcy miasta przygotowali obiad. Wszy-
scy jednak mówili, że wojska te mają rozkaz
wciągnięcia Moskali w głąb Galicji, dla-
tego cofać się będą.
Młodych legionistów, którzy wyszli na woj-
skową wycieczkę, dotychczas nie było i

nikt nie wiedział, gdzie oni się znajdują.
Z nimi był mój młodszy syn Marian
z alarmową trąbką, bo dobrze grał
na skrzydłówce (Flügerhorn). To-
nieraz widzieliśmy już, że patrole
kozackie dochodziły już do powiatu
czortkowskiego, przeto wysłaliśmy
z Buczacza kilku towarzyszów
z rozkazem, by legioniści w tej chwili
wrócili. Znaleziono ich w Potoku
Złotym i nad wieczorem wrócili do
domu. Młodzież ta była strasznie
przerażona.

A tu popłoch w mieście
mnóstwo fur z dziećmi, kobietami,
prowiantami, mnóstwo ludzi ucieka
od strony Czortkowa. Żydzi w krzyk,

piski i płacz. Wszystko ucieka na
stację kolejową, wyłażą nawet na
dachy wozów, byle tylko uciec. W po-
ciągach zmieścić się nie mogą, ucie-
kają więc pieszo do Monasterzysk, wzią-
wszy tłumoczki na plecy. Strach jest
zaraźliwy i powstała taka panika,
że nawet najpoważniejsi ludzie
uciekali. Nawet wielu katolików,
wziąwszy węzełki pod pachę, wymy-
kali się cichaczem z miasta.

Naraz przychodzi wiadomość, że Austria-
cy prowadzą jeńców rosyjskich. Już z dale-
ka ich zobaczono na drodze zwanej Serpen-
tyną pod Trybuchowcami. Wszystko, co
żyło, wybiegło na rynek i ulice, gdyż każ-
dy chciał widzieć jak Moskal wygląda.

Patrzymy ..... wszyscy i co prowadzą jakichś ludzi w zwykłych cywilnych ubraniach, a między nimi kilkunastu Żydów i jeden żołnierz w rosyjskim mundurze zielonkawego koloru. Prowadzili ich austriaccy żołnierze pod bagnetami, a jakiś wachmistrz ich pilnował, acz szli równo szóstkami. Było tych ludzi mniej więcej setka. „Cóż oni zrobili? Przecież to nie wszystko?" pytamy. Opowiadają nam: „Ci ludzie wytłukli rannym węgierskim żołnierzom oczy, rany ich zasypywali solą i żywcem spalili." Czy to była prawda, tego nikt nie wiedział, później dopiero dowiedzieliśmy się, że to było wierutnym kłamstwem. Umieszczono ich tym-

czasowo w budynkach dworskich hr. Potockiego, znajdujących się w ogrodzie nad Strypą, a potem popędzono ich dalej.

— Na moście stali starsi ze Sokoła i radzili się, co zrobić z młodzieżą, która dopiero co wróciła ~~ze~~ z wycieczki. Zaczęto opowiadać o strasznych moskiewskich zbrodniach i zapowiadano, że Moskale wytępią wszystką młodzież i powieszą. Powiedziano więc młodzieży, by jak najprędzej z miasta wyszli, lecz nikt z tych niby starszych, którzy przed wojną mieli się za wielkich polityków i patriotów, nie poszedł z tą młodzieżą. Owszem ci, co najbardziej wrzeszczeli, okazali się teraz ludźmi nieporadnymi. Jeden pan, który tu rej wodził, nie został

swych synów do Legionów, ale do Szwaj-
carii, dziś ten synalek ma posadę w
ministerstwie, a tatuś z podobnymi sobie
patriotami w karty grywa. Podczas
gdy jedni za ojczyznę ginęli i krew
przelewali tam w Górach Karpackich
lub na równinach Wołyńskich, wielu
z nich nie mogło szkół pokończyć,
są dziś bez posad, zato tacy i inni
im podobni pasożyci siedzą na dobrych
posadach i śmieją się w kułak.

— Wrócili więc bosacy legioniści,
postawili przed gmachem Sokoła war-
tę i wydali rozkaz, że gdy tylko usły-
szą strzał karabinowy, lub trąbkę
alarmową mają natychmiast zejść się
w gmachu Sokoła.

Wszystkie sale Sokoła były obrócone na war-
sztaty. Oto mieszkańcy powiatu, widząc mło-
dzież wybierającą się na wojnę, iż nie ma
ani butów, ani bielizny, ani ubrania, zro-
bili składkę, wiele kobiet wiejskich przy-
niosło wiejską bieliznę do rozdania po-
między chłopców. Tutejsi szewcy, tak
majstrowie jak i czeladnicy całymi dnia-
mi i nocami robili zupełnie bezinteresow-
nie porządne wojskowe buty, by ubrać
w nie młodzież. Ze sukna robił krawiec,
Żyd. legionowe ubrania, ale i to był
człek biedny, więc mu płacono. Na po-
sadzce w auli Sokoła pełno było rozście-
łonej słomy, aby młodzież przybyła z dal-
szych stron mogła wypocząć i przespać się.
Do wyekwipowania młodzieży najbardziej

przyczyniły się wsie Petlikowce Stare i Rusiniki. Tylko mieszkańcy wsi Podzameczka i Podlesia nie dały do Legionów ani jednego chłopca i w niczym nie pomagały. To bardzo chciwy naród.

Wrócił nad wieczorem Marian, ale tak był zmęczony, że nawet do ust nic nie włożył, lecz natychmiast się położył i zasnął jak kamień. Starszy syn Zygmunt składał tymczasem do plecaków potrzebne rzeczy dla siebie i dla brata, aby w każdej chwili być gotowym do drogi. Wówczas przystąpiła do niego matka i mówi: „Synu, i ty chcesz mnie opuścić? swoją matkę?"

„Mamo droga" rzekł Zygmunt „muszę iść bronić innej Matki

która jest Matką nas wszystkich, jest to nasza Polska, ona już zmartwychwstała, musimy ją podeprzeć. Na cóż zostaje ci iść na Polaków nas [illegible]?"

Na taką odpowiedź musieliśmy milczeć. Około 9 ej godziny wieczorem wpadł do nas młody legionista i mówi: „Niech Marian natychmiast wstaje i trąbi na zbiórkę, bo za pół godziny wychodzimy."

Ledwieśmy się chłopca dobudzili, z początku nie wiedział, co się z nim dzieje, lecz gdy oprzytomniał, przetarł oczy, ubrał się i chciał już iść, a matka pyta: „Czy jadłeś co? Zaczekaj, dam ci chleba na drogę."

„Ja mam chleb" mówi Marian, patrzymy, a tu jakiś maleńki

kawałeczek razowego chleba, suchy jak kamień, a chcąc go zjeść, trzebaby go wpierw młotkiem pobić, i w wodzie rozmoczyć. Zaraz więc włożyliśmy mu do plecaka chleb, i coś tam jeszcze. Tro-chę pieniędzy, bo nauczyciel ludowy, dużo pieniędzy mieć nie może, i to jeszcze przed pierwszym miesiąca, zaś pożyczyć w tym czasie nikt nie chciał, i nie mógł. Zygmunt wówczas zarobił sobie u adwokata Lisowskiego trochę pie-niędzy, i z tych pomimo naszego kłopotu, starczyło nam pomocy. A takie to dzień!

Wyszli obaj.

Wkrótce rozległ się po mieście smu-tny głos trąbki alarmowej. Lato

miasto zadrżało. Głos trąby leciał wśród ciszy nocnej hen aż tam daleko pod niebiosy i prosił o pomoc Bożą. Młodzież wybiegała z domów i biegła wprost do gmachu Sokoła. Naraz zebrało się około 60-ciu chłopców, każdy z plecakiem na grzbiecie. Niektórzy z nich byli uzbrojeni. Syn Zyg-munt miał doskonały manlicher, z któ-rego celnie strzelał. Już to strzelać mi chłopcy umieli, młodszy Marian ścinał z floberta główkę ostu na odległość 40. kroków. Młodzież stanęła w Sokole w szeregach, a student Władzio W. /.../ niarski miał do kolegów mowę, nie wy-szukaną wprawdzie, lecz pochodzącą wprost z serca. Potem dał rozkaz i

i wyszli na ulicę. Czwórkami szli przez miasto, rynek i Kolejową ulicę. Idąc, śpiewali: „Boże coś Polskę" i marsz Dąbrowskiego. W mieście powstał wielki płacz i lament, bo niejeden z tej mło- dzieży nie miał już wrócić pod rodzinną strzechę.

Na stacji powiedziano im, iż muszą czekać do godziny piątej rano, a zatem wrócili do domu, przespali się, coś tam zjedli, ale wojska austriackie do pociągu ich nie puściły, musieli więc iść piechotą do Barysza i odpoczywali na dworze księcia Świdrygiełły. Dobry to był chłop, przyjął młodzież czem chata bo- gata, a widząc, że chłopcy nie mają należytego ciepłego ubrania, otworzył

swoje szafy i rzekł: „Bierzcie chłop- cy, kto co chce, bo jeśli nie weźmiecie, to Mo- skale zrabują." Każdy więc brał, co uwa- żał za potrzebne, a mój Marian dostał mocne oficerskie spodnie, w których przewę- drował całe Karpaty i służyły mu wśród największych niewygód przeszło rok.
Od tego czasu słuch o legionistach zaginął.

—

A działo się to 23. sierpnia r. 1914. w nie- dzielę, ten dzień pamiątkowy dla miasta Bu- cza.

Po wyjściu z miasta legionistów nastał w mieście głęboki smutek i uroczysta ci- sza. Treny austriackie odjechały w stronę Monasterzysk, do miasta zaś weszła piechota w sile 800. ludzi. Była to rezerwa, wszyscy

podchodzili z okolic Buczacza i Czortkowa. Stali oni we dwóch szeregach wzdłuż rynku i ulicy Grunwaldzkiej i czekali. Kuchnie wszystkowe na czas nie nadeszły, dlatego mieszkańcy miasta wydawali dla żołnierzy we swych domach obiady, a kto tylko z cywilnych ludzi był na rynku, kupował dla nich papierosy, bułki, chleb i częstował.

Na rynku sprzedawała żydówka ziarnka arbuzów. Jeden z żołnierzy stojących obok niej, zgiął się i wziął sobie garstkę ziarnek. W tej chwili przyskoczyła żydówka i uderzyła żołnierza w twarz. Żołnierz ani się poruszył, rzucił ziarnka i stał cicho. Taka była wówczas dyscyplina! Nazajutrz żydzi inaczej śpiewali.

O godzinie 10. rano, kazano

żołnierzom wyruszyć do Tynkowic.

W mieście nastała grobowa cisza, wszyscy oczekiwali czegoś nieznanego, strasznego.

Żona moja po tylu przejściach, bośmy w jednym tygodniu trzech synów na wojnę posłali, po niewyspanych nocach, położyła się na chwilę i zasnęła jak kamień, ja zaś wyszedłem na podwórze szkolne —

— Wtem zagrzmiały za lasem, pod Trybuchowcami cztery głośne armatnie strzały. Wyciągnąłem zegarek i popatrzyłem, było pięć minut przed pierwszą w południe. Po chwili zagrzmiały znów cztery armatnie strzały i tak było co kilka minut. W całym mieście powstał nagle wielki popłoch, reszta mieszkańców uciekła z miasta, albo tylko jak najdalej od strony. Ja nie myślałem o ucieczce,

co i poco? Tymczasem najmłodszy mój
syn Roman i bratanica Stefcia przestra-
szeni, zaczęli budzić matkę:
„Mamo, mamo, prędzej wstań!"
Żona obudziwszy
się mówi: „Nie trzaskajcie tak drzwiami!"
„Ależ my siedzimy cicho, to armaty tak
biją. Czy mamy uciekać?"
Mieszkanie nasze było wówczas nie w budynku
szkolnym, tylko przy ulicy Żyblikiewicza.
Matka wówczas mówi: „Idźcie do ojca i
zapytajcie się, co robić?" Przyleciał syn
i pyta, co uczynić mają, a ja mówię:
„Chodźcie na podwórze szkolne."
Zebrało się na podwórzu szkolnym do pięćdziesięciu
osób i przysłuchujemy się bitwie.
Tymczasem w kasynowej restauracji w bu-

dynku Sokoła siedzieli austriaccy ofi-
cerowie i jedli obiad, a restauratorka Do-
nowa pyta ich:
„Czy nasi pobiją Moskali?"
(Nasi znaczyło wówczas Austriacy).
„O nie" mówi oficer, „My będziemy się bili do
wpół do szóstej wieczorem, a potem się cofnie-
my." „Jak to, a co będzie z nami?"
„No, przejdą Moskale, przecież was nie zjedzą,
a my dla nich przygotowali takie kocioł-
ki, że gdy Moskale do nich wejdą, już stam-
tąd nie wyjdą." Bitwa jednak trwa
coraz bardziej zawzięciej i coraz głoś-
niej biją armaty, widocznie Austriacy
cofają się. Już i karabiny maszynowe i
wszystko grać poczynają. Zdawało się, że

wszystkie te strzały tworzą tylko jeden ol-
brzymi organ, że pojedynczych strzałów nie
można było odróżnić, a nam na duszy
ciężko, że tam niedaleko od nas tylu lu-
dzi w tej chwili śmierć poniesie.
Naraz około godziny czwartej wszystko
ucichło, tylko pojedyncze strzały znać dawały,
że tam nie żartują. Wtem usłyszeliśmy
donośną komendę: „Vorwärts!"
Za chwilę znów las zagrzmiał okrzy-
kiem pochodzącym z tysiąca piersi:
„Hurrraaa!" To krzyczeli Moskale.
W jednej chwili zagrzmiały znów działa,
karabiny ręczne i maszynowe, powstał
piekielny hałas, zakotłowało jakby
wśród najstraszliwszej burzy i znów
naraz ucichło. Po kwadransie

znów zagrzmiały działa, ale równocześnie
wypadła z lasu węgierska kawaleria,
uciekała ona przez Serpentynę w naj-
większym popłochu, wpadła nad Stry-
pę na Czarny Most, a potem gościńcem
aż do żydowskiego okopiska, tu skrę-
ciła w górę ulicą ku targowicy, a
potem do wsi Nagórzanki. Za kawalerją
jechały automobile, w nich siedzieli
oficerowie węgierscy, a jadąc przez
miasto krzyczeli: „Elien! Elien! Sieg!
Sieg! Hoch Kaiser!"
Gdym to zobaczył, pomyślałem sobie, że
ci oficerowie robią taksamo, jak ów
żyd, którego chłop przydusił, a żyd krzy-
czał: „Weźcie go ze mnie, bo go rozedrę!"
Znów wypadło z lasu około stu koni i

i goniło to wszystko za poprzedni mi
kawalerzystami. Wspaniały był to wi-
dok, godny pędzla Kossaka. Naraz
jeden Madziar spadł z konia, koń się
zatrzymał, Madziar w tej chwili wsko-
czył na niego i pogonił dalej.
Jeden koń, który zapewne stracił swego
pana, zawrócił z ogólnej ucieczki i
dobiegł spod Okopiska aż do Czarnego Mostu,
ale tu huk strzałów moskiewskich z poły-
miotów (karabinów maszynowych) za-
trzymał go, zawrócił i pogonił za Ma-
dziarami. Koń to bardzo roztropne zwierzę.
Na gościńcu wzdłuż całej Serpentyny
leżało w rowie owych 800. żołnierzy [illegible]-
wanych. Widocznie oni zasłaniali odwrót
armii austriackiej. Widziałem ich przez

perspektywę jak stali jeden obok dru-
giego z wyprężeni, z karabinami w ręku
zwróconymi ku lasowi z palcem na cyn-
glu strzelali do następujących na nich
Moskali, którzy teraz na nich obrócili swe
polymioty i karabiny. Naraz owi żoł-
nierze wstali, przeszli przez Strypę w bród
i prosto szli do mej szkoły. Moskale wy-
stali za nimi tysiące strzałów, lecz nie
trafili ani jednego żołnierza, zato obili
moją szkołę kulami, że dziura była obok
dziury i tynk ze ścian poobłatywał.
Kule świstały koło nas jak olbrzymie
szerszenie, a ludzie, zgromadzeni na
podwórzu szkolnym, stali i patrzyli się na
tę bitwę, dopiero narobiłem krzyku i ka-
załem im wejść do budynku szkolnego

i ~~nalnici~~ siedzieć cicho w salach, ale i
tu zaglądali przez okna, myśląc, że
kule nie powinny im zrobić nic złego,
bo oni nie byli żołnierzami. Jedna z kul
zabiła krowę na naszym podwórzu, inna
uderzyła w stojącą na podwórzu brzozę
iż nagle się zatrzęsła. Chociaż nie
wojskowy, poznałem, że Moskale kiepsko
strzelają: Chłop z Podzameczka, nazwi-
skiem Prorok, zaprzęgał na swoim
podwórzu znajdującym się w zupełnie
innej stronie, i otem uderzyła go kula
i strzaskała mu obojczyk.
Żołnierze austriaccy stanęli przed bu-
dynkiem szkolnym, a prowadził ich
jakiś student w skautowskim ubraniu,
morowy chłopak, na przedzie szli dwaj

żandarmi, a z tyłu było trzech ludzi
ze straży skarbowej. Oficerów nie było,
może wyginęli? Między budynkiem
szkolnym, a cmentarzem znajduje się
ulica prowadząca pod klasztor O.O.
Bazylianów, a żołnierze nie wiedzie-
li którędy iść, bo chcieli miasto omi-
nąć. Wówczas wybiegł mój naj-
młodszy syn Roman, poszedł z żoł-
nierzami i pokazał im właściwą
drogę. Naraz poczęły grać na nowo
moskiewskie karabiny i polimioty (pa-
[illegible]) Kule latały jak grad, świ-
stały w powietrzu i podziurawiły da-
chy w budynku szkolnym i w kościele, chło-
piec wrócił szczęśliwie do domu.

Około 6. ej godziny wieczorem dano
ze zamku w Buczaczu strzały armatnie
strzały w stronę atakujących Moskali.
Kule ze świstem przebiegały ponad
miastem i padały gdzieś daleko w lesie
Trybuchowieckim.

Bitwa była skończona.

Nastał wieczór. Wiele przerażonych ko-
biet i pań z różnych sfer szukały schro-
nienia w szkole. Między nimi były
pani Kolankowska z córkami, panny
Sobolewska, Simonówna, państwo
Czyżewscy z córkami i inne. Każdy
był bardzo zmęczony i przerażony i
kładli się spać na ławkach szkolnych.
Ludzie do bitew nie byli jeszcze przyzwy-
czajeni, śmierć była dla nich czemś
strasznem, bo później każdy ~~[illegible]~~ -
najspokojniej spał wśród gradu kul
karabinowych, lub armatnich.
Ponieważ nikt nie był pewny jutra,
przeto głośno zmówiliśmy wspólnie
pacierz i pokładli się w salach szkol-
nych, gdzie się komu udało, byle tyl-
ko razem. Około godziny pół do dziewią-
tej w nocy, zapukał do okna pan Brze-
zowski, urzędnik podatkowy i mówi:
„Przywieźli rannych, a nie ma komu
ich ratować, u Bazylianów jest 30.
ludzi, u mnie 20, a reszta musi się po-
mieścić w szpitalu u Sióstr."
Idę zaraz do szpitala, który mieści się
tuż za budynkiem szkolnym, ale za-
staliśmy drzwi zamknięte, bo przerażone
siostry i księża powciekali.

Przybiłem więc drzwi; po otwieraniu sale, a ludzie poznosili rannych Madziarów. Było ich przeszło 40. osób. Zjawiło się zaraz kilku, kilkunastu panów z tutejszej inteligencji, a między nimi państwo Żychowie, Grzewscy, Czerwoscy, Nowaccy, kilka nauczycielek i moja rodzina. — Pani Markowiczowa, żona prezesa sądowego, objęła gospodarstwo u O.O. Bazylianów, a pani Rogozińska z córkami objęła zarząd szpitalny w szkole na Barakach. Wielu pań nazwisk nie pamiętam. Najbardziej jednak zastanawiało nas to, że zaraz po wybuchu wojny urządzono w gmachu Sokoła wykłady sanitarne dla pań i uczono jak mają doglądać i opatrywać rannych żołnierzy. Mnóstwo pań przepa-

sało sobie na ramionach przepaski z czerwonymi krzyżami i z nauki urządzi-ły sobie sport. W nich wrzeszczały i piszcza-ły, po ulicach paradowały w białych chusteczkach, lecz teraz gdy przyszło do rzeczywistej pracy około rannych, ani jednej z nich nie było. Krowa, co wiele ryczy, mało mleka daje. Pościągaliśmy rannych z wojskowych ubrań, a daliśmy im naszą szpitalną bieliznę i położyliśmy ich do łóżek. Dyrektor Żych przyniósł kilka flaszek dobrego czerwonego wina, ale chorzy nie chcieli pić, bo mieli ~~gorączk~~ gorączkę. Około północy nadszedł lekarz doktor Ilroo, ten przy pomocy pań banda-żował chorych. Rany niektórych żołnie-

rzy były straszne. Jednego Madziara obandażował już na polu bitwy lekarz moskiewski i zostawił go, bo musiał iść do innych. Nadjechał jakiś nieludzki kozak na koniu i piką kłuł leżącego na polu Madziara i zadał mu w krzyżach dziewięć ran. Już to jest wielkie barbarzyństwo kłuć i ranić bezbronnego leżącego na polu nieprzyjaciela.

W szpitalu nie było światła, poszedłem więc do szkoły wraz ze żoną po lampy. Noc była ciemna, a tak cicha, iż nawet listek na drzewie nie zadrżał. Szliśmy do szpitala z zaświeconymi lampami. W tej chwili Moskale otworzyli na nas z Trybuchowieckiego lasu rotowy ogień. Kule jak olbrzymie

bąki leciały w powietrzu i świszczały. Gdyśmy weszli ze światłem do szpitala, przestraszyli się wszyscy obecni i chcieli światło zgasić. Nie dozwoliliśmy na to, gdy jednak w oknach zabłysło światło, Moskale w tej chwili przestali strzelać, bo poznali, że to jakiś dom. Widocznie Moskale nie są takimi barbarzyńcami za jakich my ich dotychczas mieli. — Nad ranem trzeba było nad szpitalem zatknąć chorągiew z czerwonym krzyżem, wyszedłem więc na miasto, aby poszukać jakiego drąga. Dniało. Szedłem ulicą Grunwaldzką przez rynek do magistratu. W mieście straszliwa cisza, ani jednego człowieka, ani zwie-

rycin, miasto jakby wymarło. Tak do-
szedłem do straży pożarnej, wypatem-
z wozu długą osękę i przyniosłem ją
do szpitala. Tu natychmiast wrotiliśmy
chorągiew i ~~zatk~~ zatknęliśmy ją
na dachu.

Raz przed samym wschodem
słońca poszedłem do szkoły po kawbo-
wą wodę, wracam z flaszką, stoją
na schodach tuż obok szkoły i stoję
oko w oko ... „z Kozakiem." i
to pierwszy raz w życiu z prawdziwym
Kozakiem, gdyż dotychczas znałem
ich tylko z opisu lub rycin.
Na ulicy Czarnej od Sierpentyny ku
miastu przez pole zwanym „Feder"
jechało około pięćdziesięciu Kozaków

gęsiego, t.j. pojedynczo jeden za drugim.
Ten Kozak we przodzie chłop wielki,
z ogromną czapką na głowie, wąsiki
czarne, zupełnie jak myśl, trzymał
w ręku karabin gotowy do strzału,
obok niego wisiała pika. Jadąc, patrzył
mi w oczy, a ja jemu. Oczy jednak tego
Kozaka były nieliche, zupełnie jak
moje, łagodne, twarz miła, a smutna.
Poznałem zaraz, że to nie był żaden
potwór, tylko jakiś wrażliwy człowiek.
Za nim jechali inni Kozacy, tacy sami,
jak ów pierwszy Kozak. Dwóch z nich
było nawet z odznakami czerwonego
Krzyża. Jakiś dziwny, myśląc, iam
Kozak, ukłonił mi się, ja również
go pozdrowiłem. Na całą tę

scenę patrzali ze szpitalnego balkonu i
z ganku i wszyscy, którzy koło rannych
żołnierzach pracowali, a Miecio Krzy-
żanowski, urzędnik podatkowy, trząsł
się ze strachu, mówił do mej żony:
„Oj! oj! Kozacy zabiją pana dyrektora."
Inni milczeli w oczekiwaniu, co dalej
będzie.

W czasie odwrotu tych 800. ludzi
piechoty ~~aur~~ austriackiej pozostało
trzech ludzi w tyle, bo podparzeli
sobie nogi i poszli spać do magistra-
tu. Nad ranem spostrzegł ich poli-
cjant Świstel i rzekł do nich:
„Co wy tu robicie? Kozacy już wszyscy są
po mieście, uciekajcie!"
Między tymi żołnierzami był jeden
żyd. Ten w tej chwili zrzucił ze

siebie wojskową bluzę, a spostrzegłszy
na ścianie wiszącą jakąś starą sier-
ducinę, ubrał się w nią i wyszedł.
Tyle go widziano. Pozostali dwaj, jeden
Polak drugi Rusin z Czortkowa wzięli
karabiny, przeszli przed kładkę nad
Strypą koło młyna i zmęczeni usiedli
pod sławną lipą sułtana Mahome-
da IV. Tymczasem nadjechał od-
dział Kozaków. Żołnierze zaczęli
do nich z karabinów strzelać i pora-
nili kilku Kozaków i koni. Jednak
siła złego na jednego. Kozacy, widząc
ich tylko dwóch, przyskoczyli i pokłu-
li ich pikami w straszny sposób. Obydwu
przywieziono potem do Buczacza i poło-
żono na ulicy koło kościoła, a potem

pochowano ich wspólnym grobie na Ti-
drze tuż obok szpitala nad Strypą.
Byli to pierwsi dwaj wojownicy pochowani
na tym polu. Niestety było ich potem
tysiące.

Gdy się rozwidniło, zaczęły wcho-
dzić do Buczacza od strony Czortkowa
wojska moskiewskie. Żołdacy szli
całymi tłumami, lecz nie w ten sposób
jak wojska austriackie. Szli razem
konnica, a obok nich rozsypana pie-
chota. Każdy z nich śmierdział z daleka
i zasmrodzili całe miasto, pochodziło
to z tego powodu, iż żołdacy dostali nowe
mundury, które od dłuższego czasu były
posypane proszkiem, czy naftaliną
ale bardziej śmierdzącą.

Opowiadali nam później żołdacy, że wielu
z nich z tego powodu rozchorowało się.
Na te wojska patrzaliśmy z podziwem
Ubrania ich były proste, koloru zgniłego
siana, na głowie zamiast czapek mieli
jakieś tortownice, karabiny długie z
ciężkimi długimi bagnetami, a żołnie-
rze nieśli je na ramionach jak zwykłe
drągi. Wojsko to zupełnie nie imponu-
wało, chyba liczbą. Za to konie były
śliczne. Wszystkie ciemnej barwy, z olbrzy-
mimi pionsiami, łbami i długimi
ogonami, a jeźdźcy siedzący na nich wy-
glądali jak jakieś przedhistoryczne cen-
taury. Piechota i konnica szła zwartym
tłumem przez miasto 33. godziny. Opo-
wiadali Moskale, iż było ich 40.000.

Patrząc na to wojsko nie odczuwałem
żadnej obawy, a przypominałem w tre-
ści barwny obraz Herodota, w którym
opisuje wojsko perskie Kserksesa, a
zarazem cisnęły mi się do ust słowa
naszego wieszcza Kornela Ujejskiego
z poematu „Maraton":
„Magowie prawdę mówili ci Królu,
Naród to mały, lecz jak pszczoła w ulu
Każdy z osobna o swym domu radzi,
A gdzie potrzeba wszystko się gromadzi.
O kraj to mały, tyle co zatrzyma
Przechodzącego podeszwa olbrzyma,
O kraj to mały, niby szybka tarczy,
Lecz na grób wrogom przecież go wystarczy."
— Rzeczywiście mało kto z tych ludzi wrócił
do swej ziemi i ujrzał dom rodzinny.

Nie upadłem więc na duchu, dziwna jednak
rzecz, że od samego początku tej wojny wszy-
scy Polacy nie mieli na myśli Austrii,
lecz Polskę.
Szli Moskale nie tylko przez
Baranów, ale i innymi drogami w powie-
cie. Jeden oddział wpadł do ~~wsi~~ wsi
Zielona, gdzie był nauczycielem Lon-
gin Kornaszewski, sławny pasiecznik.
Posiadał on w swym ogrodzie przeszło
sto pni z pszczołami. Jak to Kozacy
spostrzegli tak zaraz do pasieki, poprze-
wracali ule, wybrali wszystkie z miodem
i w kilka godzin zniszczyli całą pasie-
kę, bo pszczoły wyginęły. Dalej zaczę-
li domy rabować, a nawet palić. Wpa-
dli do mieszkania nauczyciela, porozbi-

pali kufry, szafy, komodę, zabrali wszy„
stko srebro, bieliznę, pościel, ubrania.
Książki z biblioteki zniesli do jednego po„
koju, polali nieczystościami, aby już
nikt z nich korzystać nie mógł. Sam
Komaszewski uciekł przez okno, spo„
strzegł go jakiś kozak i puścił się
za nim w pogoń, a nie mogąc go do„
gonić, strzelił za nim. Kula trafiła
dwunastoletnią, wiejską dziewczynę
w brzuch i ta w pół godziny później
umarła. Kozacy zaczęli wieś palić i
do ratujących swych domów chłopów
strzelać. Zastrzelili wówczas czterech chło„
pów, a kilku ranili. Jedną ciężarną
23 letnią kobietę ranili w łono. Zawieziono
ją do szpitala w Dziwnogrodzie, gdzie po
trzech godzinach męczarni, umarła.

Winę pożaru chcieli kozacy zwalić na
mieszkańców wsi, a szczególnie na
Komaszewskiego. Spędzili więc miesz„
kańców wsi na obszerne miejsce przed
budynkiem szkolnym, a jeden z koza„
ków krzyknął: „Kto teraz stoi, niech
stoi, kto siedzi, niech siedzi, bo kto się
ruszy, tego zastrzelę." Wszyscy czekali
z trwogą co ~~dalej~~ dalej się stanie. Wtem
nadszedł oficer kozacki, ładny chło„
pak w polskiej czamarce. Przyszedł
do niego kozak i wskazując na Koma„
szewskiego, rzekł:
„Oto czej zariw derewniu."
„Kto smotrieł?" pyta oficer.
„Czeja barynia smotrieła" rzekł kozak.

„Ty smotriela, jak cej czołowiek zowiw derewniu?" pyta oficer.
„Ja tego nie widziała, a to jest mój mąż."
Oficer się zaśmiał i kazał wszystkim obecnym rozejść się do domów i pilnować chat, aby kozacy wszystkiego nie rozkradli, którzy już na dobre zaczęli wieś rabować i palić.
Do pobliskiej wsi Drzyzyna wpadł kozak i kazał sobie dać z każdego domu po cztery jaja. Mieszkańcy złożyli je natychmiast. Kozak włożył to do dużego kosza i odjechał.
W innych wsiach nie zrobili kozacy żadnych szkód.
Nazajutrz w nocy (25.8.1914) strzelano przez całą noc w stronie zachodniej miasta Buczacza. Ze stacji kolejowej w Gajach

buczackich, w Jezierzanach całą noc grały karabiny maszynowe i zwykłe. Nad ranem dopiero spostrzeżono, że w Gajach buczackich stali Moskale, a ze stacji kolejowej i z Jezierzan strzelano do nich. Narobili więc wówczas Moskale bardzo wiele szkód. Samych rannych zwieźli na stację kolejową do 800 ludzi rannych i to samych Moskali. Prócz tego było jeszcze wielu rannych w innych budynkach kolejowych i w domu tak zwanym: „Willa Lidka". Mnóstwo grobów znajdujących się w pobliżu stacji i w okolicy pochodzą właśnie z tej bitwy.
Moskale szli dalej, przeszli Jezierzany i zbliżali się ku Monasterzyskom. Tam na pagórkach stały wojska austriackie i

i wstrzymały napór wojsk moskiewskich
Jazda rosyjska ruszyła naprzód. Za
nią szły ambulanse z bandażami i
lekarzami. Bitwie tej przypatrywał się
mój szwagier Adam Gruszczyński,
był on rządcą w Dziurynie. Gdy Mo-
skale weszli do Dziuryna, zaraz spalili
gorzelnię i doszczętnie obrabowali dwór,
zabrali wszystkie konie i wozy na
forszpany, a lekarz moskiewski, zre-
sztą dobry człowiek, kazał szwagrowi
zaprząc konie i jechać za wojskiem, a
więc: „Skaczy wraże, jak pan każe”
musiał jechać. Tak zajechali pod Mo-
nasterzyska. Tam zsiedli z bryczki i
pochowali się w bruzdach na polu, bo
Austriacy strzelali z armat.

Naraz padł obok nich szrapnel, a szwa-
gier, jak sam opowiadał, skoczył ze stra-
chu cztery metry wysoko: „Łaży su-
kinsyn” mówi doktor „ne bijsa!”
Tak leżeli cicho kilka godzin i byli świad-
kami tej bitwy. Oddział jazdy złożony z
400 ludzi uderzył na miasto, aż naraz
zaczęły grać austriackie armaty, kara-
biny maszynowe i zmilkło. W kilka mi-
nut padli prawie wszyscy wraz z końmi.
Wyszedł wówczas drugi oddział, dwa ra-
zy większy. Chłopy silne jak dęby, a duże.
Na czele jechał piękny oficer w polskiej
czamarze, a wyciągnąwszy szablę, wzniósł
się i krzyknął: „Wot durak!
anu rabiata sukinsyny! Wpieriod!” i
sam jechał galopem na przedzie.

Wtem dostał kulą w gębę i spadł z konia,
Kozacy po nim przejechali i przepadli,
ani jeden z nich nie wrócił. Wówczas
po raz trzeci zebrała się jazda i
piechota i wpadli nad wieczorem bez
żadnych przeszkód do miasta, stanęli
na rynku, gdyż Austriaków już tam
nie było. Była to godzina 6 ta wieczo-
rem. Moskale rozłożyli na rynku ognie
i zaczęli gotować pożywienie. Żydzi po-
wyłazili z pobliskich domów i zaczęli już
z Moskalami handlować. Naraz ze wszy-
stkich stron zagrały austriackie działa,
karabiny maszynowe i wszystko. Powstało
między Moskalami ogromne zamięsza-
nie i zaczęli tłumnie uciekać. Zginęło
ich bardzo wiele, a między nimi 30. Ży-

dów, którzy się między Moskalami kręci-
li na rynku.
Zjawiła się skądś węgier-
ska konnica, Kozacy przed nią ucie-
kali, a jakiś Madiar o czarnych oczach
i wąsach sam jeden puścił się w ~~?~~ po-
goń za dziesięciu kozakami, zgrzytał
zębami, z oczu padały mu jakby ~~isk~~
iskry. Już trzech kozaków strącił z ko-
nia. Naraz jeden kozak, jak zawinie
piką [illegible] w tył, uderzył Madjara
tak silnie w ~~bok,~~ bok, że ten omal
z konia nie zleciał. Schwyciwszy się wściek-
le za uderzony bok, zawrócił konia i
kłusem wrócił do swoich, którzy już
byli napowrót w Monasterzyskach. —
My w Puźniku spostrzegliśmy zaraz, że

Moskalom nie idzie tak łatwo i gładko,
jak to się z początku zdawało. Już trze-
ciego dnia, owa wspaniała i dumna mo-
skiewska konnica zaczęła się napowrót
cofać do Buczacza. Czoło tej wracającej
jazdy sięgało aż poza Trybuchowce.
Szłam właśnie z panną Chymiakowską
ze szpitala na Barakach, gdzieśmy zano-
sili bandaże i wracali do miasta. Jednak
przez gościniec z powodu odwrotu jazdy
moskiewskiej, nie można było przejść.
Nareszcie pomiędzy jednym oddziałem,
a drugim zrobiła się jakaś przerwa,
a ~~nadez~~ nadjeżdżał inny oddział prowa-
dzony przez bardzo pięknego oficera
w polskiej czamarze, a ja pytam:
„Czy można przejść?”

Zaś on mówi do nas najczystszą polszczy-
zną: „Możecie państwo przejść.” i ustą-
pił się nam nabok. Oddaliśmy mu u-
kłon i podziwialiśmy grzeczność tych ludzi.

Każdemu z nas w piersi serce rosło,
lecz nikt słowem się nie odezwał, a rozma-
wialiśmy tylko oczyma, sądziliśmy wszy-
scy, że Moskale uciekają.
Aż tu naraz przychodzi rozkaz: „Stać!”
Potem widzimy, że jazda zawraca:
„Wpierod!” i nasza nadzieja przepadła.
— Zaczęto zwozić rannych Moskali i Austria-
ków. W szkołach i publicznych budynkach
miejsca już nie stało, potem rannych
umieszczano w domach prywatnych. Ca-
łe miasto zaroiło się od Moskali i Koza-
ków. Najniebezpieczniejszymi jednak

byli kozacy kubańscy, których wprost
Kubańcami nazywano. Jeśli oni kogo na
ulicy spotkali, wszczególnie żyda, lub pię-
knie ubraną żydówkę, to ich zaraz na
miejscu na poczekaniu rabowali,
a przy tym śmieli się wesoło, zabiera-
jąc przede wszystkim zegarki, łańcu-
szki, broszki, kolczyki, pierścionki i
pieniądze. Z pewnej bogatej żydówki
zdjął kozak na rynku piękne futro,
sam się w nie ubrał, siadł na konia
i pojechał. —
Sam widziałem taką
scenę: Na ulicy Kyblikiewicza tuż obok
Świtła dwaj sołdaci spostrzegli żyda
Andemana, właściciela kamienicy. Za-
raz jeden Moskal nastawił bagnet i

krzyknął: „Stoj!" Anderman stanął.
Inny sołdat zabrał mu zaraz złoty zega-
rek, łańcuszek, pugilares i 4.000 korona-
mi, była to wówczas ogromna suma pie-
niędzy, a zobaczywszy na nogach An-
dermana nowe piękne buty z cholewa-
mi, krzyknął: „Skidaj sapahy!"
Anderman zdjął buty i oddał je sołda-
towi. Ten natychmiast przebrał się, a
swoje podarte buty wyrzucił przez płot
na ogród Świtła, a potem obróciwszy
się do żyda dał mu końcem buta kop-
niaka w odwrotną stronę oryginalnie i
krzyknął: „Pajszoł." Anderman bez
bez zegarka, łańcuszka i pieniędzy po-
szedł do domu. Od takich rabunków
nikt nie był wolny ani pewny.

Kozacy byli jednak zabobonni. Napadł Kozak na pana Małachowskiego urzędnika sądowego. Był to człek niezamożny i miał kilkoro dzieci w domu. Kozak zabrał Małachowskiemu zegarek i pugilares z ostatnimi dwunastoma koronami. Rozżalony Małachowski rzekł: „Żebyś własnych dzieci nie oglądał, kiedyś mi taką krzywdę zrobił". Kozak usłyszawszy to, wrócił, oddał mu zegarek i pieniądze i rzekł: „Odwołaj swoje przekleństwo" a zarazem prosił by mu Małachowski coś dał. Ten podarował mu koronę, a Kozak podziękował i odszedł. Wyraziłem się słowem zabobonny, jednak myślę, że to był człek z wiarą i uczciwy.

Najlepiej jednak Moskale hulali w domach żydowskich przy ulicy Podhajeckiej. Wszystkich żydów wypędzili z domów, a zostawili sobie same młode i ładne żydówki, które wcale nie były uporne, zresztą nie mogły się upierać, boby im to nic nie pomogło. Zabawy na tej ulicy były bardzo wesołe, bo gdy jedni załatwili, odeszli, przychodzili inni.

Pożar miasta.

Porażka Moskali pod Monasterzyskami była przyczyną spalenia Buczacza. Moskale myśleli, że będą zmuszeni do szybkiego odwrotu, wydali więc rozkaz spalenia miasta. Do tego celu mieli osobny oddział wojska zwanych „Żarije". Mieli oni w ręku jakieś mosiężne kule

napełnione benzyną. Przychodzili oni
do kamienicy i wołali, aby w przeciągu
pół godziny wszyscy mieszkańcy dom
opuścili, przy czym każdemu wolno
było wziąć ze sobą, co tylko mogli
unieść. Oficer, nazwiskiem Mayer,
stał ze zegarkiem w ręku, a po upływie
pół godziny kazał rzucać owe kule
przez okna do pokojów. Inny soł-
dat strzelał do rozlanej benzyny,
która w tej chwili wybuchała płomie-
niem i w ten sposób podpalano kamie-
nice od spodu z dołu. Przede wszystkim na-
pytali, czy kamienica należy do jewreja
(żyda), jeśli właściciel był żydem, na-
tychmiast go podpalano. Najpierw spa-
lono rafinerję spirytusu i fabrykę li-

kierów Bindera przy ulicy Kolejowej i
prywatne pomieszkanie rządcy p. Apte-
kiewicza. Z gorzelni i browarów wyto-
czyli wszystkie beczki ze spirytusem i
wypuścili to do rowu. Ktoś podpalił spi-
rytus zapałką i cała ulica wzdłuż go-
ścińca stanęła w płomieniach. Bro-
war, gorzelnia i młyn parowy hrabi-
go Potockiego stanęły również w ogniu,
a gorąco było tak wielkie, że gościń-
cem choć oddalonym nikt przejść
ani przejechać nie mógł.
Właściwy pożar śródmieścia i rabunek skle-
pów rozpoczął się dnia 24 sierpnia. Począ-tek
tego był taki, ale Moskale, gdy chcą
coś złego zrobić, muszą mieć przyczynę.
Ot taki przykład: Jakiś sołdat

jechał koleją i wszedł do przedziału, gdzie już siedział wachmistrz. Ten wcale nie był zadowolony, że obok niego siedział zwykły sołdat i kazał mu się wynosić. Sołdat miał na stacji znajomego oficera i poskarżył się mu. Oficer zaraz wszedł do przedziału i zapytał wachmistrza, czy on był w Kałudze (Kaługa jest to miasto niedaleko Moskwy)

„Niet", nie byłem."

„Kak, ty nie był w Kałudze?" i trzasnął go w twarz. Wachmistrz musiał z prze-działu wyjść, a sołdat został, zapytał oficera: „Coby ty zrobił, gdyby wachmistrz powiedział, że był w Kałudze?"

„Byłby także dostał, wszak do wszystkiego musi być jakaś przyczyna."

Coś podobnego stało się w Brzozowie. Początek tego był taki:

Do głównej trafiki w rynku wszedł Kubańczyk, gdy go otrzymał, zamiast za tytoń zapłacić, zażądał od subjekta reszty z dziesię-ciu koron. Subjekt nie otrzymawszy banknotu, nie chciał pieniędzy wydać. Naraz Kozak i jego towarzysze za-częli wyrzucać wszystkie towary na ulicę, a kto szedł, zabierał, co chciał. Ściągnęła się w okamgnieniu cała gromada sołdatów i wpadali do innych sklepów i co który z nich złapał, wyrzucał na ulicę. Żydzi zaczęli sklepy zamykać, lecz sprytni Kozacy drągami i bagnetami drzwi

wyłamywali i otwierali. Wyrzucono
więc na ulicę różne płótna, sukna,
buty, rowery, książki, lustra, skrzynie,
instrumenty muzyczne, żelaziwo, pościel.
Z apteki Wrzesińskiego wyrzucono wszystkie
medykamenta, nie bacząc na to, że sami
może będą ich potrzebowali. Zjechało
się i zbiegło z przedmieście i z oko-
licznych wsi Dorwk, Kijsinomierze,
Nagórzanki, Podzamcze, Podlesie
różne pidsusiaki i nuż razem z
Kozakami rabować i nasze żydki
przybiegli z worami i Ka każdy
z nich brał, co mu pod rękę wpadło.
Aleś się obłowili!
Wojna obudziła w
człowieku najniższe instynkta. Obracho-

wano, że w tym dniu zrabowano w mieście
towarów na 46 milionów koron
wartości przedwojennej.
Położyliśmy się
spać, ale w ubraniu. Zaledwie jednak
zmrużyliśmy oczy, zapukał do okna nasz
sąsiad Fiszler, bardzo ubogi, lecz uczciwy
Żyd, stolarz i mówi: „Proszę wstać, bo
miasto się pali." Wychodzimy, a tu nad
rynkiem olbrzymia łuna, słychać trzask
palących się dachów, krokwi i belek. Go-
rzała narożna kamienica w rynku od
strony południowo-zachodniej, potem pod-
palono największy budynek w mieście,
kamienicę Skory, w kamienicy tej mie-
szkali najzamożniejsi ludzie, znajdo-
wały się najpiękniejsze i najzamożniejsze

sklepy Seligdowicza, droguerii Truszka. Tuż obok spalił się sklep Kółka rolniczego, Rogozińskiego, Müllera, księgarnia Halberga i inne. Gdy kupiec Szwarcberg chciał ratować swoje rzeczy, to żołdak przebił mu brzuch bagnetem. Pożar przeniósł się potem na ulicę Trzeciego Maja i gorzały sklepy z materiami bławatnymi, meblami, żelaziwem, szewcami, sklepy korzenne, apteka, zegarmistrz jednym słowem były to milionowe szkody wartości przedwojennej. Kozacy, żołdacy, chłopi, żydy, mieszkanie wyrzucali wszelkie towary, sprzęty domowe, pościel na ulicę, a każdy brał, co chciał. Co lepszego, zabierali Moskale na wozy i wywozili do Rosji.

Pożar ten trwał cało dwa tygodnie. Porucznik Majer z całą systematycznością obchodził kamienice, a kiedy kto chciał ratować, Moskale strzelali z karabinów, wprawdzie nikogo nie zastrzelili, ale strach był. Sikawki, beczki, wszelkie przybory pożarnicze Moskale zabrali zaraz z samego porządku i wywieźli do Rosji. Pożar zbliżał się powoli do ulicy Żybelikiewicza, gdzie mieszkali mieszczanie w małych domach pokrytych gontami. Mieszczanie powynosili rzeczy swoje na ogrody i czekali rychło li ich domy palić się będą, bo iskry całymi kłębami na nas padały. —
Ponieważ od pięciu dni nic nie jedliśmy, a dzieci były głodne, poszła żona

na rynek i tam udało się jej u znajo-
mego piekarza kupić trzy bochenki
chleba. Moskalom też wówczas chleba
nie dowierzono. Naraz staje przed nami
porucznik Majer i pyta:
„Macie chleb?"
„Mam" mówi żona
„Proszę go dać!"
Dzieci ze smutkiem chleb wyniosły,
a Majer kazał Kozakowi włożyć chleb
do torby, ale spostrzegłszy smutne
dzieci, zapytał:
„Czy macie jeszcze chleb w domu?"
„Nie, to ostatek."
Wówczas Majer wyjął jeden chleb z worka
i dał go dzieciom, a żona pyta:
„Czy nam także będą palić domy?"

Nato Majer: „Proszę dachy zlewać
wodą, to się nie zajmą."
W tej chwili wylazłem wraz z synem i
młodym Świttlem na dach. Ludzie zno-
sili wodę ze Strypy i nią zlewaliśmy za-
grożone miejsca. Sąsiedzi, widząc to,
myśleli, że mnie Moskale zastrzelą, tym-
czasem nadbiegł Kozak i mówi:
„Tak, tak, ratujcie, zlewajcie wodę, my
tylko jewrejów palimy."
Wówczas sąsiedzi, a nawet żydzi ruszyli
się gromadami do ratunku. Całymi
dniami i nocami siedzieli na dachach
domów i reszta ulicy ocalała.
Pięć dni prawie nie mieliśmy nic w
ustach, dopiero w piątek udało się nam
zdobyć nieco mąki i jedliśmy zacierkę,

aleś ona smakowała nam lepiej, niżeli ongiś gościom Lukullusa jego sławne obiady. Tegoż dnia przenieśliśmy się na mieszkanie do budynku szkolnego, wziąwszy ze sobą tylko najniezbędniej-sze sprzęty domowe i kuchenne.

Coraz więcej zwożono do miasta rannych żołnierzy tak Moskali, jak i Austriaków, przeto kazałem pościerać na ulicy i w rowach porozrzucane tam materace, sienniki, otomany, kana-py i zanieść to do budynku szkolnego i w dużej sali szkolnej przyjąłem 13. Moskali i jednego Austriaka, był on z Czortkowa nazywał się Trafikowski; miał pod skórą na twarzy kulę kara-binową. – Pani Markowa przysłała

kaszę, herbatę i cukier, a moja żona przyrządzała z tego potrawy i rozłowa-ła chorych, którzy w ogóle byli bar-dzo wdzięczni za otrzymaną pomoc. Między nimi był także jeden Ukraiński. Ten dobrał się do jakiegoś składu jubiler-skiego, narabował mnóstwo zegarków a złotymi broszkami przypinał sobie całą podszewkę swej czamarki. Był on ranny w głowę i miał gorączkę, ale od czasu do czasu oglądał swoją zdobycz, bojąc się, aby mu kto czego nie wziął. Moskale, widząc to, śmiali się z niego i mówili: „Ot głupiec, sam nie wie, czy jutro doczeka, to lekarza nie ma, a cieszy się tymi marnościami!" Inny Ukrainiec leżał pod piecem,

a gdy mu moja żona przyniosła szklankę herbaty, on z nieufnością popatrzył na nią i rzekł: „Pokosztujcie sami." Myślał zapewne, że chcemy go otruć. Żona w tej chwili z uśmiechem w jego obecności skosztowała herbatę, dopiero on ją wypił. Moskale również śmiali się z niego i mówili: „Ceja barynia z szczerego serca ciebie przyjmuje, a ty nie wierzysz." Był on ranny kulką karabinową w nogę powyżej kolana. Gdy wypoczął, wziął moją laskę, wychodzi na rynek, a Moskale pytają go: „Dokąd idziesz?"
„Rabować." mówi Kozak i poszedł. Jakoś po dwóch godzinach wrócił i przyniósł na plecach pełny wór cukierków, czekoladek i różnych innych smakołyków. Rozdał to wszystko rannym. Ujechali, bo byli głodni, ale powie dzieli mu żartem: „Wprawdzie konfekty są dobre, ale ty jeszcze lepiej" i wszyscy się śmiali wraz z Kozakiem.
Nad wieczorem tegoż dnia weszło do naszej sali trzech „sarżów" z benzyną, aby spalić budynek szkolny, lecz zobaczywszy rannych żołnierzy, rzekli: „To łazaret." i odeszli. Jak to dobry Pan Bóg wymiarkował dobry uczynek, bo ~~gdyby~~ gdybym był rannych nie wziął w moją opiekę, byliby budynek szkolny spalili.
Między rannymi był także jeden żyd z Wilna, ten wcale nie był ranny,

ale symulant, gdy się napił herbaty, pod
padł sobie kaszy, wypoczął, wziął kara-
bin i uciekł między żydów w Buczaczu.
Tu ukrywał się przez kilka tygodni i sprze-
dawał na rynku zapałki. Tu poznał
go raz mój syn, ale ów żydek tak się
przestraszył, że go już potem w mieście
nikt nie widział, a przecież nie wydałby
go nikt, ani z katolików ani z żydów.
W powiecie ciągle się bito i strzelano, a
Moskale posuwali się coraz dalej aż
do Niżniowa. Stoczono wprzód bitwy
pod Bertnikami, Sokolnikami Górną,
Korościatynem. O tych bitwach świad-
czą tylko mogiły, a tysiące wojowników
wcale mogił nie mają. W Bertnikach
zagrzebano pobitych wojowników tak

płytko, że psy i lisy rozwłóczyły zwło-
ki wojowników na wszystkie strony
i pożerały, a wron, kruków i gaw-
ronów zjawiło się ze wszystkich
stron tyle, że w powietrzu było ich
całe chmury. Myślano, że pod
Niżniowem Austriacy oprą się i po-
robiono tam silne okopy, zasieki
z kolczastymi drutami i szańcy.
Gdyby na Dniestrze woda była wiel-
ka, byliby Moskale zatrzymali się
tam dłużej, ale mądry pan generał
Hetzendorf nie wziął w rachubę opa-
dnięcia wody w Dniestrze, bo była
wielka posucha, Dniestr w niektó-
rych miejscach można było przejść
w bród, co trafia się tylko raz

na trzydzieści lat. Jakiś chłop, Tyrolczyk w schronie, pokazał Moskalom drogę i ci przeszli pod wsią Ostrowem na drugą stronę to jest na prawy brzeg rzeki, potem przez Stanisławów, Halicz, Kalisz i Złoto myśl poszli w góry Karpackie.
Jakiś po tygodniu opowiadali nam Moskale, że i Lwów zajęty, przeszli Gródek Jagielloński i stoją pod Przemyślem. Że bitwy musiały być wściekłe i zacięte, domyślaliśmy się z tego, że bezustannie słychać było grzmoty armat całymi tygodniami i w dzień i w nocy. Stawałem na Fidorze często z mapą w ręku i po huku armat poznawałem mniej więcej,

gdzie się biją. Grzmoty armat było słychać i z południa i z zachodu, więc wnioskowaliśmy, że Moskale są w Karpatach, ale ich nie przeszli i moskiewskie gazety tem się nie chwalili. Spod Przemyśla również było słychać huk armat, chociaż z Przemyśla do Buczacza jest w prostej linje linii 210. kilometrów.
Dochodziły nas wieści o strasznych bitwach. Wracali bowiem z pola bitwy Moskale i Kozacy i ci opowiadali nam różne epizody wojenne. Wracali także jeńcy austriaccy schwytani przez Moskali, niejeden z nich przebrał się do nas w cywilnym ubraniu. Wiele kobiet i pań z różnych stron także wróciło. Wszyscy opowiadali nam

różne rzeczy i zajścia na zachodzie,
Dochodziły nas również i gazety, ale te
były bardzo drogie n.p. Neue Freie
Presse wydawana gazeta w Wiedniu,
kosztował jeden ~~num~~ numer 50 koron,
kto chciał tę gazetę czytać płacił za je-
dną godzinę koronę. Cieszono się bardzo
i opowiadano, że Hötzendorf to boha-
ter i powtarzano jego słowa, że ta cała
wojna potrwa tylko kilka tygodni
i wkrótce będziemy o niej wspominać,
jako o śnie nieprzyjemnym.
Czekano jednak daremnie.
Buczacz gorzał już trzeci tydzień. Już
zajęły się domy koło cerkwi Świętej Po-
krowy. — Naraz patrzymy, — sami Mo-
skale gaszą ogień. Cóż to się stało?

Oto kamienice w Buczaczu stoją wzdłuż
głównego gościńca, którym Moskale dowo-
zili na plac boju amunicję i inne przy-
bory wojenne. Gościńcem tym z powodu
gorąca nie było można przejechać, wre-
szcie i sami Moskale poznali, że niema
sensu palić miasta, bo sami wolą przez
to szkodę robili. Jak sam naocznie widziałem
spaliło się wówczas 125 najpiękniej-
szych i największych kamienic, zaś
drobnych domów i zabudowań gospodar-
skich zupełnie nie wliczam, dwa mły-
ny parowe wraz z magazynami, w
których było tysiące worków mąki i zbo-
ża, gorzelnia, browar i rafinerja wódek.
Ocalały tylko przedmieścia, budynki
szkolne, kościół, dwie cerkwie, sąd, rada

powiatowa, dwór, ulica Kolejowa. Zato obrabowano wszystkie sklepy, składy i mieszkania tych ludzi, którzy z miasta uciekli.

Po zdobyciu Monasterzysk weszli Moskale do słynnej a olbrzymiej fabryki tytoniu. Bramę zastali zamkniętą, a przed bramą dwóch wartowników, którym kazano bramę otworzyć, ale ci nie chcieli. Natychmiast zakłuto ich bagnetami, odebrali im klucze, otworzyli bramę i weszli do środka fabryki. W kancelarji zastali urzędnika i kazali mu pokazać całą fabrykę, urządzenia i składy. Ten nic nie mówiąc, chodził z nimi z pokoju do pokoju, pokazywał urządzenia, a potem, korzystając z wolnej chwili, ulotnił się. Wpadli żołdacy i zaczęli wszystko wyrzucać przez okna na ulicę, a inni zbierali najdroższe cygara i tytoń szuflami, brali na wozy i sprzedawali w Buczaczu i w innych miejscowościach za byle co. Paczkę cygar Regalitas można było dostać za 10. halerzy, lub kilka kopiejek. Nawieziono do Buczacza mnóstwo wozów napełnionych cygarami i tytoniem, a chłopcy ze szkoły, nawet małe bębny z pierwszej klasy tak katolicy, jak i żydzi smolili na ulicach i w ustach grube cygara, śmiejąc się w oczy swym dawnym nauczycielom, bo widzieli, że im teraz nikt słówka nie powie. Rozkiełznanie między młodzieżą było ogromne, kradli,

co im tylko pod rękę podpadło, ~~inni~~
inni nie potrzebowali nawet kraść,
bo różnych rzeczy można było znaleźć
na ulicy, a nikt na nie nawet uwagi
nie zwracał. Jeśli ktoś nawet od-
ważył się złodzieja upomnieć, dostał
tak niegrzeczną odpowiedź, że nawet
piec od tej odpowiedzi zarumieniłby
się. Napoligłowi żydzi kupowali za
bezcen tytoń i cygara, a potem robili
na tym złote interesa. Lud miejski
rzucił się gromadnie do kopania kar-
tofli w polu, nie pytając czyją własno-
ścią było pole, zresztą i tak byłyby tam
pomarzły, bo wszystkie gorzelnie były
popalone. Magazyny kolejowe, dworskie
i kupców porozbijano, a Moskale

sprzedawali zboże, mąkę, kaszę i różne towa-
ry za bezcen. Zresztą każdy Moskal zwa-
lał sobie w mieście i na przedmieściu
jakąś kobietę, których mężowie poszli
na wojnę. Moskale pocieszali te słomia-
ne wdowy znosząc im z rozbitych magazy-
nów, co im tylko pod rękę podpadło.
Dziewczęta ze wsi Nagoszanka tak się
Moskalom narzucały, że sami Moskale
pluli na nie. Wór kawy niepalonej mo-
żna było dostać za pół rubla. Cały
gościniec od stacji kolejowej aż do ro-
gatki miejskiej był zasypany w niektó-
rych miejscach aż po kostki mąką lub
zbożem. Z fabryki tytoniu, młynów paro-
wych, gorzelni i dworców zabrano na wozy
całe urządzenia, transmisje, koła, pasy,

kotły, z magistratu narzędzia i przybory pożarnicze i wszystko to wywożono do Rosji. Pościel, pierzyny, kołdry, koce, poduszki leżały na ulicy i gniły w rowach, mógł je każdy brać, kto chciał. Miasto przedstawiało straszny widok, wszędzie sterczały same zgliszcze i połamane mury. Z niektórych domów buchał jeszcze ogień, a całe miasto okryte jeszcze było przez kilka tygodni gęstym, czarnym dymem, pełnym śmiertelnym czadem, dym wgryzał się w oczy, a szakale w postaci ludzkiej szukali zdobyczy.

Był jednak rząd! W kilka dni po wejściu Moskali do miasta przybył do Buczacza naczelnik wojenny. Mówiono, że on nie pozwoli w mieście

tak rabować, więcej bowiem potrzeba się było obawiać swoich pidsuwidków ~~..~~ niżeli Moskali i Kozaków. Jakieś rabunki nieco ustały, przynajmniej nie były tak publiczne. Przyszła rosyjska żandarmeria, były więc nadużycia, ale mniej więcej legalne. Wyszedłem właśnie z budynku szkolnego. Wtem nadszedł szybkim krokiem jakiś wysokiego wzrostu, przystojny, świetnie ubrany oficer. Poznałem od razu, że to naczelnik. Przystępuje do mnie i pyta:

„Gdie direktor?"

„Do usług" odpowiedziałem.

Wówczas on wyciągnął do mnie rękę, uścisnął i przedstawił się, mówiąc

/.

jak najczyściej po polsku:

„Pułkownik Święcki."

„Siewierski" odpowiedziałem

„Nasze nazwiska brzmią prawie po-
dobnie, niestety należymy do innych obo-
zów."

„To prawda" odpowiedziałem „może
i w polityce obaj się mylimy i błądzimy"
Przyznał mi słuszność i poszedł oglądać
budynek szkolny. W kilku minutach
obszedł cały budynek szkolny oglądnął
sale i korytarze i wyszedł. W kilka
minut później przysłał żołnierza, by mu
wydać mapę powiatu, którą pułko-
wnik widział na ścianie. Dziwiło
mnie to, że Święcki w tak krótkim
przeciągu czasu spostrzegł ją na ścianie.

Na ulicy oczekiwali go inni oficerowie
i tak razem weszli do gmachu Soko-
ła. Zaimponowała im wspaniała sala
gimnastyczna, obrazy, portrety sław-
nych mężów Polaków, biusty, i śliczna
kurtyna. Na ten widok pozdejmowali
czapki z głowy, jakby w polskim koście-
le, lub salonie. Może to byli Polacy?
W kilka dni później poszedł Święc-
cki dalej z wojskiem i zginął pod
Bertnikami, może nawet od polskiej
kuli, bo tam byli austriaccy rezerwiści
z tutejszych okolic. Trumnie jego zwło-
ki leżą i przy pozorty bo tam Trzepów tylko
ziemią przykryto. Ot taka to dola żoł-
nierza.

Po zajęciu miasta przyjechały już

w kilku dni później wszystkie szpitale, ale o nich napiszę później

— Na miejsce pułkownika Surzyckiego przyjechał do Buczacza nowy zarządca wraz z całym sztabem urzędników, pisarzyków, żandarmerii i uzbrojonych sołdatów. Naczelnik tego „Ujezdu" nazywał się Szeptyckyj. Był to człek okazałej postaci, otyły, dość przyjemnej i sympatycznej twarzy, zawsze gładko ogolony. W obejściu ze stronami zwłaszcza z inteligencją nader uprzejmy, a doskonale mówił po polsku, po rosyjsku, francusku, niemiecku, znał nawet narzecze chachłackie (rusińskiego języka nazywają Moskale chachłacki a Rusina nazywają: chachłak)

Mówiono o nim, że z rodu był Rumunem.

Zastępcą jego był Antoni Toraj Kossyc, major Szeptyckiego. Szwagierstwo to jednak było takie, że żony ich były siostrami, ale w jakiś czas po służbie obaj z żonami się zamieniali i wszystkim czworgu było z tem dobrze. Szeptyckyj miał z zamienioną żoną dziewięcioro dzieci, a Kossyc czworo.

Czynownikami byli:

Dziewanowski, Polak, pochodzący z rodu Rurykа, chłop uczciwy, ale też i porządny sznapstrompeter, wiecznie pijany.

Antoniewicz, były profesor gimnazjalny w Buczaczu i instruktor młodzieży polskiej w naszym Sokole buczackim. Renegat ten wprawdzie nikomu krzywdy nie zrobił, bo

nikt z Polaków, ani Moskali ręki mu po-
dać nie chciał, pogardzając nim, mając
go za zdrajcę. Moskal lubi zdradę i za
zdradę dobrze płaci, lecz zdrajcą pogardza.
Pomimo woli przychodzą mi myśl dwie
postacie historyczne t. j. Michał Gliński
i Eugeniusz, Książę Sabaudzki. Pierwszy
wydał Moskalom Smoleńsk, lecz zginął
oślepiony w dybach. Drugi, będąc z rodu
Francuzem, odniósł zwycięstwo nad Ludwi-
kiem XIV. Za zdradę własnego króla po-
stawili mu Habsburgowie pomnik w Wiedniu
i w książkach szkolnych apoteozowano
zdradę księcia, demoralizując młodzież,
czegoby Moskal nie uczynił.
Rudenko, Ukrainiec ale prawdziwy, nie
przezywany hajdamaka, zawsze czysto

ubrany, posprzeczał się raz z Antoniewiczem
i dał mu w twarz tak silnie, że Antonie-
wicz głową zbił szybę w kancelarji. Szy-
bę tę nawet, gdy później Austriacy przyszli
do Buczacza, wcale nie naprawiano.
Bijąc go, Rudenko mówił: „Z takimi ludź-
mi jak ty, tylko w ten sposób sprawy się
załatwia" Źle bił zdrajcę.
Janczak, Czech, był zwykłym pijaczyskiem.
Markow, prawdziwy Moskal, sobowtór
byłego prezydenta Rady Szkolnej Krajowej we
Lwowie Michała Bobrzyńskiego, jakby dwaj
rodzeni bracia. Ten był szlachetny, zabia-
towaty, Polaków nie lubiał, a nauczyciel-
kom Polkom mówił, że w naszej szkole,
mówiły, że Moskale mają tylko jedno
oko w głowie, „A popatrz, czy ja mam
1.

tylko jedno oko" – a szelma był rzeczy-
wiście bardzo ładny. – Postępowanie jego
jednak było szlachetne, nikomu z Pola-
ków krzywdy nie zrobił.
Najlepszym z nich był młody człowiek
Tonyczew, Markal. Był to wielki don-
żuan. Miał on wprawdzie bardzo ładną
żonę i miłą kobietę, ale odesłał ją do Rosji,
sam zaś znalazł na pocieszenie w Bucza-
czu aż dwie Julki i zaraz z nimi spał.
Jedna z tych Julek miała od niego dzie-
cko, lecz w połogu umarła. Tonyczew
tak się tym zmartwił, że w łeb
strzelił.
Jedynym łotrem w tym gronie
był niejaki Pawłow, były austriacki oficer,
dezerter i były prefekt bursy kołopskiej

w Buczaczu. Był on synem ze Sambora,
syn chłopa. Ojcu, który był przy nim w Bu-
czaczu nic nie dawał i biedny staruszek
żył o proszonym chlebie. O tym Pawłowie
jeszcze wspomnę.
Naczelnikiem żandarme-
rii był Medyński, zmoskwiczony Polak.
Żona jego była Polką, ładna, poważna i
przystępna kobieta. Jednak Medyński zna-
lazł sobie w Buczaczu inną miłość i
zupełnie się z tem nie krył. Nazwiska
tej pani ze względu na dzieci nie po-
wiem, lepiej niech ginie w niepamięci.
Była to tłusta, gruba i dość przystojna
baba, a mąż jej był na wojnie. Sam
Medyński wyglądał zupełnie tak, jak
Kuklinowski z „Potopu" Sienkiewi-
cza." Wysoki, suchy, zgarbiony

z powodu nadużyć dawnej bogini Wenery. Żydzi bardzo się go bali, bo chodził zawsze z nahajką i nie było dnia, żeby choć dwóch żydów nie obił, jeśli się dowiedział o jakimś ich nadużyciu. Sprawę robił na poczeka- niu. Czasem jednak dostało się i kato- likom.

Moskale nakazali, aby rzeźniczki sprzedające mięso wieprzowe na stra- ganach miejskich nakrywały je przy- najmniej papierem. Zarządzenie to było zupełnie słuszne, bo miasto w czasie wojny nie było zamiatane, a codziennie tysiące ludzi, koni i wozów przez miasto przejeżdżało, a proch z gościńca pokrywał wszystkie domy i dachy, powietrze było tak tym pyłem przepełnione, iż trudno było oddychać. Rzeźniczka, nazwiskiem Ko- walska, zapomniała mięso nakryć. Wtem nadszedł Medyński, a zobaczywszy odkryte mięso, tak zbił rzeźniczkę płazem szabli, że biedna kobieta dwa miesiące z łóżka nie wstała.

Szeptycki i jego pod- władni robili w Buczaczu świetne interesa. Kazali płacić mieszkańcom powiatu zaległe podatki i brali je w koronach. Cena urzędowa rubla wynosiła wówczas 3 korony 33 h. Żydzi jednak sprzedawali ruble po dwie korony. Szeptycki kupo- wał te ruble po dwie korony, a urzędowi płacił rublami, licząc je po 3 K. 33 h. Nadwyżkę chował dla siebie. Rozpisano różne „ukazy" n. p. Wdowom

nie wolno było mieć więcej wódki po-
nad swoją potrzebę, lecz tej minimalnej
ilości wódki nie oznaczyli. Żandarmi
więc chodzili po domach bogatych żydów
i szukali za wódką, a gdy jej nie znale-
źli, któryś z żołdaków podrzucił zręcznie
litrową flaszkę z wódką pod łóżkiem. Na-
tychmiast wpadała inna paczka
żandarmów, która wódkę zarekwirowała
i kazano płacić żydowi 3.000 rubli,
lub siedzieć trzy miesiące w areszcie.
Rozpoczynały się targi i zwykle kończyło
się na 500. rubli. Jeden żyd na-
wet 500 rubli nie chciał zapłacić, zam-
knięto go natychmiast i tak mu tam dokucza-
no, że po dwóch dniach żądane 500.
rubli zapłacił. — Pomieszkanie nasze-

nika poczty Gettera zniszczono i zrabowa-
no ze wszystkiem. Miał on córkę na wy-
daniu i uszyto dla niej świetną wypra-
wę. Wszystko to zabrano do „Ujazdu",
a pani Szeptyckowa z córkami Alicją,
Elizą i Marusią własnoręcznie
wypruwały znaki na bieliźnie
panny Getterówny. W powiecie wydano
rozkaz, że właścicielowi wsi, lub dzier-
żawcy dóbr nie wolno się ze dworu wy-
dalić. Otóż trafiało się, że właściciel
dworu, lub dzierżawca musiał we wła-
snym interesie wyjechać do lasu, lub na
jarmark, o czem w „Ujeździe" natych-
miast wiedziano. Zaraz tam zjeżdża-
ła komisja, a nie zastawszy gospodarza
w domu, wypędzała żonę, dzieci i

służbę w domu a drzwi zapięte wrota
Niechby się ktoś odważył pieczęć naruszyć!
Musiał więc gospodarz jechać do Buczacza,
dobrze się opłacić, dopiero przysyłano ~~żan~~
żandarma, który pieczęć zdejmował.
W niektórych sklepach było jeszcze nieco
sukna n.p. u Hensasa. Wówczas moskiew-
skie panie wchodziły do sklepu i kazały
sobie sukno pokazać, odmierzyć i przysłać
do domu. Niechby był kupiec nie przy-
słał, lub upomniał się o pieniądze!
Wesoło się żyło Moskalom w Buczaczu,
jednak z tym wszystkim nie byli
to ludzie źli:
Najbiedniejszymi z urzędni-
ków byli nauczyciele ludowi, gdyż
urzędnikom sądowym i podatkowym rządzi

pieniądze przysyłali, a ponieważ było tanio,
więc można było wyżyć i wystarczało
im. Za 20 halerzy (tyle co 20 groszy) można
było kupić 11 jaj. Nauczycielom, jako
urzędnikom autonomicznym, nikt pomóc
nie chciał i tak ci, którzy najbardziej
nad ludem pracowali, pozostali bez chleba.
Zima zbliżała się szybkim krokiem, a
w Buczaczu, jak wszędzie na Podolu jest
bardzo źle z opałem, węgli kamiennych
zupełnie nie było. Drzewem z okolicznych
lasów można się było ratować, lecz
z nauczycieli ani jeden nie miał tyle
pieniędzy, aby sobie na zimę choć jeden
metr kubiczny mógł kupić. – Poszedłem
więc do Szeptyckiego, opowiadziałem mu
o smutnej doli nauczycieli pozostałych

w mieście. Ten kazał mi zrobić wykaz tych nauczycieli i na podstawie tego wykazu otrzymałem z 120 metrów sześciennych z drzewa z lasu pana Horodyskiego, który rzekł: „Lepiej niech to drzewo spalą nauczyciele, niżeliby mieli je wam kraść leśni rabusie." Tym sposobem mieliśmy na zimę po dwa lub po trzy metry³ drzewa.
Z pieniędzmi było jednak trudniej. Za staraniem pana Seligdowicza złożyli tuteјsi kupcy dla nas 2.000 koron i dali je do przechowania burmistrzowi Sterneckiemu, który nie miał nic pilniejszego, jak pochwalić się tym przed Medyńskim, a ten kazał sobie te pieniądze oddać, mówiąc, że sam nam je wyda.

Dowiedział się o tym kolega Keffermüller, poszedł do Szeptyckiego i prosił o oddanie pieniędzy i ten byłby je oddał. Nadszedł jednak Medyński, zaszwargotał coś do siebie nieznanym mu językiem, zupełnie tak jak żydzi mówią do siebie żargonem, gdy chcą kogo oszukać. Po chwili zwrócił się do Keffermüllera i pokazał mu na migi, że ma ręce związane. Keffermüller pokazał mu palcem, że sznurek można zerwać, ale Szeptycki rzekł: „To się już nie da."
Pieniądze przepadły, jak pies na jarmarku.

Kuchnia.

Moskale chcieli się popisać humanitarnością i założyli dla ubogiej ludności miasta w gmachu Sokoła kuchnię ludową. W gruncie rzeczy

postawili duży piec i wmurowali w nim po
dwa kotły miedziane. Do okolicznych
właścicieli wsi ~~rez~~ rozpisali prośbę o
dostarczenie drzewa, kartofli, mąki,
mięsa, słoniny, buraków, kaszy, fasoli
zboża, pieniędzy i t.p.
Grzeczna ta prośba znaczyła tyle, co
rozkaz. Niechby który odważył się
nie postać! Zwieziono więc wszystkie-
go pod dostatkiem. Pani Szeptyczowa
zaprosiła miejscową inteligencję na
naradę. Ja również dostałem za-
proszenie. Wówczas poraz pierwszy
widziałem ją zblizka. Była to ko-
bieta jednym słowem piękna i przy-
stojna, obok niej siedziała pani Medyń-
ska, a dalej trzy córki Szeptycza

Mica, Hica i Maruna, wszystkie trzy
bardzo ładne, lecz malowane. Już to
Moskiewki lubią się malować. Córki
te doskonale jeździły konno. W cza-
sie jazdy ubierały się po kozacku w
polskich czamarach, w spodniach
męskich, jeździły po mieście jak praw-
dziwi kawalerzyści z podziwem miesz-
kańców całego miasta. Po prawej
ręce siedziały panie z Buczacza, Ty-
chowe, Markowowe i inne. Obok stali
urzędnicy moskiewscy i nasi panowie
z inteligencji. Medyński przewodniczył,
miał krótką mowę po rosyjsku, mó-
wił, że po polsku ~~x~~ nie umie, cho-
ciaż to nie była prawda. Zato długą
i piękną mowę miała pani Szeptyczowa

po rosyjsku. Wówczas to po raz pierw-
szy słyszałem mowę rosyjską wygłoszo-
ną przez wykształconą kobietę. Mowa
ta zmieniła moje wyobrażenia o
mowie rosyjskiej. Dotychczas sły-
szałem tylko Moskali przeklinających,
rubasznych i wszyscy byliśmy tego
mniemania, że dość jest powiedzieć:
„Sukin syn" lub: „........ mat'"
już się umie po rosyjsku. Tymcza-
sem w mowie rosyjskiej jest wiele
dźwięku i powagi. Ponieważ znam
mowę czeską, kroacką i niektóre sło-
wiańskie narzecza, przeto po mo-
wie polskiej dałbym pierwszeństwo
mowie rosyjskiej.
Pani Szeptyckowa mó-

wiła w tym sensie, że w czasie tej woj-
ny lud miejski cierpi głód i nędzę,
aby temu zapobiec, rząd wszystkich po-
starał o prowianty i prosi wszystkich
obecnych do współdziałania. Nikt po-
mocy nie odmówił.
Kuchnię otwarto
uroczyście. Gmach Sokoła ubrano
odświętnie, schody i korytarze posy-
pano sosnowymi gałęziami. Nad
budynkiem Sokoła, gdzie dawniej
w dniach uroczystych powiewała nasza
polska biało czerwona chorągiew i
wznosił się Orzeł polski, wywieszono
olbrzymią chorągiew o barwie czerwo-
no-niebiesko-białej, a nam na ten
widok serce bolało, ale „starzy wiarze,

jak pan ~~[illegible]~~ każe. „Długie stoły za-
brane ze szkół nakryto obrusami
z czerwonej bibułki, którą bez pytania
zabrano ze sklepów. Na ścianie zawiesz-
no zwykły jarmarczny portret cara Mi-
kołaja II a obok niego po obu ~~[illegible]~~
stronach tego bohomaza zawieszono
prześliczne, artystycznie wykonane i
w pięknych ramach wizerunki przedsta-
wiające Kościuszkę i Mickiewicza.
Nie wiem, coby na to szyderstwo powie-
dzieli Tadeusz i Adam, gdyby ożyli i to
zobaczyli — Grecko-katolicki ksiądz
Nestajko, tutejszy proboszcz miał Mszę
świętą i krótką przemowę. Sala Sokoła
była przepełniona, a wszyscy udawali, że
znajdują się w uroczystym nastroju ducha-

choć niektórzy omal nie parsknęli ze śmie-
chu. W końcu wydawano na talerzach
zebranych w szkole i w sklepach po-
trawy. Był to jakiś barszcz, czy „kisy-
tycia", czy „sałamacha" przyrządzony
na sposób rosyjski. Razem nasypano do
jednego kotła kapusty, kartofli, fasoli,
krup perłowych, mięsa wołowego i wie-
przowego i słoniny. Wszystko zalano wo-
dą i barszczem i gotowano. Była to po-
trawa nader pożywna, ale dla podniebie-
nia burżuackich mieszkańców niedpowie-
dnia. Nie zaznali jeszcze wówczas gło-
du. W rok później po takiej potrawie
byliby palce oblizywali, ale wówczas żar-
towano sobie, mówiąc:
„Ano chłopcy,
jedzcie barszcz, dobry barszcz, ostannasie

dni pod ławką stał, chodakiem był
nakryty, choć go pies nie chciał jeść,
ale przeto dobry towarzysz!"
Później jednak w kuchni gotowały siostry
zakonniczki i te lepiej trafiały do sma-
ku mieszkańców.
Narazjutrz rano wpadł do sali Soko-
ła powyżej wspomniany Pawlat, a
wskazując na portrety Kościuszki i
Mickiewicza, wrzasnął: „Skąd te
buntowszczyki tu się wzięły?" Kazał
te obrazy zrzucić, a został tylko cichy
portret cara Mikołaja II. i skończyła
się idylla.
Jakoś w kilka dni
później siedziała za stołem na dyżurze
pani Medyńska, aż tu nadchodzi chłop
z pobliskiej wsi, ukłonił się

niziuteńko, a wskazując na portret
Mikołaja II, pyta:
„Prawda pani, szo to je nasz najmyło-
stiwiejszyj car?" Medyńska udała,
że nie słyszy (była Polką). Chłop pyta
drugi raz to samo. Medyńska z gnie-
wem odwróciła się. Jednak uparty
chłop nie dał za wygraną i po raz trze-
ci zwrócił się do niej z tym samym py-
taniem. Wówczas ona w największej pa-
sji odpowiedziała z gniewem:
„Prawda! prawda". Czyż w tych oko-
licznościach przy tylu świadkach mogła
inaczej odpowiedzieć?"
Kuchnia ta trwała do końca kwietnia
roku 1915. Zasługą tej kuchni było do-
wodem, że Moskale nie byli złymi ludźmi.
./.

W czasie mrozów w zimie ustawili na rynku ogromny samowar, w którym w dzień i w nocy kipiała woda i robiono herbatę dla żydów, którzy oprócz tego dostawali po jednej bułce, lub po kromce chleba. W listopadzie w r. 1914. gdy Moskale stali jeszcze na szczycie potęgi, zeszli się rosyjscy oficerowie w mej szkole, a jeden z nich oświadczył: „Cóż z tego, żeśmy zajęli już prawie całą Galicję, kampanja ta jest na każdy sposób przegrana, nie trzeba było tu włazić, lecz było tak robić jak Piotr Wielki z Karolem XII., lub jak Aleksander I z Napoleonem Bonapartem, bylibyśmy zadali „Germańcom" cios śmiertelny, a teraz już cała sprawa przepadła." Żaden z oficerów nie oponował.

Jak żyliśmy? U mnie w domu była wielka biedasia, pieniądze wyszły, na zimę nie mieliśmy ani jednej kartofli, ani mąki, a było nas w domu czworo osób. Tosamo działo się u wszystkich urzędników i nauczycieli, których inwazja moskiewska zaskoczyła. Pan Bóg jednak nikogo nie opuści, jeżeli kto o pomoc Bożą prosi. Zaraz z początkiem wojny postanowiłem sobie być codziennie w kościele przez cały czas wojny. Tam prosiłem Pana Boga, Matki Najświętszej i Świętych Aniołów Stróżów o szczęśliwy powrót moich synów z wojny i pewny byłem, że mnie Pan Bóg wysłucha według słów Pana Jezusa: „Pukajcie, a będzie wam otworzone, proście, a będzie wam dane." Zesłał Pan Bóg na

mnie dziwny sen, a proroczy:
„Oto przyszedł do mnie ś.p. mój Ojciec,
zaprowadził mnie do piwnicy, tam po-
kazał mi beczkę z kapustą, kartofle i rzekł:
„Nie bój się, w czasie wojny głodu nie zaznasz."
Potem zdawało mi się, żem wyszedł na mia-
sto, nie było już tam żadnego Moskala,
tylko sami legioniści, a między nimi
mój synowiec, zaś księgarz Stalberg
dał mi mapę, na której ujrzałem
granicę Polski wysuniętą daleko na
północ i wschód od Równego i Dubna.
Tegoż dnia rano przysłał mi kolega Chy-
miakowski jeden korzec kartofli, potem
drugi kolega Brzeżowski czwarty korzec.
Popołudniu przyjechał brat mój Adam,
przywiózł pięć korcy, kapustę, słoninę i

przysłał nieco pieniędzy. Następnie pozna-
ny inspektor szkolny Zenon Zaklika przy-
słał mi znów cztery korce kartofli, ale tych
nie przyjąłem, bo byli biedniejsi ode mnie.
Muszę tu również wspomnieć o zacnym
człowieku, który zasługuje na to, by na-
zwisko jego nie zostało zapomniane. Jest
to grecko-katolicki ksiądz Laszpiński,
proboszcz z Bobuliniec. Ten dowiedziawszy
się o biedzie mieszkańców Buczacza,
przemówił w gorących słowach do swych pa-
rafian i uczciwi wieśniacy, sami biedni,
złożyli osiem fur kartofli, fasoli i bu-
raków. Z tych siedem fur ofiarowano miesz-
kańcom miasta, a jedną furę dla mnie.
Poczciwy ksiądz Laszpiński prosił, bym
te kartofle przyjął, a gdybym nie potrzebo-

wał, rozdał je kolegom. Naturalnie było
to dla kolegów w tych ciężkich czasach
bardzo wielka pomoc.
Cześć więc zacnemu Słowikowi i poczciwym
mieszkańcom wsi Bobulińce.

Niewytłómaczone dziwne zjawisko:

Miałem zwyczaj chodzić codziennie na
cmentarz na Fedorze. Pole to leży nad
rzeką powyżej budynku szkolnego i
~~[illegible]~~ przepaścistego jaru. Tam zmówiwszy Anioł
Pański za dusze zmarłych, przysłuchi„
wałem się dalekim strzałom armatnim,
które bezustannie biły i biły pod Przemyślem.
Było to 24 października r. 1914. Z mapą
w ręku według grzmotu dział, miarku„
jąc i domyślam się, gdzie to odbywają się

bitwy. Naraz od południowej strony słyszę
ciężki oddech moich synów legionistów i
ich westchnienia i słyszę wyraźnie huk
strzałów z ich karabinów. Zdziwiony
zwracam się na zachód i odczuwam oddech
mego najstarszego syna Józefa. Myślałem
~~[illegible]~~ z początku, że to halucynacja, lecz
wyraźnie ich oddechy i strzały słyszałem.
Potem codzień chodziłem na cmentarz, a
po odmówieniu pacierza za dusze zmar„
łych szedłem dalej na Fedor i słuchałem
w ciszy, gdzie się moi synowie znajdują
i zawsze wiedziałem, w której stronie wal„
czą. Nieraz we śnie widzieliśmy ich chorych
i to równocześnie ja i moja żona. Gdy
później synowie moi wrócili, opowiadali
nam, że rzeczywiście byli wówczas chorzy,

raz gdym pierwszy raz słyszał ich
strzały karabinowe na Fedorze i ich odde-
chy i westchnienia, bili się wówczas
legioniści pod Mołotkowem. Pisał potem
Zygmunt, że pod Mołotkowem 29. paździer-
nika r. 1914 miał karabin od ciągłego
strzelania tak gorący, że nie mógł go
w ręku utrzymać i musiał karabin
wciąż śniegiem oziębiać. Obok niego
padło 200. braci, a jego strzegł Anioł
Stróż. Najstarszy raz był ranny w rękę
w bitwie pod Użokiem w Karpatach.
Mieliśmy wówczas jakieś dziwne przeczucia,
a jednak prawdziwe. Była to sprawa
Anioła Stróża ——

— U naczelnika sądu powiatowego
Markowa leżał mołkniasty kapitan. Miał

on kulę w nodze. Gdy mu się polepszyło
chodził o kuli drewnianej po mieście, a
przed nim salutowali nawet wyżsi
generałowie. Opowiadał on, że jakoś
w tydzień po zajęciu Buczacza przez Mo-
skali wyszedł z dwoma żołdatami i
sanitetem na Fedor. Nagle o sto kroków
od nich wyleźli z rowu dwaj Madziarzy i
zaczęli strzelać. Za pierwszym strzałem padł
jeden żołdat, za drugim strzałem padł dru-
gi żołdat, trzeci strzał ranił kapitana
w nogę i powalił go na ziemię. Sanitet
chciał go ratować, lecz dostał kulę w
głowę i padł, a Madziarzy uciekli. Gdy
Moskale nad wieczorem nadeszli, tamci
już pomarli.

— Na polu Łatanowskiego
w lesie po prawej stronie rzeki Strypy

uciekał Madziar na koniu, a za nim go-
niło dziesięciu Kozaków. Naraz Madziar
stanął, i schował się pod dębem,
który tam rósł na polu i zaczął
strzelać. Powalił trzech Kozaków,
a reszta uciekła. Madziar zawrócił
konia i pojechał w stronę Sorok.

Gdzieś w połowie miesiąca września
powstał między Moskalami wielki popłoch.
Oto wartujący na Czarnym Moście żoł-
dał dał znać, że z Tyszkowieckiego lasu
idą Austriacy. Wylegli Moskale i za-
częli krzyczeć: „Tocho*! Tocho!" i z ka-
rabinami w ręku pokładli się w ogro-
dach wśród rosnącej kukurydzy i
czekali. Mieszkańcy z ulicy Zybilkiewicza
poprzestraszali się i zaczęli uciekać,

ale strach minął prędko i kazano sołda-
tom wyjść z zajmowanego stanowiska.
Cóż to było? W czasie bitwy dwóch
żołnierzy schowało się w lesie i czeka-
li, ponieważ nie mieli co jeść, wylegli
z lasu na Przedmieście obok Budza-
cza. Tam ich natychmiast przebrano i
kazano im kopać kartofle, do nie-
woli nie dostali się, chociaż Moskale
szukali za nimi po domach.

Trybuchowieccy chłopcy mieli także
austriackie ubrania. Raz przebrali się
i pokazali się Moskalom, którzy myśleli,
że to austriacki patrol. Szepetyłycz na-
tychmiast spędził chłopów z czterech wsi, i
otoczyli ze wszystkich stron ~~las~~ las tyg-
buchowiecki i pyszkowiecki do okoła

ze wszystkich stron, między uciekającymi
byli nawet owi chłopcy, którzy już nie
ubrania wojskowe zrzucili i pochowali,
naturalnie nikogo nie znaleziono. Potem
szukano po domach za austriackimi
ubraniami, ale nic nie znaleziono. Try-
bunałowcy śmiali się ze Szeptyckiego, ale
chłopców nikt nie wydał, bo byliby
za ten figiel dostali nahajkami.

Z powodu ustawicznej strzelaniny
w Karpatach mnóstwo dzikiej zwie-
rzyny uciekało jawnie na północ.
Widziano nieraz całe gromady dzików,
a Szeptycki chętnie na nie polował.
Raz przez całe miasto uciekały dwie
sarny i nie dały się złapać, chociaż
tysiące żydów i żołnierzy za nimi

goniło. – Aż raz pokazał się olbrzy-
mi jeleń, duży jak koń. Wyszło za nim
na polowanie do 30 ciu ludzi z Szep-
tyckim na czele, ale jeleń uciekł.
Nawet wilki często się pokazywały,
ale te były bardzo ostrożne.

Imieniny cara.

Nadeszły imieniny cara Mikołaja II. w
dniu 19. grudnia r. 1914. Nakazano w
całym mieście powywieszać wszystkie
chorągwie i wieczorem w oknach
porozpalać świece. Miasto miało wy-
gląd, jakby je kto kwiatami obsy-
pał, przede wszystkim żydzi prze-
ścigali się w udekorowaniu miasta

i to czym większy chałaty; tym większą chorągiew wystawiał. Wieczorem około budynku Rady powiatowej, gdzie obecnie znajdował się „Ujezd” po- zapalano lampiony i kazano się cieszyć, bo właśnie tegoż dnia Moskale mieli zdobyć Przemyśl i dać go jako prezent carowi Mikołajowi II. Zrobiono zupełnie tak jak to przed czterema miesiącami burmistrz Stern podarował cesarzowi Franciszkowi Józefowi I miasto Belgrad. Za dnia chodził Medyński ze Sternem po mieście i szukał po piwnicach wina i znalazł je na rzymsko-katolickim probostwie. Było to wino mszalne własność ś.p. proboszcza Stanisława

Gromnickiego. Uradowany Medyński ze zdobyczy zabrał wszystko wino do „Ujezdu”. Zamówiona żydowska muzyka stała na ulicy obok Rady powiatowej przy wczesnym wieczorem. Tam stanęło wówczas około 200 żołdaków we dwóch rzędach w prostej linii ustawionych. — Naraz staje przed frontem pan Medyński i zakomenderował: „Smyrno!” a każdy żołdak nastawił słuchy jak zające, oczekując, co on dalej powie „Szapki won!” a żołdacy wyciągnęli szable. Potem wszyscy razem wykrzyknęli:

„Sława naszomu welikomu imperatorowi!” Zdawało się z daleka ~~[illegible]~~ jakby naraz 200 indyków zabełkotało.

V.

Potem zagrała muzyka, a wszystko zaśpiewa-
ło: „Boże carja chrani."
Naokoło stało mnóstwo żydów w czapkach
na głowie, przypatrując się tej scenie i zu-
pełnie nie zauważyli, że ze wszystkich
stron otoczyli ich żandarmi z nahajkami
w ręku. Naraz odwraca się Medyński i
krzyknął: „Furażki won!" (zdjąć czapki)
ale żydzi czy nie zrozumieli, czy wśród
zgiełku wrzasku tego słyszeli, czapek
nie zdjęli. W jednej chwili zaczęto ich
bić ze wszystkich stron nahajkami.
Żydzi chcieli uciekać, ale: „Ne lzia."
(niewolno) musieli więc stać na mrozie
bez czapek z odkrytymi głowami. Jednego
żydka uderzono tak silnie nahajem

po głowie, że padł zemdlony i musiano go
do domu zanieść.
Gdy tak w „Ujeździe"
się cieszą, nadszedł jakiś żyd i mówi
po cichu: „Tu w „Ujeździe"
bal sprawiają, a tam pod Przemyślem
padło dziś 70.000 Moskali!"
Wieść ta błyskawicznie rozeszła się pomię-
dzy zgromadzoną publicznością i wy-
[illegible] Moskali! W godzinę później
t.j. punktualnie o godzinie 9ej wie-
czorem nadjechał na spienionym
koniu Kozak z depeszą w ręku.
Konia potrzymano mu na ulicy,
a on czemprędzej wbiegł do Szep-
tycza. Tam było sporo gości, po-

między nimi był ksiądz Nestayko, bur-
mistrz Stern i pani Horonngowa oty-
ła kobieta w namowej dekoltowanej
sukni z różą na piersiach (Skąd
ona w tym czasie taką różę wytrza-
snęła?) Nagle w „Ujeździe" wszy-
stkie światła i lampiony zgaszono, a Fluns
wypędzono do domu. W depeszy tej
były zapewne niefortunne wieści.
Muzykantów odprawiono, a gdy się
upominali i prosili o zapłatę, Medyń-
ski pokazał im nahajkę.

W tym samym dniu nakazano w
Stanisławowie, by na rynku i na
ulicy „A.B." były rozmieszczone
lampiony w odległości jednego metra
jeden od drugiego, ale już o godzinie

piątej wieczorem kazano lampiony pozby-
wać i światła pogasić.

W sprawie tej najciekawsze jest to, że
żydzi o godzinę wcześniej wiedzieli o
porażce Moskali pod Przemyślem, niżli
dotyczące władze wszystkie.

Gubernator Bobriński wydał więc na-
kaz, że żydom nie wolno wydalać się
z miejsca pobytu, nawet z jednej wsi
do drugiej nie wolno im było chodzić.
Każdy z nich, jeśli chciał podróżować
musiał mieć przepustkę, za którą w
„Ujeździe" kazano wolić płacić. Ale cóż?
Gdy żyd pokazał sałdatowi przepust-
kę, ten natychmiast ją podarł, a żąd-
dał kopiejki. Zwykle sałdat konten-
tował się kilkoma kopiejkami.

ale „stawszaj" brał ruble i nie trzeba było mieć żadnej przepustki. Każdy Moskal da się łatwo przekupić, - a jednak z tym wszystkim są to ludzie uczciwi, tylko trzeba ich umieć wziąć za serce.

Tutejsze mieszczanki i baby bardzo się w Moskalach kochały. W domach pod zamkiem kwaterowała tam przez kilka miesięcy kompanja Moskali, dopiero w styczniu kazano im iść na front, a baby w płacz i lament. Jedna z nich dała nawet jednemu Moskalowi szkaplerz na szyję, a Moskal, biorąc go, mówił: „ja to wezmę, bo to mi nie zaszkodzi, ale biada wam, gdy nas pobiją, a będziemy tędy wracać."

Gniewali się księża, a szczególnie ksiądz Wracka, wykazywał kobietom złamanie wiary matczyńskiej, ale to mało pomagało.

Na Podlesiu mieszkała panna Fijałkowska, skromna i ładna dziewczyna. Moskal, kwaterujący w ich domu, zakochał się w dziewczynie i chciał się z nią ożenić, mówiąc, że ma w domu 40. dziesiatyn ziemi. Fijałkowska radziła się księży, czy może wyjść za Moskala. Księża odradzali i ona Moskalowi odmówiła. Ten jednak odmowę wziął sobie tak do serca, że wyszedł z nabitym karabinem na ulicę i tam strzelił do siebie. Zginął na miejscu. Pochowano go w otwartej trumnie. Panna Fijałkowska

szła za konduktem pogrzebowym i płakała, jednakże nie była winną jego śmierci. Postępek tego Moskala zrobił na nas wielkie wrażenie, bośmy poznali, że Moskal kochać umie.

— Raz przyszedł do budynku szkolnego jakiś wyższy oficer, wysokiego wzrostu, dość roszpsły, nader inteligentny, mówił po rosyjsku i prosił o pokazanie mu sal szkolnych. Nadszedł Kolega Steffermüller i rozpoczęliśmy z oficerem rozmowę. Dziwna rzecz, Polakowi się zdaje, jeśli do Moskala powie naszem rusińskim, to go Moskal zrozumie, tymczasem Moskale tym narzeczem pogardzają, widziałem Moskali, który z największą pogardą rzucali książkę na ziemię, jeśli

ona była napisana w narzeczu rusińskim.

— Rozpocząłem z tym oficerem rozmowę po rusińsku, a on do mnie mówi:
„Gaworite po polsku, bo ja po chachłacku ne ponimaju." Moskale Rusinów nazywają chachłakami. (chachoł).
Rozmawialiśmy według jego życzenia i doskonale rozumieliśmy się. Korytarze szkolne i sale były udekorowane prześlicznymi rysunkami, ornamentami i obrazami. Były tam wizerunki królów polskich Matejki, obrazy Grottgera i obrazy z powieści: „Ogniem i mieczem" Sienkiewicza. Oficer przyglądał się wszystkiemu dokładnie, naraz zawołał: „Skrzetuski to był bohadir." „Więc pan czytał „Trylogię?" pytamy.

„Oja polską literaturę znam.."
Chcąc się odwzajemnić, mówimy, że i my
znamy Turgieniewa, Tołstoja, Gogola,
Puszkina i innych rosyjskich pisarzy.
Stanęliśmy przed cyklem obrazów Grottgera:
„Wojna" a oficer rzekł:
„To prawdziwy malarz poeta i artysta"
Ja zaś odrzekłem: „Rosjanie mają również
podobnego mu duchem, Wereszczagina."
„Tak, Wereszczagin to sława Rosji."
Ja na to: „Tacy mistrze jak Wereszczagin,
Grottger, Rubens, Rafael, to wszystko są
sławą danego narodu, ale i całej ludz-
kości." Zdanie to bardzo mu się podo-
bało, potem wyciągnął z portfelu jakąś
kartkę i dał mi ją do przeczytania. Była

to odezwa wielkiego księcia Mikołaja
Mikołajewicza do Polaków drukowana
po polsku i rosyjsku i rzekł do nas:
„Wy Polacy Polskę już macie." Pożegnał
nas ukłonem wojskowym i wyszedł.
Zaraz naraz rozeszła się po Buczaczu
wieść, iż do miasta zjechał sam wielki
książę Mikołaj Mikołajewicz. W dniu, w któ-
rym był u nas, chodził incognito po
oficerskich kwaterach, a gdy gdzie zastał
pijanych oficerów, gniewał się i zdzierał
im epolety. Gdym potem opisywał ofice-
rom wyglądowego wojskowego, który zwie-
dzał naszą szkołę, mówili, że to był sam
wielki książę Mikołaj Mikołajewicz.
— W Tarnopolu był gubernatorem jakiś
Czartoryjski. Przyjechał on do Buczacza

na lustrację i zawezwał do siebie wszystkich byłych austriackich urzędników i dyrektorów szkół. Chciał ich zobaczyć i miał do nich nawet mowę po rosyjsku, w której napominał nas, byśmy się zaraz uczyli po rosyjsku, bo cała Galicja należy już do Rosji, a kto nie będzie mówił po rosyjsku, tego się napędzi. – Nato odezwał się Jakób Nowacki, urzędnik podatkowy, człek niewielki, ale bardzo odważny i mający ostry silny głos:

„Jeszcze wojna trwa, pokój kto wie kiedy będzie i nikt jeszcze nie wie, co do kogo należeć będzie, więc na uczenie się rosyjskiego języka jeszcze jest czas."

Czartoryjskij zdziwił się bardzo, iż ktoś tak śmiał głośno jemu zaprotestować, popatrzył na Nowackiego i rzekł:

„Nie podnoś pan tak głosu!"

Nowacki odpowiedział:

„To już z rodu mam taki głos."

Czartoryjskij już ~~nie~~ nic nie odpowiedział i kazał wszystkim odejść.

– W szkole wydziałowej żeńskiej była przed wojną szkoła kucharska, gdzie panienki uczyły się gotować, a co ugotowały musiały same zjeść. Była tam duża kuchnia, kotły miedziane, trzy wielkie szafy, a w nich piękne porcelanowe talerze, aluminiowe naczynia, łyżki, widelce, noże. Kosztowało to przed wojną 8.000 koron. Jedna z nauczycielek mając długi język, wychlapała się nieostrożnie przed Szeptyczową o tej kuchni. Ta natychmiast po obiedzie przyszła do szkoły ze żandarmami, kazała

wytrychem potwierać szafy, zabrała wszyst-
kie naczynia, talerze, sztućce i wzięła
to jako zdobycz wojenną i wszystko przepadło.
— Ze żydami postępowano bardzo
krótko, jeżeli którego złapano na
szachrajstwie, tak natychmiast pro-
wadzono go do „Ujazdu", bito po
15. nahajek i to nie po spodniach
ale po gołej skórze, aż krew ciekła.
Wielki strach padł na Izraela,
starali się więc choć trochę być
grzecznymi, aby potem z tym większym
zapałem odbić wszystko na go-
jach. Żydzi nadali całemu miastu
wygląd moskiewski. Przed sklepami
wisiały ogromniaste tablice i wy-
wieszki z napisami rosyjskimi n.p.

„Tabacznaja Lawka" i t. p.
Policję miejską przebrano w uniformy
moskiewskie. Przy ulicy Batorego był
moskiewski dom nierządnic i pyta-
no inspektora policji Stefanusa,
jaki tam dać napis, a ten odpowie-
dział: „Prawosławnaja .... Lawka"
Za ten żart Moskale go aresztowali
i wywieźli do Rosji. Wywieziono również
kilku nauczycieli jak Ostrowskiego,
Kizimowicza, Hölzenhubera, księ-
dza Paprockiego i wielu innych.
Szeptycki i jego klika potrzebowali
ciągle pieniędzy, kazali więc Ster-
nowi zrobić wykaz wszystkich boga-
tych żydów. Zaraz ich sprowadzono
jako zakładników wojennych.

przypędzono pod konwojem w stronę Tar-
nopola, też dano im do poznania, że
mogą się wykupić. Tak doszli pieszo,
a było ich dwudziestu, aż do Chodaczko-
wa. Tam żydzi złożyli kilkana-
ście tysięcy rubli, dali je konwojące-
mu ich żandarmowi. Ten otrzymawszy
pieniądze, wrócił z podwładnymi mu
sołdatami do Buczacza, a żydów zo-
stawił na drodze. Odgrażali się żydzi
Sternowi, mówiąc: „Haman wisiał na
szubienicy na pięćdziesiąt łokci wyso-
kiej, ale Sterna szubienica powinna
być o jeden łokieć wyższa.“

Wartownik nocny we wsi
Nagórzance był niegdyś w wojsku au-
striackim hornistą (trębaczem) i miał

zwyczaj w nocy od czasu do czasu grać
na trąbce. We dworze hrabiego Potockiego
był wartownikiem stary Grodzicki, ten znów
grał na rogu i tak w nocy ze sobą roz-
mawiali jak św. Krzysztof ze strażnikiem
litewskim z poematu: „Grażyna.“ Teraz
w czasie wojny granie owo ustało. Trę-
bacz z Nagórzanki przypomniał sobie nasz
swoją sztukę i zagrał na trąbce o godzi-
nie 10. w nocy austriacką pobudkę. Na
ten straszliwy odgłos zerwali się wszyscy
Moskale i powstał ogromny popłoch w
mieście. Sołdaci gonią z karabinami.
Wpadli do „Ujazdu“, wyprowadzili ze staj-
ni 12. prześlicznych koni, które Matczyński
podarował tutejszym [illegible], wyto-
czono powozy, czynownicy biegają.

Szeptyckowa z córkami Micą, Ilicą i Moruną i inne kobiety wrzeszczą i lamentują: „Austriacy napadają na miasto.”
Jednak Netorenko, naczelnik kozaków, wysłał dziesięciu kozaków na zwiady i ci złapali niefortunnego trębacza, jak wlókł w najlepsze wygrywał i odebrali mu trąbkę. Ileż to śmiechu było w Bu- czaczu co nie miara. Jak to na zło- dzieju czapka gore!
Ów Netorenko był to prawdziwy Ukrainiec, nie podszywany, zatem nader uczciwy. Będąc w Buczaczu, dostał do czytania i „Ma- rię” Malczewskiego i mówił, że podobnej pięknej poezji nigdy nie czytał. Polaków bardzo kochał i bywał u nich. W mie- siącu styczniu kazano mu pójść ze swym

oddziałem w Karpaty i tam zginął, może nawet od polskiej kuli, gdyż tam stali wówczas legioniści, których kazano im atakować. Znałem go osobiście i wszyscy za nim bardzo żałowali. Z oddziału jego złożonego z 400. ludzi czterech tylko wró- ciło, a rozżaleni Moskale mówili: „Poślemy ich carowi do muzeum.”
— W Medwedowcach po bitwie ukry- wało się dwóch Madiarów. Przebrani za chłopów młócili zboże i przebywali w po- lu do późnej wiosny r. 1915. W tym cza- sie krowa pewnej kobiety wlazła na cudze pole i narobiła szkody. Wójt otakso- wał szkodę na cztery korony. Złośliwa baba nie tylko szkody nie zapłaciła, ale poszła do „Ujezdu” i oskarżyła wójta,

że we wsi ukrywają się Madiarzy, wójt
o nich wie i nie dał o nich znać do
władzy niemieckiej. Szeptycki natych-
miast wysłał żandarmów po Madiarów,
a babie kazał przyjść w sobotę po za-
płatę. Madiarów odesłano do Rzeszy, a
biedni żołnierze płakali. W sobotę przy-
szła po zapłatę owa złośliwa baba,
a Szeptycki do niej mówi:
„Siedzieli Madiarzy spokojnie w Medwe-
dowcach, niechby byli siedzieli, ja o nich
nie wiedziałem. Tyś ich jednak zdradziła,
a ja musiałem patrzeć na ich łzy. Tobie te-
raz należy się zapłata..... Hej! Szkwa-
ra, daj jej piętnaście!"
Szkwara zaprowadził babę do skórobijni
tam położono ją na ławkę i po gołej skórze

tak obito, że ledwie poszła do domu i krzy-
czała całą drogę.
Malarz Bergstof kupił w Potoku Złotym do
spółki z innymi żydami całą furę zapałek.
Przywieziono zapałki do Buczacza, lecz spól-
nicy, których było sześciu, zaczęli się kłó-
cić. Nadszedł zatem żandarm, kazał za-
pałki zanieść do „Ujazdu". Tam je skon-
fiskowano, a Bergstofowi i jego spól-
nikom dano po gołej skórze po 10 na-
hajów i wyrzucono ich za drzwi.
Siostra Dudiowej, niegdyś zamożna kup-
cowa, sprzedawała na rynku cukierki
obok niej leżało polano. Nadszedł jakiś
chłopak i polano jej ukradł. Żydówka
narobiła krzyku. Usłyszał to żandarm,
zaprowadził żydówkę i chłopca do skóro-

bijni. Tam się nikogo o nic nie pytano,
tylko przy chłopcu położono żydówkę na
ławkę i dano jej na gołą skórę 15 na-
hajek. Chłopcu pogrożono nahajką i
wyrzucono go za drzwi.
Ot taka to była sprawiedliwość!

Odwrót Moskali z Karpat.

Tak trwało to do 22 lutego r. 1915. Tejże nocy
powstał w Ujeździe między Moskalami
wielki ruch. Wszedł do miasta od strony Niżnio-
wa i z nad Dniestru od Łuki ciągnęły-
się Moskali zamiast Samarców. Chłopy
wielkie, potężne o łagodnym wyrazie twa-
rzy, ale wszyscy jacyś strasznie przygnębieni
i przerażeni. Wielu z nich było bez butów,
bez kożuchów, bez broni, nogi ich były
szmatami obwiązane, a wszyscy bez wy-
jątku klęli: „Czort pabieri!"
Jeden z tych oddziałów prowadził Polak,
nazwiskiem Dondykowski. Przyjechał on
na koniu wprost do naszej szkoły. Musiałem
z nim obejść wszystkie sale szkolne i
korytarze, a on zobaczywszy tak pię-
kne i kosztowne urządzenie szkoły, rzekł:
„Szkoda tak pięknego budynku, żołda-
cy wszystko zniszczą."
Dał znak, a żołdacy, idąc czwórkami w liczbie
800 ludzi zajęli cały budynek. Teraz dopie-
ro rozpoczęła się w mej szkole gospodar-
ka wojenna. Cały budynek zadrżał od tu-
potu podkutych butów, uderzeń karabi-
nów, w dzień i w nocy było głośno jak
w ulu, a hałasy i krzyki rozlegały się wokoło.

Tak śliczna szkoła już w kilku dniach
była nie do poznania, bo żołdacy wszystko
obdarli i zniszczyli, szafy z książkami po-
rozbijali, a dokumentami szkolnymi w
piecach palili, ławki szkolne wyrzucono
na podwórze, tam je rąbano i palono
nimi w piecach, a swe naturalne potrzeby
odbywali prosto z okien. W mej kancelarii
szkolnej, tuż obok mego mieszkania usa-
dowiło się sześciu podoficerów. Byli to
ludzie wprawdzie bez wyższego wykształce-
nia, ale nader uczciwi. Sam wach-
mistrz nazywał się Fomiczew, drugi
Tołstoj, zaś następni Szygin, Kondratow,
Markow i Lutkin. Miałem w klasie duży
samowar szkolny na 30 kubków (60
szklanek). Ten samowar był ciągle

w ruchu od godziny czwartej rano do godzi-
ny 10. wieczorem, a każdy z nich wypijał
dziennie co najmniej 30 kubków tak
zwanego czaju. Śmialiśmy się z nich, że
przez ich kiszki przechodzi herbata, jak
wódka w gorzelni przez węże i alembiki.
Jadali przytem niemało chleba, mięsa, masła,
słoniny, cukru, bo wszystkiego mieli pod-
statkiem i nas częstowali. Nie przyjąć
zaś poczęstunku było dla nich obrazą.
Lubili również rozmawiać. Zaczęliśmy się
dopytywać skąd oni wracają. Z po-
czątku milczeli, ale w końcu żal
rozwiązał im języki i tak opowiadali:
„Od półroku bijemy się w Karpatach,
ile tam naszych przez ten czas padło, tego
nikt nie zliczy, a najbardziej nam

dokuczyli te Polaczki (legioniści).
Taki czortyk wlezie gdzie cichaczem do
rowu, lub schowa się za skałę, bije i
bije z karabinu, a nigdy nie chybia.
Ludzie jak deszcz padają od takiego smy-
ka, a złapać się żywcem nie da. Tak
zaczęliśmy się cofać z tych gór przeklętych
i staliśmy obozem niedaleko Kołomyi
nad miasteczkiem Pistynką, nie wiedzieliśmy
o niczym. Naraz jak zaczną bić armaty
i karabiny! Ze wszystkich stron nas
otoczono. Zerwaliśmy się ze snu, a tu ze
strachu nie można niczego znaleźć, ani
kożucha, ani oręża, ani jedzenia. Zaczy-
namy uciekać, a kule nas dopędzają.
W samej Pistynie i w Trusie zginęło nas
26.000. Uciekaliśmy gościńcem całą

masą. Wtem wpada pośród nas ol-
brzymia pula (kula), a nas trzysta pa-
dło na placu. Mnie rzuciło do ~~[illegible]~~ rowu,
myślałem, żem już zginął, ale wstałem
i tak uciekaliśmy na Obiertyn (Obertyn)
bez jedzenia aż do Buczacza. Było nas 60.000
a dziś z naszej dywizji tylko garstka ludzi zo-
stała".

Inny żołnierz mówił, a był on przed
wojną profesorem gimnazjalnym:
„Czyż to nie wstyd dla XX.go wieku,
który ma przecież pretensje do cywilizacji,
aby ludzie mordowali się gorzej niżeli
drapieżne ~~[illegible]~~ zwierzęta i to z jakiej
przyczyny? Na to aby dynastie i ci, co
się koło nich kręcą mieli wygodę dostatki,
a ty biedny narodzie giń. Coś nam zaś"

nili Austriacy, Niemcy, Polacy, że wszyst-
ko nas przeciw nim, a głupi naród
zamiast pójść i zniszczyć tych podżegacz-
y i tę kamarylę carską, idzie mor-
dować niewinnych bliźnich, którzy tak
samo chcą żyć, jak i my."
Wówczas po raz pierwszy słyszałem
jak Moskale przeklinali cara. Oka-
zali się ludźmi uczciwymi, nie takimi,
jak u nas tu o nich opowiadano.
Każdy Moskal z głębokich wschodnich
prowincyj umiał doskonale po rosyjsku
czytać i pisać, bo rząd rosyjski o to dbał,
by rodzenni Moskale mieli dobre szkoły,
podczas gdy Polakom nie było wolno uczyć się,
chyba po rosyjsku. Znali oni różnych
filozofów, a jeden z nich przechwalał

się, że czytał nawet Renana. Ja mu
nato rzekłem: „Panie, jam już stary
i siwy. Renana w mej bibliotece miałem
też nie odważyłem się tej książki czytać,
by mi nie wydarła z serca tej miłości ku
Bogu, którą otrzymałem w mej młodości od
moich rodziców."
Sołdat nato zmilczał.
Zawsze opowiadano, że w Rosji żołnierzy nie
biją. Jakoś trzeciego dnia po przyj-
ściu Samarców do Puszcza spostrzegłem
na targowicy szereg żołnierzy. Mówiono,
że mają kogoś wystrzelać. Tymczasem
przyniesiono ławkę, położono na niej
sołdata i dano mu 50. nahajok.
Krwią zlanego człowieka zaniesiono do
ambulansu i zawieziono do szpitala.

Sałdaci mówili, że to jest kara gorsza od
wystrzelania, bo przy wystrzelaniu czło-
wiek odrazu ginie, a po otrzymaniu 50.
nahajek człowiek ma wnętrzności porozbi-
jane i do roku musi umrzeć.
„Cóż za zbrodnię uczynił ów człowiek, iż go w
tak straszny sposób ukarano?"
„Zwarował (ukradł) z magazynu cztery funty
cukru i oddał go kolegom."
„Przecież to grzech za tak marną rzecz tak
srogo człowieka karać!"
„To dla postrachu tak być musi" mówił
Tomiczew „jeśliby on jakiemu jewrejowi, lub
jakiemu bywszemu ukradł choćby milion ru-
bli, to mu nic nie będzie, a nawet dostał-
by pochwałę, jeśliby to sprytnie i zgrab-
nie zrobił, ale z magazynu

kazionnoho (rządowego, wojskowego)
ne lza" (nie wolno).
Narajutro bito znów innego sałdata na
podwórzu p. Zdzima Rogozińskiego za to,
że będąc bosym, ukradł z wojskowego ma-
gazynu parę butów. Tego również pomalo-
wanego na czerwono i żółto wrzucano
do ambulansu i zawieziono do szpitala.
Pomieszkanie moje u Świtła zamkną-
łem na klucz i kłódkę, a sam wziąwszy naj-
niezbędniejsze sprzęty przeniosłem się do
budynku szkolnego. Tymczasem dano
mi znać, że moje prywatne mieszkanie za-
jęli Samarcy. Przychodzę na miejsce...
... drzwi wyrąbane, szafy porozbijane,
z ~~szaf~~ kufrów wyjęto wszystkie rzeczy moje i
mej żony. Moskale je pobrali i porwali

sobie z tego onucki do butów. Ludzi tych było do 40-stu. Jedni spali, inni siedzieli i pili wódkę, zaś inni gotowali potrawy w baniakach, spluwaczce i w nocniku. Miałem do 2.000 wtasnych książek, leżą one bezładnie na podwórze, niektóre koło pieca, bo niemi palono. Nawet okulary moje ktoś umył, nie potłukł i leżały na oknie. Ja według niemieckiego przysłowia: „Man muss zum bösen Spiel eine gute Miene machen." pozdrowiłem grzecznie: „Zdrast." Odpowiedziano mi grzecznie, a jeden ze starszych pyta mnie: „Kto wy?"

„Ja chazain (gospodarz), a to wszystko moje."

„To wy nie jewrej?" pyta dalej.

„Nie, jestem chrześcijanin, katolik."

Na to żołnierz mówi:

„O źle się stało, bośmy myśleli, że to wszystko jewreja, dlategośmy tyle szkody zrobili; przepraszamy was."

Nie mieli co jeść, bo ich kuchnie jeszcze nie nadeszły, więc jeden z nich mówi:

„Chazain, a macie kartoszki?" (kartofle)

„Mam, chodźcie ze mną, a dam wam."

Poszedł jeden ze mną z workiem do szkoły, dałem mu z pół korca kartofel i nie patrzałem na to, że to są nieprzyjaciele i niedawno może nawet z nimi synami walczyli. Gdym przyszedł znów do nich, przyjęli mnie grzecznie, więcej szkód nie robili, a jeden z nich rzecze:

„Panie, wy dobry, my wam także przy-

kreść zwolili, tyle szkód wyrządzili, a my nam za to kartofli dali."
Musiałem z nimi wódki pokosztować, ty-toń palić, ale czaju nie piłem, bo wi-działem w jakich naczyniach oni ten czaj gotowali.
Wogóle wszyscy żołdacy byli na tę wojnę bardzo rozgoryczeni, a jeden z nich mówił: „Poco nas tu, czy my we własnym domu nie mamy co jeść? Mój majątek w domu wart przeszło milion rubli, a ja tu głodem przymieram i wdzięcznym się czuję, że pan mi kartofle podarował. Czy my tej Galicji potrzebujemy? Czy weźmie-my ją po kawałku do kieszeni? Chyba car chce być większym panem, ale nie my."
„Da! da!" mówili inni żołdacy.

Już wówczas przeczuwaliśmy, że w Rosji przygotowuje się jakiś wielki przewrót, bo Samarcy to prawie rdzenni Moskale, a jednak tak się z przekąsem o carze wy-rażali.

Czeczeńcy.

Od tego czasu t.j. od odwrotu Moskali spod Karpat był w Rzeszowie znów wielki ruch, bo jedni żołdacy przychodzili, inni od-chodzili, zupełnie tak samo jak w mrowi-sku, gdy je kto nogą rozerwali. Nareszcie przyszli Czeczeńcy.
– Zaraz z początkiem wojny jeszcze przed wejściem Moskali do miasta mieszkańcy chrześcijanie zawiesili na domach obrazy Świętych, chcąc się odróżnić od żydów.

Każda kobieta starała się mieć na sobie
krzyżyk, – nie z pobożności to było –
o nie, – tylko aby ją Kozak nie zabierał.
Pewna otyła pani tak mocno się bała,
że na olbrzymim swym brzuchu powiesiła
sobie obraz. Nie było to jednak długo, gdyż
wkrótce przekonano się, że diabeł nie taki
straszny, jak go malują.

Przed przyjściem Czeczeńców wydał
Medyński rozkaz, by mieszkańcy z
domów pozdejmowali obrazy i pochowali
je po domach, bo Czeczeńcy to
poganie, a świętości chrześcijań-
skie tylko ich podrażnią. Niektórzy
posłuchali, inni nie, ale dla Cze-
czeńców sprawa ta była zupełnie
obojętna. Straszono nawet, że Cze-

czeńcy nawet małe dzieci jedzą.

Przyjechali Czeczeńcy i Kozacy z naj-
dalszego wschodu, lecz zakwaterowa-
li się na Nagórzance i w kilku po-
bliskich wsiach około Buczacza, bo
potrzebowali stajen dla swoich ko-
ni. W każdej chacie było czterech
do sześciu ludzi, lecz zachowywali
się dosyć przyzwoicie t. j. mniej
kradli niżeli rodowici Moskale, jeże-
li kradzież [illegible] nazwać to,
co wogóle głodny żołnierz weźmie
sobie do jedzenia, myślę, że w takim
czasie, zwłaszcza gdy żołnierz głodny
można mu przebaczyć, a nawet obo-
wiązkiem jest chociaż ostatkiem na-
wet podzielić się żywnością

z nieprzyjacielem.
Przybyło ich do pięciu-
tysięcy, a dowódzce ich, którego
szachem nazywano zamieszkał w pa-
łacu hrabiego Potockiego. Dwór ten
był niegdyś własnością Mikołaja
Potockiego, słynnego z hojności sta-
rosty Kaniowskiego. Były tam
obszerne pokoje, których ściany były
ozdobione rzadkimi strzelbami,
tureckimi janczarkami, karstowymi
i rzadkimi obrazami, starożytnymi
polskimi ~~rep~~ rycerskimi zbrojami,
mieczami i jataganami. Ściany innych
pokoi obwieszone były drogocennymi
makatami tkanymi w Buczaczu.
Pracownia tych makat znajduje się

dzi i jeszcze nad Strypą daleko od
miasta i nikomu obcemu nie wol-
no tam wchodzić. Sekret robie-
nia tych słynnych makat znaj-
duje się w rodzinie Czekanowskich
i Nagórzańskich, których to spro-
wadził jeszcze starosta Kaniow-
ski ze Słucka, gdzie niegdyś wy-
rabiano słynne i drogocenne pasy
słuckie. Dzieci tych tkaczy cho-
dziły do mnie do szkoły, więc sta-
ry majster zaprosił mnie raz wraz
z synami do swej pracowni. Widzie-
liśmy tam cudownie piękne tka-
niny o najrozmaitszych wzorach i
kolorach. Pokazywał nam jedną
makatę wartości 2.000 koron przed,

wojennych, całą z prawdziwego chiń-
skiego jedwabiu. Makata miała
dwa metry długości, a dwa metry
szerokości. Po złożeniu można ją
było schować do kieszeni. Taką
makatę można zakopać do ziemi
(słowa majstra) a po stu latach
nic zmieni się wcale. Inne makaty
były tańsze. Pytałem Nagórzańskiego
od czego zależy cena makat. Nato
powiedział mi, że nie od użytych
materyj, ale od wzoru i gustu kupu-
jącego. Trafiało się bowiem, że nie-
jedna makata, którą dłużej trzeba
było robić i więcej materiału na nią
wyszło mniej kosztowała, niżeli inna,
którą prędzej utkano.

„Dlaczegoż pan nie robi droższych makat?"
pytam, nato majster:
„To odemnie nie zależy. Dwóch makat
zupełnie do siebie podobnych zrobić nie
można i każda jest inna. Nieraz mały
dodatek, ornament, lub kwiatek, dobór
barwy dodany zupełnie bezwiednie pod-
wyższa lub zniża cenę makat. Przy-
chodzili tu do mnie różne „bystre franty"
aby podglądnąć, jak my to robimy, ale
takich ja tu nie puszczam. „Fora ze dwo-
ru" powiedziałem im."
Czekanowscy i Nagórzańscy mówią, że po-
chodzą z perskiej szlachty. Makaty te
sprzedają we Lwowie w Bazarze Kra-
jowym, a kupują je szczególnie Angli-
cy przyjeżdżający do Lwowa. [illegible]

Polacy dawno zapomnieli o pasach słuckich i o makatach krajowej roboty, a ściany ozdabiali wiedeńskimi dywanami wybornymi z Krakowa. Może teraz to się zmieni.

Szach, który zamieszkał w pałacu hrabiego był rzeczywiście bratem szacha perskiego i miał pretensję do tronu perskiego, ale po jakichś rozruchach w Persji zbiegł do Moskwy, a car powierzył mu dowództwo nad Czeczeńcami. Takie gościny carowie lubią udzielać zbiegłym wschodnim emirom, gdyż z tego mają pretekst do napadu na słabsze kraje. Coś podobnego mamy także w naszej historii polskiej, gdy Zbigniew, brat Bolesława Krzywoustego i Władysław II. zbiegli

do Niemiec i szukali pomocy u niemieckich cesarzy.

Najbliższą służbę koło samego szacha stanowili Polacy, których bardzo lubiał, nawet kasę wojenną i cały majątek szacha był pod ich dozorem. Widocznie Czeczeńcom nie wierzył. — Czeczeńcy jeździli często po mieście kupami wynoszącymi do 500 ludzi. Byli to chłopcy o smagłych licach, czarnych oczach, niektórzy z nich mieli szerokie kościste twarze i skośne oczy, lecz wszyscy zgrabnej postaci. Trafiali się jednak między nimi chłopcy o pięknych białych szlachetnych licach, przysięgłabyś, że to Polacy. Od nich to zapewne pochodzi nazwa: rasa kaukaska.

Czapki na głowie mieli baranie, ale nie
tak wysokie i niezgrabne jak u Koza-
ków. Za pasem nosili kindżał, który
umieli nawet w zębach nosić, na ple-
cach karabiny, a niektórzy mieli
piki. — Usłyszałem raz w mieście
dziwny monotonny, ale harmonijny
śpiew. Poszedłem w tę stronę i spostrze-
głem duży oddział Czeczeńców. Siedzieli
oni na koniach, a stali począwszy od
klasztoru O.O. Bazylianów aż do rynku.
Śpiewali tylko jedno słowo: „Allach"
ale tak harmonijnie i pięknie, że śpiew
ten z daleka robił wrażenie, jakby
dzwony biły. Był to kwartet w tonacji
c, e, g, c_1 — Po moskiewsku Cze-
czeńcy nie rozumieją, a w mowie ich

słychać często spółgłoskę: cz, cz, cz,
stąd nazwa Czeczeńcy. Mieszkają
w górach Kaukaskich. — Jeźdźcy
to niezrównani. Przyjechał raz do
Buczacza jakiś głównodowodzący gene-
rał, mówiono, że Brusiłow, czy Iwanow
i zamieszkał w hotelu Andermana
przy ulicy Kolejowej. Stał on na bal-
konie, a Czeczeńcy defilowali przed
nim, pędząc przez miasto w największym
galopie. Naraz na rozkaz defilującego
oficera, stanęli tak nagle, że konie ich
stały wyprężone jakby wykute z kamienia
marmurowe posągi, a przednie nogi koń-
skie były zupełnie wyprostowane. Widzia-
łem raz Czeczeńca pędzącego w szalonym
galopie przez miasto, naraz stanął,

Czeszenicowi i koniowi zabłysły ogniem oczy ~~i po~~ zawrócił i pogonił dalej jak duch potępieńczy.

„A step, koń, kozak jedna dzika dusza"

Malczewski.

Raz ulicą pędziła sotnia czeszeńców, niektórzy stali na koniach. Naraz zjawił się na ulicy jakiś dziesięcioletni żydek i groziła mu śmierć pod kopytami końskimi, lecz w tej chwili Czeszeniec schylił się z konia, porwał chłopca, a wyjechawszy sporo kawałek drogi, rzucił nim tak zgrabnie na chodnik, że chłopiec stanął i uśmiechał się. Jedzie nieraz Czeszeniec i spostrzega kurę szukającą w bruzdków,

wówczas Czeszeniec zniża pikę, nakłuwał kurę na ostrze i pogonił dalej. Tę sztukę, może nawet i lepiej, umieli także kozacy.

W niedzielę wielkanocną w r. 1915 siedzieliśmy przy stole i dzieliliśmy się święconym jajkiem. Naraz otwierają się drzwi od naszego pokoju i stanął we drzwiach jakiś Czeszeniec szlachetnym wyrazie twarzy. Stanął jak posąg, a my również zdziwieni patrzymy na niego. Po dłuższym milczeniu Czeszenicowi stanęły łzy w oczach i mówi najczystszym polskim językiem: „Chrystus Pan zmartwychwstał!" „Prawdziwie powstał" odpowiadamy „czyś pan Polak?"

„Tak Polak jestem, lecz już pięć lat polskiej mowy nie słyszę i kraju swego nie widziałem."

Zaprosiliśmy go na śniadanie i święcone jajko. Przedstawił się nam jako Wojciechowski z Warszawy. Bawił u nas kilka godzin, a potem nieraz do nas przychodził i opowiadał nam różne ciekawe rzeczy o Czeczeńcach. Był on przydzielony do osoby samego szacha i dobrze mu się powodziło, miał świetny wikt, tylko tęsknił za Warszawą i za polską mową. Odchodząc dał mi tabliczkę grubą na palec w rozmiarze jednego decymetra kwadratowego. Nikt nie widział, co to było, dopiero nam wy-

tłumaczył, że to była najlepsza chińska herbata. Ten kawałeczek wystarczył na 2.000 szklanek herbaty. Dość było połow-ki tej herbaty wielkości zwykłego ziarn-ka pieprzu, a wystarczało na kilka szklanek. Szach innej herbaty nie pijał. Są jednak herbaciane tabliczki, ale podłego gatunku.

Czeczeńcy również umieli przetrząsać domy, szukając za jajami, kurami i kaszą, jeżeli jednak zobaczyli gdzie słoninę lub wieprzowe mięso, tam w tej chwili wychodzili na podwórze i nic nie ruszyli. Mleko w Buzuczu bardzo podrożało, to Czeczeńcy sami krowy doili i mleko wypijali. Także kobiety i dziewczęta nie były przed

nimi bezpieczne, lecz przede wszystkim lubowali się w żydówkach.
Przyjechało raz czterech Czeczeńców do Przewłoki, weszli do chaty i nuż zabawiać się z gospodynią. Jednak chłop, człek ambitny i śmiały, zwołał sąsiadów i ci wszczęli walkę z Czeczeńcami, w czasie której zabito dwóch Czeczeńców, jednego zraniono, a jeden uciekł do Buszcza i dał znać do pułku. Wysłano natychmiast kilkudziesięciu Czeczeńców i ci sprowadzili sześciu chłopów. Myśleliśmy wszyscy, że ich powieszą, bo Austriacy byliby to natychmiast bez sądu zrobili. Tu śledztwo prowadził sam szach przez tłumacza, którym był jeden z Polaków. Gdy badanie się skończyło, zapytał szach jednego z Czeczeńców, coby

on zrobił, gdyby kogo zastał przy swojej żonie, a Czeczeniec odpowiedział: „Jabym go zabił, bo uszkodził moją własność."
Wówczas szach wydobył z kieszeni pugilares, wyciągnął z niego trzy ruble i kazał je wręczyć chłopu jako odszkodowanie za żonę i puścił chłopów do domu. Według zwyczajów Czeczeńców był to wyrok sprawiedliwy.
Inny Czeczeniec wszedł do chaty we wsi Nagórzanka, a spostrzegłszy ładną siedmnastoletnią dziewczynę, rzucił ją na łóżko, lecz groźna dziewczyna swoimi paznokciami zdarła Czeczeńcowi skórę z twarzy i ukąsiła go w nos. Niefortunny zalotnik chodził potem długi czas po mieście

z bandażowaną twarzą, a inni Czeczeńcy i mieszkańcy miasta śmiali się z niego.

Z początkiem wojny wezwano do Galicji 70.000 Czeczeńców, a Moskale wysyłali ich zawsze na pierwszy ogień. Pod Przemyślem padło ich bardzo wielu, a najwięcej pod Bochnią na podminowanym gościńcu. Zostało ich tylko 5.000.

Do bitwy zachęcano ich w ten sposób, iż mówiono, że Austriacy mają bardzo dobre rewolwery, na które Czeczeńcy są bardzo łasi i dziengi (pieniądze).

Potem jednak zmądrzeli i nie chcieli się bić, a w Buczaczu zaczęli się nawet buntować i mówili: „Co my tu mamy wojować? W domu zostawiliśmy nasze żony, a Turcy nam je teraz zabierają. Jedźmy do domu."

Moskalom było to bardzo nie na rękę, bo to otwarty bunt, starali się więc ująć Czeczeńców za serce.

Na wiosnę przypada święto mahometańskie, o ile sobie przypominam: „Bajram". Święto to trwa cały tydzień przed pełnią księżyca. Wieczorem wychodzili Czeczeńcy na ulice i podwórza, tam strzelali ostrymi nabojami w górę. Przez chwilę zdawało się, że to była bitwa, a gdyśmy się pytali, co ta strzelanina ma znaczyć, odpowiadali, że odpędzają diabła. Mieszkańcy wówczas obawiali się wychodzić na ulicę, gdyż mogliby Czeczeńcy przypadkiem kogo zastrzelić, lub zranić.

/.

Siódmego dnia w czasie pełni księżyca
urządzono dla Czerkiesów w pałacu
hrabiego Potockiego zabawę. Szeroka
to była zabawa, nawet „damy” na
nią proszono. Przyszło ich dwie. Jedna
z nich utrzymywała dom publiczny, a
druga, chociaż matka kilkorga dzieci,
przyszła z Medyńskim.
Piło wino, miód i wódkę, chociaż nieboszczyk
Mahomed zakazał pić wino, a miodu,
piwa i wódki nie znał. Jedli barani-
nę, mięso wołowe i pieczywo, potem były
tańce, a Czerkiesy bawili się tak wesoło,
że ze ścian poznikały wszystkie owe
przepiękne burackie makaty i inne cenne
rzeczy. Czerkiesy wzięli to sobie na pamiąt-
kę, we dworze zostały pustki.

Zato wiele Czerkiesów porobiło sobie na
głowę z tych makat prześliczne zawo-
je i paradowali w nich po mieście.
Po tej słynnej zabawie dano Czer-
kiesom rozkaz wyjazdu, obiecując
im, że wkrótce wyjadą do ~~mo~~ swojego
kraju. Między mieszkańcami Buczacza
i Nagórzanki powstała wielka radość, iż
się pozbędą tak uprzykrzonych gości.
Okiełzali Czerkiesy swoje konie, któ-
rych oczy świeciły jak dwa karbunku-
ły i wyjechali. Przednie szeregi stały na
rynku w Buczaczu, a koniec tej jaz-
dy gubił się gdzieś daleko w polu za
Nagórzanką. Na czele jechali muzykan-
ci. Kilkudziesięciu z nich mieli
piszczałki, coś jakby nasze pikuliny,

inni klarnety, kilka bębenków i dzwonki. Z piszczałek i klarnetów wydobywały się przeraźliwie wysokie tony, głośne a fałszywe, kto z całej siły w bębenki, a na końcu jeden muzykant niósł w ręku wysoki trójkąt, na którym były poprzyczepiane dzwonki i tym trójkątem podrzucał on do taktu do góry i na dół.

Na ten odgłos konie i ludzie popodnosili dumnie głowy do góry i wyjechali z miasta.

Statkiem wówczas na podróży szkolnym, a obok mnie dwóch sanitetów Ukraińców (tych prawdziwych, nie podszywanych) z nad Dniepru. Śmiali się oni z tej muzyki i mówili: „Jak to zabawnie wygląda ta dzika muzyka, nie mają Czeczeńcy ani krzty słuchu, lecz w boju są bardzo odważni i długo car musiał się z nimi bić, nim ich zawojował. Zaciekawiony, zapytałem go, czy on wie coś więcej o tych ludziach, a jeden z sanitetów opowiedział mi historję walk z Czeczeńcami, którą tu dokładnie przytaczam:

Historia o Szamilu.

Ojczyzną Czeczeńców jest Kaukaz, mieli oni tam swój własny kraj zupełnie od nikogo niezależny. Może przed 80-ciu laty panował nad nimi potężny król nazwiskiem Szmil. Król ten dowiedział się, że nasz car Mikołaj I. miał ładną siostrę, wysłał więc do niego

dziewostębów, aby mu car dał tę siostrę
za żonę. Car Mikołaj I nie chciał je-
dnak za takiego Turka siostry wydać.
Wówczas Szmil wysłał kilku odważnych
Miurydów (najmężniejszi z Czeczeńców),
aby siostrę cara uprowadzili i przynieśli
do Szmila na Kaukas, bo u nich jest
taki zwyczaj, że żonę musimy kupić, albo
wykraść, a nawet wykradzione żona
ma u nich większe poważanie. Właśnie
siostra cara jechała do cerkwi, a nie
spodziewając się napadu, ani zasadzki,
nie miała ze sobą żadnej służby. Wtem
wypadli Miurydzi i porwali ją. Wszystko
byłoby dobrze, ale carówna tak się prze-
straszyła, że w drodze umarła.
Rozgniewany car wydał Szmilowi wojnę,

która trwała 14 lat. Mnóstwo żołdaków
tam padło, bo tam góry wysokie i nieprzy-
stępne, a Szmil bronił się zajadle. Całe
wszystkie armie w górach przepadały
i kto wie, coby się było stało, gdyby nie
odwaga pewnego prostego sołdata.
Jest na Kaukazie jedna bardzo wysoka góra
o płaskim wierzchołku niby stół. Do tej
góry tylko z jednej strony był przystęp,
a z innych stron stok góry był całkiem
prostopadły i nikt tam prócz orła dostać
się nie może. Na tej górze stał Szmil
ze swoim wojskiem. Miał on tam swój
własny zamiot, a w nim dwanaście żon.
Przed tą górą stał rosyjski generał, „Czort
znaje, kak jego imia" a miał on stoty-
sięcy wojska. Szmil jednak śmiał się

z niego, bo wiedział, że generał nic mu zro-
bić nie może. Od niedostępnej strony
góry stał rosyjski kapitan i miał on
tylko tysiąc żołnierzy, zresztą nie wiem,
ile ich tam było, ale było mało. W tym
oddziale był bardzo biedny żołnierz i
nie miał sapohów (butów). Pewnego razu
było mu zimno, ukradł z magazy-
nu wojskowego parę butów i ubrał się
w nie. Niestety zaraz go wyłapano.
Za taką sprawę i to w czasie wojny
jest wielka bieda. Oddano go pod
sąd wojenny i skazano na śmierć.
Wówczas przystąpił do niego kapitan
i rzekł:
„Słysz ty sołdat, ciebie śmierć
czeka, jeżeli jednak w nocy potrafisz

wyleźć na tę skałę i przywiążesz tam
wysoko do drzewa, które tam na wierzchoł-
ku góry wisi długi sznur, a końca tego
sznura spuścisz na dół, my tu do tego
sznura przywiążemy sznurową drabinę,
tę ją wciągniesz na górę i znów ją
przywiążesz, to my po tej drabinie wle-
ziemy na górę. Jak ci się to uda,
będziesz wolny i dostaniesz nagrodę."
Sołdat, słysząc to, spojrzał na górę i za-
drżał ze strachu, lecz rozmyśliwszy się,
postanowił szukać szczęścia. Gdy mrok
zapadł, obwiązał się cienkim, ale mocnym
sznurem, wziął do ręki bagnet, wbił
nim w skale dziurę, do tych dziur
wkładał najpierw rękę, potem nogę
i tak pomału dostał się na sam szczyt.

Tu został trzech Czerkiesów, którzy zamiast pilnować, spali sobie w jak najlepsze, pewni, że tam ledwie ptak dostać się może. Sołdat cichaczem przeszedł do nich i pozarzynał ich jak baranów. Potem zupełnie spokojnie przywiązał sznur do rosnącego tam drzewa, na drugi koniec sznura przywiązał kawał kamienia i spuścił go na dół. Tam u stóp góry czekali sołdaci i przywiązali do owego sznura sznurową drabinę, którą sołdat wyciągnął na górę, i przywiązał mocno do drzewa. Po tej drabinie sołdaci wyleźli na górę. Przed wschodem słońca cały ten oddział wojska był już na wierzchołku góry.

Równo ze wschodem słońca obudziła się najstarsza żona Szmila i wyszła przed namiot. Wtem doleciał ją jakiś dziwny zapach i szmer. Zaniepokojona podniosła wzrok nad do góry jak wyżej, gdy ujrzała zwierzynę. Nagle wróciła do namiotu i mówi do Szmila:
„Tam tu na wierzchołku góry dają się odczuwać rosyjskie ścierwa.”
Wyszedł Szmil, a z nim jego najwierniejsi Czerkiesi i z przerażeniem spostrzegli, że są otoczeni. Gdyby jednak wiedzieli, że tam jest sołdatów bardzo mało, byliby ich wybili do nogi, lecz strach odebrał im odwagę. Wyprawił więc Szmil posłów do Kapitana z propozycją poddania się i wydania

broni. Kapitan broń odebrał i dał znać o tym generałowi. Ten natychmiast uwięził Szmila i jego wojowników, poczym wysłał pismo do cara, iż on to odniósł zwycięstwo nad Szmilem i Czerkiesami, a kapitanie zaś ani wspomniał, a cóż dopiero o sołdacie!
Generał dostał złoty ~~ch~~ chrest i pochwałę, a kapitan nic. Wówczas sam kapitan napisał list do cara i dokładnie opisał całe zdarzenie. Car Mikołaj I otrzymawszy list, kazał przywołać do siebie Szmila i od niego dowiedział się całej prawdy. Zawezwał potem generała, kapitana i sołdata. Wówczas Szmil, wskazując na kapitana, rzekł:
„Oto jest bohater, który mnie po

dziewiętnastu latach zwyciężył i jemu oddałem szablę."

Rozgniewał się car, na-pędził generała, a kapitana postawił na jego miejsce. Sołdata pocałował w gło-wę i rzekł:

„Ty milenkij, ty dietynko, budiesz także moim gienierałom, a do tego proś o co chcesz, a wszystko zrobię dla ciebie."

Poczciwy sołdat upadł carowi do nóg i podziękował za gienie-rałstwo, mówiąc, że między takimi pa-nami nie miałby co robić, boby go strzeli, a prosił tylko, aby z jego derewni (wsi) gdzie się urodził nie brano rekrutów do wojska. Zdziwiony car nie wiedział, co na to odpowiedzieć, ale ponieważ dał

słowo, że każdą jego prośbę spełni, wydał rozkaz, że ze wsi, gdzie się sałdat urodził, nie wolno brać chłopców do wojska. Sałdat dostał mnogo ~~de~~ dieńgów i wrócił do domu."

„Czy jest u was w Rosji taka wieś, z której nie biorą chłopców do wojska?" pytam. „Takiej wsi teraz niema" mówi sanitet „bo car Sasza II zniósł wszystkie ojcowskie ukazy, gdyż prowadził wojnę z Turkami i potrzebował dużo sałdatów."

(Czyż na podstawie tej zmyślonej bajki nie możnaby ułożyć jakąś piękną powieść. — Dalej przychodzi mi na myśl pytanie: „Jak tam w Rosji uczą historji, gdy żołnierz uważa powyższą bajkę za prawdziwą historję?"

Do wieczora był w Buczaczu spokój; na Nagórzance i w pobliskich wsiach ludzie odetchnęli, zaczęli czyścić izby i stajnie, chcąc przywrócić dawny porządek.

Aż nad wieczorem tego samego dnia patrzymy na Serpentynę. Wyjeżdża z lasu jakaś jazda, a wąż tej jazdy staje się coraz dłuższy. Któż to taki?

Czeczeńcy wracają, ale już bez muzyki, bo grajki swe instrumenta pochowali. Konie i ludzie głowy pospuszczali, jadą bez hałasu i krzyku wprost na Nagórzankę i zajmują swe dawne kwatery. Cóż to się stało?

Oto nad Dniestrem wrzały od dłuższego czasu bitwy, a huk armat był tak donośny, że nawet w biały dzień wśród

hałasu i zgiełku ludzi słychać go było
aż na rynku w Buczaczu. Czerkiesom
obiecano, że pojadą na wschód do swo-
jego kraju, ale Moskale obawiali się
tego. Przecież Czerkiesi są mahometa-
nami, a Turcy, z którymi prowadzą
wojnę są również wyznawcami Mahometa,
mogliby się więc, jako wyznawcy tej samej
religji ~~po~~ porozumieć, byłaby więc dla
Moskali z tego powodu wielka bieda;
Umyślono więc ich wysłać na front
nad Dniestr. Gdy jednak Czerkiesi za-
częli się zbliżać do Jazłowca, a potem
do Potoka Złotego, słyszeli coraz silniej-
szy ~~hu~~ huk armat. Poznali, że ich wy-
wieziono w pole, dlatego stanęli jak
jeden mąż i postanowili wrócić

do Buczacza. W innych czasach i w
innych warunkach uważanoby to za
bunt, lecz Moskalom chodziło o to,
by Czerkiesów nie rozdrażniać. Wy-
myślili więc na nich inny sposób.
Podzielili ich na oddziały po 100. lub
po 200. ludzi i wysyłano ich partiami
co kilka dni, ale już nie nad Dniestr,
tylko na północ do Królestwa Polskiego i
na Litwę. Może i teraz byliby się Czer-
kiesi buntowali, ale już i w samym
Buczaczu nie czuli się oni tak zupeł-
nie bezpiecznymi. Otóż wojska austria-
ckie i legiony polskie stały na prawym
brzegu rzeki Dniestru koło Niżnio-
wa, Łuki i Niezwiska.

Aeroplany.

Zaraz na drugi dzień po powrocie Czerkiesów usłyszano w powietrzu nad Burzeszem jakiś niezwykły szum i turkot. Wszyscy patrzyli w górę, zgadując, co to być może i spostrzegli samolot, który jakby olbrzymi orzeł rozpostarł skrzydła i unosił się nad miastem. Nikt jednak z mieszkańców miasta takiego dziwa nie widział, choć każdy wiedział, co to jest. Wszyscy Moskale i Czerkiesy wyszli z karabinami na ulice i place. Nikt jednak nie wiedział, co to za aeroplan, czy moskiewski, czy austriacki, czy pruski, bośmy się na tym nie rozumieli. Wyszedł także z pomieszkania pana Markowe najwyższy generał, gdzie stał na kwaterze. Stary, wysoki, o cienkich nogach wyglądał jak tyczka chmielowa. Był on właśnie po dobrym śniadaniu, bo się oblizywał. Popatrzył w górę i z największą flegmą mówi do dienszczyka: „Przynieś perspektiwę!" Dienszczyk poskoczył i przyniósł żądany feldstecher, jak wówczas perspektywę po polsku nazywano. Generał przyłożył perspektywę do oczu i patrzał długo, a obok niego stało ze 30-stu Moskali z karabinami w rękach do góry zwróconymi. Naraz generał podskoczył na jednej nodze jak bocian, a drugą kopnął w górę, jakoby chciał nią do samolotu dostać i krzyknął:

„ Strzelat!!"

Sołdacy, bliżej stojący, za-
częli strzelać. Na to hasło wszyscy
Cieszenicy: Moskale, którzy stali po kwar-
terach zaczęli walić z karabinów, a
było tych ludzi do 7.000. W całym
mieście powstał wielki hałas, płacz i
krzyk kobiet i dzieci, a szczególnie
żydów: „Gewałt." Trzask karabinów
trwał dość długo. Wrzask był taki, jakby
miasto w pień wycinano. Trwało to
może z kwadrans. Lecz samolot nic
sobie z tego nie robił, tylko powoli
płynął sobie wysoko w powietrzu.
Naraz huknęło coś straszno koło
dworu, raz i drugi. Oho! samolot
rzucał pociski. Potem zwrócił się

południowemu wschodowi. Tam na Ser-
pentynie szła do Trybuchowic kompa-
nja sołdatów. Zaczęli również
strzelać, a z aeroplanu padły na nich
również dwie bomby; to w sam
środek wojska, zabiły mnóstwo sołda-
tów. Dwunastu z nich przywieziono
do mej szkoły. Pytałem sanitetów,
gdzie reszta: „Oni już u Pana Boga"
odpowiedzieli. Tenże samolot
zwrócił się potem ponad lasem do
wsi Podlesie. Tam obok budynku
szkolnego znajduje się niewielki
sadek. Pięciu oficerów moskiewskich,
którzy mieli kwaterę w budynku szkol-
nym, kazali nosić dzieci wszystkim

wynieść do sadu stół, krzesła i
śniadanie dla siebie. Był to właśnie
czas wielkanocny. Na stole była wódka,
wino, kiełbasa, szynka, bułki i
czaj. Przy wiejskie zawsze chowamy
kiełbasę, postawiły do około, pewne,
że im także coś z tego się dostanie,
bo Muszkale z tym co mieli, lubili
się nietylko z ludźmi, ale i z psa-
mi się podzielić. Naraz sponad lasu,
który znajduje się tuż nad jarem
koło szkoły wylatuje samolot, a
oficerowie ze strachu, czy z ostrożności,
zapomniawszy o śniadaniu pochowali
się do szopy, lub pokładli się pod
płotem. Samolot popatrzył na nich
z pogardą, jak orzeł na wróble i po-

płynął na południe, skąd przybył. Wyko-
drzą oficerowie z ukrycia, z szynki i
kiełbasy ani śladu, bo psy wszystko
zjadły, nawet flaszkę z wódką wywró-
ciły. Ot taka to była pierwsza wizy-
ta samolotu. Następnie codzień o godzinie
ósmej rano przylatywał samolot, ale
już bomb nie rzucano, tylko mia-
sto drżało od wystrzałów karabino-
wych i niebezpiecznie było wychodzić na
ulicę, bo kule karabinowe brzęczały
jak szerszenie nad głowami patrzących.
Raz stali strzelcy na górze, gdzie
odbywają się tańce na koniec i zaczęli
strzelać na przelatujący samolot obserwa-
cyjny. Z domu pani Tycholiwowej wyszli

dwaj sanitaci i stanęli na ulicy
najwyższej dzielnicy [illegible] w odległości,
Nagle jeden z nich dostał kulą w gło-
wę i padł na miejscu, za chwilę drugi
dostał w płuca i w pół godziny później
umarł. Kule Czerkiesów zrobiły w po-
wietrzu wielki huk, a spadając, zabiły
dwóch własnych ludzi. Pochowano tych
sanitetów we wspólnym grobie, dano krzy-
żyk kamienny Rosyi i napisali, że zginęli
od kuli austriackiej, chociaż to nie było
prawdą. Żałowano ich bardzo,
gdyż obaj byli uczciwymi ludźmi, pra-
cowali około rannych starannie i bar-
dzo troskliwie i byli dobrzy nietylko dla
Moskali, ale i dla Austrjaków i Niemców.
Naczelnik szpitala generał doktor-

Woronow wydał rozkaz, by nikt nie odwa-
żył się strzelać do aeroplanów, gdyż spo-
strzeżono również, że tylko wówczas
z aeroplanu bomby rzucano, jeśli do nich
strzelano. We dworze stał sztab rosyjski,
lecz owe dwie bomby rzucone z aeroplanu
tak nastraszyły sztabowych oficerów, że
przenieśli się do miasta i mieszkali w do-
mach zwykłych. Te codzienne wizyty
austriackich aeroplanów Czerkiesom bar-
dzo się niepodobały, godzili się więc
chętnie na częściowy wyjazd z Buczacza
tak, że do dwóch tygodni nie było już
w Buczaczu ani jednego Czerkiesa. Nie chcia-
no ich trzymać razem, by się nie pora-
li na sitach, lecz wszystko ich na

całej przestrzeni od Rygi aż do Besarabii, wszędzie po trochę. W połowie kwietnia r. 1915 zaczęły już i o legionach polskich nadchodzić głuche wieści. Najpierwszą wieścią która nas doszła, była, że Legiony roz-wiązano, a właściciele ziemscy wydzieli-li młodzież między siebie, aby w polu przy gospodarce pracowała. – Nareszcie pokazali się polscy legioniści w Kar-patach, gdzie dokazywali cudów wa-leczności pod Rafajłową, Zieloną, Mo-łotkowem i nad Prutem. Moskale przewo-zili nieraz różnych jeńców, lecz nigdy nie było między nimi żadnego legionisty. Doniesiono nam, że Moskale powiesili w Stanisławowie jednego legionistę, co było prawdą, lecz legioniści napisali

do Moskali, że za jednego legionistę powie-szą dziesięciu Kozaków. Dano więc spokój z wieszaniem towarzysza, że żaden z nich nie dał się wziąć żywcem do nie-woli. Opowiadano również, że pod Stanisławowem jechał tren rosyjski. Naraz wypadli skądś legioniści i 200 wozów wraz z bagażami wrzucili do wody, do bagnistych rowów. W wyprzą-ganiu wozów pomagali im sami Mo-skale, potem legioniści odczepili konie od wozów i uciekli. Napad ten napę-dził Moskalom wielkiego strachu, bo to się stało na tyłach wojsk moskiewskich. W lat kilka już w wolnej Polsce, opo-wiadał o tym napadzie pułkownik Tro-janowski w te słowa: „Po bitwie

pod Mołotkowem kazano nam się cofać.
Oddział nasz nie orientując się dobrze,
zabłądził. Naraz znaleźliśmy się przed
wszystkimi taborami. Ulękliśmy się bardzo,
ale uciekać nie było można. Ze strachu
więc rzuciliśmy się na tabory moskiew-
skie, i ~~tae~~ takiegośmy im strachu na-
robili, że sami Moskale pomagali nam
wozy przewracać. Potem odczepiliśmy konie
od wozów i uciekli")
Znów doszła nas wieść, że Huculi
w górach na Pokuciu połączyli się
z legionistami i biją Moskali.
Pytałem się rannych żołdatów, ~~czy~~
~~oni~~ którzy przyszli z frontu, czy wi-
dzieli kiedy polskich legionistów, co
mi mówili, że w górach są istotnie

małe czortyki z piórkami na głowie i
ci strzelają do całych dni, lecz żywcem
nie dadzą się wziąć do niewoli. Jeden
z Moskali opowiadał, że bił się z nimi
pod Nadwórną i widział w walce jak
jeden legionista przebił Moskala bagne-
tem, a Moskal równocześnie jego i
tak obaj skonali na bagnetach.
Aż z początkiem miesiąca kwietnia
r. 1915 go przybył do Buczacza
Sokół, były mój uczeń, chłopak 17. letni
i przyniósł nam pierwszą wiadomość
o synach moich Zygmuncie i Maria-
nie. Można sobie wyobrazić naszą
radość. Pytamy, gdzie on ich widział, a
Sokół mówi: „Zygmunt i Marian żyją,
widziałem ich w Kołomyi"

Jakżeś tam dostałeś się? pytamy. On zaś mówi:

„Mam lekcję prywatną u właściciela wsi w Łuce (Historyczna miejscowość, tam w r. 1686 stracił Jakób Sobieski, syn Jana w czasie wyprawy na Turków cztery łodzie) nad Dniestrem, we wsi stali Moskale i w karczmie pili aż do północy, było ich 40. ludzi. Tymczasem na łódce przez Dniestr przyjechało 10. legionistów, otoczyli karczmę, a dwóch z nich weszło do środka i kazali Moskalom złożyć broń, co Moskale natychmiast zrobili. Legioniści wypili resztę wódki i wzięli Moskali ze sobą na drugą stronę Dniestru. Moskale szli chętnie, sami

nawet nieśli swoje karabiny, a ja z nimi równo przeszedłem aż do Kołomyi. Tu zobaczyłem wszystko legionowe, a między legionistami wielu znajomych z Buczacza. Pytałem o Siewińskich, zaraz zawołano Mariana, który ucieszył się bardzo, gdy mnie zobaczył. Po południu nadszedł Zygmunt, ten prawie oniemiał, gdy mnie zobaczył, z podziwu. Obaj wypytywali się o rodziców i prosili, bym od nich rodziców pozdrowił. Niedługo jednak byłem z nimi, gdyż musiałem wracać." Wieść ta rozeszła się piorunem po mieście, ale byli i sceptycy, którzy nie chcieli temu wierzyć. Co do nas nie mieliśmy powodu wątpić o uczciwości

i prawdomówności Kokolca, który, jak
się później okazało, mówił zupełną
prawdę. We dwa tygodnie później przyszedł
do nas jakiś biedny, ale uczciwy Żyd i przy-
niósł nam wiadomość od synów, któ-
rzy stali wówczas w Niżniowie. Tak
blisko, a do Buczacza dostać się nie
mogli. Żydek na dowód swej prawdomó-
wności pokazywał nam kożuszek i mó-
wił: „Było mi zimno, a jeden z synów
pana dyrektora zdjął ze siebie ten
kożuszek i podarował mi go. Niech mu
Pan Bóg zato wynagrodzi."
O najstarszym synie Józefie nie mieliśmy
o żadnej wieści.
Od początku wojny aż do 22 lutego ro-

ku 1915 wojska rosyjskie i tabory szły cią-
gle na zachód i to bez przestanku. Aż
przyszła katastrofa w Karpatach i nad
Pistynką i wojska zaczęły się cofać.
O klęsce Moskali pod Limanową, ani
na błotach mazurskich nic nie wie-
dzieliśmy. Już to może żadne wojsko
nie cofało się tak umiejętnie i sy-
stematycznie jak moskiewskie, bo o ile
z początku chcieli wojskami swymi
zalać Galicję, tak potem przez pół
roku ciągle się cofali. Przez Bu-
czacz prowadził jeden z głównych trak-
tów do Rosji, codziennie więc prze-
jeżdżało tędy tysiące a tysiące wozów,
a na nich wieziono pełno mebli, żelaziwa,
sprzętów domowych i gospodarskich,

naczyń, kotłów, koców, kołder, sukna
transmisyj fabrycznych, pasów, aż
dziwiliśmy się, że Galicja mogła tyle
różnych rzeczy posiadać, nie dziwota
więc, że mamy dziś drożyznę, bo Moskale
nam tyle rzeczy wynieśli, że i za 50.
lat nie przyjdziemy do tego stanu do-
statku, jak byliśmy przed wojną, nie
licząc już spalonych miast, wsi, dwo-
rów, gorzelni, młynów i magazynów.
– Równocześnie opowiadano nam, że
Prusacy w Królestwie polskiem byli jeszcze
gorszymi rabusiami pomimo, iż w ów-
czesnym czasie występowali niby to w
roli sprzymierzeńców.
W miesiącu marcu r. 1915 cała Kan-
celaria w „Ujeździe" była spakowana,

a myśmy tylko uważali, co tam w
„Ujeździe" robią. Służba domowa u
czynowników moskiewskich była nas-
za t.j. Polacy i Rusini z naszego
miasta, byli to ludzie prości, ale uczci-
wi i miłujący ziemię ojczystą. Uda-
wali oni, że po rosyjsku nie rozumieją,
a czynownicy nie strzegli się ich.
Przez tę służbę o niejednej tajemnicy,
a nieraz i o nawet o bardzo cieka-
wych rzeczach dowiedzieliśmy się.
Aż naraz przyszła hiobowa wieść:
„Przemyśl wzięty!"
Myśleliśmy, że po zdobyciu tak silnej
twierdzy każą nam Moskale cieszyć
się, miasto iluminować i dekorować, ale
jakoś tego rozkazu nie było.

Tylko żydzi z własnej ochoty i z duszy powywieszali czerwono-niebiesko-białe chorągwie tak jak niegdyś czarno-żółte. Zwłaszcza Szwarc ~~[illegible]~~ wystawił na dachu swego domu tak wielką chorągiew, że była ona większa, niżeli cała jego chałupa. Chorągiew ta sterczała nad jego domem całymi miesiącami. Aż raz spotykam Szwarca na ulicy i pytam: „Czy pan nie boi się wywieszać tak wielkiej chorągwi?“ „Dlaczego pan tak mówi?“ pyta mnie ostro, a ja do niego cicho i poważnie: „No, widzi pan, codziennie przelatują ~~tu~~ austriackie aeroplany, więc jak tam z góry zobaczą tak wielką chorągiew, będą myśleli, że u pana mieszka ~~[illegible]~~ jaki

generał ze swoim sztabem i zaraz paści bombę, a co potem będzie?“ „Aj! waj!“ krzyknął Szwarc, „pan prawdę mówi; pan ma recht.“ Tak się żydzisko przestraszył, że zaraz zdjął chorągiew. W pół godziny później ani jednej rosyjskiej chorągwi w mieście nie było. Lojalność żydowska i ich patriotyzm, to tylko strach przed mocniejszym.

—

Samarska drużyna odpoczywała w mej szkole trzy tygodnie. Widziałem już u nich wielkie rozgoryczenie, przeklinali cara i wojnę i to nietylko prości żołnierze, ale i starsi.

W pokoju nad mym pomieszkaniem czyścili sołdaci karabiny, i tak mocno bili kolbami o podłogę, iż zdawało się,

sufit zawali. Usłyszał to wachmistrz Fo-
mienko, pobiegł na górę, zabronił pukać
i nakazał budynek szanować.
W kilka dni później przyszła rosyjska
piechota i zakwaterowała w sali na pierw-
szym piętrze, gdzie były wielkie szafy
z książkami. Była to własność Rady Szkol-
nej Okręgowej, a ja byłem bibliotekarzem.
Znajdowały się tam bardzo cenne i rzadkie
dzieła jak Słownik Lindego, Kolekcja Klasy-
ków polskich i niemieckich i inne dzieła
treści beletrystycznej, pedagogicznej, filozoficznej
i różne atlasy. Moskale szafy porozbijali
a książki porozrzucali. Wszedłem do sali,
patrzę, sołdaci wzięli kilka książek pod
głowy zamiast poduszek. Nic jeszcze nie
było w tym złego. Poprosiłem grzecznie
sołdatów i prosiłem, aby książek nie darli.
Na to jeden z sołdatów mówi do mnie zupełnie
po polsku: „Tych książek ze sobą nie weź-
miemy, bo nam niepotrzebne i zapewne zosta-
wimy je nienaruszone."
Zdziwiony pytam: „Czyś pan Polak?"
„Tak jest, jestem Polak z Wołynia."
Wtem spostrzegam w kącie jakiś drąg obwią-
zany brudną szmatą, wypchaną. Zacie-
kawiony pytam: „Co to jest?"
Naraz staje przede mną sołdat, przystawił mi
bagnet do piersi i mówi:
„Ne razgawariat sa! Pajdi!"
Na taki śmieszny argument wyniosłem się ze
sali. Jakoś w godzinę później przyszedł
do mnie ten sam sołdat i prosił o garnuszek

gorącego oręża. Oręż dostał, a ja go py-
tam:
„Czy naprawdę chciałeś mnie przebić?"
On zaś mówi: „To jest nasz pułkowy
prapor (chorągiew). Koło niego stoi zawsze
straż, a ktoby go z obcych dotknął, musi
być przebity. Wy dobrze zrobili, żeście za-
nas poszli."
Po odejściu tych sołdatów, książ-
ki zostały, lecz były tak podarte, zniszczone i
zanieczyszczone, że już nie były zdatne
do użytku.

Szpitale.

Potem zaczęły zjeżdżać szpitale. Pierwszy szpital,
który zjechał był Kazański. Byli tam prze-
ważnie sami Tatarzy, tylko lekarzami byli Mo-

skale, Polacy, lub Niemcy. Każdy Tatar jest
z natury złodziej. Moskal, lub kozak gdy
jest zły, lub go coś opęta, lubi tylko zmu-
szyć, a jak go się ujmie za serce, toby
duszę oddał. — Tatar tylko kradnie.
W pół godziny obdarli całą szkołę ze wszyst-
kich ozdób i map, obrazów, zegarów i t.p.
Jeden z nich zdjął ze ściany w kancelce,
ozdobę szkolnej auli zwierciadło, wyjął z
kieszeni diament, pokrajał je na drobne
kwadratowe kawałki i rozdał je każdemu
sołdatowi po kawałku. Siekiery, młot-
ki, miednice, spluwaczki, konewki, kubki
poznikały w okamgnieniu. Zaś pod bu-
dynkiem szkolnym wymurowano piec,
urządzono w nim duży żelazny kocioł,

a komin z pieca puszczono przez rynnę
i omal nie spalili budynku wraz
z rannymi i chorymi żołnierzami; lecz
szczęściem ogień zawczasu spostrzeżono
i ugaszono.
Rozmawiałem często z Tatarami, bo byli rozmo-
wni i grzeczni. Starszy między nimi był
niejaki Samkow, otyły, wysoki, czarniawy,
a zawsze uśmiechnięty. Zapytałem
go raz, czy wolno jest u nich mieć kil-
ka żon.
„Wolno" odpowiedział „ja sam
mam cztery żony, bo bolsz ne lza."
„Ileż macie dzieci?"
„Szestnacatero" (szesnaścioro)
„Jakżeż wy ich wyżywicie?"
„Ee" mówi Tatar „dzieci to majątek,

Mój szwagier ma sorok dwa dzieci (42).
Kto ma dzieci, nie potrzebuje najmować
parobków, ani bradiagów (włóczęgów),
bo dzieci same w domu wszystko zrobią,
jeżeli własne dziecko coś w domu wię-
cej zje, ubierze się, lub weźmie, to ono
jest zawsze moim dzieckiem i nikt
mnie niczego nie żałuje, jednak gdy-
by to został obcy, bradiaga, to jest
wor (złodziej). Mamy w domu tyle by-
dła, wielbłądów, koni, że jest co paść."
„Czy wasze żony żyją ze sobą w zgodzie?"
„Kobiety nasze są bardzo szczęśliwe, bo
ja żadnej z nich krzywdy nie robię. Naj-
pierw śpię z jedną, potem z drugą, potem
z trzecią, a nakoniec z czwartą i wszystkie
są zadowolone."

Gdy się Tatar wygadał, mówił dalej:
„U nas są lepsze stosunki, niżeli u was, a przedewszystkiem jest to, że każda z kobiet ma opiekę męża i dzieci ich są prawe. U was wolno jest mieć tylko jedną żonę, a ponieważ kobiet jest więcej na świecie niżeli ~~mężczyzn~~ mężczyzn, przeto u was wiele kobiet idzie na marne, zostają matkami, ale potem swoje dziecko komuś podrzucić, lub nawet zabić, a potem idą na mamki, ale mają dobrze jeść. Inne zostają starymi pannami, tetryczeją, a inne idą do domu nierządu, tam zarażają się i szerzą weneryczne choroby, a my tych chorób nie znamy, jesteśmy zupełnie zdrowi."
„No tak" odpowiedziałem, „u was są stepy i obszerna posiadłość

więc liczna rodzina jest dla was majątkiem, ale u nas czasem i jednej żony nie ma z czego wyżywić."
Ha, co kraj, to obyczaj.
Starszym lekarzem w tym szpitalu był doktor Körber, a lekarzami Markat Uspieński, nader inteligentny człowiek i Polak Krzyżanowski. Były nawet siostry sanitariuszki, starszą nad nimi była pani Gordonowa, nader poważna osoba, a młodsze sanitariuszki bały się jej jak ognia. Jedna z sanitariuszek, młoda panna Czerwonogrodzka, doskonale mówiąca po polsku, rosyjsku i niemiecku siedziała raz na ławce szkolnej w sadku i rozmawiała z lekarzem Krzyżanowskim. Spostrzegła to pani Gordonowa i w tej

chwili kazała jej wrócić do pokoju. Nawet lekarze mieli przed panią Gordonową tremę, bo pochodziła z wysokiego rodu i od niej bardzo wiele zależało.

Podróż do Lwowa.

Bieda między urzędnikami i nauczycielami była bardzo wielka i nikt nam nie mógł dopomóc. W innych powiatach kazali starostowie wypłacić urzędnikom i nauczycielom z góry trzymiesięczną płacę. Starosta powiatu buczackiego dusił pieniądze do ostatniej chwili, a potem uciekając, zabrał je ze sobą. Tylko poborca w Tłustym dobrze się spisał, bo wypłacił połowę za dwa miesiące z góry, a kwitę zabrał.

Kasper Mołczanowski, obecnie inspektor szkolny, (umarł w r. 1938) udał się do Lwowa i tam za usilnemi staraniami Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego wyjednał w Wydziale Krajowym dla każdego z nas po kilka rubli. Po te pieniądze wybrał się własnym kosztem, lecz nie koleją, ale furą. Była to wówczas niezwykła odwaga, cały kraj był w ogniu i w rękach nieprzyjaciela. Wszędzie pełno żołdaków, a szczególnie Kozaków, którzy każdego podróżnego ~~rabo~~ rabowali, zabierając im zegarki, pierścionki, pieniądze, futra, szczególnie ze Żydówek. Śmieszne to było widzieć kozaka w damskim futrze na koniu, lecz nie zdarzyło mi się słyszeć, żeby kogoś zabili.

Pewien żołdak, nazwiskiem Komarow, opowiadał mi w jaki sposób oni jewrejów rabują. Wchodzi do izby dwóch, albo trzech ~~sołdatów~~ sołdatów, jeden z nich nastawia bagnet ku jewrejowi, lub jewrejce, zaczyna skakać, wówczas przestraszony jewrej zaraz powie, gdzie ma dziengi i kosztowności. Sołdaci to zabierają i wychodzą.
Udało się jednak Mołczanowskiemu dotrzeć szczęśliwie do Lwowa, gdzie na każdego nauczyciela dostał po 12 rubli; szczęśliwie dowiózł je do Buczacza. Wielka to była pomoc, ale nie wystarczyła na długo.

Inspektor szkolny Jenon Zaklika zaproponował mi, bym

z nim razem i rządcą dóbr Dancewirem pojechał do Lwowa, gdzieśmy znów mieli coś dostać. Podróż jednak teraz była bardziej niebezpieczna, bo wojsk było bez liku i to nie takie karne jak było z początku wojny i zamieszanie było wielkie. „Naczalstwo Ujezdu” wydało nam przepustki za darmo, bo od żydów brano po kilka rubli, a rubel wówczas miał wielką wartość.

W tym samym dniu, w którym mieliśmy wyjeżdżać, wzięli Moskale 800 (osiemset) ludzi do niewoli. Byli to jeńcy austriaccy, a na ich czele stało kilku Prusaków o butnej minie i zarozumiałej twarzy, bo to był czas, w którym

Truscy oczekiwali pewnego zwycięstwa i zupełnego pogromu Moskali. Pewien były austriacki urzędnik kręcił się między jeńcami i mieniał im pieniądze austriackie na ruble, licząc za ruble według rozporządzenia władz rosyjskich po 3 korony 33 halerzy, sam zaś kupował te ruble u żydów po dwie korony, zarabiał więc na każdym rublu jedną koronę i 33 halerzy. Gdy z tą propozycją przyszedł do Truskiów, jeden z nich powiedział:

„Mit einem Staatsverräter habe ich nichts zu tun."

Postępowanie tego pana było legalne, ale niegodziwe, bo za dużo na biednych

jeńcach zarabiał.

Nie chodzi mi tu o spełniony fakt, ale o to, że chociaż tu byli Moskale, mieli tu wówczas i Austriacy swoją policję, co natychmiast o wszystkiem donosiło do Lwowa, bo zaledwieśmy tam przyjechali, już jeden z wyższych urzędników pytał nas: „Który to tam w tak nieludzki sposób mieniał pieniądze u jeńców?" Udaliśmy, że nie wiemy o niczem, ale on rzecze: „Nazwisko tego pana jest nam dobrze znane."

Dnia 15 maja wsiedliśmy na tę bryczkę pana Danczewicza, który miał również interes we Lwowie i wyjechali. Rynek i ulica Kolejowa zapchane były

wszystkimi automobilami, że prawdzi-
wą sztuką było przepchać się między
nimi. Przy tym znamienne, że Moskale,
jadąc automobilem nawet wśród naj-
większego ścisku, nigdy nikomu żadnej
krzywdy nie uczynili, podczas gdy
austriaccy automobiliści zabili przez
nieuwagę kilku swoich własnych
żołnierzy, psów, koni, a sami omal
własnych karków nie pokręcili.
Wyjechawszy za miasto, oglądaliśmy
szkody, które nam wojna przyniosła.
Tu muszę zaznaczyć, że w Galicji
z początku każdego moskiewskiego
kawalerzystę nazywaliśmy Kozakiem,
a każdego oficera, który miał epo-
lety, pułkownikiem. Tuż za miastem

jazda konna, karmiąc konie ścina-
ła na pniu rosnące zboże i dawała
je koniom, lub paśli w tym zbożu
konie i bydło. Na ogromnych obszarach
Podola, bez względu na to, czyje to była
własność, można było widzieć tysiące
sztuk wołów, krów, koni, baranów, a
nawet wielbłądów. Bydło to pocho-
dziło głównie z naszych obszarów dwor-
skich i naszych chłopów. Zabierano je
bez pytania, a w zamian za to dawano
kartki. Tak samo robili Austriacy i Niem-
cy. — Widzieliśmy po drodze wszystkie
dwory poniszczone, gorzelnie i młyny po-
wale popalone, w cerkwiach i kościołach
nie było dzwonów, bo je Moskale na ar-
maty pozabierali. Gdy w Buczaczu

w kościele i cerkwi dzwony zabierano, jakiś Kozak, któremu tę czynność powierzono, mówił: „Jakżeż nam Pan Bóg pomagać może, jeśli rząd wszystkich każe nam popełniać takie świętokradztwo? Dzwony powinny zwoływać ludzi na modlitwę, a rząd każe z nich robić śmiercionośne narzędzia.

Słysząc te słowa szlachetnego Kozaka, pomyślałem sobie: „U nas w Polsce było przeciwnie, bo z armat zdobytych pod Obertynem, kazał król odlać największy dzwon w Polsce. W wszystkim ilustrowanym piśmie widziałem obrazki i rysunki zabranych nam dzwonów, jakby to było czymś się chwalić!" Tak przyjechaliśmy do Złotnik, własności pana Serwatowskiego. Tam z gorzelni pozostały tylko same gruzy, dwór zniszczony, okna bez ram i szyb porozbijane deskami, frontowe filary i słupy kamienne powalone złośliwą ręką na ziemię. Niestety nie Moskale to zrobili, ale kochane pidmusiątki.

Ze Złotnik pojechaliśmy do Chodaczkowa, jest to wieś duża, piękna i cała polska, dalej wieś Nastasów. Wszędzie dwory popalone i poniszczone. Jakaż to obłuda rządu moskiewskiego! W odezwie wydanej wśród Polaków wzywa nas Mikołaj Mikołajewicz abyśmy wspólnymi siłami zadali Krzyżakom t. j. teraźniejszym Prusakom nowy Grunwald, a tymczasem niszczy nam polskie dwory.

Nie dziwota więc, że obecnie rozbestwiony i niemoralny, tudzież błędnie wychowany naród moskiewski rzucił się na swych własnych przewodników, a nieuszanowanie cudzego dobra i mienia zrobiło im samym największe krzywdy, powstał bolszewizm i brak religii. Tak zbrodnia nigdy zbrodniarzowi szczęścia nie przyniesie, ale prędzej, czy później przez wyższą sprawiedliwość ukaraną będzie.

Na stacji w Tarnopolu ruch ogromny, wszędzie tylko Moskale, wszędzie tylko słychać rosyjską mowę. Naczelnik stacji i urzędnicy urzędują w moskiewskich tołstowkach na głowie.

W restauracji pełno generałów, oficerów, intendantów, sióstr samarytańskich, wszystko,

a wszystko to rezonuje, krzyczy, wrzeszczy, jakby byli panami świata.

Zajechaliśmy do hotelu Punczerta, gdzieśmy z wielką biedą otrzymali mały pokoik, bo wszystko zajęli Moskale. Nad ranem widziałem austriackich jeńców. Szli ulicą po czterech i takich czwórek było trzysta, czyli 1200 ludzi, sami Czesi. Jakiś żyd stał obok mnie i mówi, że było tych jeńców 12.000. Odpowiedziałem mu jednak, że tylko 1.200, bom sam ich rachował. — Tak to w rachunkach w czasie wojny ludzie błądzą, ~~dd~~ dodać do liczby jedno lub dwa zera nic nie szkodzi, a potem rozchodzą się nieprawdziwe wieści. Gdyby ktoś chciał zadać sobie pracy i zliczyć razem wszystkich poległych i zapisanych w czasopismach rosyjskich,

niemieckich i t.d. pisały na kuli ziemskiej nie było ani jednego człowieka. Sam byłem świadkiem bitwy pod Trybuchowcami, Dzienniki austriackie uśmierciły za 17000 Moskali, tymczasem wszystkich nieboszczyków razem, tak Moskali, jak i Austriaków było tylko 47. osób. Pochowano ich na mogile we wsi Pyszkowce w ~~siog~~ siedmiu grobach.

Rano wsiedliśmy do pociągu, lecz na stacjach z powodu ogromnego ruchu wojsk musieliśmy długo czekać. Widzieliśmy bowiem całymi nadzwyczaj długimi pociągami rannych z pod Limanowej, Sieniawy i innych pobojowisk. Były tam przeróżne pociągi sanitarne malowane na biało z czerwonymi krzyżami,

a w nich pełno Moskali, czasem tylko mignął się jakiś pojedynczy żołnierz austriacki lub pruski. Tak dojechaliśmy do Lwowa. Stacja nie do poznania. Niegdyś budynek ten był to ~~[illegible]~~ cacko, był on dumą i ozdobą miasta. Dziś cały peron zawalony wojennymi bagażami. Wszędzie leżą, chodzą, lub śpią brudni żołdacy, ani jednej wesołej twarzy, wszystko przerażone i złe, na obliczach ich maluje się rozpacz, zmartwienie i zniechęcenie, to nie tylko u prostych żołnierzy, ale i u starszyzny, sióstr sanitarnych i ludzi cywilnych. Nie są to już miny zwycięskich wojsk, ale pobitych armij, nie mających już siły do odwetu.

Nawet wróble nie te same, co dawniej.
Każdy z nich okopcony, czarny jak mały
kruczek, tylko ćwierkaniem zdradzają
swój ród i pochodzenie. We Lwowie za-
jechaliśmy do hotelu Stadtmüllera, dziś
Ludwika. Był to jeden z najlepszych i naj-
uczciwszych hoteli; teraz zniszczony, wszędzie
widzi się rękę grabieżców, ani miednicy,
ani karafki, ani szklanki; łóżka po-
łamane, pościel pomięta. W sąsiednich
pokojach hałasy i krzyki. Wszędzie
siedzą Moskale, po całych nocach piją
i baraszkują ze wszystkimi córami Ko-
ryntu. Bruki w mieście brudne, nie-
zamiatane, wszędzie pełno śmiecia,
a przecież to bohaterskie miasto, to
gniazdo orląt polskich, to rodzinne

miejsce moje było cackiem i ozdobą kra-
ju całego. Udaliśmy się zaraz do Głównego Za-
rządu Towarzystwa Pedagogicznego. Koledzy za-
raz poszli z nami do Wydziału Krajowego i za
przyczynieniem się pana Napadiewicza otrzyma-
liśmy 7.000 rubli i zwrócono nam koszta po-
dróży, które wynosiły wówczas horendalne
sumy i po dwóch dniach mogliśmy już wra-
cać do domu. Tymczasem przypatrywali-
śmy się, co się dzieje w mieście. Wszę-
dzie pełno wojska, oficerów, generałów
ze złotymi pagonami. Przechadzali się
dumnie po głównych ulicach miasta
ze swymi paniami, a w swych wysokich
czapkach, złotem szamerowanych surdutach
wyglądali jak asyryjscy Sardanapale.
Wieczorem byliśmy w teatrze.

Grano Halkę. W lożach, na parterze,
na wszystkich miejscach sami Moskale,
wszyscy uprzedzająco grzeczni i uprzej-
mi. Już jeśli mam prawdę powiedzieć,
miałem do czynienia z oficerami różnej
narodowości państw centralnych, lecz
pod względem inteligencji i dobrego zna-
lezienia się w towarzystwie i uprzej-
mości pierwszeństwo dałbym Moska-
lom. Po niemiecku wprawdzie nie
lubię mówić (wówczas prowadzili wojnę
z Niemcami), ale po polsku, po francu-
sku chętnie rozmawiali.
Co się tyczy gry artystów, to z każdego
ich słowa przebijał się głęboki smutek
zato gdy wyszedł chór i zaśpiewał:
„Ojcze z Niebios, Boże Panie."

to wszystkim słuchaczom Polakom sta-
nęły łzy w oczach, bo śpiew ten poru-
szył całą publiczność do głębi serca. Na-
stała taka uroczysta chwila jak w kości-
le podczas podniesienia. Zachwyceni
śpiewem i uczuciem grających artystów
Moskale wszyscy ze swych miejsc powsta-
li i rzekli:
„Polski hymn!"
Moskale bowiem rozumieją się na śpiewie
i prawdziwym artyźmie, a wówczas polscy
artyści dobrze rozumieli, że naród polski
wówczas potrzebował Boskiej pomocy tak,
jak jeszcze nigdy.
Nazajutrz rano poszli-
śmy na śniadanie do wiedeńskiej kawiarni
i siedzieliśmy w ogródku. Jakiś pan, po-
znawszy obcych z prowincji, przysunął

się do nas i mówi po cichu:
„Proszę nieznacznie popatrzyć na naprze-
ciwległy budynek Dyrekcji Skarbowej"
— Patrzymy ostrożnie, a tam wywie-
szono olbrzymi kawał płótna, a na
nim napis po rosyjsku:
„Komandant Kriposty Peremyśla."
„A oho" myślimy sobie, twierdza Prze-
myśl od nas oddalona o dwanaście
mil, a jej komendant już we Lwowie,
zapewne nie chce się dać złapać jak
Kusmanek, generał austriacki i jego
świta."

Tymczasem ruch między Moska-
lami wzmaga się coraz bardziej.
Obok kościoła świętego Antoniego sły-
chać już huk armat od Brzuchowic, zaś
ulicą Łyczakowską w górę idzie

kilkanaście tysięcy Moskali o zupełnie
wschodnim wyrazie twarzy. Są to ja-
kieś tureckie plemiona, bo każdy
z tych żołnierzy jakiś przerażony.
Spod czarnych na głowie włosów, błyszczą
im tylko czarne świecące oczy, a ich strzę-
piaste wąsy nie budzą już żadnego strachu.
Idą jak barany na rzeź.

Inny wygląd, chociaż również smutny, mia-
ło wojsko, które szło ulicą Legionów pod
Gródek Jagielloński. Było tego wojska
25.000. Szli wielkimi oddziałami, a idąc
przez miasto, śpiewali rosyjskie pieśni.
Byli to młodzi, ładni, zdrowi chłopcy, hardo
patrzyli w górę. Widocznie dawno nie sie-
dzieli w okopach, byli wypoczęci. Śpiewa-
jąc szli naprzód, zaczynali zwrotkę, a

za nimi powtarzał pieśń cały oddział.
Żal mi się zrobiło, że tyle narodu idzie na
rzeź, lub może sami będą mordować,
a tam po drugiej stronie Austriacy i
Polacy, a między nimi może nawet i moi
synowie..!

Tegoż dnia pokazał się nad
stacją kolejową na Podzamczu austria-
cki aeroplan i zrzucił pomiędzy tam
zgromadzone wojska rosyjskie kilka
bomb, które narobiły wiele szkód w
ludziach i sprzętach. Ludzi poranionych i
zabitych natychmiast uprzątnięto, a zo-
stawiono tylko połamane trzy wozy kole-
jowe.

Otrzymane pieniądze podzieliliśmy
na trzy części z ostrożności. Jedną

część wziął p. Zaklika, drugą p. Dancewicz
a trzecią ja i zaszyliśmy te pieniądze w
ubraniach. Kupiliśmy bilety pierwszej
klasy, aby nie jechać z kozakami lub żoł-
datami, bo baliśmy się, by nas nie obrabowali.
Rosyjskie kolejowe wozy były wspaniałe, miały
składane kanapy i można z nich było zro-
bić na poczekaniu cztery łóżka. Jest na-
wet samowar, w którym zawsze kipi
woda i w każdej chwili można sobie za-
parzyć herbatę. Siedzieli z nami dwaj
generałowie, inżynier i jakiś człowiek
w palonych prostych butach i w skromnym
ubraniu, jak się wkrótce pokazało był to
milionowy pan i magnat, dostawca woj-
skowy. Po przedstawieniu się rozmawiali-
śmy wesoło, my po polsku oni po [illegible]

rosyjsku i zrozumieliśmy się doskonale.
Zaimponowałem im dokładną znajomo„
ścią dziejów państwa rosyjskiego począwszy
od Aleksandra Newskiego, czemu się bar„
dzo dziwili. Przestudiowałem był właśnie
dzieje powszechne Wernica. „Dzieje Rosji"
Konecznego nie były jeszcze wydane. Marke„
te wyjęli z kuferków dobrą wódkę,
szynkę, kiełbasę i „konfekty" t.j. cu„
kierki. Sami jedli i nas częstowali i
prosili bardzo serdecznie, byśmy nie gar„
dzili ich przyjęciem, było nam to przy„
krem, bośmy się nie mogli wzajemnie
~~się~~ zrewanżować!
W drodze mijały nas
całe pociągi rosyjskich żołdatów, którzy
jechali na front bojowy. Przerażone

ich skośne oczy zrobiły przykre wrażenie, wi„
dzieli oni po drodze mijające ich pociągi
z rannymi żołdatami. Co robić taki bie„
dny żołdat myśli, gdy go wiozą w nie„
znane mu kraje, każą mu się bić z
nieznanymi mu narodami za sprawę,
której nie pojmuje, a tu widzi tyle
kalek, tyle nieszczęść. Inna bowiem
rzecz bronić własnej ojczyzny, a inna być
najeźdźcą. Jeden z generałów, które„
mu zapewne było już dosyć tej wojny
patrząc na tych żołdatów, rzekł
„Puszcze miaso" (armatnie mięso).
Intendant wyjął z walizki rosyjski
dziennik: „Nowoje Wremie". Pismo to
miało wygląd wspaniały, papier, druk i ilu„
stracje tak piękne jak w najbardziej

cywilizowanych narodów. Po dziewięciu godzinach jazdy byliśmy już w Tarnopolu. Szczęściem było, żeśmy przyjechali, bo to był ostatni pociąg, którym cywilnym ludziom można było jechać.

Tu już wiedziano o klęsce Moskali pod Przemyślem. W mieście widzieliśmy znów 8.000 jeńców austriackich. Byli to sami Czesi. Idąc, śpiewali wesoło, nie szli szeregami; ale szedł który chciał. Na kilku wozach jechali oficerowie, wszyscy zadowoleni i weseli. Nie rozumieliśmy tego, żeby żołnierz w niewoli był wesoły.

Dopiero później dowiedzieliśmy się, że oni bez bitwy sami się poddali i dobrowolnie przeszli do Moskali.

Przyjechała po nas bryczka p. Dancewicza ze Złotnik i puściliśmy się w dalszą drogę. Lecz tu zaraz za Tarnopolem aż do Chodaczkowa, a potem dalej od strony Łozowa wałęsały się całe oddziały żołnierzy bez broni, a było ich nie kilka, ale kilkanaście tysięcy ludzi. Szli smutni, obdarci i patrzeli na nas z nieufnością. Niebezpieczna była to jazda, bo zgłodniali ludzie wpadali do domów i prosili chleba, lub cokolwiek do jedzenia, a podróżnych przeszukiwano po drodze szukając za żywnością. Czyż można się temu dziwić?

W zachodniej stronie Tarnopola, w Chodaczkowie i w innych wsiach po polach widzieliśmy wszędzie wykopane transzeje i okopy w kształcie wielkich łuków,

ogrodzone kolczastymi drutami, a zatem chociaż Moskale byli jeszcze daleko na zachodzie, pod Tarnopolem przygotowywali się do bitwy. Okopów tych było bardzo wiele i tworzyły niby szachownicę. Gdy wreszcie zajechaliśmy do Złotnik, gdzie nas państwo Dancewiczowie gościnnie przyjęli i odesłali bryczką do Bucnowa.

— O naszym powrocie dowiedzieli się prędko koledzy i odwiedzali nas, jak niegdyś Greczy Jazona, gdy powrócił z Kolchos. Chodziło im nie tylko o pieniądze, których my przywieźli, ale i o nowiny, jakich z gazet rosyjskich lub polskich wydawanych pod cenzurą moskiewską we Lwowie dowiedzieć się nie mogli, a nawet starszyzna

moskiewska o nie się dopytywała.

Kazańskiego szpitala już w mej szkole nie było, wyjechał na wschód do Czortkowa. Zato zjechał szpital Charkowski. Gdym wszedł do szkoły, nie chciał mnie żołdak puścić, ale byli jeszcze starzy znajomi i zawołali:

„Wot nasz charain, barin direktor."

Zaraz mnie puszczono i przeproszono. Poznałem tu smotrytela (zarządcę szpitala), nazywał się Sałtyków, prawdziwy Moskal, człek nader inteligentny, uczony i ludzki. Nie umiał wprawdzie mówić po polsku, ale ludzie uczeni mają w sobie coś takiego, co pociąga ku sobie. Czy ja przypuszczałem kiedy, że właśnie w chwili, gdy mój

synowie walczyli przeciwko Moskwie, że z nimi by chętnie poszedł bić Moskali, ale tylko jako żołnierz, znając Moskali, którzy zasłużyli na to, by ich powieszono, a byli nawet tacy, których można było, jako dobrych przyjaciół, pokochać.

Do Buczacza zjechało wówczas aż jedenaście szpitali, a ponieważ Moskale jeszcze w jesieni miasto spalili, przeto musieli na wolnych placach i w ogrodach stawiać płócienne domy, czyli namioty zwane „palatki" w nich mieszkali, lub trzymali rannych żołnierzy. Znów zmienił się szpital. Charkowski pojechał na wschód, a do nas przyjechał szpital Ukraiński,

ale prawdziwy Ukraiński; nie podrobiony. Byli to ludzie wszyscy i godni i to poczynając od głównego lekarza, prawdziwego Moskala generała Woroncowa, którego Moskale „wracem" nazywali, tak skończywszy na najzwyklejszym izwoszczyku i kaszewarze. (Kaszowar = Kucharz)

Lekarzami byli Abraham Szwarcman, żyd, najszlachetniejszy z ludzi jakich kiedy znałem i gdyby wszyscy żydzi byli jak ów Szwarcman, wówczas nazwa „żyd" nie byłaby w pogardzie, i nie byłaby z synonimem łachraja. Drugim lekarzem był jakiś wysokiego wzrostu Moskal, nazwiska jego nie pamię-

tam, gdzie niczym się nie odznaczył, i był człowiekiem przeciętnej miary.
Zwierzchnikiem był Edward F. Friedman, syn pastora protestanckiego z Wilna. Był on z rodu Niemcem, ale kochał Polaków jak własnych braci. Umiał prześlicznie deklamować: „Das Lied von der Glocke", kilka ballad Mickiewicza po polsku.
Odbywały się wówczas wielkie bitwy na całym wschodzie, a front wojenny był pociągnięty od Rygi, aż po Besarabię. Codziennie dochodziły nas wieści za pośrednictwem gazet rosyjskich, ale te trzeba było umieć czytać, n. p. tam, gdzie pisano o sukcesach wojennych z pewnością była klęska. Przy czyta-

niu gazet wojennych i tych niby biuletynów wojennych trzeba umieć dokładnie geografię danej miejscowości.
Sztab miał wiadomości telegraficzne, ale również niedokładne. Zawsze mówiono o Limanowej, bitwach nad Sanem, naraz o Warężu, o zajęciu Lwowa przez Austriaków.
Moskale kląkali i coraz więcej przeklinali wojnę, narzekali na cara, a szczególnie na kamarylę dworską, która go opanowała i przepowiadano im wszystkim liche koniec.
Wojska moskiewskie cofnęły się wówczas aż do Złotej Lipy, które przecinała zachodnią część powiatu brzeżańskiego, a na południu sięgały tylko po Dniestr.

Nieustanny huk armat było słychać nawet w rynku wśród zgiełku jarmarcznego.

Do miejskiej szkoły przywożono prawie codzień po 500. rannych żołnierzy i również tyle wywożono w głąb Rosji. Wielu z nich umierało nietylko w niej, ale i w innych budynkach, gdzie mieściły się szpitale i w tak zwanych „pałatkach”. Przywożono również rannych Austriaków i Prusaków. Tych ostatnich bardzo poważano. Raz przywieziono dwóch rannych Prusaków, byli to dwaj bracia, nazwiskiem Matuszka. Nieprawdaż, czysto polskie nazwisko? — Obaj byli wyższymi oficerami pruskimi, a ranny na polu bitwy

zrabowali ich z pieniędzy i zegarków. Byli to ludzie bogaci i mówili, że są hrabiami. — Udawali, że po polsku nie rozumieją. Żydzi natychmiast przynieśli im pieniądze na drogę. Od Moskali nic przyjąć nie chcieli, a patrzali na nich z góry. Jeden z rosyjskich oficerów chciał ich poczęstować papierosami, lecz Matuszkowie ich nie przyjęli, a choć byli jeńcami patrzali na nich, jakby oni byli ich podwładnymi. Od mojej żony przyjęli na drogę szynkę i chleb. Nie przypuszczali oni może, że ta wojna może i dla Prusaków źle się skończy, — a może oni byli Polakami? Moskalom imponowała wówczas pruska pikelhauba, za którą płacono po 10. rubli; które miały jeszcze wówczas swoją wartość

Raz przyszedł do kuchni chorąży moskiew-
ski, młody, dwudziestoletni chłopiec, nazwi-
skiem Zainkim, syn naczelnika kolej-
owego w Rostowie. Zobaczywszy moją żonę,
zaczął rzewnie płakać, pytaliśmy o
przyczynę tego płaczu: „Bo pani po-
dobna jest do mojej mamy." odpowie-
dział. Był on w szpitalu chory na
rozstrój nerwowy, bo topił się w Dnie-
strze. Prosiliśmy go do siebie na obia-
dy, a bardzo lubił ryż z cukrem i
ze śmietaną, bo jego mamuśka także
to w domu często robiła. Był on u nas
jak w rodzinnym domu. Opowiadał
nam o swych przygodach wojennych,
o Dniestrze, gdzie wyginęło sołda-

tów: „Mnogo! mnogo!" a jego wycią-
gnęli i ocalał.
Na szkolnym podwórzu postawiono pałatkę
i w niej umieszczono 38. Moskali cho-
rych na syfilis i nikomu do nich
nie wolno było się zbliżać. Właśnie
w tym czasie przywieziono z frontu ze
stu rannych Madziarów. Wówczas
najlepiej było poznać, do czego prowa-
dzi szowinizm narodowy. Madziarzy
jak wiemy uważali swój język za
pierwszy w świecie, z tego powodu wy-
rugowali ze swych szkół język niemie-
cki i nie znają ani jednego języka sło-
wiańskiego. Owszem język ojczysty jest dla
każdego człowieka najmilszy, ale oprócz tego
innych języków, choćby języka wrogów ~~[illegible]~~

umieć się pawimo, bo nikt nie wie, co człowieka w życiu spotkać może. Madziarzy umieli tylko po węgiersku, a gdy im przyszło porozmawiać z ludźmi innego narodu, byli jak niemi. Mogliby poprosić o chleb, wino, tytoń, a każdy z chęcią dałby biednemu jeńcowi, jednak nikt go nie zrozumiał i nie widział, czego ten biedak chciał. — Madziarzy poszli do swoich [illegible] Markali i rozmawiali z nimi na migi. Spostrzegł to wraz generał Woronow, zaczął się strasznie gniewać, ale Madziarzy go nie zrozumieli, czyli zrozumieli go tyle, co chłopi Porsena, ponieważ nie każdy wie, co to ma znaczyć, przeto opowiem wam tę anegdotę:

— Gdy Wschodnia Małopolska pod nazwą Galicji dostała się po pierwszym rozbiorze Polski Austriakom, pierwszym jej namiestnikiem był Niemiec, nazwiskiem Pergen. Człowiek niewielkiego wzrostu, śmiesznej statury, a głupi i zarozumiały. Codzień po południu ubierał się on w czerwony szlafrok (niby teraźniejsze piżama), na głowę wkładał czerwoną czapkę z kutasem, a zapaliwszy fajkę na długim cybuchu, siadywał na balkonie i spoglądał z góry na „Dümmen Polaken". Raz nadeszli Hrycio i Iwaś, którzy przywieźli drewno do miasta i naraz spostrzegli tę śmieszną figurę, a myśląc, że to duża małpa, zaczęli się wen wpatrywać i mówi jeden do drugiego:

„Baczyn, jak ta małpa lulkę kurzył?"
Pergen, spostrzegłszy chłopów wpatrujących się w niego, zapytał:
„Was wollen diese verfluchten Kerle?"
i pogroził im cybuchem. Chłopom ani przez myśl nie przeszło, że to gubernator, zawołali z radością:
„Dywy, dywy, jak ta małpa serdyt' sia."
Pokazali mu języki, stroili mu rzepkę na palcach, krzycząc i śmiejąc się:
„A zy! A zy!"
— Woronów widząc, że go Madziarzy nie zrozumieją, prosił mnie, bym im po niemiecku wytłómaczył, że żaden uczciwy żołnierz nie powinien do tych szpitalnych drabów się zbliżać. Na koniec był między Madziarami żołnierz, który ro-

zumiał po niemiecku i wytłómaczył kolegom o co chodziło po węgiersku. Madziarzy w tej chwili ustąpili i rzekli o mnie: „To jest dobry człowiek", że zaś go doktór Woronów był bardzo uszczęśliwiony.
Pokazało się w Rzeszowie kilku kawalerów. Zapewne ich tam przeszkolili, lub byli zbałamuceni, a obawiając się Austriaków poszli z Moskalami. Prawosławny batiuszka (ksiądz prawosławny) widząc ich, mówił do mnie: „Poco ci głupcy do nas idą, przecież nie damy im ani domu, ani gruntu, ani utrzymania."
Każdy szpital moskiewski miał swego batiuszkę. Niektórzy z nich byli bardzo porządni i pobożni, inni zaś chciwi, niemoralni i pijacy przeważnie

wstyd swemu stanowi. W każdą sobotę i niedzielę zgromadzali się Moskale na podwórzu szkolnym, gdzie był postawiony prymitywny ołtarz z obrazem Matki Boskiej, a batiuszka odprawiał „molebień". Moskale zaś bardzo pięknie śpiewali. Nabożeństwo to nazywali Moskale „powierka". Śpiew Moskali był bardzo miękki, a chór złożony był z ~~czterech~~ czterych głosów. W niedzielę odprawiał batiuszka mszę świętą, ale w kaplicy schizmatyckiej.

— Ponieważ rannych przybywało coraz więcej i moskiewskim sanitetom rąk do pracy nie starczało, przeto wiele naszych pań, szczególnie nauczycielek i Żydówek nauczycielek chodziło i obsługi-

wali rannych zupełnie bezinteresownie i dlatego Moskale byli bardzo radzi, bo byli rzeczywiście oddani swym rannym i sumiennie koło nich pracowali. Wiele kobiet z Podzamcza, Podlesia, Dziwnogórza i Nagórzanki przyniosło na ręce mojej żony do szpitala dla żołnierzy mleko i nie żądały za to żadnej zapłaty. Przy rozdawaniu tych darów nie robiła moja żona żadnej różnicy między rannymi, a rozdzielała mleko tak między Austriaków, jak i Moskali, toteż wszyscy ranni z uznaniem patrzeli.
Jakaś wielka księżniczka z domu rosyjskich carów, podarowała dla szpitala olbrzymią kufę czerwonego kaukaskiego wina, które sanitecí spuszczali

do małych wiadrowych beczułek. Przy tej sposobności podarował nam nauczyciel Fridman dwa półwiadrowe baniaki tego wina, a myśmy go natychmiast wydali Madziarom po garnuszku, bo oni wino bardzo lubią. Byli oni cało bardzo wdzięczni żonie, Woronowowi i Fridmanowi i dziękowali im, którzy w swej skromności udawali, że o tym nic nie wiedzą. Fridman dawał nam nieraz po kilka połci słoniny i chleba kilka bochenków do wydania między Madziarów, bo im kuchnia wszystka nie smakowała. Madziar bowiem lubi w potrawie dużo papryki i pieprzu, tymczasem Moskale gotowali dla wszystkich chorych codziennie po dwa baniaki kaszy perłowej dobrze omaszczonej. Jedzenie to

pożywne, ale trzeba się do niego przyzwyczaić. Kaszowarzy przynosili pozostałą kaszę do nas celem wydania jej pomiędzy ubogich miasta. Gdy później u nas były kuchnie austriackie, a zostało im w kotłach nieco cienkiego rosołu, to kucharze wylewali go do kanału, a proszącym nie dali, lecz owszem kpili z nich.

— Mój najmłodszy syn Roman miał pozwolenie chodzić po salach i pomagać sanitetom, zwłaszcza że umiał po niemiecku. Zdarzyło się, że leżeli obok siebie trzej ranni: Moskal, Austriak i Prusak. Dwaj pierwsi byli to Polacy, więc chłopiec zaniósł im po szklance kawy i po kawałku bułki, a na Prusaka nawet nie spojrzał. Tymczasem ów Prusak

odzywa się najczystszą polszczyzną: „Panie, czy pabym mógł także prosić o szklankę kawy?"
Był to Polak z Poznańskiego. Naturalnie kawę zaraz dostał.
Tak trzej Polacy, synowie tej samej Matki Polski rozdzieleni zaborami, my, stani zostali przez naszych niegodziwych ciemięzców do wzajemnego mordowania się. Czyż to wielką zbrodnią jest każda wojna, gdy naród wojuje bez przyczyny z innym narodem, wszyscy bowiem jesteśmy dziećmi tego samego Boga Ojca w niebiesiech, o wiele straszliwszą jest zbrodnia, jeśli się wyrzyna bratni lud przeciwko sobie, aby się nawzajem mordowali. — Na tak straszną zbrodnię napisał

nieznany mi poeta w książce: „Nasze Kresy" wydanej w Moskwie w r. 1917. następujący wiersz:

Klechda.

Niechaj pod cieniem niskich strzech
Krwawa się klechda kleci ...
Było raz oto braci trzech
Na grobie matki dzieci.
I przyszli ku nim z obcych ziem
Trzej starcy, niosąc miecze,
Po mieczu dali wszystkim trzem
I tak z nich jeden rzecze:
I tak im rzecze: „Przyszedł czas,
Śpiewajcie skwarne pieśni
Oto jest jeden pierwszy raz,
Przez tego Matka wskrześnie.

Zaś wskrzesi ten, co głębij miecz
W braterskiej krwi ubroczy."
— I odstąpili bracia wstecz
I przysłonili oczy.
Zaś potem każdy bratu brat
Ramiona swe rozpostrze
I każdy wyrzekł: „Obym padł!"
I skrzyżowali ostrze.

Niech męże kłoskiej krwawą wieść
Przez wiejskich chat podłmieszka,
A który padł .... temu cześć.
A kto zaś żyw .... niech wskrzesza.

Przywieziono trzech oficerów Madziarów.
Jeden z nich, który ranny, przyszedł do nas do
kuchni i wskazującym tonem w języku nie-
mieckim mówi do mej żony:

„Proszę przysłać na górę o godzinie 6-ej
wieczorem dwie szklanki kawy i po
4. gotowane jaja."
Punktualnie o godzinie 6-ej
wieczorem zaniósł Romcio kawę, jaja i chleb.
Wówczas trzeci oficer mówi:
„Przynieś i mnie
tosamo" Trzeci także dostał. Gdy przy-
szedł Romcio po naczynie, pyta go oficer:
„Ile się należy?"
„Nic" odpowiada chłopiec.
„Dlaczego nic?" pyta zmieszany oficer
„Bo my od nikogo pieniędzy nie bierzemy, a
ojciec mój jest dyrektorem tej szkoły."
odpowiedział Romcio.
Poprzedzali się biedacy i najzdrowszy
z nich przyszedł zaraz, by nas przeprosić i

i podziękować. Ubranie tych oficerów z powodu przelanej krwi było twarde jak skóra. Wzięliśmy je do domu, po wyprali ze krwi w studni, wysuszyli i oddali. Wszyscy trzej byli to dependenci adwokaccy z Budapesztu. Zaprzyjaźniliśmy się z nimi, a po wojnie obiecali do siebie pisać. Niestety wojna ma to do siebie, że naraz wszystko się nie pamięta. Może niejeden z czytających ten pamiętnik przyzna mi w tym słuszność, że za wiele wyobrażeń przypływa wówczas do mózgu, a nowsze wrażenia zacierają dawniejsze i zapomina się.

Raz wieczorem w nocy z dnia 3 sierpnia na 4 sierpnia r. 1915. na Fedorze od

strony południowej usłyszeli żołdacy od strony austriackich okopów leżących po prawej stronie rzeki Dniestru, wielki krzyk i radosne wołanie. Wszystkim tym przysłuchiwali się Moskale uważnie i choć to było trzy mile od nas, głos po rosie dochodził aż do Ruszowa z wiadomością, że wojska centralne wzięły Warszawę. Wyraźnie było słychać głosy radosne: „Warszawa! Warszawa!"

Wiele szemrań powstało między Moskalami i mówili: „Poco nam ta wojna? Teraz ze wstydem musimy się cofać, nie lepiej to było oddać Polakom zawczasu to, co im się należało i mielibyśmy ich ~~[illegible]~~ przyjaciół. — A teraz co?"

Narzekali również na archimandrytę

Eulogiusza i mówili:
„Gdzie tylko pop się umieszcza, tam zawsze takiego nieszczęścia narobi"
O wzięciu Warszawy przez Prusaków dopiero we dwa tygodnie później gazety moskiew-skie pisały. Prusacy i Austriacy robili takżamo, bo nikt nie chce przyznawać się do klęski, aby nie odbierać wojsku ducha.

Cholera i tyfus.

Jeszcze w listopadzie r. 1914, gdy Moskale wypędzili żydów z domów mieszkalnych, uciekli oni na żydowskie okopisko i tam przebywali całymi dniami i nocami. Okopisko to leży na wzgórzu, poniżej znajduje się jar, a dołem płynie Strypa. Woda ta rozlewa się szeroko, ale zato jest dość płytka

iż można ją w tym miejscu w bród przejść. Kozacy spostrzegli żydów, przy-biegli do nich konno z nahajkami w ręku, kazali im z okopiska wynieść się i przejść przez rzekę na lewy brzeg do przysiółka, zwanego Chatki. Można sobie wyobrazić, jaki to był hałas, la-ment i wrzask, gdy do 4.000 ludzi, prze-de wszystkiem kobiet i dzieci brnęło do zimnej wody, a za nimi z głośnym śmiechem wywijali Kozacy nahajkami. Za-ledwie jednak przeszli żydzi na lewy brzeg rzeki, wybiegł rosyjski oficer, który tam stał na kwaterze, rozgniewany hałasem, kazał ich napowrót napędzić tam, gdzie byli przedtem. Ludzie po zimnej kąpieli, nie mając się w co przebrać, ani

gdzie ogrzać, zaczęli chorować i umierać.
Potem zaczęto nie tylko z powiatu bu-
czackiego, ale i z innych powiatów spędzać
żydów do Buczacza. Cisnęli się ci ludzie
jak śledzie w beczce w swych brudnych do-
mach przy ulicy Podhajeckiej i Batorego
- Z Potoka Złotego spędzono także żydów
do Buczacza. Ci nie mający co się prze-
brać, wymykali się pojedynczo do Potoka
Złotego i tam zostawali. Moskalom zapewne
nie było na rękę mieć żydów tuż przed
frontem wojennym, lecz czekali aż ich się
więcej zgromadzi. Nagle zrobili na żydów
obławę i złapali ich 53. Zaraz na po-
czekaniu dano każdemu z nich po 53
nahajów. Sześciu żydów po tej egzeku-
cji zaraz umarło, a resztę przype-

dzono napowrót do Buczacza.
Na wiosnę wybuchła również cholera i ty-
fus brzuszny. Umierało w mej szkole bardzo
wiele sołdatów, a cóż dopiero mówić o ży-
dach mieszkających w największym bru-
dzie i niechlujstwie. Codzień wynoszono
na okopisko po kilku zmarłych i grze-
bano. Wojskowi lekarze, a szczególnie nie-
zmordowany Szwarcman pracowali nie
tylko w wojsku, ale biegli również
na miasto i ratowali bliźnich, bez
względu na to czy chory był katolikiem
czy żydem, biednym, czy bogatym. Sy-
zyfowa to była praca, lecz niektórych
przywrócili do zdrowia. Szwarcman
zawsze mówił, że tyfus jest po największej
części następstwem głodu i nędzy,

dlatego, jeśli czasem coś zarobił u bo-
gatych ludzi, w tej chwili rozdawał to
biednym.

Podobnego człowieka znałem
w latach 1883–1885 we Lwowie.
Był nim lekarz Mojżesz Beizer, był to
jeden z najlepszych lekarzy i zarabiał wiele
pieniędzy, lecz zawsze był ubogi, bo co zaro-
bił rozdawał biednym. ~~Stude~~ Studentów
ubogich bez względu na wyznanie
leczył darmo. Raz zawezwano go
do kobiety, która miała dziecko, a
upływ krwi groził kobiecie śmiercią.
W domu nie było ani kawałka płótna.
Wówczas Beizer zdjął ze siebie kale-
sony i obandażował kobietę.
Gdy umarł, to 100.000 ludzi tak katolików
jak i żydów odprowadzili jego

zwłoki na okopisko.
Żydzi przeciwko cholerze radzili sobie
w następujący sposób. Wybrali bardzo
ubogiego młodzieńca i ubogą pannę,
lecz w ten sposób, że jedno drugiego
nie znało i kazali im się pobrać. Cho-
dzili po domach i zbierali dla nich po-
sag. Sam Szeptycki dał 50 rubli.
Okryto ich obydwoje czarnym płótnem
i z muzyką, śpiewami i hałasem prze-
prowadzono ich na okopisko. Tu dano
im ślub, dopiero potem odkryto im
głowy. Młodzi spojrzeli na siebie i
byli bardzo zadowoleni. Potem wszy-
scy z radością wracali do domu.
Cholera jednak nie ustąpiła.
Wówczas zrobiono w ten sam sposób

jeszcze jedno wesele, ale i to nie pomogło.
Mówiłem o tym z jednym bardzo po-
ważnym żydem, że środek przeciwko
cholerze nie był skuteczny, on na to
odpowiedział:
„Czym człowiek w czasie
nieszczęścia cieszyć się musi? Wprawdzie
cholery nie wygnało, ale uczyniliśmy
dobry uczynek, bośmy dopomogli dwojgu
biednym rodzinom."

W celu zapobieżenia rozszerzenia się
tych chorób, postawili Moskale straż
nad Stryją, nikomu nie wolno było
w rzece się kąpać, ani prać bielizny,
wydawano sublimat do mycia rąk,
palono po zmarłych żołnierzach wszyst-
kie ich ubrania i słomę, na której

leżeli.
Na podwórzu pomiędzy budynkiem
szkolnym, a gmachem Sokoła nagro-
madzono kilka fur słomy, zarzucono
całą tę kupę starzyznami i ubraniami
wojskowymi i podpalono. Powstał
ogromny pożar tak, że w obu budyn-
kach szyby zaczęły w oknach pękać i
obawiano się pożaru. Kilku żołda-
tów poszło z drągami, aby ogień lo-
kalizować. Wtem naraz powstała
w słomie eksplozja. Ktoś rzucił do
słomy kilka tysięcy karabinowych
naboi, te zaczęły wybuchać, a kule
rozlatywały się w różnych kierunkach.
Obecni Moskale w nogi; w każdem

życie miło, tymczasem szyby w oknach
zaczęły się zajmować, ranni i chorzy
znajdowali się w wielkim niebezpie-
czeństwie, aż przyskoczył jeden od-
ważny żołdak, nazwiskiem Rubal
i ogień zlokalizował.
Od tego czasu płakano wszędzie po zmar-
łych, ale nad Strypą.
Między Strypą a budynkiem Rady
powiatowej, teraz „Ujezdny" znajduje
się obszerny plac targowy. Na placu
tym było teraz tam pełno błota
i nieczystości, bo tam stawały treny
moskiewskie a potem austriackie.
Szeptycki rozporządził:

„Muszę mieszkańcom miasta zostawić po
sobie ładną pamiątkę."
Posłał żandarmów do pobliskich wsi i ci
spędzili kilkaset ludzi z rydlami.
Szeptycki kazał im plac oczyścić i poko-
pać rowy. Do tych rowów kazał posa-
dzić drzewa z lasu hrabiego Potockiego,
które kazał bez pytania się właściciela
z lasu na wozach przywieźć. Drzewka
się przyjęły i byłby z tego ładny park,
ale tejże samej jesieni, gdy przyszły woj-
ska austriackie, sami mieszkańcy
drzewa połamali i zniszczyli przez
nienawiść do Szeptyckiego i Medyńskie-
go, by po nich nie zostało ani śladu,
że kiedyś gospodarowali w Buczaczu
jak świnie w cudzym ogrodzie.

Następnie znów spędził Szeptycki ludzi z pobliskich wsi i kazał im kopać drogę spod końskiej targowicy, aż do mostu kolejowego nad Strypą. Tam postawiono mocny silny most drewniany, który przetrwał, bo Moskale podczas nagłej ucieczki zapomnieli go zniszczyć.

Jedną z najpiękniejszych ulic miasta t.j. ulicę Mickiewicza nazwano ulicą Szeptyckiego i temu Kozykowi zdawało się, że już nie ma nikogo starszego od niego, ale duma poprzedza upadek. Ktoś z Moskali oskarżył go za różne nadużycia przed gubernatorem Czartoryjskim. Ten Szeptyckiego zasuspendował i kazał mu z Buczacza wyjechać. Szeptycki nie mógł znieść upokorzenia i nagle zmarł.

Z tym człowiekiem jednak nie był.

Na jego miejsce przyszedł baron Kronenberg, o nim nic powiedzieć nie mogę, bo w kilkanaście dni po przyjeździe nabawił się tyfusu i zmarł, a zawiadowcą miasta i powiatu został mianowany pospolity wspomniany Moskal Markow i naczelnik żandarmerji Medyński.

W tym samym czasie zagościła śmierć i w nasze progi. Mieliśmy u siebie na wychowaniu bratanicę Stefcię Greszczyńską. Było to dziewczę bardzo spokojne i miłe i właśnie przed

wojnie ukończyła drugą klasę szkoły
wydziałowej. Przebywała razem z na„
mi, miała 14 lat, wyrosła, wypiękniała
i mogła już od biedy za pannę uchodzić.
Lekarze i reszta oficerów szanowali ją,
bo zachowywała się z taktem, a generał
Woronów lubił ją, bo była podobna
do jego córki, którą w domu zostawił.
— Naraz zaczęła się skarżyć, że ją
boli głowa i położyła się do łóżka,
nadszedł lekarz Szwarcman, a zba„
dawszy dziecko, dowiedział się, że
była w piwnicy i ssała lód ze skrzy„
ni, który był tam złożony dla cho„
rych. W szpitalu było kilku lekarzy
i felczerów, ci na krok od niej nie

odstępowali. Woronów i Szwarcman przy„
nosili jej cytryny, które były wówczas
wielką rzadkością. Nareszcie Woronow
po zbadaniu jej, zaczął płakać i rzekł:
„Dziewczynka nie wytrzyma serdce sła„
boikie."

Moja żona na krok jej
nie odstępowała, na jej rękach dziecko
zgasło. Płakaliśmy wszyscy, cały szpital
posmutniał a Woronow i Szwarcman
płakali jak dzieci.

Pogrzeb był skromny,
bo [illegible] w tych ciężkich czasach można
było o czymś pomyśleć. Jeden z Moskali
zrobił trumnę i krzyż, a za swoją fatygę i pra„
cę nie przyjął żadnego wynagrodzenia.
Kondukt pogrzebowy prowadził ś.p. ksiądz
Ogrodnik, który również nic nie przyjął.

Na pogrzebie byli wszyscy wyżsi oficerowie lekarze, żołdacy, buczacka inteligencja i mieszkańcy. Do Buczacza zwożono coraz więcej rannych Moskali i Austriaków, gdyż wówczas odbywały się straszne i zacięte bitwy nad Złotą Lipą i nad Dniestrem. Codziennie tysiące forszpanów, automobili, jaszczyków z amunicją, armat przejeżdżało przez Buczacz, wszystko to jechało w stronę Czortkowa i dalej na wschód. Codzień tysiące bydła, koni, baranów i świń pędzono przez miasto. Całe karawany wozów, obładowanych meblami i różnymi towarami przejeżdżało przez miasto. Była to jakby wędrówka ludów z za-chodu na wschód.

Raz przywieziono do mej szkoły 800 rannych. Nie miano ich gdzie pomieścić i wielu z nich leżało na korytarzach szkolnych jeden obok drugiego i konali, wołając przed śmiercią: „Mamo! Mamo!"
Widocznie mieli przedśmiertne halucy-nacje. Straszny to widok.
Dopytywałem się codziennie, ilu ludzi zmarło, miałem nawet spisane ich nazwiska, wszystkie te jednak zapiski moje przepadły. Pamiętam tylko dokład-nie liczbę zmarłych i tak od dnia 25.8.1914 do dnia 2.9.1915 zmarło w mej szkole 1.002 ludzi. Z tych 907 by-ło Moskali a 95 Austriaków. Wszystko to byli ludzie młodzi, rwący się do życia, których tu spędzono z najodleglejszych krai,,

ców ziemi, bo od Kamczatki aż do Włoch
i Renu i ginęli tu. Czyż może się ogrzyzną?
Nie. – To pokarał kara Boża zawisła
nad ludzkością. W czasie tej wojny ode-
zwały się u niektórych ludzi wszystkie
złe skłonności, które tam głęboko w
sercach u nich tkwiły, ale było również
wiele ludzi cnotliwych, którzy z prawej
drogi nie zbłądzili. Może po tej strasz-
liwej wojnie ludzie się opamiętają i
nawrócą na drogę przez Boga wskaza-
ną, i następnym pokoleniom będzie
lepiej.

Austriackie aeroplany codzień przylatywały,
lecz już do nich nikt nie strzelał, ani bomb z nich
nie rzucano, a przelatywały nieraz tak nisko, żeśmy
z dołu mogli widzieć wychylających się ludzi.

Powrót Austriaków i bitwa.

Gruchnęła po mieście piorunujące wiadomość,
iż Moskale kują dziurę w granitowym
słupie kolejowym. Nad Strypą znajduje się
wspaniały most kolejowy wysoki na 25
metrów. Most ten podpierają dwa granito-
we słupy.

Dalej: „W tunelu zakładają Mo-
skale miny." Tunel ten jest dość długi.
Jedzie się nim pieszo dziesięć minut.
„Pociągi przestały chodzić." Z oznak tych my
wnioskowaliśmy, że Moskale będą się cofać.
W „Ujeździe" wszystkie papiery spakowa-
no do skrzyń, które już leżą na wozach.
Meble i rzeczy zrabowane przez czynowników
odesłano już przed kilkoma dniami.
– Po wszystkich domach zarządzono

rewizje i zabierano wszystko, co tylko było
z metalu, a zatem zabierano, primusy,
samowary tulskie, kotły, i rądle miedziane,
mosiężne klamki przy drzwiach, moź-
dzierze i t. p. Szukano także po kufrach
ze srebrem i złotem, bo to także metal.
Moja żona, widząc takie rewizje, zlękła się i
wrzuciła moje skrupulatnie spisane pa-
miętniki do pieca i tam spaliły się. Tym
czasem Moskale do mnie nawet nie zaj-
rzeli.
Wszystkie trzy mosty nad Strypą,
nie rachując już mostu kolejowego podmino-
wano, wszędzie koło mostów postawiono
beczki ze smołą, naftą, lub terem, wszę-
dzie też postawiono silną straż.
Dnia 24 sierpnia r. 1915 o godzinie

10. wieczorem leżałem w łóżku i czyta-
łem poezje Lessinga, zaś żona moja i
syn siedzieli na podwórzu pod oknem
na ogrodowej ławeczce, a doktor Szwarc-
man opowiadał o słynnym rosyjskim ba-
kteriologu Miecznikowie, na którym
Moskale się nie poznali, dopiero w Pa-
ryżu Francuzi wygłosili jego sławę.
Wtem nadjechało 25. automobili i
mnóstwo wozów zaprzężonych we parę
koni. Automobile i wozy były puste,
wyskoczył z nich jakiś oficer i po-
szedł wprost do Woronowa, a za nim
lekarze i felczerzy. Za chwilę wyszedł z
kancelarji jakiś felczer, a widząc obok nas
szpital uradowany:
„Wdierajemo!"

Żona z podziwu nie mogła ani słowa przemówić. Potem wyszedł Szwarcman i mówi: „Austriacy są o dwa kilometry przed Skierniewicami, a my w przeciągu godziny mamy odesłać wszystkich rannych, zaś o godzinie 5ej rano cały nasz szpital ma już być w drodze."
Z tą wiadomością przyszła żona do mego pokoju i powtórzyła słowa lekarza. Wówczas nie wiem, co mi się stało, czy to z powodu dawno oczekiwanej, a jednak niespodziewanej wiadomości, czy też radości, serce zaczęło mi bić jak młotem, chciałem udać spokojnego i popatrzyłem do książki, tymczasem litery przybrały kolor zielony i zaczęły skakać. Czegoś podobnego nigdy nie doświadczyłem, chociaż znajdowałem się nieraz wśród gwiżdżących kul. Po chwili wstałem, ubrałem się i wzruszenie minęło.
W całym budynku nikt nie spał. W mieście i w naszej szkole powstał ruch nie do opisania. Zaczęto rannych wynosić, lub wyprowadzać, wozy składać, lecz tak składnie i szybko, jakby to była rzecz najzwyklejsza. Pytała żona doktora, kiedy przyjdą Austriacy: „O, nie tak zaraz, dziś jest niedziela, jutro zacznie się bitwa i trwać będzie do czwartku."
O godzinie 2 iej po północy wbiegł znów do nas Szwarcman i mówi: „Austriacy przeszli Monastyrzyska i znajdują się już dwa kilometry

ku Jezierzanom, postępując szybkim marszem.
Przed godziną piątą rano z całego szpitala
została tylko słoma wyrzucona ze wszyst-
kich sienników. Przy bramie wjazdowej
stał automobil i weń wsiadali wszyscy le-
karze. Żegnali się z nami nie jak wrogo-
wie, lecz jak najserdeczniejsi przyjaciele.
Byli to ludzie uczciwi, a chociaż ich w
życiu nigdy nie zobaczę, zostanie o nich
dobre wspomnienie. Niech szczęśliwie wró-
cą do swych rodzin, do których tak
tęsknią.
Został tylko wachmistrz z kilku
żołdatami w ~~celu~~ celu dozorowania mia-
sta.
O godzinie 6-ej rano w poniedziałek
zagrały wszystkie armaty. Stały one też
nad miastem od strony [illegible]

pod lasem na polu Żatanowskiego. Bate-
rja miała sześć armat. Z nich bi-
to bezustannie, a huk tych armat potę-
gował się przez różne zakręty wąwozu
nad rzeką Strypą tak przeraźliwie, że
całe miasto trzęsło się w posadach, a szy-
by jedne po drugich z okien wylatywały.
Gościńcem w najwyższym galopie je-
chały wozy z jaszczykami i amunicją.
Niebo całe pokryło się dziwnymi chmu-
rami, które przybierały postać ludzką
rannych i zabitych kozaków wraz z koń-
mi, a wszystko wiatr pędził na wschód.
Powietrze i całe niebo przybrało kolor żół-
ty, a Markale patrząc na niebo i na owe
dziwne obłoki, żegnali się i mówili:
„To nie są obłoki, tylko duchy

zabitych w tej bitwie sołdatów i Ko-
zaków, które pędzą ponad wrażą
dla nich ziemią, aby tam daleko, daleko
na wschodzie zejść do swych rodzin
i popieścić się nimi!

We wtorek rano przyjechał na koniu
wachmistrz Mironów, nasz dobry zna-
jomy, bo mu się gdzieś jedna polowa
kuchnia zgubiła, ale gdy stanął na
podwórzu szkolnym i usłyszał taki
nieustanny huk armat, zbladł
jak ściana, wozu i koni nie szukał,
lecz uciekł czemprędzej. Szrapnele
austriackie zaczęły padać na miasto
lecz nikomu szkody nie zrobiły, tylko
w budynku pocztowym powybijały szyby.
W środę po południu usłyszeliśmy

w powietrzu tak straszny świst i jęk,
że zdawało się nam, iż nad Buczaczem
leci jakieś olbrzymie, straszliwe, pie-
kielne dziecko, które w wysokiej ska-
le, gdzieś w dziesiątej oktawie krzy-
czało przeraźliwym głosem:
„Aj! Aj! Aj!"

Była to kula z jakiejś olbrzymiej armaty,
o której mówiono, że nazywa się Bertusia.
Zaraz po tym straszne mnóstwo moskiew-
skich oddziałów przeszło przez miasto
na Serpentynę pod Trybuchowcami.
Armaty moskiewskie przestały grać.
Zmierzchem już wracały próżne jaszczy-
ki przez miasto, jechały powoli; wtem
nadjechał jakiś oficer na koniu i pyta
głośno:

„Pataput' puli?" (czy wystarczają kule?)
„Niet' ne pataput'."
Oficer machnął ręką i pojechał dalej
ku bateriom.
Tego pamiętnego dnia nikt
w mieście w nocy nie spał, ale się i nie bał,
bo ludzie do bitew już się przyzwyczaili.
Po mieście również nikt nie chodził, bo
maruderzy napadali na przechodzących,
rabowali do szczętu, bo byli pewni bez-
karności. Nad wieczorem wyszedłem
na cmentarz, znajdującego się tuż nad
szkołą, aby może coś zobaczyć. Szedłem
ostrożnie pomiędzy grobami, zaroślami
i widziałem nad jarem rozstawione pla-
cówki, które strzelały do każdego,
kto się zbliżał. Przewąchawszy pismo
nosem, wracałem cichaczem do

domu i spotykam córkę grabarza, która
zobaczywszy mnie, mówi: „Jeśli pan
dyrektor ma dobry wzrok, proszę popa-
trzeć w stronę Jezierzan, tam pod lasem
aż niebiesko od naszych wojsk"
(Wojska austriackie nazywały się wówczas
„nasze".) Spoglądałem w tamtą stronę,
lecz mając krótki wzrok, widziałem tyl-
ko mgłę.
Nastała noc ciemna, ale pogo-
dna. Wtem naraz straszliwy huk wstrząs-
nął miastem, że ludzie omal nie popadali
na ziemię. Potem był głuchy huk, jakiś
dziwny, jakby podziemny. Wysadzono pro-
chem, czy dynamitem słup graniczny pod
mostem kolejowym i tunel.
Nad miastem błysła jaskrawa łuna i

zaraz zgasła. To podpalono drugi most
nad Strypą, tak zwany most pałacowy.
Most polany naftą zaczął się gwałtownie
palić i ogień doszedł do miny, ta wybu-
chła i kawałek mostu zawalił się.
Przez główną ulicę miasta wracały cicho
armaty, bo koła były obwiązane słomą i
szmatami. Zaledwie one przejechały
przez ~~most~~ Czarny most, natychmiast go
podpalono i wyleciał w powietrze.
Szli na końcu Markale, ale pieszo, wpa-
dali oni do przydrożnych domów, wybijali
kamieniami szyby w oknach i uciekali
jak najprędzej. Czasem tylko dał się sły-
szeć głos ~~[illegible]~~ krzyczącej jakiejś żydówki
lub nawet lament, bo ni kogo nie zabili.

Za chwilę usłyszano też nad miastem trzask
karabinów maszynowych, a strzały padały
tak często, że pojedynczych strzałów nie było
można odróżnić. Słychać tylko było, jakby
granie jakichś potężnych organów.
Znów ucichło.
Pozostał jeszcze jeden ostatni most, też
niedaleko mej szkoły, ten zapalono na
samym końcu. Zostało tylko czterech sał-
datów, zapalili oni słomę i tor, którym
most był zlany. Ogień buchnął jasnym
płomieniem. Kolega Keffermüller z synem
i jeszcze jednym mieszkańcem stali na
podwórzu szkolnym o jakie sto kroków
od mostu. Naraz błysło, huknęło, a prąd
gazu był tak silny, że wszyscy trzej
padli na ziemię i rzuciło nimi

o jakie piętnaście kroków dalej, ale nieszkodliwie. Tu uszkodzono tylko kawałek muru, bo ogień zagasł. Moskale rzucili karabiny na ziemię i pochowali się w kukurydzy Leszczyńskiego, mówiąc: „Zrobiliśmy, co nam kazano, a teraz poddamy się."
Tak rzeczywiście uczynili.
Po północy znów odezwała się strzelanina tuż obok nas, wiedzieliśmy już, że to wojska austriackie tak zagrały.
Zmorzony kilkudniowym czuwaniem zdrzemnąłem się na chwilę, – naraz budzę się, wychodzę na ulicę . . . . patrzę . . .
Stoi przedemną kilku austriackich żołnierzy. „Nasi" wołam

„Tak jest, nasi" odpowiadają.
Był to 13. pułk piechoty sami Krakowiacy. Chytrzy Austriacy zawsze przeciwko Moskalom na pierwszy ogień wysyłali Polaków, wiedząc, że Polacy i Moskale żyli w niezgodzie za dokonanie na Polsce zaborów i stuletnią niewolę.
Zrobiliśmy natychmiast w dużym samowarze herbaty i tą witaliśmy żołnierzów. Z innych domów wychodzili również mieszkańcy i każdy z nich przyjmował żołnierzy, czem mógł.
Radość w mieście panowała tak wielka że trudno ją opisać. Po 372 dniach moskiewskiej niewoli doczekaliśmy się swoich i to prawdziwych Krakowiaków, a my wolni. To słowo może tylko ten

zrozumieć, kto doświadczył, co to jest
inwazja i ten, co przez czas tak długi
nie wiedział, co się dzieje na świecie
z jego synami
* Teraz zaś słowo: „wolni." – To tylko
niewolnik zmienił swego pana i
Austriacy mieli również swojego Mora-
wianu, którego również obdarzyli i my
przydomkiem: „Wieszatel."

Most nad Strypą, tak zwany pałaco-
wy mało był uszkodzony i można go
było jeszcze uratować przynajmniej o tyle,
że można go było przejść. Stało tam
około stu młodych, silnych żydów. Urzę-
dnik podatkowy, Erazm Czesowski, wzywał
tych żydów, by poszli z nim razem i most
ratowali, lecz żaden z nich nawet się nie

ruszył.

Te żydy to dziwny lud. W czasie in-
wazji rosyjskiej pochowali się z początku
po różnych zaułkach i kryjówkach, z
których potem jak szczury powyłazili
i dobre interesy z Moskalami robili, że tam
któryś z nich oberwał czasem nahajkę,
a to nic. – Oni to głównie w czasie moskiew-
skiej inwazji nadawali miastu wygląd
moskiewski, wywieszając olbrzymie rosyj-
skie chorągwie, nad sklepami szyldy
(wywieszki) z napisami rosyjskimi. Teraz
w jednej chwili miasto przybrało kolor czar-
no-żółty, a wszystkie chorągwie pochowa-
no, napisy nad sklepami były znów niemie-
ckie. Ileż to jeszcze razy w czasie tej wojny zmie-
niali żydy te chorągwie i napisy! Dobry

i Rusini poszli na wojnę, niejeden
z nich wróci kaleką, lub zupełnie nie
ujrzy ojczystej ziemi, a tłuste żydy,
jak karmione na gorzelnianej brasie
byki, śmiali się z „durnych gojów", że się
nie umieli z wojska wykręcić.
Wczoraj jeszcze byli żydzi Moskalami, a dziś
moskiewską chorągiew i portret cara
przywiązali świni do ogona i pędzili ją
przez miasto z muzyką i głośnym aj-
wej wołaniem.
Przez miasto prowadzono
kilku pojmanych Moskali, a żydy wycho-
dzili i urągali im, a jakaś żydówka wy-
biegła i zapytała z urąganiem:
„Może tobie dać dziengi?"
Oburzyło to nawet austriackiego wachmistrza

który Moskali konwojował, iż nie umia-
no uszanować godności żołnierza, któremu,
choć jest w niewoli, należy obejść się na-
leży.. Rozkazał więc swemu oddziałowi,
by żydów za każdą obelgę wyrządzoną Mo-
skalowi, bili kolbami.
To pomogło.
Po południu wyszedłem w
miasto, aby oglądnąć szkody. Ów śli-
czny most kolejowy przerwany w środku
wisiał w powietrzu, a z ramion tego olbrzymi
filar leżał na ziemi na kilka części
połamany. Co za straszliwa siła dy-
namitu! Tunel kolejowy był również
uszkodzony, lecz można go było w trzech
dniach naprawić. Stał tam przy jakiś
inżynier z ludźmi i oglądał rumowisko.

Przed mostem kolejowym wybudowali Moskale bardzo udatny most drewniany, lecz Moskale, czy z rozmysłu, czy przez zapomnienie zostawili go ~~nietk~~ nietkniętym. – Obecnie miny powyciągano, postawiono przy nim wartę i był dla użycia austriackiej armii dobry.

We wsi Nagórzane spotkałem oddział Krakowiaków z 13. regimentu, których prowadził major Rybski. Pozdrowiłem go, a on mi się odkłonił, a ponieważ we wsi tej jest wiele dróg krętych, przeto prosił mnie, bym mu pokazał drogę do owego mostu. Rozmawialiśmy w drodze z majorem i żołnierzami. Byli to ludzie weseli i pełni animuszu. Major był dla nich jakby ojcem.

Śmiano się z Moskali, że most postawili nie dla siebie, ale dla tych, którzy za nimi gonią. Widząc olbrzymią uciekającą armię ~~rosyjską~~ rosyjską, a tych goniących ze Moskalami żołnierzy, złękłem się, czy przypadkiem Moskale nie urządzili gdzie jakiej zasadzki, bo było ich kilka razy więcej, a kto wie ile tam jeszcze było ich na wschodzie. Obawy moje nie były płonne. Pogoń doszła tylko do Wygnanki pod Czortkowem. Tam na wzgórzach Moskale już od kilku miesięcy robili przygotowania na wielką skalę, robili jakby fortecę. Wszystkich Austriaków, którzy przeszli

Strypę było 4.000. Z owych 4.000 ludzi wróciło nazajutrz do Buczacza tylko 900 ludzi. Reszta albo polegli, albo dostali się do niewoli, albo rozproszyła się po okolicy i pomału wracała do miasta. Po dokładnym obliczeniu skonstatowano, że stracono wówczas do 1.000 ludzi. Major Rybski poległ.

W Buczaczu powstał strach nie do opisania. Treny austriackie zaczęły wracać od strony Czortkowa, a Żydzi: „Gewalt!" porzucali natychmiast czarno-żółte chorągwie, a przypominając sobie, że nie dawniej jak wczoraj sponiewierali moskiewską państwową

chorągiew i portret cara, wiedzieli więc co ich czeka, bo Moskale mieli tu swoich szpiclów i szpiegów. Zabrawszy więc co mieli kosztowniejszego w tobołki zaczęli z wielkim lamentem uciekać na stację kolejową, lecz tu ich nie puszczono, a Madziarzy bili ich po głowach trzcinami, musieli więc uciekać pieszo aż do Monasterzysk. Kto ma serce tchórzem podszyte niech nie zaczepia ani niedźwiedzia ani lwa. —

— Na szczęście jednak na nowych automobilach przyjechało świeże wojsko i sytuacja się polepszyła. Za Moskalami jednak nie goniono, bo oni nie chcieli uciekać, tylko Austriacy zaczęli zakładać okopy między Trybuchowcami, a

a Dziurynem. Moskale zaś mieli okopy
między Dziurynem a Czortkowem.
Za wojskiem przybyły również austriac-
kie szpitale. Nie były one jednak tak
zasobne jak szpitale rosyjskie.
Do mej szkoły zjechał szpital numer
36. Gdy przyszła wiadomość o porażce
Austriaków pod Wygnanką, zaczęto się
na gwałt zbierać, wozy pakować,
prowianty i lekarstwa do skrzyń skła-
dać i miano już wyjechać o godzinie
11. w nocy, ale nadszedł rozkaz wstrzy-
mania się. Dopiero nad ranem zaczęto
na nowo budynek zajmować, bo Mo-
skali wstrzymano.
Niespodziewanie raz spotka-
ła nas wielka radość. Wyszła żona na

miasto, patrzy, jedzie na wozie nasz zna-
jomy magazynier kolejowy Konczyński
i daje żonie list od poczciwego Adama
Hetczyńskiego, obecnie lekarza wojsk polskich
i kolegi mych synów. Donosi, że syno-
wie nasi żyją i podał nam ich adresy.
Najstarszy Józio był chorążym w pułku
Bośniackim, a dwaj młodsi w Legionach
polskich. Można sobie wyobrazić naszą
radość, żona z radości płakała, a ja
nie mogłem dla siebie miejsca zna-
leźć. Zaraz postarałem się o papier, na-
pisałem listy do wszystkich trzech i do
Adasia Hetczyńskiego. Po upływie
dwóch tygodni otrzymaliśmy prawie
równocześnie wiadomości od wszyst-
kich trzech synów. Co to były za listy?

Ile to w nich było radości i miłości sy-
nowskiej! Najstarszy Józef zakochany
w pismach Słowackiego napisał do nas
list z taką serdeczną miłością i radością
z odnalezienia rodziców, że sam Sło-
wacki, gdyby żył, cieszyłby się, że ma
takiego naśladowcę.
— Zygmunt pisał mniej więcej tymi
słowy: „Siedziałem pod lasem w ro-
wie z karabinem w ręku i patrzałem
w niebo upstrzone gwiazdami, a szcze-
gólnie tu z Wołynia spoglądałem w ~~[illegible]~~
stronę południową, bo tam zostawiłem
rodziców moich, a myśli moje były
smutne, czy je ich kiedy w życiu zobaczę
i co się z nimi dzieje. Stale moskiew-
skie bzykały koło mej głowy, gdyż

siedziałem na pozycji, lecz każdy z nas
do tego przyzwyczajony, że się na świst
kul nawet nie zważa. Aż tu nadjeżdża
nasz poczmistrz, który wszystkim legio-
nistom listy rozwozi, mój dobry znajomy.
Siedział na wozie schylony, kołnierzem za-
krył uszy, bojąc się, aby mu kula do ucha
nie wpadła. „Dobry wieczór!" mówię
mu. Na moje pozdrowienie wyciągnął
głowę z kożucha jak żółw ze skorupy,
a poznawszy mnie, mówi: „A to pan?
Je tu dla pana coś mam." i podał mi
list. Księżyc już zaszedł, więc patrzę,
a to pismo mego ojca, czy mnie oczy nie
mylą? Czytam, wyciągnąłem nawet
lampkę ~~[illegible]~~ elektryczną — a list
całkiem mokry, czytać nie mogę.

to z radości łzy mi oczy zalały i pismo
zamokło."

Również i trzeci syn Marian
przysłał list serdeczny, w którym do-
nosił, że żyje i przyjedzie do nas na urlop.
Poszliśmy do kościoła, by podziękować
Panu Bogu, Najświętszej Pannie i Aniołom
Stróżom, którzy ich strzegli i za ich wielką
łaskę. Wszyscy trzej walczyli w Karpatach
przeciwko Moskwie. Józef pod Użokiem
był ranny w rękę, lecz szczęśliwie wy-
leczył się. Zygmunt zaś i Marjan bili
się pod górą Kliwą, przeszli przez tak
zwany „Pantyrpas" potem bili się pod
Zieloną, Nadwórną, Mołotkowem, Ra-
rańczą, a obecnie byli na Wołyniu.
Od początku byli pod komendą Józefa

Hallera i Zielińskiego w 13 kompanji i
szli w pierwszej czwórce przeciwko Mo-
skalom, a młodszy Marian na rozkaz
Hallera dał pierwszy strzał do Moskali
na polskiej ziemi od strony Karpat.

W czasie pierwszej moskiewskiej in-
wazji dziwili się księża i mi przyja-
ciele, że byłem prawie zawsze wesół, i
nie upadałem na duchu i pewny byłem po-
wrotu moich synów z wojny. Otuchę tę
czerpałem w modlitwie, wierzyłem
bowiem, że Pan Bóg zawsze wysłucha,
jeżeli się Go o coś z wiarą prosi, a
Aniołowie Boży strzec go będą.

— Po odejściu moskiewskiego szpi-
tala z Buczacza, pozostało po salach,
kurytarzach i na podwórzu wiele

słomy ze sienników tych ludzi, którzy pomarli na tyfus i cholerę. Myślałem więc, że Austriacy tę słomę wyrzucą i powiedziałem lekarzowi, co to za słoma, ale ten rzekł: „Wir müssen das nehmen, was wir haben, ~~w~~ weil jetzt ist kein Stroh zu bekommen." Zaś na słomę wyrzuconą na podwórzu, rzekł: „Das ist für die Pferde bestimmt und die Pferde werden Tiphus nicht bekommen." Zdziwiła mnie ta nieostrożność, lecz przekonałem się wkrótce, że nikt w mieście, ani w szpitalu podówczas [illegible] nie zachorował ani na tyfus, ani na cholerę. Gdym później z jednym lekarzem o tym mówiłem, rzekł:

„Zaiste, jest to rzecz naukowo nie wytłumaczona, bo właśnie w tym czasie cholera i tyfus przestały się nagle szerzyć nie tylko u nas, ale i w całej Europie."

Z przyjściem Austriaków ceny wszystkich towarów podniosła się pięciokrotnie. Lichwa i paskarstwo rozwielmożniły się do najwyższych rozmiarów, a Żydom teraz było wszystko wolno. Za czasów i rządów moskiewskich, gdy który Żyd odważył się podnieść niesprawiedliwie cenę towaru, prowadzono ich do „Ujezdu" i bito nahajką skórę, dlatego Żydzi ze strachu musieli być uczciwymi, teraz wolno im było łupić skórę z bliźniego. Do tego jeszcze ~~[illegible]~~ rozwielmożniło się denuncjatorstwo do

niebywały wymiarów. Opowiadano nam,
że za czasów inwazji moskiewskiej,
mieli Moskale jakąś: „Ochronę". Czy
ta ochrana była tego nie wiem. Było
wprawdzie kilka aresztowań, bo skarży-
li z zemsty najbliżsi sąsiedzi, tak
uwięziono naszych Kazimierza i Ostrow-
skiego, których oskarżyła córka maria-
wickiego księdza. Biedacy ci siedzieli
coś dwa lata w Rosji. Teraz żydzi
denuncjowali tak Polaków, jak i Rusinów
a powodem tego była konkurencja w han-
dlu. Żydzi nawet do Rosji jeździli po
towary, bo biada było katolikowi,
któryby im w drogę wlazł.
Z tego powodu wywieźli Moskale Matuszyńskiego,
Pierackiego, Piaska, Gerwaldówny,

Rogozińskiego, Wiśniewskiego, Kudasiówny,
a nawet starego powstańca z roku 1863
Niedera, za którym z kolegą Heffernik-
lerem musiałem jechać do Stanisławowa
i bronić go. Wielu z nich odesłano do
Tellerhofu w Tyrolu i tam więziono ich.
Jak scharakteryzował żydów pewien rosyjski
oficer jeszcze za czasów inwazji rosyjskiej
Obito raz nahajką żyda za jakieś szacher-
stwo, gdy zaś zapytałem, dlaczego oni tak
ostro z żydami postępują, a on mówi:
„Żydzi są wyrzutkami całej ludzkości
i na to zupełnie zasłużyli, aby nimi gardzić.
Przyczyną tego jest talmud i inne talmudyczne
pisma, które lud ten w tak niegodny spo-
sób wychowują. Żyd nie będzie nigdy ani
Polakiem, ani Niemcem, ani Moskalem,

dopóki nie uwierzy w Chrystusa i nie przyj-
mie wiary chrześcijańskiej. Trafiają się
wprawdzie między żydami ludzie szanowni
i uczciwi i o nich to mówi się za wiele,
a dlaczego? Żydowstwo jest to arkusz
czarnego papieru, na którym znajduje się
jakaś biała plama. Kto na taki arkusz
patrzy, powie: „Przecież tu jest plamka
biała", i będzie o niej mówił. Otóż tych
kilku szlachetnych i uczciwych żydów są
to ową białą plamką na czarnym tle.
Plamka ta jednak nie wpłynie na to, byśmy
ów czarny arkusz białym nazwali. Żydzi
są nieszczęściem narodu wśród które-
go mieszkają. Tak było niegdyś z Egipcja-
nami, ale mądrzy faraonowie wypędzili
ich. Zniszczyli oni dzielny naród Fili-
styńców, zniszczyli Hiszpanię i Niemcy. Obecnie
niszczą Rosję, Polskę i do Austrii się wezmą.
Powiadam panu, że Europa prędzej czy
później ocknie się i źle będzie z nimi.
Historia odnawia się. Oni gromadzą skarby,
nie przebierają w środkach, a narody pa-
trzą i milczą, lecz nienawiść i pogardę
dla tego ludu w sercach swych niosą,
a przyczyną tego jest chciwość żydow-
ska. Zresztą oni sami na siebie klątwę
Bożą ściągnęli, przecież pan wie o tym, że
Piłat nie chciał Pana Jezusa na śmierć
wydać; a oni wołali: „Krew Jego niech spa-
dnie na ~~[illegible]~~ nas i na nasze dzieci."
— Według mego mniemania chciwość
u żydów wyrosła się przez handel, widzia-
łem również także katolików, chrześci-

perskich kupców i poskarży, których wszyscy wypielęgnowała, nie byli oni lepszymi od żydów.

— Po doznanej porażce pod Wygnanką założyli Austriacy pół mil wyżej powiatrzia-tem nowe okopy na wschód od Bu-cnacza. Okopy te szły przez pola w Medwedowcach, Pilawy, Petlikowcach Dobropola i dalej na północ. Nie było nocy, w którejby nie było pożaru, aż po-dziw brał skąd tyle budynków się brało, żeby codziennie palić. Co noc reflektory ujawniały całe niebo w różnych kie-runkach, zdawało się, że to zorza północna, brak tylko było różnokolo-rowych świateł. Za reflektorami biły armaty, bezustannie grzmiał grzechot

karabinów maszynowych i ręcznych. Tak działo się całymi miesiącami. Żołnierze mó-wili się austriackie pozycje są nie do zdo-bycia i że tu stać będą tak długo, dopó-ki nie przerwą gdzieś frontu mostiacw-skiego i pójdą dalej. Myśmy temu wierzyli. Codzień zwożono nowe arma-ty, nowe koce, kotki i coś tam z tego było prawdą. Również codzień zwożono do szpitala nowych rannych Austria-ków, a nawet i Moskali.

Jednak ten szpital nie był tak zasobny jak szpitale wojskowe, liczono się bar-dzo nietylko z żywnością, ale i z artyku-łami aptecznemi. Lekarzem był żyd ustowiski gnuśny, gdy wszedł do sali rannych i stanął koło chorego, to

i świstał na niego jak na psa, aby się
odkrył. Jak niegdyś Szwarcman, chociaż
również żyd, odznaczał się delikatnością,
inteligencją i może nie było szlachetniej-
szego człowieka od niego pod słońcem,
tak ten nie był wart Szwarcmanowi
nawet butów czyścić.
Straż sanitarna składała się z różnych
narodowości. Byli tam Niemcy, Czesi, Dal-
matyńcy, Włosi z Tyrolu i Gorycji,
Madziarzy, Polacy. Głównym wachmistrzem
był Węgier wyznania mojżeszowego.
Nazywał się Kulczar. Żydów galicyjskich
nie cierpiał i mówił często:
„Co ma wiara do narodowości? Przecież
można być Francuzem, Niemcem, Pola-
kiem i być przytem wyznania mojże-
szowego, tylko żyd galicyjski tego nie
rozumie i nam wszystkim, którzy wyznaje-
my religję żydowską, żydzi galicyjscy ~~[illegible]~~
wstyd robią.
Odpowiedziałem mu nato, że i u nas są
Polacy wyznania mojżeszowego, wśród na-
wet literatów i bardzo dobrych patrio-
tów polskich.
Kulczar trzymał żołnierzy
ostro i nigdy nie pozwolił im próżnować, bo
mówił, gdy żołnierz nie pracuje, to zaraz
wszczyna kłótnie i sprzeczki, a nieposłusz-
nych żołnierzy wysyłał na front, dla
dobrych i spokojnych był miękki i
sprawiedliwy, takich ludzi wiele cenił.
Na podwórzu w kotłach ~~[illegible]~~ wystawił
on łaźnię, która przetrwała do ~~[illegible]~~ końca wojny.

Był tu także pension wiedeński restau-
rator, który umiał tresować wojenne psy,
aby umiały wyszukiwać rannych na polu
bitwy. Za swoją sztukę został
kapralem i dostał medal. Raz stałem
na schodach, a ów kapral mówi do psa
po niemiecku: „Zdejm panu kapelusz
z głowy!" Pies popatrzył na mnie, ale
rozkazu nie wykonał. Wziąłem wówczas
na głowę wojskową czapkę, a pies na
rozkaz pana zaparł się delikatnie
przednimi łapami na mnie i czapkę zdjął.
Potem ukryłem się w krzakach i położyłem
się na ziemię. Pies na rozkaz swego
pana poszukał mnie, wrócił do niego
i sprowadził go do mnie. Był to pies

w rodzaju wilczura i kosztował 6.000
koron. Na owe czasy była to suma pie-
niędzy bardzo wielka.

— Porucznik sanitarny, były urzędnik
bankowy, miał ordynansa, który w stanie
cywilnym był jego szefem. Gdy kto do
porucznika przyszedł, ordynans mu
usługiwał, gdy zaś gość odszedł, byli
sobie równi. Ot tak wojna zrównała
wszystkich.

— Do muzyki działowej i ka-
rabinowej przybyły teraz aeroplany.
Spadł właśnie świeży śnieg. Przy peł-
nym świetle księżyca przelatywały
trzy w szyku aeroplany, okrążały miasto

w kilku kierunkach i zaczęły rzucać bomby.
W samym rynku niósł ubogi żyd wodę na koromysłach. Jego wojna nic nie obchodziła, szedł, pracował, lecz chciał żyć. Naraz padła przed nim bomba, pękła i rozszarpała biednego człowieka.
Od tego czasu niechby się pokazał jaki aeroplan, tak wszyscy ludzie chowali się po domach. Nie zawsze to jednak pomogło. Za Czarnym Mostem bomba przebiła dach domu i zabiła żydówkę, która spała z trojgiem dziećmi na łóżku. Matka zginęła, dzieciom nic się nie stało, tylko zostały sierotami.
U pani Ruczyńskiej, też przy stacji kolejowej spało trzech telefonistów, bomba spadła przez dach, przebiła sufit i wszyscy trzej telefoniści zginęli.
Córka trafikanta, bardzo ładna panna stała przy oknie, naraz spadła bomba tuż za murem. Nagły huk tłucze szyby na drobne kawałeczki, które żydóweczce pokaleczyły całą twarz.
Innym razem bomby zabiły sześć koni. – Może o dziesięć kroków od szkoły na Fidorze postawili Austriacy dwie armaty, które miały wystrzeliwać nadlatujące aeroplany. Powstawały wówczas istne bitwy, bo z dołu strzelano w górę do samolotu. Tam w górze szrapnel pękał i robiła się z wystrzelonego dynamitu mała chmurka. Takich chmurek było naraz kilkanaście, ale aeroplanu nie trafiono. Raz przypatrywał się tej strzelaninie jakiś wachmistrz od piechoty i rzekł:

„Nie umiecie strzelać"
Rozgniewany oficer, rzekł:
„Spróbuj sam."
Wachmistrz wymierzył i trafił. Chłop strzela, Pan Bóg kule nosi. Samolot zaczął się zniżać i spadać, zaleciał do Pilawy i ugrzązł w środku stawu pomiędzy austriackimi, a moskiewskimi pozycjami. Jedni i drudzy chcieli go dostać i bili się o ten samolot dwa dni, aż go zupełnie zniszczeli.
Wachmistrz jednak musiał uciekać, bo zawstydzeni artylerzyści byliby go zatłukli.
— Z powodu bliskości baterji samoloty wszystkie rzucały nieraz na naszą szkołę do 30. bomb, żadna jedna jednak nie trafiła. Padały one na podwórze i ogrody sąsiednie, gdzie

wybijały olbrzymie jamy, a czasem wpadały do rzeki. Urzędnik sądowy, człowiek starszy wiekiem, nazwiskiem Szebesta, tak ulęknął się wybuchających bomby, że dostał szału i umarł.
Nieraz z obydwu stron wylatywały samoloty i rozpoczynała się bitwa, na którą my z dołu patrzyliśmy się. Samoloty latały w powietrzu jakby jakie bajeczne olbrzymie ptaki, krążyły w około, a każdy chciał być wyżej nad swym przeciwnikiem i strzelały do siebie, lecz w końcu bez rezultatu wracały do siebie.
Ale nas wszystkie aeroplany narobiły wielkiego bigosu. Było to w maju r. 1916. Przelatywało nad Buczaczem sześć

rosyjskich aeroplanów i poleciały wprost do Monasterzysk. Tam na rynku stały austria- ckie tabory. Burmistrz miasta, żyd, urządził w sali magistratu zabawę i prosił na nią oficerów, ale ci odpowiedzieli: „Nie czas teraz na zabawy" i nie poszli. Wtem nadleciały samoloty, obrzuciły bombami tren i miasto. Zginęło w ta- borze kilkanaście koni i kilku żoł- nierzy, jedna bombe spadła na ma- gistrat, przebiła dach i sufit w sali bawialnej i zabiła kilkanaście kobiet. Inna wpadła na dom restauratora Szi- tera i zabiła mu matkę. Potem samoloty wróciły ponad Buczaczem najspokojniej do domu. Wprawdzie mówili żołnierze austriac- cy, że pozycje ich są nie do zdobycia, ale było wiele osób wojskowych i cywilnych, którzy temu nie wierzyli, bo mostu kolejowego, ani tunelu nie naprawiano, a przy mostach wo- zowych stała silna warta i były tam porozkładane miny. Raz w zimie ze z początkiem roku 1916 śniło mi się, że trzeci z rzędu mój syn Marian, uśmie- chnięty zaglądał do mego pokoju. W szkole mej było zawsze pełno żołnierzy i ze różnymi potrzebami przychodzili do kuchni, jeden prosił o pożyczenie garn- ka, inny chciał sobie na maszynie coś uszyć tak, że nawet na nich nie zwracało się uwagi. Tegoż dnia ktoś zastu- kał do drzwi, wszedł i stanął koło nas.

Odwracamy głowę i spostrzegliśmy śmiejącego się
Mariana. Można sobie wyobrazić naszą ra-
dość, gdyśmy go zobaczyli, bo półtora roku
nie było go w domu. Był to pierwszy
legionista, który po tak długim okresie
czasu zjawił się w mieście. Wnet do-
wiedział się o nim cały szpital, i zaraz
mnóstwo było interesantów, bo każdy
chciał go zobaczyć. Był to teraz chłopak
wesoły, uśmiechnięty, o panieńskiej gładkiej
twarzy, o głowę wyższy ode mnie, a przytem
silny i zgrabny. Opowiadał nam o swoich
przygodach, przejściach, nieszczęściach, bitwach.
Odbył całą karpacką kampanię. Jeszcze
owego słynnego przejścia przez Pantyr nie
było, gdy Józef Haller ze swoją trzynastką
(13 kompanja) przeszedł przez to zwalisko i

wąwozy. Marian ze starszym bratem Zygmuntem
szedł w pierwszej czwórce na szpicy i tam już
na polskiej ziemi na rozkaz Józefa Hallera
dali pierwszy strzał do Moskali. Potem
obaj zachorowali na tyfus i długi czas
byli chorzy. Dziwna rzecz, myśmy w Bu-
czaczu przeczuciem wiedzeni zawsze wie-
dzieli o tym, że jeśli który z naszych sy-
nów był chory. Wówczas do Buczacza z
powodu bliskich pozycyj na urlop nie było
wolno przyjeżdżać. Dla legionistów jednak
rozkaz taki nie miał znaczenia. Bili
się jak lwy, ale nie pozwolili się zacze-
piać. Pomimo tego szpicle za nim cho-
dzili, lecz gdy się dowiedzieli, że to mój
syn, dali mu spokój. Był u nas dwa

tygodnie, a czas ten minął, jakby biczem trzasł. Był on wówczas w randze plutonowego. W kilka dni po odjeździe Mariana dostaliśmy telegram ze Stanisławowa od najstarszego syna Józefa, który wówczas był już chorążym w [illegible] pułku, byśmy do niego przyjechali. Pojechaliśmy zaraz. Przez ten czas niewidzenia się z nami zmężniał, odznaczony był srebrnym medalem za waleczność w bitwach z Moskalami, był niższy od Mariana, ale za to poważniejszy, bo o kilka lat starszy. Mieliśmy w Stanisławowie wielu przyjaciół jak, państwo Zaklikowie, Stefanowie i tak nam czas mile schodził, żeśmy się zdziwili, iż ten urlop tak prędko się skończył, a nadszedł smutny

dzień pożegnania. Tylko ten może pojąć smutek i żal rodziców, kto wysyłał syna na wojnę. Żalu tego opisać się nie da. Jeżeli córkę wychodzi zamąż i żegna się z rodzicami, jadąc w świat ze swym wybranym, to matka trochę popłacze, lecz to są łzy radości, zaś co innego wysyłać syna na wojnę, bo kto wie, co się z nim stać może. Może to już ostatni raz żegnamy się?

O tym, że nas spotka tak wielkie szczęście, że będziemy mieli wolną i niepodległą Polskę, nikt nawet marzyć nie śmiał. O tym może w tym czasie nawet sam Piłsudski i Dmowski nie marzyli. Spodziewaliśmy się tylko szerszej autonomii. Głębsi jednak myśliciele, mówili;

że ani Niemcy, ani Rosjanie tego nawet
nam nie dadzą, bo to narody barbarzyń-
skie, łupieżcy, złodzieje majątków i władzy,
dzisiaj jak wampiry żyją cudzą krwią.
Każdy jednak milczał, bo się bał. —
Nikt jednak nie znał wyroków
Boskich.

Tylko jeden mój syn Zygmunt,
który służył w drugim pułku ułanów,
tak zwanych Ortopaków w randze wach-
mistrza i komendanta drużyny karabinów
maszynowych, nie mógł przyjechać, bo
był na froncie nad Stochodem.
Pisał listy długie i dokładne z opisem
bitew, w których brał udział. Listy
te później w czasie inwazji Tuchaczewskiego
przepadły. Jeden z tych listów o ile sobie
przypominam był mniej więcej tej treści:

„Była przed nami szeroka wołyńska równia,
ne pokryta bagnami i lasami, przecina ją
rzeka Stochód. Cały dzień przez wodę strze-
laliśmy do Moskali, a oni do nas, aż
jakiś chłop pokazał im drogę, którędy
oni rzekę w bród przeszli. Byliśmy
na to przygotowani, otworzyliśmy do nich
ogień karabinowy. Byli to Kozacy i
Czerkiesi. ~~Kilk~~ Zastrzeliliśmy czterech, a
kilku ranili, a reszta uciekła. Teraz
zmęczeni wleźliśmy do chaty stojącej
tam nad brzegiem rzeki i zasnęliśmy. Po-
bawienie w naszych portugalskich na
nocne, drapieżne, krwiożercze zwie-
rzęta, które nam wszystkim dokucza-
ły. Mieliśmy i dwie, które pilnowała.
Ponieważ było ciemno, przeto nikt nie

nie widział, że konnica kozacka przeszła
znów przez rzekę i zaczęła nas atako-
wać, strzelając z karabinów. Konie
kozackie są tak tresowane, że na dany
rozkaz kładą się na ziemię, a kozacy
chowają się za nimi i strzelają. Byliśmy
ze wszystkich stron otoczeni. Zerwaliśmy
się czemprędzej i już nie drzwiami ale
przez okno wyskoczyliśmy wprost do wo-
dy, tak brnęliśmy w wodzie prawie ki-
lometr i doszliśmy do połamanego mostu,
z którego zostały tylko pale, a woda w
tym miejscu na cztery metry głęboka.
Moskale wciąż za nami strzelali, ale da-
remnie proch psuli; nikogo nie trafili.
Coby to się mogło było stać, gdybym pływać
nie umiał. Przypłynąłem do pierwszego

pala, odpocząłem i znów dalej, aż stanąłem
na brzegu i tu złapałem swego chłopca,
który Moskalom bród pokazał. Uchwyci-
łem go za kark i przyprowadziłem do obo-
zu."
— Co się tyczy pływania, to uważałem
za sport bardzo pożyteczny i każdy mój
chłopiec już w szóstym roku swego ży-
cia pływał doskonale. W tym celu
kazałem blacharzowi zrobić dwie bań-
ki z białej blachy w kształcie podłużnej
rury (wałka) szczelnie z obu stron za-
lutowanych, do nich przylutowane były
kółka w celu zawieszenia sznurka.
Na dwóch takich pływakach puszcza się
chłopca na wodę, a ręczę, że w przecią-
gu tygodnia ~~doskonale~~ doskonale pływać będzie.

Około roku 1900 byłem nauczycielem w Bełzie, tuż pod miastem płynie wąska, ale głęboka rzeka Sołokija, a w jednym miejscu na skręcie jest tak głęboka, że nie ma człowieka w Bełzie, któryby tam zgruntował. Raz poszedłem tam z mym trzecioletnim synem Zygmuniem, usiadłem na brzegu i zupełnie nie zauważyłem, że chłopiec wzebrał się i skoczył do wody. Przez jakiś czas nie było go widać, ja zaś za nim skoczyć nie mogłem, ale się patrzę na niego. Aż tu na środku głębiny wypływa chłopiec na powierzchnię wody z uśmiechem i wesołą twarzą płynie do brzegu. Podziwiałem jego odwagę i zręczność. Już to każdy chłopiec już od najmłodszych lat powinien się uczyć sztuki pływania, bo nikt nie wie w jakich warunkach nauka ta przydać mu się może.

Ze spisku Roża.

Aniołów Stróżów łaska nad mymi synami, poznałem z następnego listu Mariana, w którym opisywał przygodę starszego brata, który wraz z innymi trzema ułanami przebywał w wiejskiej chacie nad Styrem. Naraz wpada do ~~...~~ chaty moskiewski granat, pęka, zabija jednego ułana, a reszta zostali nietknięci.

Tak mijał dzień za dniem, tydzień za tygodniem bez żadnej nadziei zakończenia wojny. Tylko gazety donosiły o wielkich ofenzywach i bitwach na włoskim froncie, zawsze dla Austriaków zwycięskich, a jednak przechwałki te były podobne do wrzasku żyda,

którego ~~ok~~ chłop na podwórze przydusił,
a sam krzyczał: „Wieźcie go ze mnie, bo go
wziędę!"
— Spostrzegliśmy jednak, że służba
szpitalna zaczęła wozy smarować, oglądać
uprzęży, podkuwać konie, a chociaż od
żołnierzy nic stanowczego my się dowie-
dzieć nie mogli, domyślaliśmy się, że
pozycje Austriaków na froncie nie ko-
niecznie są tak pewne, jak mówią.
Było to właśnie Wielkanoc r. 1916.
Moskale będący na pozycji w Dzi-
rynie przysłali żołdata z białą chorą-
gwią do Austriaków z propozycją za-
wieszenia broni na 24 godziny, na co
Austriacy natychmiast się zgodzili. Wów-
czas Moskale przysłali Austriakom

różne podarunki jak herbatę, cukier, tytoń
i kołacze. Austriacy rewanżując się posła-
li im wina, wódki i rumu. Nie dość na
tym, poszli nawet do Moskali, tam ich ugo-
szczono i puszczono napowrót do swoich.
Potem również kilku Moskali przyszło do
linji austriackiej, skąd ich zawieziono
aż do Przewłoki, gdzie przebywał wów-
czas sztab austriacki, tam bawiono się
wesoło aż do upływu zawieszenia broni.
Gdy jednak Moskale chcieli wrócić do swo-
ich, już ich nie puszczono. Na protest Mo-
skali odpowiedziano im:
„My też z wami nie mieliśmy żadnych
sekretów, przyszliście na nasze pozycje
bez zakrycia oczu (ohne Augenverband), a
niejeden z naszych mógł się przed wami

z czemś wygadać. Nie wiemy, kto jesteście, może między wami ukrywa się jakiś znakomity ~~[illegible]~~ obserwator, dlatego wybaczcie, że was nie puścimy." Była to ostrożność ze strony Austriaków dobra, czyn jednak był niemoralny i niehonorowy.

W ten pierwszy dzień wielkanocny po przeszło półtoramiesięcznej strzelaninie był wszędzie spokój, nie było słychać ani jednego strzału karabinowego. Wszyscy mieszkańcy bez względu na religię, lub wyznanie i stan z wielką powagą dzień ten obchodzili. Naraz w samo południe jakiś austriacki artylerzysta (Beobachtungsoffizier) posłał w stronę Moskali strzał armatni, jak mówiono przez pomyłkę.

W tej chwili Moskale odpowiedzieli, ale strzał ich był tak silny i ostry, że kula eksplodowała na Fedorze, całe miasto zadrżało, zaś w budynku szkolnym wszyscy ranni zerwali się, gdyż eksplozja ta była niedaleko od nas. Żołnierze w mieście powstrzegali, ale więcej strzałów nie było.

Trzydniowy spokój był również w czasie świąt Bożego Narodzenia r. 1915., lecz nie z powodu zawieszenia broni, ale niezwykłej zawiei śnieżnej. Śnieg zasypał wszystkie drogi i wąwozy, a żołnierze w obu przeciwnych pozycjach nic nie jedli, bo nikt nie mógł się do nich dostać z prowiantem. Obie strony opowiadały, że gdyby wówczas przyszedł

nieprzyjaciel, byliby się bez strzału i bez bitwy poddali.

Starostą w Buczaczu był wówczas radca Dniestrzański, a pracy w starostwie było bardzo wiele. Pomiczas bezrobotnych nauczycieli było w Buczaczu do 20 osób, przeto wezwano je do pracy biurowej, a mnie powierzono opiekę nad nimi, byłem niby „Wojskim" z dawnych czasów.

Starostwo mieściło się w zabudowaniach O.O. Bazylianów. Musiałe jakimś sposobem wyszperali, że tam się też urząd znajduje, przysłali aeroplan i nuż z góry rzucać bomby. Wszyscy uciekli na kurytarze, ja zaś siedziałem za stolikiem koło ściany niedaleko okna. Naraz padła

bomba tuż obok okna, a wszystkie szyby wysypały się na proch i mnie całego obsypały, lecz ja pisałem dalej. Współtowarzysze pracy pytały mnie, czy ja się nie boję, ja na to odpowiedziałem:

„Przedtym nie bałem się, bo nie wiedziałem, że bomba obok mnie spadnie, teraz zaś, gdy już spadła, nie mam potrzeby się bać."

Tak się mówiło, ale drugi raz nie chciałbym próbować.

— Przyjechał do Buczacza namiestnik hrabia Coulard i zamieszkał u hrabiego Potockiego w pałacu na Gawronicu, gdzie mieszkał również generał Rehmen i jego sztab.

Coulard wraz ze swoim adjutantem majorem Szukmińskim chiał

zobaczyć pozycje i pojechał automobilem do wsi Medwedowce. Zdaleka spostrzegli go Moskale i zaczęli do samochodu strzelać z armat. Pierwsza kula spadła o 40. kroków przed nimi, druga nieco bliżej, a trzecia uderzyła tuż za nimi wprost w gęściniec, wyrzuciła dużo kamieni, a te padając w różne strony ugodziły Kuźmińskiego i podarły mu płaszcz. Wówczas Coulant kazał zatrzymać samochód i wrócił do Buczacza.

W starostwie przyjmował naczelne władze różnych instytucyj. Komisarz miasta Józef Keffenmüller prosił o zaprowiantowanie miasta, bo mieszkańcom ~~grozi~~ grozi głód. Coulard, słysząc to, pokazał palcem na swą łysą głowę

i rzekł: „Czy widzi pan tych kilka włos, sów na mej głowie, bez z turbacji i te mi powypadają, bo na razie w tej sprawie nic poradzić nie mogę, lecz gdy tylko uda mi się coś wydostać, to o Buczaczu pomyślę." Skończyło się jednak tylko na obiecance. Deputacji księży przyjąć nie chciał, ale w końcu pozwolił im przyjść tylko na jedną minutę. Namiestnik zupełnie nie przyjął, bo gdzie Mars panuje, tam Muzy milczeć muszą.

Z początkiem miesiąca maja r. 1916 starostwo zabrało wszystkie akta i przeniosło się do Nižniowa, mieszkańcom zaś ogłoszono, że urzędnicy potrzebują do pracy spokoju. W pozostałych wilkarpach

polecono mi założyć szkołę dla chłopców
i dla dziewcząt i dano mi do pomocy
10. nauczycieli. Zarządziłem wpisy i
zgłosiło się 614. chłopców i 596 dziewcząt
Po różnych domach zaczęliśmy szukać
nieco ławek i desek i jedna sala miała
już prymitywne urządzenie. Generał
Rehmen oświadczył starszyźnie, że da
potrzebną ilość desek, a nawet nie-
co ławek, które żołnierze przedtem po
wsiach pozabierali.
Ubrałem się więc czysto i udałem się do
Rehmena. Przy bramie ogrodu pała-
cowego stała straż złożona z siemiu żoł-
nierzy, samych Madziarów. Wachmistrz
zapytał mnie po węgiersku, gdzie się udam:
„Idę do generała."

On zrozumiał słowo: „Generał" i kazał
jednemu żołnierzowi zaprowadzić mnie
w głąb ogrodu. Tam znów siedział
na ławce jakiś porucznik, który
umiał po niemiecku. Temu znowu
miałem powiedzieć cel mego przybycia.
Ten zaprowadził mnie kawałek drogi
i wskazał ręką na starszego oficera,
siedzącego na ogrodowej ławeczce.
Był to sam Rehmen. Obok niego leża-
ło mnóstwo niemieckich gazet, które
przeglądał. Tuż obok niego stał długi
stół nakryty pięknym białym obrusem,
na nim talerze, szklanki, karafki z
wodą, flaszki z winem, kieliszki noże,
widelce i łyżki, coś na 20 osób.
Obok stołu kręcił się jakiś

właściciel pułkownik Kuchen, w biełutkim
jak śnieg ubraniu i białą czapką na
głowie. Widocznie miano jeść obiad.
Generał spostrzegł mnie, a gdym mu
się przedstawił, mianując go ekscelen-
cją, prosił mnie usiąść obok siebie
i zapytał czego żądam. Opowiedziałem
mu cel mego przybycia. Wysłuchawszy,
skinął na dyżurującego oficera i
polecił mu poprosić majora Ku-
śniarskiego. Tymczasem pytał mnie
o stosunki rodzinne. Powiedziałem mu,
iż mam czterech synów, najstarszy jest
oficerem austriackim, dalej młodsi poszli
do Legionów, a czwarty w szkołach.
Wówczas Rekmen rzekł:
„Polnische Legionäre sind brave

und tapfere Helden, ich wünsche
Ihnen solche Söhne zu haben."
Nadszedł major, a Rekmen rzekł po nie-
miecku: „Trzeba spełnić wszystkie życze-
nia pana dyrektora."
Major Kuśniarski obiecał mi dać większą
ilość ławek, desek, czterech stolarzy, pa-
ru ślusarzy kowali, by w parze obok kla-
sztoru O.O. Bazylianów wykuli:
„Fuchsloch" t.j. taką pieczarę, w któ-
rej by się dzieci chowały w razie napa-
du moskiewskich aeroplanów.
Rzeczywiście nazajutrz rano otrzymałem
16. połamanych ławek, ale stolarzy
ani ślusarzy do wykucia „Fuchsloch"
nie przysłano mi. Domyślałem się zaraz,
że na froncio musi być źle, bo taki

poważny generał na świat nie puszczałby
nowych słów. Strzelanina na froncie
była coraz żywsza, a samoloty ro-
syjskie rzucały coraz częściej bomby,
które padając robiły w kamienistym
gruncie głębokie i szerokie jamy, roz-
nosiły wokoło nieprzyjemną woń i po-
kryły ziemię żółtym pyłem.
Raz rzucano na naszą szkołę coś trzy-
dzieści bomb, lecz żadna z nich nie
trafiła, ani nie wybuchła. Mówiono,
że to były bomby japońskie, które Japończy-
cy Moskalom umyślnie darowali; o ile
w tym prawdy, tego nie wiem. Austriacy
wykopywali je z ziemi, ale z wielką
ostrożnością.

Cmentarz.

Ilość zmarłych w szpitalach wzmogła się, codzień
było kilka pogrzebów. Tu wspomnę, że o ile
Moskale z początku, zapewne z powodu
zdenerwowania, chowali zmarłych bez żad-
nego porządku i gdzie się dało, tak zaraz po
przyjściu Austriaków cmentarz uporząd-
kowano, porobiono szerokie drogi, poznaczono
symetrycznie groby, a cały cmentarz ogro-
dzono drewnianymi sztachetami, na środ-
ku cmentarza postawiono duży krzyż
z niemieckim napisem:
„Zmarłym w obronie ojczyzny bohaterom."
Moskiewskie drewniane trzyramienne krzyże
poprawiono, a niewyraźne napisy na krzy-
żach przemalowano na nowo olejną farbą
i nie robiono żadnych różnic między

zmarłymi żołnierzami, mówiąc: „Oni tam u Pana Boga nie są nieprzyjaciółmi." (Im Himmel beim Gott gibt es keine Feinde)"

W dniu Wszystkich Świętych 1. listopada r. 1915. odbyło się na tym cmentarzu solenne nabożeństwo. Groby były oświecone małymi świecami. Był generał ze swoim sztabem, żołnierze stali w szeregach. Księża czescy, chorwaccy, węgierscy i niemieccy mieli po kolei krótką przemowę. Muzyka wojskowa grała modlitwę przed bitwą zaczynającą się od słów:

„Ojcze, ja wzywam Cię."

W czasie tego nabożeństwa na północy i na wschodzie biły armaty, aż ziemia się trzęsła, nie były to strzały wiwatowe,

lecz leciały śmiercionośne szrapnele i granaty; w około słychać było i to bezustannie grzmot karabinów maszynowych i ręcznych. Tonący spokój był na cmentarzu, tak było uroczyście i cicho, jakby się obawiano pobudzić tych zmarłych, którzy tu leżą na cmentarzu. Nabożeństwo to zostanie mi w pamięci na zawsze.

Po odwrocie Austriaków piękny ów parkan pidżawidki do szczętu wykradli tak, że musiano postawić nowy, kradli nawet drewniane krzyże z grobów, które Moskale postawili, bo na Buczaczu takiej o krzyż kamienny lub mur kamienny niżeli o drewniane sztachety.

W czasie nowej inwazji Kiereńskiego Meska-
le cmentarz znów rozszerzyli, otoczyli ka-
miennymi słupami, ogrodzili drutami.
Robót jednak nie mogli dokończyć. Kilka
grobów wojskowych jest murowanych, na
jednym z nich wykuto świętego Jerzego,
jak zabija smoka. Jest także kilka
nagrobków mahometańskich i żydowskich.
Mahometańskie groby są murowane w
kształcie obelisku, na którym wykuto
półksiężyc, na grobach żydowskich jest
wyryta płyta kamienna z wykutą
gwiazdą.

Niegodziwi zaborcy siedząc
na swych złocistych tronach, wysyłali
dla swych egoistycznych celów całe ple-
miona różnych ludów, aby się tu

mordowały i marły pod obcym dla nich
niebem, na obcej ziemi i zdala od rodzin-
nych domów. Ileż to takich grobów
jest w całej Polsce ?!
Robotnik je zorał. ~~Kied~~ Kiedyś po wie-
ku i wielu latach może kości tych wojowni-
ków ktoś znów przypadkiem wykopie,
a tymczasem ~~ja~~ jak mówi poeta:
„Aż ich piersi, to snop żyta,
To złocisty kwiat wykwitnie"
Niech im Bóg da wieczne odpoczywanie,
a ja wracam do mej szkoły.
Już to może żaden nauczyciel w Pol-
sce, ale może na całej kuli ziemskiej
nie uczył w takiej szkole, jak ja.
Zastałem klasę otwartą. W klasie
ławek nie było, ale za to stało tam

rześcdziesiąt beczek wiadrowych napeł-
nionych wódką i rumem. Ja zaś miałem
dużą beczkę napełnioną spirytusem.
Siedziałem na niej jak Mefistofeles, a
uczniowie moi jak małe diabełki. Prze-
nikliwy zapach spirytualiów straśnił
powonienie, a przez otwarte okna
słychać było coraz głośniejszy grzmot
armat i karabinów, a prawie codzień
przelatywały wszystkie samoloty i rzucały
bomby. Teraz jednak były na straży
miasta wielkie trąby zwane syrenami
i gdy tylko żołnierze spostrzegli [crossed out] zbliżający
się wszystki [crossed out] aeroplan, grali na
syrenach, a ludność chowała się po domach
a my z uczniami i uczennicami uciekaliśmy
do cerkwi O.O. Bazylianów.

Raz w niedzielę prowadziliśmy dzieci
do kościoła. Było nas do 600 osób.
Szliśmy parami w porządku, każda na-
uczycielka koło swej klasy. Naraz zjawiły
się wszystkie samoloty, i nuż do nas strze-
lać, myślano zapewne [crossed out] z góry,
że to idzie wojsko. Kule rozlatywały się
po całym mieście, spadały na dachy,
lecz my najspokojniej przyszliśmy do ko-
ścioła. Widocznie z karabinów ma-
szynowych, ustawionych na [crossed out]
[crossed out] samolocie, nie tak łatwo tra-
fić.

Drugi najazd Moskali.

Około pierwszego czerwca r. 1916 były bitwy
i to zacięte bitwy pod Uściaszkiem i pod

Jazłowcem, gdzie prawie całe miasto
spalono, a rude moskiewskie dochodziły
aż do Potoka Złotego. Wszystkie austria-
ckie rezerwy poszły do Uściecka. Tym-
czasem w dniu 3, 4, 5. i 6. czerwca było
bardzo mglisto i chmury ciężką oponą
zasłaniały niebo. Dopiero 7. czerwca uspo-
koiło się i wypogodziło, więc austriacki
samolot wyleciał, by zbadać okolicę i
sytuację wojenną. My zwykli profani
o niczym nie wiedzieliśmy. Samolot
wkrótce wrócił, bo skonstatował, że na
polach pod Dżurynem stoi olbrzymia
armia i zbliża się do Buczacza. Dla
dokładniejszego zbadania jeszcze dwa razy
z Buczacza samolot wylatywał.
Tymczasem do Buczacza zjechali w naj-

lepszej myśli starosta Dniestrzański i inspe-
ktor szkolny Zenon Zaklika. – Chwalili
mnie za wzorowe urządzenie szkoły!
(na beczkach ze spirytusem) a pan
Dniestrzański rzekł: „Za podtrzymanie
dobrego ducha w mieście dostanie pan
złoty krzyż.” Śmiałem się z tego, bo my
polscy nauczyciele z austriackich odznak
i krzyżów zasługi nie robiliśmy wiele.

— O godzinie 5-ej wieczorem wypu-
ściliśmy dzieci ze szkoły, a tu w mieście
cisza! Na mieście nie ma żadnej
warty, żołnierzy w mieście mało,
treny w szybkim tempie jadą w stro-
nę Monasterzysk. Idę do mego pomieszka-
nia. W całym budynku hałas, zgiełk,
bieganina, jak to zwykle bywa w czasie

nagłego odwrotu. Na ulicy pełno wozów i
samochodów obładowanych szpitalnymi
rzeczami i już gotowymi do jazdy.
Żona oczekiwała mnie z niecierpliwością,
gdyż nie wiedziała, co robić. Zostać
z Moskalami nie chcieliśmy pod żadnym
warunkiem, wszak trzej nasi synowie
walczyli z nimi, a czwarty chodził do gi-
mnazjum w Stanisławowie. Nie namyśla-
jąc się więc wiele, bo śmy mieli tylko 10.
minut czasu do odjazdu, wzięliśmy na sie-
bie najlepsze ubranie, futerko, najważniej-
sze papiery, do torby dwa chleby i wy-
szliśmy. Dziwnego uczucia doznaje czło-
wiek, gdy widzi, gdy cała jego trzydzie-
stoletnia praca i dobytek idzie na marne.
Uczucie to trwa jednak tylko kilka sekund.

Jednakowo się żałuje n.p. regulatorowego zegar-
ka jak i straty całego majątku. Machnie
się tylko ręką i najlepiej nie myśleć o tym.
— Oficerowie i lekarze, widząc nas, że
odchodzimy i zostawiamy cały majątek
na rabunek wroga, zdziwili się bardzo
i mówili: „Myśmy wam nie wierzyli
i myśleliśmy, że państwo tylko czekacie na
Moskali."

Na stacji kolejowej wrzask, ścisk
i zgiełk nie do opisania. Uciekający Ży-
dzi z wielkim lamentem i krzykiem cisną
się do wozów kolejowych. Niemcy biją ich
trzcinami i laskami po głowach i krzyczą:
„Weg! die verfluchten Juden!"
a Żydzi na to: „My tak kochamy naszego
pana cesarza, a wy nas nie ~~[illegible]~~ puszczacie."

„Geht zum Teifel mit euerer Liebe!"
i nie puścili nikogo.

Spostrzegli nas p. Korczyński i p. Rasińwicz, urzędnicy kolejowi i zaraz nas wzięli do swego wagonu, gdzie prócz narzędzi telegraficznych znajdował się cały personel kolejowy. Pracownicy kolejowi częstowali nas herbatą, a o jedenastej w nocy ruszyliśmy z miejsca. Jechaliśmy bardzo powoli do Jeziorzan. Przez okna pociągu widzieliśmy już łunę nad Jazłowcem i pobliskimi wsiami. Huk armat nawet w czasie jazdy było słychać.

Gdy nastał dzień i wyjechaliśmy na wyżynę podolską, widzieliśmy daleko na wschodzie, że mgła i dymy pokryły całą okolicę, od czasu do czasu widać

było błysk ognia z armat, lub wysadzonych mostów. Tak zajechaliśmy do Monasterzysk. Tu kazano nam znów czekać, była nawet nadzieja, że wrócimy napowrót do Buczacza, tem bardziej, że nadjechał pociąg ze Stanisławowa z nowymi armatami i amunicją. Między żołnierzami spotkałem mego byłego ucznia F. Hłumenicka, który mówił: „Sprawimy Moskalom smarowanie."

Około południa nadleciały wszystkie aeroplany, myśleliśmy, że będą zrzucać bomby, ale one okrążyły miasto i stację dookoła i odleciały na wschód. ~~Po~~
Po południu ~~my~~ nadjechał pociąg i przywiózł z Jeziorzan urzędnice kolejowe.

Było to znakiem, że w Buczaczu już są Moskale.
Byliśmy głodni, udaliśmy się więc do gościnnego domu. Zastaliśmy tam kilku znajomych lekarzy i oficerów, którzy razem z nami uciekli „Fugas chrastas" z Buczacza. Było nas osób czterech, dostaliśmy po kawałeczku wędzonki, chleba i po szklance piwa, co mogło kosztować co najwyżej cztery korony, ale restaurator kazał sobie zapłacić aż 36. koron! Ba, ten człowiek tak świetnie wzbogacający się na pańskiej i żydzieństwie we dwa lata później udawał nawet patriotę i siedział w czasie hajdamaczyzny razem z nami w Jartowcu.
Porzeczny restaurator, czy kupiec, bezwzględu na to czy on jest chrześcijaninem czy żydem jest dobroczyńcą ludzkości, lecz ileż to ludzi w czasie tej długiej wojny przez nadmierną chciwość zeszło z drogi cnoty!?
W Stanisławowie za smaczny i dobry obiad płaciliśmy tylko po dwie korony!
Nocowaliśmy w Bursie polskiej; a starosta Dniestrzański wystawił nam paszporty, jeżeli kto chciał jechać na zachód.
W Stanisławowie było wojska bez liku, jakoś nie zauważyliśmy żadnej paniki, lecz owszem mówiono nam, że najdalej jutro wrócimy do Buczacza.
W nocy miałem dziwny sen. Oto zdawało mi się, że wojska austriackie uciekały ze Stanisławowa. Przebudziwszy się, wychodzę na ulicę, a tu dzieje się zupełnie

tak samo jak widziałem we śnie. Wojsko
ucieka, ułani, piechota, artylerja, treny,
szpitale, a w osobnej gromadzie konwo-
jowano więźniów politycznych, którzy
rzekomo Austrji mieli coś przeskrobać, a
arcyksiążę Fryderyk Wieszatel niejednego
z nich niewinnie powiesił. Opowiadano mi,
że w samym Rzeszowie powieszono 64.
niewinnych ludzi, między nimi kolegę
mego Lazarskiego, autora bardzo dobrej
geometryi i piętnastoletnią dziewczynę,
która do ostatniej chwili mówiła, że
jest niewinna.
Cóż to się stało?
Oto na Bukowinie pod Rarańczą i Lis-
zanami przerwali Moskale front austrjacki
i całą forsą prą na Kołomyję, a więc

Rapiące wojsko, to właśnie z Kołomyi.
Starosta z całym swym personalem i papie-
rami pojechał do Stryja, a ja z żoną i
synem do Łańcuta. Czym dalej na zachód
od Stanisławowa, tym większy był spokój.
Koło Halicza, Jezupola, Chotymira dość
było z pociągu przez okna popatrzeć,
wszędzie było pełno okopów, drutów kol-
czastych, wojska i armat. Byliśmy więc
pewni, że Moskale do Lwowa nie zajdą
i wnioski moje tym razem sprawdziły się.
We Lwowie ruch zwykły, na zachód od
Lwowa nikt o wojnie nie myślał. Ludzie
najbezpieczniej jeździli na targi i odpusty,
prawie nie dawano nam wiary, że Moska-
le dobierają się już do Stanisławowa, bo
biuletyny austrjackie donosiły o samych

zwycięstwach, zupełnie tak samo jak to widzieliśmy w Mielcu. Tak zajechaliśmy do Łańcuta. Jest to miasto położone na pagórkach, wprawdzie niewielkie, ale ładne. Ozdobą miasta jest piękny kościół, w którym zamiast zwykłych szyb, w oknach znajdują się obrazy Świętych ułożone bardzo misternie z różnokolorowych szybek (witraże). Jest tu słynna fabryka wódek i likierów, sad pomologiczny, gdzie pielęgnują najpiękniejsze i najdorodniejsze owoce krajowe. Wszystko to jest własnością rodziny Potockich.

Rzeszów:

Ponieważ w Łańcucie nie ma klasycznego gimnazjum, tylko realne, przeto pojechaliśmy dalej do Rzeszowa, gdzieśmy zapisali

syna do VI. klasy gimnazjalnej. Ja zaś zgłosiłem się u inspektora szkolnego p. Tyralika i w jesieni zacząłem uczyć w szkole wydziałowej. Mógłbym się był zupełnie nie zgłaszać, jak to robili inni koledzy, ale bez pracy nie mogłem wytrzymać, a w szkole przynajmniej na chwilę zapominałem o zmartwieniu, o tym, że się ma synów na wojnie, jako też, że zostałem po stracie ciężko zapracowanego mienia prawie żebrakiem.

Rzeszowscy koledzy przyjęli mnie z chęcią, pomagali mi radą i czynem jak który umiał i mógł. Uczyłem w szkole wydziałowej historii, geografii i języka niemieckiego. — Ale co wieś, to inna pieśń, tak i charakter chłopców inny w Rzeszowie, niż na Podolu i wymaga innego

prowadzenia, chociaż zdolności uczniów są takie same jak u uczniów podolskich. W Rzeszowie chłopcy są żywego temperamentu, skorzy do bitki i różnych psikusów i figlów i należy ich ostro trzymać.
W czasie mej pierwszej lekcji języka niemieckiego usłyszałem w klasie szmer, nieznośne podpowiadanie i niespokój pomiędzy uczniami. Zrobiło mi się przykro, tym bardziej, iż do lekcji jak zwykle byłem przygotowany i jako stary doświadczony pedagog, od dwudziestu kilku lat członek Komisji egzaminacyjnej dla nauczycieli szkół ludowych, — a tu pomimo napomnień – niepokój. Rozgniewany wyszedłem z klasy, i wśród kolegów zadowolonych i wesołych,

widocznie w ich klasach spokój. Nazajutrz przy następnej lekcji patrzę do szafy i dostrzegam tam długą trzcinkę. Aha, już wiem, gdzie raki zimują. Nic nie mówię i rozpoczynam lekcję. W klasie znów szmer, a filut jeden, nazwiskiem Dufrat, chłopak rosły w mojej obecności dał koledze kułakiem w bok. W tej chwili skoczyłem do szafy, wyciągam pannę trzcinkowską aby zrobiła porządek, potem uderzyłem trzcinką o stół i ostro przemówiłem: „Wy łobuzy, to nie wstydzicie się w ten sposób postępować? Czy was tu rodzice na zbytki posyłają? Niechno mi teraz, który się ruszy, albo lekcji nie umie, to jak mu wrzepię kilka

kilka odlewanych, to zawsze będzie jeden z drugim inny."

To pomogło. W klasie jak makiem siał, żaden się nie ruszył i uczyli się jak należy, dobrze. Najbardziej zlękli się słowa: „wrzepię", to musi być coś strasznego! Dufrat był bardzo porządnym i dobrym uczniem tak samo i inni, tylko trzeba z nimi sprawiedliwie, grzecznie, lecz ostro i stanowczo. Uczyłem w Rzeszowie przeszło półtora roku, polubiłem tę młodzież i gdybym był nie musiał wracać do Warszawy, chętnie zostałbym w Rzeszowie.

Miasto to leży nad Wisłokiem w obszernej równinie, posiada piękny rynek z ratuszem niezwykłej struktury, kościół parafialny, klasztor O.O.

Bernardynów z cudownym obrazem Najświętszej Panny Marji, dwa gimnazja, seminarjum nauczycielskie i kilka szkół powszechnych. Ze starszych budynków najpiękniejszym jest olbrzymi wspaniały zamek starannie utrzymywany, niegdyś własność Lubomirskich, dziś mieści się w tym budynku sąd okręgowy i areszta. Ulice szerokie i czysto utrzymywane, a lud bardzo patrjotyczny. Rzeszowianie mieli swój własny pułk legjonowy i poetę Mączkę, który zginął w walce z Moskalami. Ułożył on wesołą legjonową pieśń, w której powtarza się: „Hurra! hurra!"

Dochodziły do [crossed out] Rzeszowa głuche wieści o za-

gami przez Kiereńskiego Buczacza i Stanisławowa. Pod Przewłoką jeszcze długi czas opierali się Austriacy, lecz potem cofnęli się i stanęli nad Złotą Lipą w powiecie buczackim. Były również wielkie bitwy pod Haliczem i Jezupolem, lecz Moskale dalej pójść nie zdołali.

W lecie r. 1917 przyjechał najstarszy mój syn Józef na urlop do Rzeszowa, był on wówczas porucznikiem (Oberleutnant), a bił się zawsze tylko z Moskalami. W tym czasie pułk jego stał pod Gontową koło Brodów. — Chodziliśmy często rankiem nad Wisłok i tam nam po rosie dolatywał nas wśród ciszy od strony północno-wschodniej głuchy odgłos armat, a syn mówił:

„To biją się pod Gontową" Rzeczywiście tak było. Moskale przełamali wówczas front austriacki i weszli do Brodów. Wszyscy austriaccy oficerowie w tej bitwie polegli, tylko jeden mój syn został. Widocznie strzegł go Anioł Stróż. Niedarmo i pisze nas Psalmista:

„Stąd wedle ciebie tysiąc głów polęże,
Stąd drugi tysiąc, ciebie nie dosięże
Miecz nieuchronny."

Po odjeździe Józefa przyjechał po trzech latach niewidzenia się z nami drugi z rzędu syn Zygmunt. Wyszedł on przed trzema laty na wojnę z manlicherem w ręku, jako dwudziestoletni smukły akademik, dość wątły. Dziś wrócił

jak wachmistrz ułanów polskich i komen-
dant dwóch karabinów maszynowych.
Wracał właśnie z nad Stochodu,
gdzie Legioniści odłamiali cofającą
się armię austriacką. Tam, gdyby
nie Legiony polskie, ~~kto~~ które wstrzy-
mały napór wojsk moskiewskich,
cała austriacka armia byłaby
przepadła. Na samym końcu
armii legionowej stał Zygmunt i jeszcze
jeden wachmistrz mając cztery kara-
biny maszynowe. Równina była pra-
wie bez końca, a prawie każdy
strzał był pewny; te cztery karabiny
maszynowe zrobiły Moskalom ogromne
szkody. Całymi szeregami padali na
ziemię. W końcu jednak dostali rozka-

zaprzestanie strzelenie, bo nowe ~~fa~~
falanga Moskali na całej linji parła
naprzód.

Wówczas Zygmunt zdjął
kożuch, położył go na ramię, na
kożuchu umieścił karabin maszyno-
wy i tak wracał z towarzyszami do
swoich. Moskale widzieli ich jak na
dłoni i otworzyli na nich silny
ogień. Dwie kule trafiły, ale w kożuch
i zrobiły w nim jedenaście dziur,
ale chłopca nie tknęły, tylko odła-
mek kartacza zranił go lekko w
głowę. Dostał zato srebrny medal au-
striacki, którego później oddał na polski
narodowy skarb.

W Krakowie zrobił dobre wrażenie, bo
takich walnych chłopców mało tam było,

chociaż Rzeszowianie słynni z walecznych
i pięknych chłopców.
Legioniści, czując wartość siebie, ignorowali austriackich oficerów, i nie chcieli przed nimi salutować, były z tego powodu nieraz różne nieporozumienia, ale legioniści zawsze szli górą, a niejeden austriacki oficer, nie chcąc mieć awantury, wolał, zawczasu takiemu zawadiace zejść z oczu, aby się z nim nie spotkać.
Szedł raz Zygmunt przez Pańską ulicę i spotkał się oko w oko z austriackim oficerem, lecz nie dał mu wszystkiego ukłonu. Oficer zatrzymał go i zapytał:

„Warum salutieren Sie nicht?"
„Nie rozumiem" brzmiała odpowiedź
„Dlaczego pan nie salutujesz?"
„Jakim prawem pan tego żądasz?"
„Widzisz pan, że mam dwie złote gwiazdki na kołnierzu"
Wówczas Zygmunt pokazał na dziury we swym kożuchu i zapytał:
„Czy pan ma takie gwiazdki, jak ja w swoim kożuchu?"
Oficer popatrzył, wyprężył się, zasalutował i rzekł:
„Przed takimi gwiazdkami, to już ja zasalutuję."
Podali sobie ręce. Był to porucznik Zagórski. Poszli potem do kawiarni Lewickiego, tam zastali wiele gości, każdy z nich dopytywał się o nowiny

z frontu i bawili się wesoło aż do wieczora.
Przyjechał potem i Marjan. Był u nas
pełen czas, a wszyscy Rzeszowiacy cieszyli
się wraz z nami, bo i oni również wysłali
swoich synów na wojnę.

~

Tymczasem nad Dniestrem odbywały się
zacięte bitwy, osobliwie koło Jezupola
i Halicza. Ofenzywa Kiereńskiego nie
udała się.

Wprawdzie Kiereński trzydzie-
stego marca r. 1917. oświadczył w swej
odezwie że „Poczytuje niepodległość
Państwa Polskiego ze wszystkich ziem za-
mieszkałych przez Polaków za niezawodną
rękojmię trwałego pokoju przyszłej odnowio-
nej Europy" – lecz dodał „Polska

miała być połączona z Rosją wolnym
związkiem wojskowym."

Wiemy dzisiaj, że Rosja nie wytrwała do końca
i nie brała udziału w traktacie pokojo-
wym w Wersalu.

Z końcem listopada r. 1917 już po zrze-
czeniu się tronu przez cara Mikołaja II.
(15.3.1917), zwróciła się republika rosyj-
ska do wszystkich państw wojujących z
propozycją natychmiastowego zawieszenia
broni na wszystkich frontach i niezwło-
cznego przystąpienia do rokowań pokojowych.
Rządy państw centralnych, których mieszkań-
cy nie mieli co jeść, skwapliwie na to się
zgodziły, lecz dopuściły się nowego
oszustwa na szkodę Polaków. Oto za-

warto ugodę z mniejszością nigdy pań-
stwem ukraińskim i zobowiązali się ~~do~~ dać temu
państwu ~~Ch~~ Chełmszczyznę i Podlasie,
dwie rdzenne polskie prowincje.
Ta ziemia Chełmska i Podlasie to ziemia
Świętych, tam dość wziąć grudkę ziemi
w garść i ścisnąć, to popłynie krew
męczenników za wiarę naszą świętą,
dość przypomnieć tylko dzień 17. stycznia
r. 1874, gdzie we wsi Pratulince
wymordowali Moskale 150 Unitów,
a ileż to tysięcy naroda wysłali na
Sybir. Kto tę ziemię i ten lud skrzywdzi,
to sobie grób kopie. Wszak przed wojną
archimandryta Eulogiusz ziemię tę
chciał przyłączyć do imperium rosyjskiego
i to było główną przyczyną, że serca

Polaków odwróciły się od Moskali i pow-
stały polskie Legiony, które na nich ude-
rzyły. Niech tam politycy suszą sobie głowy
nad postępkami Piłsudskiego, Dmowskiego,
Korfantego, Paderewskiego, Żeligowskiego, Hal-
lera i innych zacnych Polaków, myślę,
że całą tą sprawą kierował tylko Pan
Bóg. Krew pomordowanych Unitów doszła
do stóp Pana Boga, i Bóg zesłał karę
na naszych ciemiężców!
Nowa zbrodnia naszych zaborców wstrzą-
snęła do głębi serca cały naród polski,
We wszystkich ziemiach dawnej Rzeczy-
pospolitej Polskiej wzniósł się potęż-
ny okrzyk boleści protestu przeciw
nowemu zamierzonemu zamachowi na
całość naszej Ojczyzny.

W Rzeszowie odbyła się wówczas przeciwko rządowi austriackiemu wielka manifestacja. Była to wielka odwaga bezbronnych Rzeszowiaków, bo w koszarach stał cały regiment piechoty austriackiej nr. 89. Regiment ten był wprawdzie złożony z Polaków i Rusinów ze Wschodniej Małopolski, lecz dowodzili nimi Niemcy.

Kolejarze urządzili trzechgodzinny strajk. Z całego powiatu zeszli się włościanie, kobiety, dziewczęta, wszyscy robotnicy kolejowi, urzędnicy ruchu, młodzież męska i żeńska wszystkich szkół ludowych i gimnazjalnych, urzędnicy magistraccy, bankowcy, kupcy, rzemieślnicy. Narodu było razem 30.000 w samym pochodzie. Szli po sześciu w jednym rzędzie.

Zagrzmiał potężny śpiew: „Nie rzucim ziemi"

Wszystko to stanęło na ulicy Kolejowej i Jana Kazimierza. Na czele zagrała muzyka gimnazjalna i olbrzymi orszak ruszył w pochód. Naprzód szły szkoły, potem lud. Szliśmy ulicą Kolejową, ulicą Gorasdowskiego na rynek. Wszystkie sklepy były pozamykane, z okien wywieszono biało-czerwone chorągwie. Przez cały czas brzmiały pieśni narodowe. — Z koszar wyglądali żołnierze, mając maszynowe karabiny w pogotowiu. Stanęliśmy na rynku przed statuą naczelnika Tadeusza Kościuszki. Tu młodzież odśpiewała

nieśmiertelne hymny narodowe:
Boże Ojcze Twoje dzieci.
Boże coś Polskę.
Nie rzucim ziemi.
Jeszcze Polska nie zginęła.
Na trybunę wyszedł maszynista kolejowy
Kruszewicz i potężnym głosem wykrzyczał
naszym zaborcom naszą wyrządzoną nam
krzywdę, między innymi mówił te słowa:
„Ha! Niszczyciele naszej ziemi! Katy,
zbrodniarze, - w rękawiczkach pokój
podpisywali. Nam kolejarzom kazali
nosić na rękawach czarno-żółte opa-
ski, bo psi nie mają dla nas odzieży,
lecz z naszego serca polskiego ducha
nikt nam nie wydrze. Niech przepadną na-
si wrogowie, niech żyje Polska!"

Potem miał mowę lekarz Nieć, znany ze
swego patriotyzmu, a w końcu jakiś
adwokat, którego nazwiska nie pamię-
tam, zdaje się Kryzulski.
Młodzież urządziła niesłychaną hecę.
Studenci porzucali z siebie swe mundurki
szkolne i przebrali się w rzemieślnicze
bluzki, między studentami była także
młodzież rzemieślnicza. Pozabierali ze
sobą wysokie drabiny i w biały dzień,
w sobotę po południu ze wszystkich ka-
mienic, w których znajdowały się au-
striackie urzędy, z gimnazjów, sądu
~~okr~~ okręgowego, z koszar wojskowych
wobec mnóstwa żołnierzy i warty pozdej-
mowali wszystkie te potworne dwu-
głowe austriackie orły. Na każdej

ulicy stali austriaccy żołnierze na warcie i
nikt z nich nie zapytał się, dlaczego te
orły zdejmują, myślano zapewne, że to ma-
larze biorą te herby do przemalowania.
Nazajutrz rano spostrzeżono, że tymi orłami
i herbami austriackimi udekorowano
miejskie wychodki. Rano idzie młodzież
szkolna parami do kościoła, a było tej
młodzieży kilka tysięcy, idą mieszczanie,
urzędnicy, zwykłe pospólstwo, Żydzi i
śmieją się z figla, lecz każdy szybko prze-
chodzi i udaje, że tego nie widzi. O dzie-
siątej godzinie idzie wojsko na ćwi-
czenia z generałem i oficerami na
czele i defilowali obok udekorowanych
w ten sposób wychodków. Dopiero w
południe przysłano żołnierzy, którzy te

twarze kałem posmarowane pozdejmowali.
Pytano wartujących licznie na ulicach żoł-
nierzy, czy widzieli, jak te orły zdejmo-
wano:
„Widzieliśmy."
„Dlaczegoś temu nie przeszkodziliście?"
„Nie mieliśmy tego w rozkazie."
brzmiała odpowiedź.
Taki padł wówczas strach na Austria-
ków, że nawet nie dochodzili, kto im
tego psikusa wyrządził. Potopali się
wówczas Austriacy jak kamienie z Pol-
ską pustą pili. Niestety, było już za późno.
„Kogo Bóg chce ukarać, temu rozum
odbiera."
Raz było jakieś uroczystość
galowa, zdaje się, imieniny cesarza Karola.
Wszystkie szkoły musiały być w kościele.

W ławach kolatorskich siedzieli generało-
wie, pułkownicy, władze cywilne w
austriackich pierogach i inni matado-
rowie. Po nabożeństwie zaintonował
celebrant austriacki hymn ludowy:
„Boże wspieraj, Boże ochroń nam ce-
sarza i.t.d." Młodzież w tej chwili
podchwyciła i pełną piersią z entuzjazmem
zaśpiewała:
„Nie rzucim ziemi, skąd nas ród"
Tak zaśpiewali trzy zwrotki, kierując
je przeciw Niemcom.
Generałowie i cała władza cywilna i woj-
skowa wysłuchali tej pieśni, stojąc,
lecz co im się w duszy działo?
Przejeżdżał cesarz Karol ze wschodniego
frontu przez Rzeszów. Stacji pilnowali

Czesi. Pociąg stał na stacji tylko pięć
minut, cesarz na chwilę stanął w oknie i
pokazał głowę. Naraz jakiś student krzy-
knął:
„Pomaranzenträger!"
Cesarz głowę cofnął, lecz nikt nawet nie
zapytał się o tego, kto krzyknął, a Czesi
uśmiechali się pod nosem.
W Krakowie na kościele przy głównej ulicy stoi
figura ukrzyżowanego Pana Jezusa przybito
po obu stronach portrety obu cesarzy: Karola
i Wilusia, a pod spodem umieszczono napis:
„Boże, jeszcze nigdy nie wisiał między ta-
kimi łotrami"
Przy ulicy Pańskiej miesz-
kał austriacki książę, lekarz Auersperg
krewny domu Habsburgskiego. Często

zamożny, uczynny, własnym kosztem
utrzymywał szpital dla rannych żołnierzy,
którym tam było lepiej niżeli w innych szpi-
talach, zwłaszcza, że Auersperg był z zawodu
lekarzem. Był to człek średniego wzrostu,
szeroki, przyjemnej, czerwonawej twarzy,
bywał często w kasynie i lubiał się bawić
wesoło. Pomimo swej otyłości poruszał
się żywo i robił koperczaki do Polek,
ale nie zawsze mu się udawało. Raz na-
wet za swą natarczywość dostał po twa-
rzy od jednej z nauczycielek, ale on sobie
z tego nic nie robił i mówił: „Dostać po
twarzy od ładnej panny nie jest wstydem."
(Eine Ohrfeige ~~zu~~ von einem schönen ~~Fräu~~ "
Fräulein zu bekommen ist keine Schande)
Zato były mu nader powolne szpitalne

sanitariuszki. Były to same Niemki, a
wybierał do swego szpitala co najpiękniej-
sze, o ile Niemka piękną być może.
Najstarszą między nimi, nie w latach, ale
w godności, była pewna pani, o której
mówiono, że była córką burmistrza z
Opawy. Włóczyła się ona po mieście
z dwoma dużymi psami. Z tych jeden
był buldog, a drugi wilczur. Przy
tejże samej ulicy mieszkał inży-
nier Sandecki, który miał psa
legawego i chodził z nim często na
polowanie. Gdy się jednak psy spot-
kały na ulicy, tamte dwa przypa-
dały na legawca i nieraz dobrze go
poturbowały. Sandecki z początku mil-
czał, a wreszcie było mu to za dużo i

prosił sanitariuszki, żeby swoim psom dała na pyski kagańce, jednak ona pewna protekcji Auersperga impertynencko odrzekła:
„Sie haben mir gar nichts zu befehlen."
Następnego dnia szedł Sandecki ze swym psem za miasto i spotkał na ulicy sanitariuszkę z psami, które natychmiast napadły na legawca i zaczęły go żreć. Inżynier stanął w obronie swego psa i buldoga uderzył trzcinką (Reitpeitsch), którą miał w ręku. Rozgniewana sanitariuszka krzyknęła wówczas:
„Du polnisches Schwein"
Na taką obelgę przystąpił Sandecki do sanitariuszki i ściągnął ją trzcinką po odwrotnej stronie oryginału tam, gdzie

najwięcej jest mięsa i odszedł. Rozgniewana babsztyl zaczęła wrzeszczeć na ulicy i chciała wiedzieć, jak on się nazywa, nikt z obecnych, albo nie wiedział, albo nie chciał powiedzieć, bojąc się, by był wezwany za świadka. Pobiegła więc za Sandeckim do jego mieszkania i zdarła z jego drzwi wizytową kartę. Spostrzegł to Sandecki i nie pytając wiele obił znów sanitariuszce to samo miejsce, co przedtem.
Auersperga właściwie w Rzeszowie nie było, przyjechał dopiero nazajutrz, a dowiedziawszy się, co zaszło, wniósł natychmiast skargę do sądu. —
Idąc ulicą, mówiła sanitariuszka głośno do Auersperga:

„Mein Hinten ist ganz blau."

Nato Auersperg odpowiedział:

„In meiner Klage habe ich das nicht geschrieben, warum haben Sie mir das früher nicht gesagt?"

Mieszkańcy miasta byli pewni, że Sendecki za swoją krewkość grubo odpowie, bo to była sprawa z pryncem, tylko krewni Habsburgów mogli ten tytuł nosić.

Tymczasem Auersperg poszedł ze sanitariuszką do swego szpitala i tak się tam zirytował, że w godzinę później dostał apopleksji i umarł nagle.

Zwłoki jego jeszcze tegosamego dnia zawieziono do Wiednia, a sanitariuszka wyjechała.

Sprawa upadła.

W mieście potem żartowano sobie ze Sendeckiego, mówiąc:

„Podziwiać należy odwagę dwojga ludzi: inżyniera, iż odważył się obić „Hinten" sanitariuszki, a ją jeszcze bardziej, że swój „Hinten" pokazała Sendeckiemu [?]."

— Jak ongiś w Buczaczu Moskale zabierali wszystkie dzwony z kościołów i cerkwi, tak i Austriacy tosamo robili. Na niektórych kościołach były niedziane [?] dachy i bardzo piękne starożytne dzwony. Dachy pościągano, a na ich miejsce dano blachę cynkowaną. Dzwony z wieży spuszczono na ziemię. Oburzeni mieszkańcy patrzyli nato ze zdziwieniem, ale nazajutrz rano, gdy miano je zabierać, nie było już największego

największego dzwona. Parafianie tak
gracko się spisali, że go uprzątnięto
i zakopano do ziemi, aby tam czekał
lepszych czasów. Austriacy szukali
za nim, ale go nie znaleźli.

Dzięki patriotycznym mieszkańcom
miasta i powiatu założono w Rzeszowie
pod jednym zarządem kilka sklepów
Kółka rolniczego. Każdy Polak bezwa-
runkowo do niego należeć musi i
bez względu na to, czy to urzędnik,
czy właściciel wsi, kamienicy, lub
wieśniak. Pozakładano nawet po
wsiach mnóstwo sklepów i składów,
w których sprzedają wszelkie towary
w zakres kupiectwa wchodzących. Są tu
więc sklepy korzenne, bławatne, galanteryjne,
z papierami, żelazem, maszynami
rolniczymi, drzewem opałowym,
węglem kamiennym, owsem, mąką.
Tam skupuje się zboże, jaja, nabiał
i to wszystko wysyłają tam, gdzie
widzą dobry interes. Mnóstwo osób
jest tam zajętych. Chłopi pilnują, by
żadna baba nie kupowała nic u
żydów, gniewają się tak, że nieraz
przychodzi do bitki. Interes idzie, bo
w sklepach Kółka rolniczego towar jest
lepszy, a chłopi wiedzą, że tylko tym
sposobem mogą podnieść handel, prze-
mysł i dobrobyt kraju. Żeby to tak wszę-
dzie było, nie byłyby nasze miasta w
rękach żydów. Tam chłop nie sprzeda
zboża, ani nabiału żydowskim domom.

krajem, tylko niosą to wszystko do
mego Kółka rolniczego we wsi, a
stamtąd odsyła się to do głównego
składu w Rzeszowie, a stąd dopiero
towary te idą w świat. Wielką zasłu-
gę w takim prowadzeniu handlu
położyli księża, którzy, gdzie tylko
mogą, starają się o dobrobyt ludu.

— Dziwny to lud ci Rzeszowiacy,
nieraz pospierają się o lada głupstwo,
skaczą do siebie jak koguty, my-
ślałbyś, że się pozabijają, za chwilę
widzieć można tych samych ludzi, jak
w najlepszej przyjaźni idą sobie popod
ramię i rozmawiają, jakby nigdy ze
sobą żadnej sprzeczki nie mieli.

— Lasu i złodziei jest tu dosyć, bo

gdzież ich nie ma? Oto wiózł sobie jakiś
ksiądz w nocy ze stacji kolejowej do miasta.
Nie uwiózł daleko, gdyż napadli go rabusie,
zdarli z niego ubranie i nagiego puścili go
do domu. Biedak uciekał, bojąc się, aby
go jeszcze kijem nie obito.

Innym razem
wracała o 11. godzinie w nocy bryczką panna Ży-
dówka ze stacji do domu swych rodziców, lecz
tuż pod drzwiami ich własnego domu zatrzy-
mali ją rabusie, obdarli ją zupełnie do
naga i uciekli.

Raz także paczka włóczęgów
zatrzymała tuż pod Rzeszowem w Starej wsi
pociąg towarowy, wyrzucili z wozów towary,
a potem, co lepsze, zabrali ze sobą i przepadli.

— Żandarmi robili na tych rabusiów ciągłe
polowania, lecz oni samego wachmistrza,

człeka bardzo uczciwego, którego oso-
biście znałem, zastrzelili. Później wy-
łapano tych wojennych zbrodniarzy, a
kobieta, która mieszkała w tej samej
kamienicy, co i my, zastrzelili.
We wszystkich większych miastach są podobne
wypadki społeczeństwa, zwłaszcza w czasie
wojny.

Generał Józef Haller znajdował się
wówczas na Bukowinie na pograni-
czu Besarabii. Ponieważ nie stało
tam paszy dla koni przeto wysłał drugi
pułk ułanów, w którym służyli moi
~~syno~~ synowie do Synowódzka. Korpus
brygadiera Hallera nazywano wówczas
korpusem posiłkowym.

Po zbrodni naszych zaborców dokona-
nej na naszej Ojczyźnie, Haller
15 lutego r. 1918 przebił się przez front
prusko austriacki do Mohylewa podolskiego.
Drugi zaś pułk ułanów stojący w Syno-
wódzku został otoczony przez wojska au-
striackie i zawezwanego, aby się poddał.
Zebrała się czempręcej rada, ustawiono
karabiny maszynowe, lecz po namyśle, wi-
dząc, że ich mało, a co gorsza, nie było
co jeść, a chłopów ruskich w Synowódzku
zabijać nie chcieli, boć to bracia, posta-
nowili uciekać, gdzie kto chciał, lub mógł.
Polscy kolejarze dopomogli tym biedakom,
jedni uciekli na Węgry, inni do Sanoka.
Mieszkańcy tego miasta podarowali legio-
nistom swoje cywilne ubrania i

niektórym może udało się uciec. Syn mój Zygmunt w legionowym ubraniu przyjechał do Rzeszowa do nas, a ponieważ nie miał się w co przebrać, chodził po mieście w wojskowym ubraniu, jako ułan polski. Żandarmi, widząc go na ulicy, nie chcąc go aresztować, uciekali przed nim, lub udawali, że go nie widzą. Wprost nie chcieli legionistów aresztować. Nareszcie wachmistrz austriackiej żandarmerji, poczciwy Rusin, przystąpił do Zygmunta i mówi: „Bój się pan Boga, nie chodź pan po mieście w legionowym ubraniu, my mamy rozkaz was aresztować, wiemy doskonale o wszystkich, gdzie się który ukrywa, lecz udajemy, że ich nie widzimy i nie

znamy. Zmień pan ubranie, a nie będziemy pana aresztowali."
Jak zmienić ubranie, gdy się nie ma w co przebrać? Musiał się zgłosić do Komendy austriackiej i natychmiast odesłano go do Mährisch-Schönberg do szkoły oficerskiej, gdzie omal z głodu nie umarł, a potem odesłano go na front w góry tyrolskie pod Ortler.
Drugi Marian przebrany za ślusarza pracował w Sanoku przy wodociągu, ale i tam go wymacano. Jakiś uczciwy kolejarz dał mu wcale dobre cywilne palto i w nim przyjechał do Rzeszowa, ale stosunki były już bardzo zaostrzone. Zaraz nazajutrz nawet przed śniadaniem schwytano go i wysłano na

skąd do Żurawicy pod Przemyślem, gdzie siedział dłuższy czas, dopóki nie uciekł do Warszawy, gdzie poma-
gał wypędzać Prusaków z miasta.

— Innych więził ppłk Kowni? Schindler na Węgrzech w Marmaresch Sziget, właśnie tym samym miejscu, gdzie le-
gioniści pierwszą krew przelewali. Czy to nie ironja losu? Może bar-
dziej tchórzowskiego rządu jak austria-
cki nie było dotychczas w Europie.

Powrót do Buczacza.

Z początkiem miesiąca kwietnia r. 1918. poleciła mi moja władza wrócić do Buczacza na dawne stanowisko.
Powierzono mi tymczasowo kierownictwo

szkoły wydziałowej żeńskiej na Barakach, bo w mej szkole nad Strypą mieścił się szpital austrjacki.
Budynek zostałem zniszczony, okna wraz z ramami powyrywane, drzwi porąbane, wszędzie brud i nieporzą-
dek, ławki nawet połamanych, a reszta ławek pozbijanych gwoździami z nieheblowanych desek. Jak w takich warunkach odbywała się nauka, le-
piej o tym nie pisać.
Wierzyć się nie chce, jak ta wojna zde-
moralizowała młodzież. Dziewczęta zwykle odznaczają się skromnością i grzecznością. Tu tego nie było. Przede wszystkim nie umiały uszanować cu-
dzej własności, kradły, co im tylko pod

rękę podpadło, nawet owe prymitywne
ławki nie były przed nimi bezpieczne.
– Et lepiej tego nie wspominać, bo mi to
wielką przykrość sprawia.

Zato
opiszę, jak tu się sprawowało wojsko
Kiereńskiego, wprawdzie nato sam
nie patrzyłem, ale opowiadali mi o tym
wiarogodni ludzie.

W czasie drugiej Moskiewskiej inwazji
Moskale nikomu krzywdy nie zrobili,
a zachowanie się ich było nader popraw-
wne. W wojsku Kiereńskiego było wiele
Polaków. Żołnierze rozmawiali po polsku
i głosili wspólność broni Polaków z Mo-
skalami. W ogrodzie hrabiego Potockiego
w tak zwanych: „Topolkach" były

często zabawy i tańce, w czasie których
muzyka przygrywała przeważnie pol-
skie pieśni. – Sam Kiereński często
pił niepodległość Polski. Tak było
przez czas dłuższy, bo przez 10 m.
Aż naraz wpadł do miasta goniec i
krzyknął:

„Germańcy są w Podhajcach."

Na ten nagły okrzyk wszystko, co żyło, zaczę-
ło uciekać w stronę Czortkowa, a za-
tym trény, piechota, konnica, arty-
leria i amunicja. Tak darli w naj-
większym pędzie i nieładzie poza
Dżuryn. Wtem z Czortkowa nadbiegł
konny goniec i woła:

„Germańcy są w Czortkowie."

Niemcy zrobili wówczas tak zwany prze

nich: „Keilmarsch." czyli pochód klino-
wy. Był to z ich strony krok bardzo ryzy-
kowny i niebezpieczny, ale czasem się
udaje, bo strach ma wielkie oczy.
Między Moskalami zakotłowało jak w mrowi-
sku, przerażeni stanęli i zawrócili napo-
wrót do Buczacza i przez most nad po-
tokiem koło dworu na Gawroniec
szli do Potoka Złotego. Pruskie kule
dochodziły aż do miasta. Moskale szli
przez Żyżnomierz, Soroki i Leszczańce.
Droga w Leszczańcach jest bardzo
wąska, prowadzi wzdłuż jaru nad
przepaścią. Jakiś automobil zsunął
się i zagrodził drogę. Następne zaprzę-
gi jechać nie mogły. Wówczas Moskale
złożyli na polach wsi Soroki na

trzy kupy amunicji i chcieli ją wysadzić
w powietrze. Rzeczywiście jedną kupę
podpalili, lecz powstał taki huk, i trzę-
sienie ziemi, że Moskale dwie kupy zo-
stawili:
„Czort pabieri!"
~~[illegible]~~ przeskakiwali z wozów i
pieszo zaczęli się piąć po wysokim jarze
do tam, a potem do Potoka Złotego.
Z Prusakami weszli do miasta także Tur-
cy, jak to święty Andrzej Bobola
niegdyś przepowiedział. Turcy u tutejszych
kobiet pozostawili po sobie jak najgorszą
sławę, bo Turcy nie mają kobiety za
człowieka i obchodzili się z nimi jak ze
stworzeniami niższego rzędu, karząc im
spełniać najwstrętniejsze posługi; o czym

nawet pisać się nie godzi. Wobec kobiet zachowywali się bezwstydnie, ale w bitwach byli bardzo odważni. Bardzo wiele Turków pochowanych jest na katolickim cmentarzu na Fedorze, są to ci, którzy padli w okolicy Buczacza. Mają oni murowane nagrobki w kształcie krótkich obelisków, na których wykuto półksiężyc.

Niemcy traktowali mieszczan z góry, mając ich za coś niższego od siebie i mieszczanie o nich również z niechęcią się odzywają i wspominają.

Prusacy wówczas narobili w mieście wiele szkód, zbliżali się oni od zachodu bardzo powoli, a chociaż Moskali już od dwóch dni w mieście nie było, Prusacy miasto bombardowali, porozbijali wiele domów, a dziury w murach porobione dotychczas nie są naprawione (Pamiętnik pisano 1922 r.) Bomby uszkodziły gmach Sokoła, pomieszkanie profesora Niebieszczańskiego, probostwo parafii greko-katolickiej, zabili kilkoro ludzi a na ulicy Kolejowej granat rozerwał na strzępy dziesięcioletnią dziewczynkę.

~

Tymczasem zbliżał się straszliwy pogrom Niemców we Francji, a Austriaków we Włoszech, ale przecież nie będę tu opisywał, jako najwięksi [illegible]

Wiluś uciekł przed własnym narodem do Holandji, jak zdradliwa Austria banie-bnie się rozpadła, a na jej gruzach powstały nowe narodowe państwa, przypomnę tylko stare polskie przysłowie:

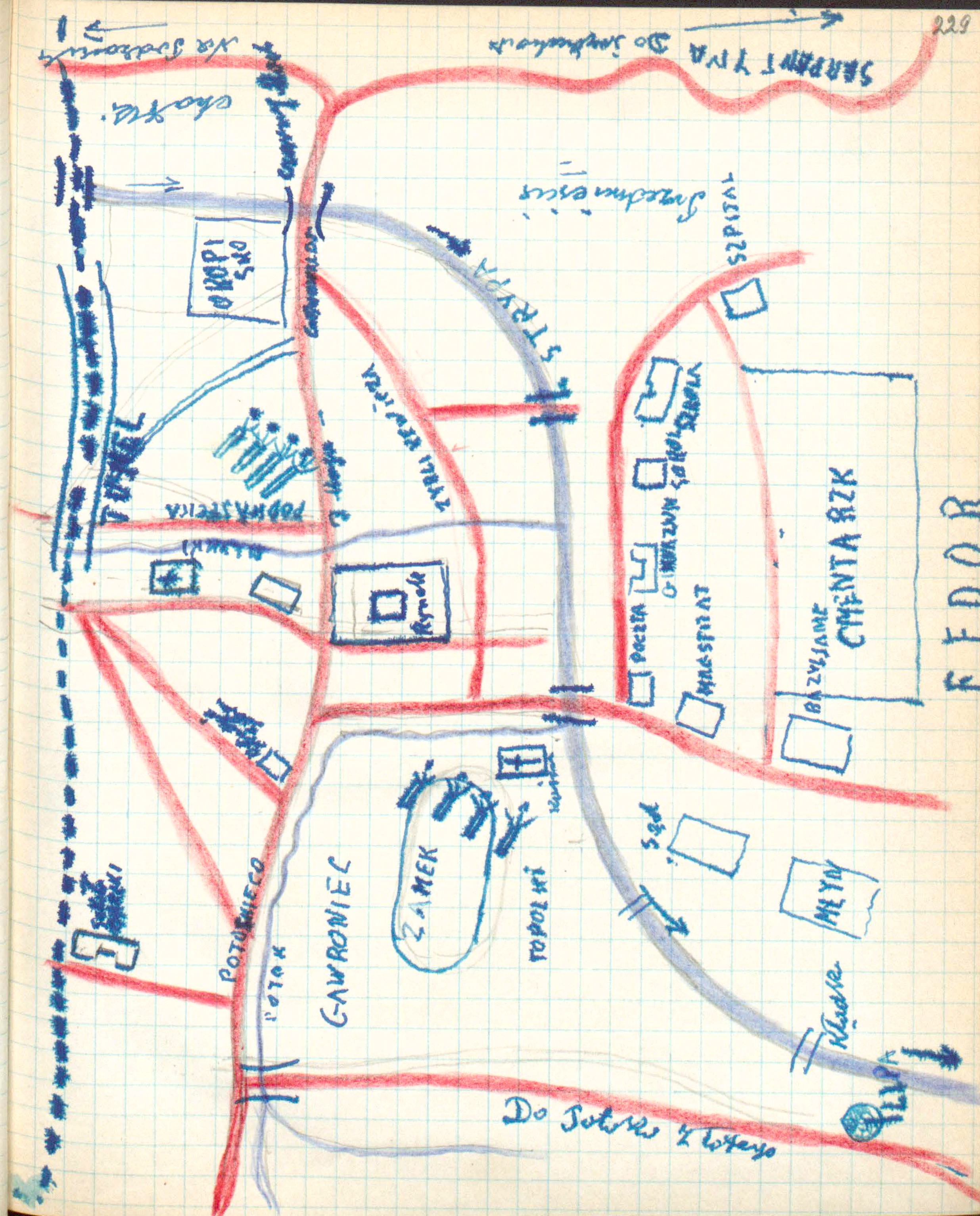
„Łakome zbiory nie pomogą tobie,
ani twej duszy, ani ciału w grobie.
Łakome zbieranie, diabeł wie komu
w paszczy się dostanie."

Polska zmartwychwstała jak to przepowiedzieli nasi wieszczowie.

Stało się to 12. listopada r. 1918.

Powinienem tu pióro złamać i więcej pamiętników nie pisać. Tymczasem zaszły znów takie niespodziewane sprawy i wojna domowa, które nie pozwalają mi, bym o tych przykrych sprawach i zdarzeniach nie wspomniał, zwłaszcza że ja i rodzina moja braliśmy w nich żywy udział.

Koniec części I.


STRYPA
Śródmieście
SZPITAL
SZKOŁA
SOKÓŁ
GIMNAZJUM
POCZTA
MAGISTRAT
BAZYLIANIE
CMENTARZ
FEDOR
Rynek
ZAMEK
GAWRONIEC
POTOK
TOPOLKI
Sąd
MŁYN
Do Sotek z Łotyszo

Wojna domowa

w roku 1918

Dalszy ciąg [illegible] z mojego [illegible]

w Rosyi i Finlandii.

Wojna domowa
w roku 1918.

Dalszy ciąg pamiętnika z wojny światowej w Buczaczu i Jazłowcu. –

Dnia 24 marca r. 1919 wieczorem
o godzinie 19. minut 30. siedzieliśmy w
pokoju. Nagle usłyszeliśmy na ulicy prze„
raźliwy krzyk i płacz dziecka. Wybiegli„
śmy na ulicę i spostrzegamy dwóch ludzi
w ubraniu wojsk austriackich, z żółtonie„
bieską przepaską na rękawach i bagneta„
mi w rękach. Napadli oni na dziewczyn„
kę może najwyżej dwunastoletnią i
wlekli ją na odwach hajdamackiej żan„
darmerii. Uszedłszy z nią kilka kroków
w stronę cerkwi im. św. Mikołaja, zdar„
li z niej kożuszek, uderzyli na drogę kol„
bą karabinową i napędzili do domu.
Dziewczyna z płaczem prosto do sąsiedniego nam
domu, którego właścicielem był Rusin,

stół nader ubożny. Za chwilę wyszedł
sąsiad ze świecą zapaloną, szukał
kożuszka na ulicy, ale daremnie. Zo-
baczywszy nas rzekł:
„Posłałem dziecko do pani Kołankowe-
skiej po wodę z konewczką, tymczasem
żandarmi, czy inne jakie licho, napadli
na dziewczynę, obili kolbami i zdarli
z niej kożuszek.
„Może jutro wam oddadzą, gdy się zgło-
sicie w żandarmerii, lub u atamana."
Nato gospodarz:
„Jak ucha swego nie zobaczę tak i tego ko-
żuszka widzieć nie będę i skarga nic
pomoże, bo kruk krukowi oka nie wykole."
Takie napady dzieją się raz wraz na ulicach,
a żandarmeria, której powinnością jest

chronić mieszkańców przed złodziejami i rabu-
siami, sama urządza takie napady i to
nie tylko w nocy ale w jasny dzień rabuje
i obdziera ludzi na ulicy. Uskarżać się nie ma
przed kim, bo gdyby kto odważył się pójść
do tak zwanej komendy wojskowej nie
tylko nie otrzyma żadnej sprawiedliwo-
ści, ale owszem sam karany będzie."

Zobaczywszy ten napad na biedne
dziecko, postanowiłem napisać pamiętnik
z tego, co sam widziałem w Buczaczu,
nie wchodząc szczegółowo w ogólny stan,
co się w całej Małopolsce działo, bo nato
będą specjalni historycy. Ja rzucam tyl-
ko drobną cząstkę, którą może ktoś pod-
niesie, lub zostanie miłą pamiątką
dla moich synów.

Niepotrzebną tę bratobójczą wojnę wywołała Austria swoją fałszywą polityką domu Habsburgów, który do podbitych mu ludów używał machiawelskiej polityki, aż sam przez nią upadł, bo tak długo dzban wodę nosi, dopóki się mu ucho nie urwie.

Nim jeszcze przejdę do właściwych pamiętników, muszę wprzód objaśnić, co to jest ~~Uk~~ Ukraina. Czasy bowiem są tak dziwne, że mało jest takich ludzi, którzy zdają sobie z tego sprawę, tym bardziej, że w ostatnich dziesięcioleciach namnożyło się wiele płatnych przez naszych wrogów pseudohistoryków, którzy historię fałszują i do swych celów używają, a inni nie zbadawszy

dokładnie sprawy, idą za nimi jak muchy na lep. Do tych najbardziej tendencyjnych historyków należy Hruszewski, który nawet nie wahał się do narodowych bohaterów zaliczyć zwykłego złodzieja i rabusia, jakim był Dobosz. Inny zaś, niby to pedagog, Bohdan Barwiński umieścił w swej „Istorii Rusy" książce przeznaczonej dla młodzieży szkolnej osobny ustęp wychwalający czyny Dobosza, a niebaczna ówczesna Rada szkolna Krajowa, zapewne nie przeczytawszy nawet podręcznika, a może pod presją rządu austriackiego, książkę tę aprobowała i poleciła do nauki w szkole. Nie dziw więc, że podobną książkę można

młodzież zdeprawować, jeśli już w zaraniu ich życia truje się ją podobną nauką. Narodowość bowiem nie jest wrodzoną tylko wmówioną, od wychowania młodzieży zależy przyszłość narodu.

Dom Habsburgów słynął z tego, że zdradę nagradzał, a zdrajcom swego narodu i swego Króla, jakim był Eugeniusz Książę Sabaudzki stawiał pomniki. Niebaczny profesor Załęski, idąc torem niemieckich historyków, wychwalał czyny Eugeniusza, nie spostrzegłszy się pewnie nawet, jak taki wstęp wpływa demoralizująco na młodzież. Piszę to jako stary pedagog, który przez lat wiele uczył historii w szkołach wydziałowych. Że podobnymi pogadankami

można młodzież zdeprawować okazało się w tej bratobójczej wojnie, gdzie wróg ciężki dla swej korzyści poróżnił Polaków z Rusinami i wyzyskał tę wojnę z największą szkodą poczciwych Rusinów. Zarobili na niej tylko prowodyrowie, którzy zato od Austriaków pieniądze brali, a potem w czasie wojny obdzierali swój własny lud wiejski, bo cóż ich dola mieszczan i chłopów obchodziła.

Co to jest Ukraina?

Nazwą tą obejmowano ziemię na pograniczu Tatarszczyzny, która wiek wiecznie do krajów polskich wpadała, łupiła, co się dało, paląc miasta, wsie i zabierając ludność w jasyr. Dla obrony przed tymi dzikimi hordami założyli magnaci polscy,

tak zwanej Siczy zaporoskiej. Przecław Lanckoroński, Ostafi Daszkiewicz, ów słynny Samuel Zborowski, Dymitr Wiśniowiecki, Piotr Iwona, wenicz i inni Polacy cudów waleczności dokazywali, broniąc granic ziem polskich przed zalewem hord tatarskich i tureckich, a niejeden z nich i głowę położył, jak słynny wojownik Dymitr Wiśniowiecki, zwany przez Kozaków Bajdą, który zginął w Stambule na palu. Samą nazwą Ukraina oznaczała coś dalekiego, jakąś prowincję znajdującą się na krańcach jakiegoś wielkiego państwa, jak o tym mówi nawet stara ludowa ruska piosenka:

„Ne płacz diwczyno, ne płacz luba,
Poki ja z tobuju,

Jak pojidu w Ukrainu,
Zapłaczesz za mnoju."

Rzeczownikowa nazwa Ukrainy pojawia się urzędownie za Zygmunta III Wazy. Nie oznaczała ona jednak ściśle odgraniczonej krainy, nie rozciągała się ona na całe województwo bracławskie i kijowskie, odnosiła się ona tylko do stepowych okolic tych województw, w przeciwstawieniu ich do polskiej północnej strony. W siedemnastym stuleciu nazwą Ukrainy oznaczano ziemie stepowe od Dniestru poniżej ujścia Murachwy przez dolny Boh, Dniepr aż do szlaku Murawskiego stanowiącego dział wodny między Dnieprem a

Dońcem, dalej do działu wód Teterewa, Irpienia, Bohu i Rosi. Pas ukrainny przechodzi dalej przez Dniepr, pomiędzy dorzeczami Desny, Semem i wierzchołkami Oreli i Suły do szlaku Murawskiego poza progi Dnieprowe. Styka się tu ze stepem Nogajskim i polem Oczakowskim. Część pomiędzy Dnieprem od ujścia Murachwy, a Bohem zwano Pobereżem.

Znaczne niegdyś lasy, wielkie rzeki, ziemia urodzajna ściągały tu osadników polskich, którzy przez pług i miecz wydobyty na hordy tatarskie i tureckie brali te ziemie w posiadanie.

Magnaci polscy mieli tu olbrzymie fortuny po kilkanaście i kilkadziesiąt mil kwadratowych obszaru. Dogodniejsze

przejścia przez rzeki pokryły się licznymi zamkami, owymi strażnicami polskimi przeciw najezdniczym hordom.

Ziemia ukraińska była areną falujących po niej coraz to nowych ludów zmieniających się i mieszających się ze sobą. Mordy, pożogi szły raz po raz jedne za drugimi, zwane pod nazwami mongolskiego lichołitia.

Od pół dzikich szły szlaki tatarskie na Ukrainę. Szlaki wyznaczały przeprawy przez wąskie rzeki, a jakkolwiek wszyscy te znaki znali; nikt nie wiedział, którędy nim pójdą Tatarzy. ~~Szl~~ Szlak był bowiem na kilka mil szeroki, a na nim czynili Tatarzy różne zawroty. W stepie orientowano się mogiłami. Szlaków było trzy:

Czarny, Kuczmaiski i Murawski.

Ludność Ukrainy należy do typu połu-dniowo-ruskiego, różniącego się znacznie od Rusinów innych okolic. Są tu większe przymieszki obcych, niż u innych Rusi-nów. Pochodzą one od koczowniczych ludów tureckich, tak zwanych Czarnych Kłobuków. Oni to pierwsi dali popęd do kozactwa. Ukraina była zasiana tureckimi plemionami, a plemię ruskie wchłonęło do siebie te koczownicze ludy. Ukraina w ogóle Małorosja nie posia-dała prawie ludności miejskiej, pomimo iż królowie polscy nadawali dla stwo-rzenia mieszczaństwa przywileje i prawo magdeburskie. Żywioł ten wytworzyć zwiedli dopiero Wielkorosjanie. —

Trzeci o literaturze:

Tarnowski zastanawiając się nad Ukra-iną, mówi: „Dlaczego poezja ruska, nawet przez oświeconych ludzi napisa-na nie zdobyła się jak tylko na dumkę, dlaczego tylko jedna Polska coś z tej Ukrainy stworzyć umiała. Malczewski, Goszczyński, Zaleski, którzy będąc Polakami, są również Ukraińca-mi, a nie ci nasi Małopolscy Rusini, którzy bezmyślnie i bezprawnie Ukraiń-cami się nazwali, chociaż Ukrainy nigdy w życiu nie widzieli."

Rozpisałem się o właściwej Ukrainie w tym celu, aby wykazać, że ruch w Wscho-dniej Małopolsce, niby to ukraiński, wcale

ukraińskim nie jest i takim nigdy nazywać
się nie może. Jest to tylko bezmyślne powta-
rzanie błaznych frazesów fałszywych hi-
storyków płatnych przez austriackie rzą-
dy, którzy poczciwy i dobry lud ruski
przez szereg lat bałamucili i na rozkaz
rządu austriackiego wzniecili kość niezgody
między Polakami, a Rusinami, synami
tej samej Matki Polski. Szelmowska
ta polityka domu Habsburgskiego
nie przyniosła im samym szczęścia, bo
inne światłe narody mają również oczy i
umienie i ~~tym~~ Metternichowskim zakła-
dom domu Habsburgskiego raz ~~nas~~ koniec
położyli. Habsburgowie upadli, a daj
Boże, aby podobne im rządy nigdy nie stały
na czele ludów, gdzie panowanie swe

zawdzięczali tylko zdradzie i na fałszu dla swych
poddanych, nad którymi mieli rządy.
Pytanie: Kto jest autochtonem w "Wschodniej
Małopolsce i kto ma do niej prawo?
Herodot, historyk żyjący na 400 lat przed
narodzeniem Chrystusa Pana wspomina w
swej historji o kraju Alizonów, którzy
mieszkali na północ od Grecji ~~[illegible]~~ za
Karpatami, nazywa ich zeskinityzowa-
nymi Grekami, odróżniających wyraźnie
od koczowniczych Scytów.
Słowiańskie języki mają przydech, że to
głoski: h, w, j. jak Anna = Hanna = Agnieszka
Jagna, ojczyzna wiedzeyna, ~~więc Ali~~ Alina
Halina więc Alizonie - Halizanie. Jordan
pisarz grecki również wspomina o mieszka-
nich Słowianach, grających na gęśli:

Nim jeszcze Waregscy Rurykowie z kraju Rus-
lagen w Szwecji opanowali słowiańskie wscho-
dnie ziemie, kraj pod Karpatami zamie-
szkiwały szczepy Lechickie. Był to naród
zupełnie wolny nie podlegający ani królom
polskim, ani książętom z rodu Rurykka
czyli ruskim, naszym zdaniem Rusin jest
tylko ~~Sław~~ Słowianom narzucono od
zupełnie obcych książąt Wareskich.
Rurykowicze w celu łatwiejszego dostania
się do Carogrodu zajęli ziemię Lachów,
jak to w swej Latopisi ruski historyk
Nestor wspomina i wówczas Rusinów
tu wcale nie było. Nie było ich także
w tak zwanej Rusi zakarpackiej. O tę
ziemię Lachów nazwaną także Grodami
Czerwieńskimi, od miasta Czerwieńska,
przez księcia Lwa Lwowem nazwanego

toczyły się często walki między książętami
polskimi, a Rurykowiczami, ale były to
walki krewnych. Do ziemi tej jak i za
Karpaty ludność ruska zaczęła napły-
wać dopiero po pierwszym napadzie Ta-
tarów, czując się tu bezpieczniejszą.
(Czytaj: Dzieje Rosji Tom I. Strona 243 Dr.
Feliks Koneczny).

Lachy przyjęli Rusinów
pod swe pielesze jak braci, których nie-
szczęście tu przypędziło, zawierali z nimi
związki małżeńskie, jak to dotychczas się
dzieje. Królowie polscy jak Kazimierz
Odnowiciel, Kazimierz Sprawiedliwy, Leszek
Biały i inni żenili się z ruskimi księżnicz-
kami. Także szlachta, bojarowie, mieszcza-
nie i chłopi spokrewnili się od kilkuset
lat i tworzą jeden naród. Kazi-

mierz Wielki w roku w roku 1340 po
śmierci Bolesława Trojdenowicza wy„
darł tę ziemię z rąk Tatarów, był dla
tych ziem ojcem, budował zamki obron„
ne, zakładał miasta, otaczał je mu„
rami, by w czasie napadu Tatarów miał
lud obronę. Całe niezaludnione obszary
osiedlał ludem polskim, który pługiem
i mieczem bronił tych ziem przed napa„
dami tureckich plemion. Dość wspom„
nieć nazwiska słynnych Jazłowieckich,
Strusiów, Pretwiczów, ~~Chm~~ Chmieleckich,
Tarnowskich, Potockich, Wiśniowieckich
Daniłowiczów, Żółkiewskich, Sobieskich
i innych. Całe Podole, ziemia Czerwieńska,
Pokucie zroszone krwią polską w obro„
nie Chrześcijaństwa i całej cywilizacji
Zachodu tak, że Polskę nazwano Przed„

murem Chrześcijaństwa. Polacy i Rusini
tworzyli jedną rodzinę, a w kościołach i
cerkwiach śpiewano polskie i ruskie pie„
śni: Boga Rodzico, Serdeczna Matko, Prze„
czystaja Diwo Mati. Gdy procesje szły na
odpust prowadzili ich polscy i ruscy księ„
ża. Była miłość i zgoda. Ot nawet
obecnie w czasie nieszczęsnych nieporozu„
mień (w roku 1919) w czasie zapust było
w Buczaczu w łacińskim parafialnym ko„
ściele 50 ślubów, z tych 20. ślubów było
mieszanych, bo lud między Polakami a
Rusinami różnicy nie robi; a czynią to
tylko ludzie źli, lub otumanieni. Lud
wszystki obrządku grecko katolickiego zupeł„
nie bić się nie chce i dezerteruje z tych hord
hajdamackich całymi gromadami.

Gdy raz przewędrowanie biorą tak zwanych ochotników do wojska, zabierają ze sobą maszynowe karabiny i żołnierzy z karabi-nami, otaczają wieś dokoła i szukają za chłopcami, którzy się pochowali po różnych kryjówkach. Żołnierze zabiera-ją z domu ostatnią krowę, a ochotnik widząc to, wyłazi z kryjówki. Tym sposo-bem wyłapani ochotnicy idą jak na rzeź i czekają tylko sposobności, aby uciec. Zima się przewlekła. Dziś 2. kwietnia r 1919 i spadł świeży śnieg. Długa ta zima jest przyczyną, że wojna się przewleka, bo chłopcy wiejscy czeka-ją tylko, aby las pokrył się liśćmi. Wówczas będą mogli przed swymi opieka-nami gdzie się schować, a chłopi mówią: „Naco nam ta wojna? Naco nam ta jakaś Ukraina? My jesteśmy Rusini, moja matka Polka, moja siostra Polka, mój szwagier Polak. Zaco ja się mam ze swymi brać-mi bić?"

Tak mówią tysiące ludzi. Oba-wiają się również głodu, jakiego na Podo-lu nikt nie pamięta, bo nie ma komu pola obrobić, ani zboża zasiać. Tak mówią po wsiach, a w miastach jeszcze gorzej. Nikt nie ma w domu ani trochę zaoszczędzonej mąki, ani krup, ani płótna, a wszystko drożeje. Na naftę żądają wy-górowanych cen, pudełko zapałek kosztuje 3 korony, a niedawno płacono za takie pudełko 2 halerze. Jeden kilogram słoniny

zamiast dwóch koron kosztuje koron czter-
dzieści. Ostatnimi tygodniami nie można
dostać mięsa. W sklepach wyprzedano
wszystkie sukna, płótna, żelaziwo,
nawet gwoździ dostać nie można. Wę-
gla kamiennego zupełnie niema. Jeden
metr sześcienny drzewa opałowego
kosztuje 100 do 120 koron. To
teraz, a co będzie później? Żołnierze
rozbijają sklepy w biały dzień, na ulicy
obdzierają ludzi z ubrań, butów lub
czapek. Nie można się nawet poskar-
żyć, gdzie komu? Jeżeli sam ata-
man Sieczków urządza nocne wy-
prawy rabunkowe, czyż żołnierz ma
być lepszy?
Już od samego początku rozbioru Polski

starał się rząd austriacki poróżnić dwory
z gminami, ustanawiając mandataria-
szów, aż wywołali rzeź lutową w r. 1846
Potem Stadion z Agrystynopola rzucił
pierwsze zarzewie niezgody między Po-
laków i Rusinów. Chciał on stworzyć
osobny język ruski i naradzał się
długo jakiego alfabetu używać do te-
go języka, czy łacińskiego, czy gre-
ckiego, czy ruskiego i stworzono
tak zwaną etymologię ruską, póź-
niej chcąc osłabić partię ruską,
którą nazywano moskalofilską, lub
kacapską pozwolono pisać fonetyką.
Habsburgowie zawsze marzyli o wzmo-
cnieniu swej dynastii i przez różne że-
niaczki powiększali swoją potęgę.

Marzyło się im właśnie państwo ukraińskie, które nigdy nie istniało i chcieli na nim osadzić jednego z Habsburgów, wmawiali więc w poczciwy naród ruski, iż są Ukraińcami i było wielu takich którzy się dali zbałamucić, lecz między Rusinami żyją jeszcze ludzie rozumni, którzy w cerkwiach śpiewają:

„Preczystaja Diwo Maty ruśkoho kraju"

a więc ruskoho, nie ukraińskoho.

Do zdeprawowania uczciwego ludu ruskiego przyczynili się przedewszystkiem ruscy księża. (Nie wszyscy) Około roku 1883 znałem między innymi bardzo rozumnego księdza Iliszakiewicza proboszcza w Jastrzębiu w powiecie sokalskim. Kapłan ten pokazywał mi

raz stary Schematyzm gr. k. Diecezji Przemyskiej, porównywał go z nowymi Schematyzmami i mówił:

„Przeglądnij pan stare Schematyzmy i porównaj je pan z nowymi. Dawniej na ruskich księży szli tylko ludzie z powołania i to z najlepszych domów. Niejeden szlachcic polski chciał się poświęcić stanowi duchownemu, a nie mając zamiaru zostać w bezżeństwie, przechodził na obrządek greko-katolicki, żenił się i był wzorowym kapłanem. Patrz pan jakie to nazwiska: Stupnicki, Szeptycki, Sumecki Witoszyński, Baranowski, Sembratowicz i inni. Same rody szlacheckie, umieli oni przewodzić im lud w pobożności

wychowywać. Dziś w Schematyzmie tych nazwisk mało, ale ptaków Stuki, Tuki, Drymbale, Nytkoptaszy, ludzie z pod ciemnej gwiazdy, umieją tylko chłopa ze skóry obdzierać, ale nauki chrześcijańskich nie potrafią im udzielić. Dawniej każdy ksiądz czytał brewiarz, a do kazań przygotowywał się z ksiąg duchownych. Dziś przeczyta polityczną gazetę „Diło" lub inną i idzie z tym do cerkwi i „ludy durzyty" a zapomina o pierwszych zasadach wiary katolickiej, która mówi: „Kochaj bliźniego, jak siebie samego." Ja panu mówię, że z nauki tych nowych księży, którzy nie z powołania, ale z interesu wyświęcają się, wypreśnie

wielkie zło, bo kto wiatr sieje, ten burzę będzie ~~zbie~~ zbierał."

Prawdę mówił ów zacny księdz Ki-nakiewicz. Wszak dawniej O.O. Bazylianie słynęli z nauk, pobożności i patriotyzmu. Z ich szkół w Buczaczu wyszli ś.p. ~~Zygmun~~ Zygmunt Sawczyński, słynny pedagog, Kornel Ujejski, wieszcz narodu polskiego i inni. Żyją jeszcze starsi ludzie, którzy pamiętają tych poważnych i uczonych kapłanów Ośmiałowskiego, Kostowskiego, Jaworskiego i innych.

Jakoś około roku 1880. zreformowano ten zakon, i cóż się stało? Oto ci nowi Bazylianie zapomnieli o miłości chrześcijańskiej, nie było kazania,

w którymby nie było coś z polityki i to skierowanego przeciwko Polakom. Ja sam byłem na takim kazaniu. Mówił Bazylianin w ten sposób:

„U naszego pana cesarza, najjaśniejszego monarchy na zamku wiedeńskim odbywają się zawsze co czwartku posłuchania. Tam cesarz każdego chętnie przyjmuje i z nim rozmawia, nie tak jak pan polski, u którego nieraz musisz godzinami stać przed progiem."

Jad taki puszczali powoli, ale całymi latami, nic dziw więc, że nauka ta wydała zatrute owoce.

W miejscowościach gdzie był kościół i cerkiew, chodziły dzieci co drugą niedzielę do kościoła lub do cerkwi i tam młodzież

uczyła się szanować i kochać oba obrządki. Pierwsi O.O. Bazylianie odłączyli dzieci obrządku grecko katolickiego i zakazali im chodzić do kościoła. Czy to tak robią katoliccy księża?

Kto budował na Czerwonej Rusi owe cerkwie i fundował dzwony? Polacy. Cerkiew, klasztor O.O. Bazylianów zbudował Mikołaj Potocki, wisiał tam na ścianie portret tego fundatora, lecz nowi Bazylianie wyrzucili go. Świątynia wyglądała przed wojną bardzo estetycznie. W roku 1916 przybył do Buczacza jakiś bazgrała i posmarował ściany czerwoną glinką i ultramaryną, posmarował na ścianie jakieś tam bohomazy i cerkiew wygląda dziś tak jak pagoda indyjska.

Także wyparło się już od dawnego czasu z powodu braku łacińskich Kościołów i kaplic duszpasterstwa, bardzo wiele narodu polskiego pochodzenia przez nieoględność i niedbalstwo przeszło na obrządek grecko-katolicki i nazywano go już Rusinem. Ilu to nareszcie polskich jest między tymi, niby to Rusinami!

Choć za dużo czasu wyłożyłem na tę nocną robotę, lecz nie mogłem inaczej postąpić, gdyż od lat osiemnastu, a może i więcej pracowałem na tę nocną robotę.

Teraz przystępuję do właściwych pamiętników.

Pamiętnik.

Już 30. października i 1. listopada 1918 opowiadano w Buczaczu o jakimś przewrocie w Europie i to, że Ukraińcy, bo tak Rusinów prowodyrowie nasi nazwali, wezmą rządy w swe ręce, lecz tu w tym zapadłym mieście zanadto oddalonym od wszelkiego środowiska żadnej obrony przedsięwziąć nie było można. Nikt bowiem nie miał ani broni, ani żadnych wskazówek z góry, co w takim razie czynić należy. Jeżeli we Lwowie, Stanisławowie, Tarnopolu dano się zaskoczyć, cóż mógł Buczacz na to poradzić? Od kilku dni jeździł Sijak, urzędnik pocztowy, niby

to w swojej sprawie za urlopem po okolicznych wsiach, do Stanisławowa, do Lwowa po informacje, a za nim mnóstwo „diejatelów" ich przygotowywali do buntu. Nie robiono tego skrycie, ale jawnie, wszak mieli poparcie władz austriackich, a ze strony polskiej nikt im żadnych przeszkód nie robił, bo nie mógł, często mówiono sobie: „Ot tylko jakieś austriackie gadanie." Tymczasem tym wszystkim kierował rząd austriacki, a sam namiestnik Huyn w czasie wybuchu tego buntu, udał naiwnego, jakby o niczem nie wiedział, a przecież to była jego ręka.

— Na miesiąc przed tym wybuchem wydał ś.p. ksiądz arcybiskup

Józef Bilczewski okólnik, by we wszystkich kościołach odbyły się uroczyste procesje ku czci Najświętszej Panny Marii Królowej Polski. W Buczaczu więc odbyła się uroczysta procesja z kościoła do figury Matki Boskiej na Nagórzance, w czasie której śpiewano litanię do Najświętszej Panny i pieśń Serdeczna Matko.

Tamten grecko-katolicki ksiądz, o rdzennie polskim nazwisku, którego nie wymieniam, bo chłop nie zły, ale głupi, odważył się powiedzieć:

„Polacy ze strachu modlą się do Matki Boskiej, by im Polskę przywróciła, my nie będziemy się modlić i nie potrzebujemy się modlić, a Ukrainę będziemy mieli."

Nie przypuszczał ów człowiek wówczas, że

w miesiąc później zmikną, lub upokorzo-
ne zostaną, [nadpisane: metajno państwowe] w wojnę wsporzeży bez
Bożkiej pomocy.

O godzinie 10. rano w dnia Zadusznym
weszli do tutejszego starostwa adwokat
Bociarko, kupiec Klimcio Rogoziński,
pochodzący ze starej polskiej szlachty,
Wiktor Łuckiów inżynier i Sipał urzęd-
nik pocztowy, zażądali od starosty
Dmitrzańskiego wydania aktów (Pani
Bociarkowa i Łuckowa są Polkami).
Ten nie widząc wyjścia, natychmiast to
uczynił, zresztą widział przez okna swej
kancelarji na ulicy mnóstwo ludzi z
kipami, pałkami, karabinami, był więc
przekonany, że wszelki ~~o~~ upór z jego
strony na nic się nie przyda. Inni

urzędnicy uczynili to samo. Odebrano rów-
nież akta w sądzie powiatowym i na
poczcie. Jeden tylko Józef Wagner, inspe-
ktor szkolny, stary twardy i uczciwy, na
żądanie wydania aktów szkolnych, odpo-
wiedział:

„Nie wyście powierzyli mi
mój urząd, nie mam więc prawa wam go
oddawać, ani przed wami składać rachun-
ków nie myślę, a jeżeli ustępuję, to
tylko przed przemocą." Powiedziawszy to,
wyszedł z kancelarji.

Burmistrzem miasta zamianowano kupca
Klimcia Rogozińskiego.

Rano, jeszcze tego-
samego dnia stanęły koleje, bo pracującym
przy kolejach urzędnikom i robotnikom

odebrano służbę i zażądano od nich pod-
pisania deklaracji (zajawę) na wier-
ność Zachodniej Ukrainie. Kolejarze
deklaracji nie podpisali, lecz odpowie-
dzieli, że tylko prawowita władza
ma prawo im rozkazywać, a do buntu
należeć nie myślą. Wyrzucono ich więc
z pomieszkań, a w służbie zastąpiono ich
ludźmi nie mającymi wyższego fachowego
wykształcenia, a o ruchu kolejowym mieli
tylko słabe wyobrażenie. Odbieranie
urzędów odbywało się nader spokojnie,
tylko na oddziale żandarmerji przyszło
do awantury, bo tłum napadł na
nich niespodzianie i zażądał wydania
broni, co żandarmi natychmiast uczynili,

ale jeden z nich pojmując ściśle swe
obowiązki i to Rusin nie chciał bro-
ni oddać i zato pobito go dotkliwie.
W samym mieście był ruch niezwykły,
bo przeważnie sprowadzili z pobliskich
wsi chłopów i sporo przybyłych urlo-
pników uzbrojonych w karabiny.
Chłopi i parobcy uzbrojeni byli w drągi,
kije i pałki. Mówiono, że będą ~~rabo~~
rabowali żydowskie sklepy i Polaków.
Ludzi ci pochodzili z Żyznomierza, Sorok,
Trybuchowiec i Medwedowiec, Nagórzanki
i Przedmieścia buczackiego. Większa
część ludzi nocowało u proboszcza
księdza Nestajki. Szedłem właśnie
do kościoła, a dwarazy zawsze w polskiej
czamarze i widziałem na ulicy

Kolejowej kilkanaście wozów zapełnionych uzbrojonymi ludźmi. Przewodził ich pisarz gminny Łuciów z Żyrnomierza, siedział na wozie, ukłonił mi się grzecznie i jak mi się zdawało, działał na ludzi uspokajająco. — Po południu tego samego dnia nadjechała lokomotywa z trzema wozami pełnymi żołnierzy i dwoma karabinami maszynowymi; stanęła ona poza szkołą na Borkach naprzeciw żandarmerii. Z wozów wyszli żołnierze i natychmiast tuż obok toru kolejowego ustawili one dwa karabiny i z bohaterską odwagą zaczęli ostrzeliwać bezbronne i spokojne miasto, również posterunek żandarmerii, gdzie prócz kobiet i dzieci nikogo więcej nie było. Powybijali szyby, podziurawili dach, a nad miastem położonym w głębokim parze świstały kule. Aż naraz z jednej sąsiedniej chaty wyszła jakaś odważna kobieta z miotłą w ręku, a zobaczywszy tę głupią bandę, pogroziła im miotłą i narobiła wrzasku:

„A szlag by was trafił z waszym strzelaniem, wy takie syny, co wy tu będziecie strzelać? U mnie się dzieci poprzestraszały, a choroba na wasze kiszki, jak zamotę tę miotłę w wychwałku, to wam zaraz

na powstańców oczy zachlapię.“
Zawstydzeni i wielce przestraszeni gnieźli się. Kobiety heroje uformowali się czwórkami i z wielkim tupetem poszli na rynek, bo zdobyli miasto, jak to w pisemku: „Nowe życie” ogłosili. Dowodził nimi heroj Ilar-dan, były uczeń tutejszego gimnazjum, niegdyś kolega mych synów.
W nocy rozeszli się heroje po mieście i jak niegdyś dzicy Czerkiesi, tak oni po całych nocach strzelali w mie-ście po ulicach i placach, dopóki im dla braku amunicji nie zakazano tego strzelania. Wreszcie to zanikło i teraz słyszeć się dają, bo strzelają do ludzi wieczorem lub nocą, jeśli

ktoś zmuszony jest wyjść z domu na ulicę. Czasem też żołnierz postawiony na warcie, a zdaje się mu, że stoi za długo, zaczyna strzelać, a strzela tak długo, dopóki go nie zmienią.
Broń i mundury z magazynu żandar-merii zabrano i uzbrojono żołnierzy. Nowa żandarmeria popisywała się tym, że wyłapywała chodzących wieczorem i nocą na ulicy przechodniów i biła tak, jak za dawnych czasów zbrodniarzy. Biła również i tych wszystkich chłopców, tak zwanych ochotników, którzy do tej zbuntowanej, zbrodniczej ruchawki na-leżeć nie chcieli i uciekli.
Ulicami od ochotników dostawano ostro-ty. Zawsze wieczorem było z

stychać płacz i jęki tych bitych ludzi. Działo się to za wiedzą i wolą Laskowa, który był atamanem w tutejszym powiecie. Dopiero później nadszedł rozkaz ze Stanisławowa, że nikogo bić nie wolno.

Nowa władza zaprowadziła zaraz we wszystkich urzędach narzecze ruskie. Nie byłoby to jeszcze nic złego, bo na Podolu każdy Polak narzeczem tym doskonale władał i pisze, ale ta nasza pseudoukraińska władza wyrzuciła zupełnie język polski z urzędów i szkół. Polacy, jako naród kulturalny nigdy nie byli przeciwni językowi ruskiemu,

a nawet w dawnych czasach wolno było mówić i pisać jak kto chciał. W gimnazjum, gdzie był od niepamiętnych czasów, bo to jedno z najstarszych gimnazjów w Polsce wykładowy język polski; zaprowadzono li tylko narzecze ruskie, zapominając o tym, że w tym gimnazjum uczono także obok języka polskiego, także po rusińsku. Obecnie język polski usunięto zupełnie. W odpowiedzi na to wszyscy Polacy wystąpili z gimnazjum, a pozostali tylko Rusini i Żydzi. Urzędnikom starostwa, sądu, urzędnikom pocztowym, kolejarzom, nauczycielom szkół ludowych, i wydziałowych i gimnazjalnym za

rozesłano: „zajawę" czyli deklarację
do podpisania. W deklaracji tej
było wymienione, że podpisujący
obowiązuje się do bezwarunkowego
posłuszeństwa, lojalności i wierno-
ści „Ukraińskiej zapadnoi repu-
bliki". Naturalnie Polacy tej de-
klaracji nie podpisali. Pierwsi od-
mówili kolejowcy i stanęli w liczbie
nie jak jeden mąż, chociaż natych-
miast ze służby wyrzucono resztę
i tak służby już nie objęli, ale wśród
zimy wyrzucono ich z mieszkań
na bruk, ściślej mówiąc na
śnieg. Z innych urzędników
podpisali deklarację sądowcy.

bali się bowiem, iż nie dostaną aprowizacji
i kilku strachopudów, których nazwiska
niech idą w zapomnienie. Gdy profesora
Niewierzawskiego namawiano do podpisu,
postawił się tak ostro, że omal go z miejsca
nie uwięziono. Żydzi podpisali wszyscy
z wyjątkiem gimnazjalnego profesora
Izaaka Pollaka, który wręcz oświadczył,
iż choć jest wyznania mojżeszowego, ale
jest Polakiem. Podpisał zato deklara-
cję ostatnik, który przez wojną stał tu
na czele Polonji i na wszystkich pa-
triotycznych posiedzeniach zawsze pre-
zesował. Również zaś „Sokół" aż ~~[illegible]~~ się
prosił, by mu pozwolono deklarację
podpisać, ale hajdamacy zakpili
sobie z niego i nie przyjęli podpisu.

Sam ataman Łuczków kpił sobie z nich
i mówił: „Tomi Polacy! dziury w ko-
minie nimi zatykać."
Co się działo wówczas we Lwowie, tego
na zachodnim froncie nikt z nas
nie wiedział, nawet znaczniejsi Rusini
o niczym nie wiedzieli; a jeśli wiedzieli,
to tylko dla siebie i to tylko wtajemni-
czeni.
Nadeszło do Polaków pismo, był
to rozkaz drukowany na maszynie,
a podpisany przez Dr. Tadeusza Terti-
la z Wiednia, ostatniego prezesa Koła
polskiego. Tertil, głębszy polityk,
najlepiej wiedział, że ta „Zapadnaja
ukraińskaja republyka" nigdy się
nie utrzyma. W piśmie swym wzywał

Tertil Polaków pozostających pod
zaborem hajdamaków do wytrwało-
ści, a zarazem przestrzegał byśmy żad-
nych deklaracyj nie podpisywali, a
Polska za ten patriotyczny czyn bę-
dzie o nas pamiętać, a teraz o ile
możności postara się o to, byśmy ten
krytyczny czas jakoś przetrwali."
Pismo to wlało w serca nasze
wielką otuchę, a najbardziej dobrem
było to, żeśmy wiedzieli, czego się trzy-
mać i jak postępować.
Zaczęły do nas dochodzić wieści, że haj-
damaccy żołnierze rabują dwory, za-
bierają konie, bydło, świnie, narzędzia
gospodarskie, sprzęty domowe, meble,
zabierają ubrania, obuwie i bieliznę,

wycinają lasy, jednym słowem postępują gorzej, niżeli ongiś Moskale, a potem wojska austriackie, lub pruskie.
Z magazynu starostwa i z urzędu podatkowego zabrano wszystkie zapasy zbożowe, cukier, ubranie i pieniądze. Ze starostwa zabrano wówczas samej gotówki przeszło trzy miliony koron. Była to wówczas bardzo znaczna kwota pieniędzy.
Lwowska centrala sprzedaży sukien przysłała jakoś na dwa miesiące przed wybuchem tej ruchawki kilkadziesiąt bali sukna do rozsprzedania między urzędników i nauczycieli. Ponieważ obawiano się trzymać to

sukno w starostwie, przeto całą sporą część tego sukna złożyło się u mnie w moim pokoju. Z tego sukna pozostało jeszcze u mnie do 250 metrów niesprzedanych. Bociurko o pozostałym suknie wiedział i przysłał do mnie oddział żołnierzy, aby je zabrać. Zażądałem jednak od żołnierza kartki. Jeden z żołnierzy po nią poszedł i przyniósł rozkaz wydania sukna. Na rozkazie był podpis Bociurki. Kartkę schowałem, a żołnierze sukno zabrali. Co się z nim stało, tego nie wiem.
Na miejsce inspektora szkolnego Wiegnera wlazł do kancelarji inspektoratu Wasyl Wynar, profesor gimnazjalny. Był to dobry człek, lubiany

przez uczniów tak Polaków jak i Ru-
sinów, gdy chłopak nie robił postępów
w łacinie, wybił go, wykułakował, lecz
nigdy złej noty nie dał. Tu jednakże
na szkolnictwie ludowym zupełnie się
nie znał, a robił tylko to, co mu Bo-
ciarko kazał. Pierwszą czynnością
jego było, że rozesłał kierownikom
szkół, aby mu przysłali wykaz personalu
nauczycielskiego, w którym miało być
wyraźnie zaznaczone do jakiej narodo-
wości dany nauczyciel należy. Już z tego
wnioskować było można, że Bociurko
chce wyrządzić jakąś nieuczciwość.
Następnie nowy inspektor zarządził
konferencję nauczycielską, która odbyła

się w mej szkole. Miano na niej ułożyć
rozkład nauk dla wszystkich szkół
w powiecie. Rozkład ten był jednak
rzeczą uboczną, a głównym celem było
zmusić nas do podpisania deklaracji.
Zaczęła się dyskusja nad rozkładem,
w której pan Saco Daniów miał pierw-
szy głos i dominujący, a o czym mówił?
„W jaki sposób uczyć rachunków w klasie
drugiej w szkole ludowej.“ Ponieważ
jednak Daniów, jako nauczyciel języ-
ków w szkole wydziałowej nigdy ra-
chunków nie uczył, przeto pleść bre-
dnie, a nikt go krytykować nie mógł,
bo każdy widział, że on w szkole zaj-
muje moje miejsce. Zrobiliśmy mu je-
dnak figla. Słysząc, że on tak często

przemawia, namówiliśmy się cicho, aby
z powodu tego, że on tak ślicznie
wsunie się na udzielaniu nauki dzie„
ciaków i na szkolnictwie, zwolił
żądany wykład nauk. ~~Daniół~~
Daniów wykręcał się jak piskorz,
a wszyscy się cieszyli, nawet sam
przewodniczący Wynar śmiał się. Ostatecz„
nie stanęło na tym, by każdy z kiero„
wników dla swej szkoły zwolił ów
żądany wykład naukowy. Nakoniec
Wynar oświadczył, że tylko ten do„
stanie płacę i aprowizację kto pod„
pisze deklarację na wierność dla
„Zapadnoi ukrainśkoi republyki."
Ponieważ z Polaków nikt do tego się

nie kwapił, a Rusini i żydy pod „Zajawą"
podpisali, aprowizację i pieniądze wzię„
li, przeto zakończono tę komedję.

— Od kilku dni zauważyliśmy
że zawsze wieczorem i to nieraz dość
późno w nocy ktoś chodził popod
naszymi oknami i zaglądał do po„
kojów. Widziano nawet małego, szczu„
płego żyda, który jak lis, skradał
się pod oknem. Widocznie było, że
byłem pod nadzorem policyjnym.
We frontowym pokoju mej szkoły po„
zwoliłem zamieszkać koledze panu
Jaksmanickiemu z rodziną. Raz w nocy
za jakąś potrzebą zaświecił on za„
pałkę, która zaraz zgasła. W tej chwili

patrol złożony z dziesięciu żołnierzy zapukał do okna z żądaniem, by drzwi otworzyć. Żołnierze weszli do pokoju, a zobaczywszy czworo dzieci śpiących w łóżkach, odeszli.

A zatym nie tylko szpiegi mnie śledzili, ale i wszystko, a to z tego powodu.

Na miesiąc przed wybuchem tej wojny domowej przyjechał do nas do domu najstarszy mój syn Józef, który był już wówczas porucznikiem (Oberleutnant). Przyjechał już chory, bo nabawił się tyfusu. Dłuższy czas leżał w szpitalu, a gdy mu już było lepiej jako rekonwalescent był już w domu. — Młodszy syn Zygmunt

niegdyś legionista i ułan polski, potem przez Austriaków wzięty do 20. regimentu strzelców czortkowskich (nazywano ich Schützenzwanzig) stał na froncie tyrolskim, dostał również urlop i obaj właśnie byli u mnie w domu. Tu zaznaczam że w tym regimencie wszyscy Polacy dostali urlop, z tej przyczyny, aby się ich pozbyć, bo żołnierzy obrz. gr. kat. chcieli Austriacy wysłać do Galicji, by w buncie wzięli udział. Szelmowska austriacka polityka!

Już z początkiem tej hajdamaczyzny odebrano obydwom oficerskie szable i kazano im zdjąć z kołnierzy oficerskie gwiazdki.

Trzynastego listopada (r. 1918) przyszedł do Józefa pseudoukrainiec i nasz sąsiad Dębicki (nauczyciel z mej szkoły) i mówi:

„Panie Józefie, proszę nam sprzedać swój mundur oficerski, bo my nie mamy mundurów dla oficerów."

„A ja w czym będę chodził?" pyta Józef.

„Damy panu z magazynu ubranie tego samego, cośmy go wzięli u pańskiego ojca, będzie pan miał ubranie, jeśli się pan nie zgodzi, to i tak będzie pan musiał swe wojskowe ubranie oddać."

„He, jeśli tak, to ja swego ubrania nie dam, ale zrabować je możecie."

Pierwszy ~~raz~~ rabunek w mieście:

Tego samego dnia o godzinie pół do dwunastej w nocy zapukał ktoś głośno jakimś ciężkim przedmiotem w ramy naszego okna. Zbudziliśmy się wszyscy naraz, ja poszedłem do okna popatrzeć, co się tam dzieje i widzę: Jakiś wysoki drab trzyma latarnię w ręku, a obok niego stało dwunastu, czy czternastu ludzi uzbrojonych w karabiny, nadzianych bagnetami.

„Otwórzcie!" woła ów drab.

Otworzyłem drzwi od korytarza. Ów drab wszedł do przedpokoju, gdzie była złożona aprowizacyjna mąka przeznaczona dla nauczycieli tutejszego powiatu i przez nich kupiona i zapłacona i groźnie zapytał:

„Co to za mąka?"

„Własności nauczycieli; pstro będzie się wy-
dawać." mówię
„Kto nato pozwolił?"
„Łuszków" (gdyż tak zrozumiałem wyjaśnienie).
„Pan atamanie, to ja nato pozwolenia
nie dawałem."
Dopiero poznałem, że to sam
ataman Łuszków, który nie rozumiejąc swej
atamańskiej godności, szedł jak zwykły
żołnierz rabować cudze domy, zamiast
polecić to jakiemuś wachmistrzowi. Więc
gdy się przyznał, że on sam Łuszków
we własnej osobie, mówię:
„Jak nie Łuszków, to Bosiatko"
Ale temu atamanowi chodziło o to by mó-
wić: „pan Łuszków", bo wobec żołnierzy
chciał zachować powagę, której naturalnie

sam nie umiał uszanować.
Wszedł do pierwszego pokoju i [crossed out] zawołał:
„Oddać broń!"
Nasze browningi były po-
rządnie schowane, przeto oświadczyliśmy,
że nie ma broni.
On zaś, obróciwszy
się do [crossed out] Zygmunta, mówi:
„Jak znajdę broń, każę pana w tej chwili
rozstrzelać, wie pan?"
„Teraz już wiem" ale leżał dalej w łóż-
ku i nie wstawał. Tymczasem Łuszków
wziął się do rabowania, kazał żołnierzom
otwierać skrzynie, kufry, szafy, paczki;
żołnierze wyciągali bieliznę, ubrania,
prześcieradła, a Łuszków ciągle wrze-
szczał: „Bery! Bery!"
W kasie leżało 12. worków, własności

inspektora Wagnera. Do tych worków kazał wszystko pakować. Tak nas obrabował, że zostaliśmy tylko w tym, cośmy mieli na sobie. Jeden z żołnierzy dobierał się nawet do Zygmuntowych spodni, ten widząc, że to nieprzelewki, wstał czemprędzej z łóżka i ubrał się, bo byłby został tylko w bieliźnie. Na ścianach wisiały oficerskie płaszcze moich synów. Żołnierze natychmiast je zdjęli i ubrali się w nie. Sam Łuskow rabował, znalazł w kufrze większą perspektywę mego syna, zaiskrzyły mu się oczy jak kotu i schował ją do kieszeni. Mieliśmy 24 szpulek nici, te własną ręką zabierał, a jedną z nich zerwał nawet wprost z maszyny do szycia. – Był u mnie zarazem skład papierów, atramentów, piór, kopert zakupionych dla spółki nauczycielskiej. To wszystko kazał Łuskow zabrać do worków. Zabrał również całą moją rodzinną korespondencję, a gdy go później syn mój Józef o oddanie listów wezwał, odpowiedział: „Teraz jesteśmy nieprzyjaciółmi, dlatego korespondencji pana nie oddam.”
Na piecu leżało 1400 koron, był to fundusz ś.p. Oberca przeznaczony na zakupienie butów dla biednych uczniów, gdym mu to oświadczył, pieniędzy tych nie ruszył. Na stole leżał również mój zegarek, Łuskow go widział, lecz zostawił.
Z piwnicy zabrał miotły szkolne, potem

poszedł na strych, gdzie były pochowane
browningi, ale ich nie znalazł. Pod
siennikiem łóżka były naboje karabino-
we. Żołnierz, chłop z Trybuchowic, zna-
lazł je, lecz nie wyciągnął, tylko
pchnął je jeszcze dalej, aby ich nikt nie
zobaczył. Sami żołnierze gorszyli się
i mówili: „Byliśmy na wojnie w
różnych krajach, ale czegoś podobnego
nigdzie nie widzieliśmy."

Rabowanie mego domu trwało do w
pół do trzeciej rano. Odchodząc,
zostawili nam tylko kupę połama-
nych sprzętów. Było to pierwsza re-
wizja i rabunek popełniony w Buczaczu.
Później jeszcze kilka razy były u mnie

takie rewizje i zawsze coś znaleziono i zrabo-
wano.

– Narobiła ta rewizja w Buczaczu
wiele hałasu. Wszyscy byli oburzeni, Łucków
bowiem uchodził za kulturalnego i inteli-
gentnego człowieka, mimo, wylazło szydło
z worka. Najbardziej oburzone były roz-
wszystkie panie, nie spodziewały się bo-
wiem, że Łucków i to atamanem, potra-
fi być rabusiem i mówiły:
„Wstyd nam tylko zrobił."

Sam Łucków wnet pomiarkował, że zrobił
wielkie głupstwo, ale już było za późno.
Posłał żonę do Bociwki, by choć trochę z
naszych rzeczy oddać, sam telefonował do
Łuckowa i zawołał go do zwrotu
zrabowanych rzeczy i mówił:

„Jakieście narobiły paskudu, to zatako-dit'" i oddano nam tylko dwa koce i jedną zimową kasułę, bo żołnierze nim doszli do magazynu połowę wykradli, a w magazynie każdy gospodarował, kto chciał.

Później koledzy Keffermüller i Cześniewski, dowiedziawszy się, żeśmy zostali zupełnie bez bielizny, podarowali nam parę koszul.

To złote serce.

Dostaliśmy kartkę, że wolno nam kupić jeden litr nafty za trzy korony, kto nie ma kartki płaci koron szesnaście.

— Piszę wszystko, bezustannie są to jakieś przeszkody, to ktoś przyjeżdża, to jakaś strzelanina na ulicy, to rabunek, a zimno takie, że pióra w ręku nie

mogę utrzymać, a zmartwienie tak dołega, że myśli zebrać nie można, ale może z tych wycinków zrobi się kiedyś całość i pamiętniki moje może do czegoś będą podobne.

Jakoś na tydzień przed Bożym Narodzeniem, zaproszono nas znowu do sali w szkole gimnazjalnej w celu ostatecznego ułożenia programu naukowego w szkołach, lecz koledzy Rusini powiedzieli nam otwarcie, że tu nie chodzi o programy, lecz o zmuszenie nas do podpisania „zajawy." Co się działo, lub o czym mówiono w kancelarji Bociurki, to my nauczyciele miejscy w tej chwili o wszystkim wiedzieliśmy, a wiadomości nasze szły dalej pomiędzy na-

urzędów wiejskich, my zaś tu stanowili-
śmy niby sztab. Raz przyszedł do mnie
nauczyciel Żeromski i pyta, czy podpi-
szemy deklarację, a ja go pytam:
„Czy zbłaźnił który z Żeromskich swoje
nazwisko?”

„Rozumiem” rzekł Żeromski
i w tej chwili ~~wyszy~~ wyszedł, bo niebez-
piecznie było dłużej rozmawiać. W ten
sposób postanowienia nasze szły dalej w
powiat. Pomiarkowali prowizorowie,
że ktoś ich zdradza, dlatego postano-
wienia swoje dawali potem tylko
swoim najzaufańszym członkom, ale
i to nie zawsze pomagało, bo ściany
uszy mają. Zgromadzili się więc nauczy-
ciele z całego powiatu, tak Polacy, jak

i Rusini. Nasi przyjaciele (?) żydzi byli
tam także. Nastrój wszystkich był bar-
dzo poważny, każdy bowiem uważał,
że tu gra idzie o grubą stawkę. Po dłuż-
szym czekaniu wchodzi Bociurko, nos
zadarł do góry, jak dyktator, nadął
się jak indyk, bo to przecież „Komi-
sar nad komisarzy.” Kto chciał wejść
do jego kancelarji, musiał mieć od
mniejszych skarbipiórków kartkę,
za którą trzeba było płacić, a chłopy
mówią: „Do cisarza można było ła-
twiej se dostać się, jak do komisarza
w Buczaczy.”

Za Bociurkę szedł Wy-
nar i niósł papiery. Bociurko zaczął mó-
wić w narzeczu ruskiem. Mówił

o ciężkiej doli nauczycielskiej, o naszej
biedzie, o lichym wynagrodzeniu za pra-
cę naszą – Ujął nas tym [illegible] za serce,
jakto zwykle każdy demagog i krzykacz
robi, lecz w końcu jak lis zakrę-
cił ogonem i kazał nam podpisać de-
klarację. Gdy szedł na to posiedzenie, mówił:
„Już ja [illegible] z ludowym
nauczycielstwem dam prędko radę i wszystkich
skaptuję." Prosiliśmy o dzie-
sięć minut do namysłu i wyszliśmy
na korytarz. Tam w tej chwili wy-
braliśmy kolegę Stoffermüllera, by
w imieniu wszystkich kolegów oświad-
czył, że żaden z nas deklaracji nie
podpisze. –

Zaczął Stoffermüller mówić, wtem przery-
wa mu Bociurko: „Czy pan mówisz
tylko za siebie, czy w imieniu wszystkich?"
Stoffermüller odrzekł:
„W imieniu wszyst-
kich, – pan komisarz ma wprawdzie dobre
zamiary, chce polepszyć naszą dolę,
lecz co się tyczy podpisania deklara-
cji, musimy się wstrzymać do ogól-
nego europejskiego pokoju, bo my
Polacy żadnej zachodnio-ukraińskiej
republiki nie znamy i nie znali, a
nikt nie jest prorokiem, aby przewi-
dział, co się stać może."
Bociurko zbladł ze złości, zrobił
wężową twarz i rzekł groźnie:
„Ha, jeśli tak, to aprowizacji nie do-

staniacie, a kierowników szkół wypędzacie z pomieszkań." Wówczas ksiądz Władysław Olbrycht prosił o głos i mówił: „Jak możemy wam wierzyć, kiedy na każdym kroku robicie krzywdę Polakom, wyrzuciliście język polski z gimnazjum i ze szkół ludowych, a narzucacie nam jakieś narzecze, które językiem nigdy nazywać się nie może. Z bursy polskiej kupionej i utrzymywanej za polskie pieniądze wyrzuciliście uczniów, a żołnierze zabrali wszystkie łóżka i sienniki. Jeśli dziecko powie w szkole: „Pochwalony Jezus Chrystus" to nauczycielka bije je po twarzy."

„To nieprawda" przerwał Bociurko

„Kto to zrobił?"

„Winiarska, nauczycielka z Dziwinogroda."

„My jej wytoczymy dyscyplinarkę." rzekł Bociurko.

Winiarski, ojciec tej narwanej nauczycielki był Polakiem, a brat jej służył jako ochotnik w legionach polskich. Takie to u ludzi było pomieszanie zmysłów. Chcieli jeszcze inni przemawiać, ale ich do głosu nie dopuszczono i wszyscy Polacy wielce rozgniewani opuścili salę, a zostali tylko przyszywani ukraińcy i żydy.

— Oskarżono księdza Olbrychta o oszczerstwo względem nauczycielki Winiarskiej. Zawezwano do sądu pobitą dziewczynę i jej matkę wezwano do przysięgi, a ksiądz Olbrycht sprawę wygrał.

Pomimo tego Wiśniarska została zamianowaną dyrektorką szkoły, a dotychczasową kierowniczkę, wielce zasłużoną nauczycielkę wyrzucono ze szkoły, a potem zawieziono do Jastrowca, gdzie razem z ~~nami~~ nami siedziała –

– Dyrektorem szkoły wydziałowej zamianowano Łukasza Danisza, który już od czterech lat w szkole nie uczył, bo siedział w Tellerhofie, nie podobał się Austriakom, gdyż miano go za Moskalofila. On to wyrugował ze szkoły język polski natychmiast. W odpowiedzi na to dzieci polskie opuściły zakład. Zostało tylko trzech Polaków, ale i tych pozostałych starał się Danisz ze szkoły wydalić i szukał tylko sposobności, którą wnet znalazła. W szkole nie uczono rzeczy potrzebnych tylko polityki, z tego powstawały kłótnie i bitki między chłopcami. Był u nas na stancji chłopak z II klasy szkoły wydziałowej niejaki Marcinkowski i uczył się dobrze. Nauczyciel Czekanowski chcąc zachęcić Rusinów do nauki, rzekł: „Czy to nie wstyd dla was, ażeby Polak uczył się lepiej od was? On jeden więcej wart, niżeli dziesięciu Ukraińców."

Słowa te doszły do Danisza, a potem do ks. Bociurki, wytoczono Czekanowskiemu dyscyplinarkę i omal nie wyrzucono go ze szkoły.

Uczniowi Marcinkowskiemu dokuczano w różny sposób i wygadywano na Polskę,

Chłopak wzdrażniony do ostatniej pasji, po-
wiedział głupstwo na Pseudoukrainę. Spra-
wa doszła do Daniowa. Ten rozumiejący (?)
się na sprawiedliwości, nie zważając,
że chłopak był sprowokowany, rzekł:
„Nam na Polaków wolno wygadywać,
co tylko kto chce, ale Polakom na nas
nie wolno.”; wypędził chłopca ze szkoły.
Taki to był wychowawca młodzieży!
Nauczycielami w tej szkole byli Czekanowski
i Kizimowicz, tudzież żydzi: Nacht,
Seiferowa, Niemandowa, i Bauerowa
to żydzi deklarację podpisali i dziwna
rzecz: „Wszyscy od razu zapomnieli
mówić po polsku.”
Jaki to był wielki dyrektor ten pan Daniów!

Kancelarję kazał sobie wymalować, a gdy
który z nauczycieli, dawnych jego kolegów,
miał do niego interes, musiał bardzo ostroż-
nie do drzwi pukać, jakby do jakiego
arcybiskupa i nie śmiał w kancelarji
usiąść wobec takiego dygnitarza, ani
długo bawić, bo pan dyrektor kazał
mu iść do klasy, lub czekać na kurytar-
zu. Pan dyrektor wyżej smarkał,
niżeli miał nos urodzony.

W dniu świętego Mikołaja
(19.12.1918) odbyła się na rynku w
Buczaczu wielka uroczystość. Pod sta-
rożytnym ratuszem ustawiono ołtarz,
a cały rynek obstawiono żołnierzami,
aby Polaków nie dopuścić. Żydom wol-
no było być na tym nabożeństwie.

Przyszło mnóstwo ludu z okolicy i zwołano wszystkich wójtów z powiatu, których szumnie nazywano, bez względu na to, czy on umiał czytać i pisać „komisarzami". Bazylianin miał nabożeństwo, inny zaś, mierny kaznodzieja, mówił w te słowa:

„Chcecie mieć Ukrainę, a zapominacie o Panu Bogu i o miłości bliźniego. Wielu z was, moi słuchacze, dopuszczacie się rabunków, krzywdzicie bliźnich i wy chcecie, aby wam Bóg pomagał?"

W tym sensie mówił do końca.

Potem miał mowę Bocianko. Najpierw byli wszyscy zgorszeni, że on odważył się wejść na ambonę, ustawioną koło ołtarza, z której tylko ksiądz ma

prawo przemawiać, uważając to za znieważenie religii; – ale były to takie czasy, że nawet Bazylianie pogłupieli, lub nie byli w stanie temu przeszkodzić. Obrócił się on tyłem do ołtarza i mówił zupełnie co innego, niżeli ów katolicki zakonnik.

„Dawniej, jak twoja krowa wlazła w pańską pszenicę i spasła coś tam trochę tej trawy, tak zaraz krowę ci zajęli, zaraz przyszli tak zwany wójt i ty, człowiecze, musiałeś zapłacić dwie czeskie korony. Teraz tego nie będzie! – Gdyś nie miał przy czym strawy ugotować i w chacie było zimno, pojechałeś do lasu i ściąłeś sobie jakiś patyczek (?). Aż tu łapie

się gajowy, odbierze ci siekierę, sprawa idzie do sądu, a ty nieboże za ten patyczek siedziałeś w areszcie.
— Teraz tego nie będzie."

Chłopi słysząc te brednie, mówi jeden do drugiego: „Czujesz ty? Wże wilno krasty!"
a drugi chłop na to:
„Anu spróbuj u mene szczoś skrasty, czy ne budesz zubsiw sia chowaty?"

Potem kazał Bociurko wszystkim „Komisariam" przysięgać na wierność „Zapadnoi ukrainśkoi respublyci."
Chłopi słysząc to mówili:
„Baczysz? Sej Bociurko w rukawyczkach przysiahaje, to mudryj złodiaka, taka przysiaha ne ważna, tu możemo bez ~~nich~~ hriecha przysiahaty!"

Taką szopkę urządził Bociurko.
Pomimo wszystko poczucie humoru nigdy mnie nie opuszczał. Raz w księgarni Halberga zebrało się nas kilka znajomych i zaczęliśmy rozmowę o Ukraińcach, a ja stwierdziłem, że galicyjski Ukrainiec pochodzi od słowa: „Krasty," bo oni prawdziwym Ukraińcom nazwę skradli, zupełnie jak Niemcy podbiwszy szczep dawnych Prusaków sami nazwali się Prusakami, nie mając w swych żyłach ani kropli krwi pruskiej. Chcąc zaś dobitniej rzecz wyjaśnić, opowiedziałem taką bajeczkę:

Gdy Piłat skazał Pana Jezusa na śmierć, to żydzi zamknęli Pana Jezusa w więzieniu. Polacy dowiedziawszy się o tym, mówili: „Chodźmy Go odbić."

Ormianie mówili: „Chotiśmy Go wykupić!"
Zaś nasi podsycani Ukraińcy mówili: „Najlepsze byłoby wykrasty." Pan Jezus jednak ofiar nie przyjął, bo chciał umrzeć za ludzkie grzechy. Jednakże po swym zmartwychwstaniu pamiętał o wszystkich przychylnych i rzekł: „Wy Polacy chcieliście mnie odbić, będziecie się bili do skończenia świata, wy Ormianie chcieliście mnie wykupić, będziecie bogaczami do skończenia świata, a wy pidsycani Ukraińci, chotiłyśte mene wykrasty, otoż budete kraty, poki ne stanete sia znowu Rusynami." Dlatego to widzicie, Polacy się biją, Ormianie są bogaczami, a hajdamacy kradną."
Nazajutrz rano spotyka mnie na ulicy pani Markowowa, żona radcy sądowego, bardzo uczciwego Rusina i mówi do mnie: „Bój się pan Boga, nie mów pan nic u Halberga, bo to, co pan wczoraj w księgarni mówił, już w komisariacie wiedzą."
Marków był prezydentem sądu w Buczaczu, człek godny i sprawiedliwy, który widząc, jakie kradzieże i rabunki uchodzą bezkarnie, umarł ze zmartwienia.

— Pewien chłop słysząc mowę pana Bociurki, zaprzągł konie do wozu, wziął siekierę, pojechał do lasu i ściął tam jeden „patyczek." Złapał go jednak gajowy i zaskarżył w ~~magistracie~~ komisariacie.

Komisarz Dzerowicz skazał go administracyjnie na trzy tygodnie aresztu. Pokazało się więc, że co innego się mówi, a co innego robi. Przyprowadzono go do aresztu, lecz sędzia orzekł, że sprawa ta należy do sądu, a nie do Komisariatu. Chłopa wypuścił i wyznaczył mu termin. Chłop uniewinniał się tym, iż mu się zdawało, że po śmierci pana Borówki wolno patyczki w lesie ścinać i zabierać do domu. Naturalnie, sędzia uważając usprawiedliwienie chłopa za dostateczne, skazał go bardzo łagodnie, bo tylko na dwa dni aresztu!

Dzisiaj żaden, choćby sezonowy rząd kradzieży tolerować nie będzie.

Jazłowiec.

Wojna nauczyła ludzi nazywać zbrodnie i nadużycia szumnymi słowami wziętymi z języka łacińskiego. Tak zwykły rabunek nazywa się rekwirowaniem, wypędzanie ludzi z domów rodzinnych, aby tam gdzieś w Chocimiu w Czechach zginęli z głodu i nędzy nazywa się ewakuowaniem. Branie zupełnie niewinnych ludzi i wtłoczenie ich po różnych aresztach, nazywa się internowaniem. Jeżeli zaś nie trzyma się ich w aresztach, tylko pędzi się ich do innych miast, gdzie pod dozorem nieprzyjaciół nędzny i [illegible] żywot prowadzą, nazywa się konfinowaniem. Takie to szumne słowa wymyśliło dla pokry-

cie zbrodni.

Trzydziestego grudnia r. 1918. o godzinie 11ej w nocy, [illegible] Ania, zapukał ktoś do mego pomieszkania. Wstałem i widzę przez szyby w oknach czterech żołnierzy z bagnetami i latarką w ręku. „Może znowu rewizja?" myślę sobie i wpuściłem ich do środka. Kapral, dość grzeczny człowiek, dał mi kartkę podpisaną przez Bociurkę, na której wyczytałem: „Wzywa się pana Siewińskiego z żoną natychmiast do przesłuchania" – Dobre mi przesłuchiwanie o północy. Podejrzewałem więc, iż to jest jakiś niegodziwy podstęp. Żołnierze czekali, dopókiśmy się nie ubrali, a

ja wziąłem ze sobą na wszelki wypadek z domu trochę pieniędzy. Wyszliśmy na ulicę, a czterej nasi „opiekunowie" z bagnetami otoczyli nas dokoła i tak z paradą szliśmy przez miasto. W całym mieście było ciemno, tylko u inżyniera Ostrowskiego i Potyckiego okna były oświetlone. Poznaliśmy zaraz, że to jakieś ogólne aresztowanie wybitniejszych Polaków. Tak przyprowadzono nas do budynku szkolnego nad Strypą. Nigdy przedtem ani by mi przez myśl nie przeszło, że w sali, w której nieraz uczyłem seminarzystki, lub jako członek Komisji Kwalifikacyjnej przepytywałem nauczycieli, jako więzień stanu strzeżony jestem przez uzbrojo-

nych żołnierzy. Zastałem tu już kilkadzie-
siąt osób ciągle jeszcze nowych przy-
prowadzano. Byli to księża, urzędnicy,
nauczyciele, wybitniejsi rzemieślnicy, dy-
rektorowie szkół, obywatele wiejscy,
a między nimi znalazł się — o cudo!
jeden izraelita, adwokat Ausschnitt,
który był tam tak potrzebny jak pies
w kościele. Nie było nam wcale do
śmiechu, ale na widok przerażonej
twarzy, wytrzeszczonych oczu pana
adwokata, pękaliśmy ze śmiechu.
„Uf! Uf! Uf! co ja komu winien?
Ja nikomu nic nie przeszkadzam,
co mnie to wszystko obchodzi? Zaco
oni mnie tu aresztują? To wszystko

winien ten Bienenwald, (lekarz miejski
rzący pod jednym dachem z Ausschnittem)
do niego najpierw pukali, a on gdy-
by mnie był przestrzegł, byłbym uciekł
i coby mi byli zrobili? A on pokazał
żołnierzom drogę. — To wszystko ten
Bociurko na złości mi zrobił, bo ja
mam mieć we wtorek termin, a ja
mam z nim konkurencję. Uf! Uf! Uf!"
I fukał i dmuchał i za laskę sukał
cygara palił, chodził po wszystkich ką-
tach, szukał, wykoł, a sapał jak miech
kowalski. Zresztą po trzeciego dnia
już po terminie, nie wiem, kto tam
sprawę miał, czy termin odroczono, podpi-
sał deklarację i puszczono go na wol-
ność. Wówczas jako prawdziwy

Łopalny hajdamaka kazał nam [illegible] tować mielioską tablicę ze żółtym napisem w narzeczu niemieckim

„Dr. Ausschnitt oder Kat" (Dp. Ayuwsim agbakam) Po jego odjeździe jeden z Jastrowca z wesołych ~~[illegible]~~ filutów stanął na środku sali i z odpowiednią miną zade[illegible] klamował następujący wiersz:

„Idym soli z pid lasym,
Wtym uwydiw z ke kolasym
Jakiś wypol, znać to Polak
Z pystoletim za pasym.
I cylni wprost do głowa,
„Może ty szpik?" wykorzykni.
Je ze strachu buch do rowa,
Do góry nogi wytikni.

„Jasny pane pikieta, całuji Kui kopyta
Jak pragny głik, nie jestem szpik
Od czego mnie Boże broń.
– Pomaleńku słucham uchem, kiknutem zy pid krzakim,
Płynym, płynym [illegible] na brzuchem i spotykam z te Kozakim
„A ty jewrej buw w Majki" Wycięgują ma, chajki. Już mnie zabiut do śmierciach."
Co mi po takiej ojczyźnie, kiedy przyjdzie taki strach
Ten cię skrobnie, ten cię liźnie,
Hunciwot Markal, strójnik Lach.
A jak to Polskie nastali
To nam żydziom, poco to?
Bedziem zawsze nastawiali
Jak nie plecy, to złoto."
Żydzi to prawdziwe kameleony, ciągle zmieniali we tablice nad sklepami i

różne chorągwie wywieszali, austriackie,
pruskie, węgierskie, rosyjskie, pseudou-
kraińskie, polskie, a gdyby przyszli
Chińczycy, w tej chwili wywiesiliby smo-
ka, bo w duszy zawsze by pamiętali, że
herbem ich jest tylko cielec złoty. Mało
jest między nimi ludzi, którzyby całym
sercem pokochali tę ziemię, która im
życie dała. Polityka ich jest bardzo dzi-
wna, a jednak krótkowzroczna. Nie
przewidują nawet tego, jak straszna
katastrofa na całym świecie na nich
spaść może (Czytaj książkę pod tytułem:
„Cäsar's Denksäule"). Jedyny ratunek
dla nich jest przejść na wiarę katolicką
i stać się prawdziwymi synami tej ziemi,
na której żyją. Wszakże mamy

wiele rodzin w Polsce pochodzących od Ży-
dów, którzy dziś są chlubą Polski i
bardzo pobożnymi i przykładnymi kato-
likami. —

Pojedynczo wołano nas do kance-
larii szkolnej do tego przesłuchania, a
badał nas z nas dobry znajomy i
niezły chłop p. Jaworski, ~~nied~~ niegdyś
kancelista sądowy w Buczaczu. Druko-
wane na ręcznej maszynie arkusze były
już gotowe. Pytano nas o rodowód, miejsce
urodzenia, religię, narodowość i za-
trudnienie. Rodowód każdy musiał pod-
pisać, poczym Jaworski oświadczał każ-
demu osobno, że będzie internowany do
Jastkowa. Po przesłuchaniu prowadzono
nas do innej sali. Tu przy drzwiach stali

żołnierze z bagnetami i każdego obma-
cywali, czy nie ma kto przy sobie przy-
padkiem broni. W tej sali były tylko
prycze bez sienników. Tak czekaliśmy
aż do pół do szóstej rano. Wówczas ka-
zano nam ze szkoły wychodzić na
ulicę. Tam pozostało przygotowanych ze
20 sań, którymi powozili mieszkańcy z
Nagórzanki, naturalnie przymusowo.
Poważniejszych i starszych wsadzano do
sań po czterech, młodszych i silniejszych
po sześciu, obok gospodarze i żołnierze.
Przez miasto jechano prędko, bo hajdamakom
wstyd było mieszkańców miasta tak
Polaków jak i Rusinów, że nas interno-
wali. Za Czarnym Mostem na Szeper-
tyńce konie zwolniły i zaczęto już [illegible]

W samym mieście widać było w niektórych
oknach już światło, lecz nikt nie wy-
chodził, bo każdy przeczuwał coś nie-
dobrego i bał się. W Tyszkowcach można
było już [crossed out] rozróżnić wśród
ciemności dalsze domy, a nawet lasy,
które na białym śnieżnym tle dość
wyraźnie się rysowały. Tu jednak
na gościńcu wśród pól i lasów
stanęliśmy, bowiem mieli czekać na
transport innych internowanych w Monaste-
rzyskach, którzy mieli przyjechać pocią-
giem. Mróz był silny, ale można było
wytrzymać, bo Podolacy to wytrwały
lud. Pozłaziliśmy więc z sań i nuż śpie-
wać, a było nas wówczas z samego Bu-
czacza 67 osób. Później wciąż nowi

internowani przybywali. Śpiewaliśmy więc najpierw kolendy: Lulajże Jezuniu, Bóg się rodzi i inne, potem polskie patriotyczne pieśni, a tak mocno, że aż okoliczne lasy ~~i pola~~, jary i ~~dol~~ doliny ~~roz~~ zadudniały się, bo tak ślicznych pieśni nigdy nie słyszały. Chłopi i żołnierze gęby porozdziawiali; ~~stąd~~ się u nas taka wesołość wzięła.

Dalej śpiewaliśmy pieśni legionowe, polskie i ruskie. Na dworze mile wśród ciszy słychać było nasz głos. Urzędowe miny żołnierzy rozpłynęły się i u nas z furmanami zaczęli nam we śpiewie pomagać i kpić z tych Boszurków, Łuszkowców i innych głupców, którzy nas internować kazali.

Wieśniacy z Nagórzanki, a byli między nimi Polacy i Rusini, gdybyśmy tylko zażądali, byliby nas napowrót do swych domów zawieźli i tam ukryli, lecz była to sprawa niebezpieczna, bo front był daleko i nikt nie wiedział, gdzie on był, dlatego wniosek ów upadł. Po kilku godzinach takiego stania na mrozie ochota do śpiewu zmniejszyła się. Nikt nie wziął ze sobą prowiantu, ani kawałka chleba, bo któż mógł przewidzieć, że nam takiego psikusa urządzą, więc każdy był głodny. Niektórzy mieli tytoń, dzielili się z innymi, więc dla zabicia czasu wszyscy palili. Jakoś przed południem nadjechał pociąg z Monasterzysk i przyprowadzono internowanych, dobrych naszych znajomych.

Sań było zamało. Starszych więc posadzono na sanie, a młodsi uformowali się czwór-kami i poszli pieszo jakby na jakąś wy-cieczkę ze śpiewem i wesołością, sami kon-wojujący ich żołnierze śpiewali: „Jeszcze Polska nie zginęła” i inne polskie pieśni, a gdyby się nie bali, rzuciliby bagnety i uciekli. Jechaliśmy przez wsie Rzepińce, Świtowiec, Pomorce i Załeszczyki Małe. Wszędzie ludzie wybiegali z domów, patrzyli i żegnali się z podziwu, widząc ludzi poważnych i dobrze im znajomych pod dozorem aniołków stróżów z ba-gnetami. Był to bowiem ksiądz, właści-ciele wsi, marszałek powiatowy Wolgner, nauczyciele, najpoważniejsi urzędnicy, studenci, oficerowie i inni.

Tak przyjechaliśmy do Jazłowca. Miasto to ~~[illegible]~~ przedstawia straszny widok. Buczacz wprawdzie spalony i w gruzach, ale zo-stały przynajmniej przedmieścia i kil-ka kamienic, ale w Jazłowcu prawie same gruzy, ludzie mieszkają w pod-ziemiach, cerkiew do cna spalona, został tylko klasztor Sióstr Niepoka-lanek, kościół i kilka domów. Wszę-dzie tylko rozwalone i okopcone mury i kominy sterczące, jakby płakały nad dolą swych gospodarzy. O ile Buczacz był rozmyślnie przez Moskali spalo-ny, Jazłowiec uległ zniszczeniu w cza-sie rozlicznych i długotrwałych bitew między Austriakami a Moskalami.

Dziwnym trafem uparło kilka kul

armatnich na podwórze klasztorne, lecz żadnej szkody nie uczynił. Sam klasztor wzniesiony na pagórku tuż nad rzeką Olchowcem, dopływem Strypy. Tuż do klasztora przylegają olbrzymie mury pozostałe z dawnego zamku panów Jazłowieckich. Zamek ten zdobył w r. 1670 Ibrahim Szyszman Basza. Od tego czasu nie odzyskał on swej świetności, a mury powoli z biegiem lat rozpadają się. Po drugiej stronie rzeki Olchowca wznosi się wysoki, a spadzisty brzeg jego pokryty lasami. ~~Miejse~~ Miejsce to urocze, a piękne. Widok może jeden z najpiękniejszych w Polsce, tylko reklamy to brakuje, a poeta powiedział: „Sami nie wiecie, co posiadacie!”

Budynek klasztorny tworzy wielki prostokąt, wewnątrz którego znajduje się bardzo ~~ob~~ obszerne prostokątne podwórze, na nim liczne gazony, klomby z kwiatami i basenem z wodotryskiem. Naturalnie z powodu wojennych lat wszystko to znajdowało się w nader opłakanym stanie. Korytarze długie a wązkie, schody kamienne, również bardzo ~~wązkie~~ wązkie, lecz wygodne. Niektóre sale bardzo obszerne, inne przeznaczone dla zakonnic szczupłe i małe. Klasztor ten założyli Zmartwychwstańcy Kajsiewicz i Semenenko w celu ~~ksz~~ kształcenia dziewcząt zamożniejszej szlachty. Ze szkoły tej wychodziły uzdolnione i pa-

trzo typowe Polki. Literatka Rodzieni-
czona kończyła tylko szkołę w Ble-
sztorze pasterskim.

Sam budynek jest własnością rodziny
Błażowskich, a obecnie w czasie wo-
jennym i tej najdamaczyzny jest
tu gospodynią pani Błażowska.
Rządzi wszystkiem, o ile jej najdama-
cy na to pozwolą, ale ona wcale się
ich nie boi i nieraz z własnym na-
rażeniem się ostro im się stawi,
czego sam byłem świadkiem. Malenka,
szczuplutka, czaniutka osóbka,
a wszyscy ją kochamy
O ile mi opowiadano Siostry Niepokalanki
dzielą się na trzy kategorje
a) Siostry klauzurowe, są to starsze wiekiem,

siedzą w celach, z nikim nie rozmawiają,
tylko się modlą.
b.) Siostry nauczycielki, są to pierwsze siły
z całej Polski, między nimi mają być
także rodowite Angielki, Francuski i
Niemki przeznaczone do uczenia języków
obcych.
c) Siostry Kuchenniczki starają się o go-
spodarstwo domowe. Jedna z tych
Siostra Stanisława Rudnicka była
niegdyś moją uczennicą w Ostrowie
w powiecie sokalskim. Po dwudziestu
kilku latach poznała mnie i leczyła,
gdym zachorował z powodu przezię-
bienia się na lole w Kozyjach i sta-
wiała mi kataplazmy z gorczycy i gdy-
by nie ona, byłbym może w Jastowie

kłapnął. Uczennic bywa tam zwykle do
300. osób. W czasie naszej bytności miało
tam być do 120 dziewcząt, ale nikt ich
nie widział, bo mieszkały wraz z zakon-
nicami w innym skrzydle. Hajdamacy
dozorowali ich cele, przetrząsali ich bieli-
znę, a co im się tylko nadawało do u-
żytku zaliczali jako swoje dla siebie.
Moskale, Prusacy, chociaż innowiercy, usza-
nowali godność zakonnic, ale hajda-
macy nic sobie nie robili z przestrzega-
nia ich cel, nie mieli żadnych skrupułów.
Tak to ich wychowali księża hajdamaccy,
którzy dbali tylko o wypełnienie swych
długich, a obszernych kieszeni, a nie dbali
o religię, ni o wychowanie ludu im powierzo-
nego. Wszakże pamiętam dobrze, jak to

klerycy w duchownym seminarium ruskim
we Lwowie toczyli haniebne walki
z tak zwanymi moskalofilami i zamiast
uczyć się teologii, jak to na prawego
księdza przystało, uprawiali politykę
pełną nienawiści ku łacinnikom. Bóg
da, że to się zmieni i poznają swój
błąd. Jeden tylko biskup ksiądz Cho-
myszyn ze Stanisławowa wychowywał
młodzież teologiczną w duchu katolickim,
a jako człek postępowy, prawdziwie religijny
i kulturalny zarządził, by święta grecko-
katolickie były obchodzone nie według da-
dawnego pogańskiego kalendarza, lecz by
były obchodzone wspólnie ze świętami rzym-
sko-katolickimi. Między ludem obrządku
grecko-katolickiego i rzymsko-katolickiego

powstała wielka radość, bo zakonnicy z dyecezyi lwowskiej podnieśli wielki wrzask i zarządzenie to upadło.

— Bociurko zniósł w gimnazyum, i w szkołach powszechnych i wydziałowych święta obrządku rzymsko-katolickiego. Ówczesny dyrektor Smal zarządził w czasie [struck] świąt obrządku rzymsko-katolickiego ferye i w święta Bożego Narodzenia nie miało być nauki — lecz kacyk bursacki Bociurko narobił wrzasku i omal nie wytoczył Smalowi dyscyplinarki. Nawiasem wspomnę, że Stanisławowie święta obrządku rzymsko-katolickiego były w szkołach obchodzone

— Wjechaliśmy do klasztoru przez bramę starożytnej baszty Jazłowieckich.

Tam niegdyś pradziadowie nasi jak orły z wysokich turni tatrzańskich wypatrywali, czy nie idzie dzicz tatarska lub turecka zabrać polskie ziemie i zabierać w jasyr nieszczęśliwych mieszkańców, dziś potomkowie tych, których pradziadowie nasi bronili, [struck] życia i krwi z pod serca dla nich nie żałowali, więzić nas będą w tych samych murach.

Wjechaliśmy więc na podwórze klasztorne. Tu dopiero za murem otoczyli nas nowi żołnierze z bagnetami i puszczali nas po jednemu do kancelaryi pana Kerkermajstra czyli komendanta klasztoru, nazwiskiem „Byto."

Postać jego obrzękła, o grubych mięsistych wargach, czerwonych policzkach, nie- pewnych oczach, którymi ~~[illegible]~~ patrzał z podełba, lecz nigdy w oczy. Ubrany dziwacznie jak żydowski Haman. Nosił na głowie czapkę w kształcie austriackiego [illegible], ozdobionego długim, białym, gęstym włosieniem. Pysznił się tą czapką jak dziki ~~[illegible]~~ Zulus, lub Herero ze środkowej Afryki. Pochodził on z Monasterzysk, był przed wojną czeladnikiem krawieckim i praco- wał u jakiegoś żyda, lecz lepszych robót mu nie powierzano, bo był partacz. Teraz wyszedł na pana, zadarł swój ogórkowaty nos do góry, oglądnął nasze wszystkich [illegible], jak handlarz, który

kupuje konie i ~~[illegible]~~ kazał zapisywać, jak który z nas wygląda. Pisarzem jego ~~był~~ był Zrebeniuk, niegdyś kolega mych sy- nów z gimnazjum i bardzo mile widziany gość w naszym ~~d~~ domu, zresztą dobry chłopak. Zapisy trwały z jakie cztery godziny, a my na dworze musie- liśmy czekać. Nareszcie ustawiono nas w sze- regi, a wachmistrz Bilo stanął przed ~~nas~~ nami z papierem w ręku i przeczytał nam ~~[illegible]~~ gromkim głosem rozkaz, któ- ry tu ~~[illegible]~~ dosłownie przytaczam:

Z wijśkowi Komandy monastyrskie

Sestre Nepokalanych w Jazłowcy.

Perestorohka.

Ot sym podajet' sia do widomosty wsich interno-
wanych, szczo uważaje sia ich za politycznych
złoczyńciw, ta peresterihaje sia wsich, szczob
zachowuwaty sia supokijno, ta pidczyniaty sia
wsim prykazam wijśkowoi komandy rownyjże
zkadanako monastyria.
Wsobliwosty podajet'
sia do widomosty, szczo jestyb kto probowaw
utikaty, abo kinuw sia na postu, czy to
na wijśkowu służbu, to zistane sejczas
zastriłenyj, a wrazi jestyb win wijśkowoi
komandi ne buw znanyj, a towaryszi
jeho ne chotiły wydaty, to zistanut'
wsi na z miscy rozstriłani. Z wijśkowoi
komandy Sestr Nepokalanok w Jazłiwcy
dnia 30. hrudnia roku 1918. starszyj
komandant Zachar Było.

Nawet godność moją i nazwisko z naciskiem
odczytał, aby każdy wiedział z jak wiel-
kim dostojnikiem mają do czynienia.
– Parami więc zaprowadzono nas do
klasztoru. Żołnierze z bagnetami otoczyli
nas dokoła, chociaż my już byli wyro-
kie i nikt nie miał zamiaru uciekać,
bo zresztą gdzieżby uciekł? chyba do
Buczacza, lub Monasterzysk. Na wieży
z naprzeciw klasztoru ustawiono
dla postrachu karabin maszynowy,
ale zaraz my jako długoletni komen-
danci karabinów maszynowych, odrazu
poznali, że karabin był popsuty i cał-
kiem do niczego. Gdy nas później wypu-
szczano na świeże powietrze, a obok
karabinu stanął żołnierz, prosiliśmy,

żeby strzelał, spostrzegli więc, że my
z nich kpimy, więcej do karabinu nie
wyłazili.

Zaprowadzono nas wszystkimi
schodami do pierwszej sali; kazano nam
oddać wszystkie papiery, notatki, ołówki,
tasiemki, zegarki i pieniądze. Pierwszy
przyszedł marszałek powiatowy Józef
Wolgner. Temu odebrano 3.000 koron,
złoty zegarek i natychmiast zaraz z pod
ręki mu to skradziono, komisarzowi
Lewartowskiemu skradziono złoty ze-
garek, nauczycielowi Grabowskiemu
200 koron, a wówczas była to znaczna
suma pieniędzy, innych nazwisk nie
pamiętam. Po odebraniu tych rzeczy prze-
prowadzono nas znów do innej sali. Tu

we drzwiach stała znów inna banda żoł-
nierzy, którymi dowodził „pan fir Zagrajczuk"
z Zubrzec obok Koropca. Ten ściągał
ze wszystkich szelki, paski, zawijaki
z nóg, nawet tasiemki z trzewików tak,
że musieliśmy spodnie w garści trzymać,
żeby nie spadły. Z rzeczy tych wszystko,
co lepsze pokradli żołnierze, a wachmistrz
Bytło paradował potem w Buczaczu
w oficerskich zawijakach mych sędziów i
nie wstydził się tego. Kradzież tych
wszystkich rzeczy zgłoszono potem na Zagraj-
czuka, robiono nawet u niego w Zubrz-
cu rewizję, ale nic nie znaleziono. Oni
wszyscy byli dobrzy „Na wódkę pomoc-
ka, a zapić kolegę zjem."
tak sami żołnierze mówili.

Zmęczeni, posiadaliśmy na łóżkach, inni na słomie na podłodze, a było nas z po-
czątku 87 osób. Każdy z nas był zmęczo-
ny, zmaltretowany i głodny. Dopiero
późno wieczorem przyniesiono sześć dużych
misek (miednic) kartoflanki, dano
każdemu łyżkę i pozwolono z tych mi-
sek jeść wspólnie.

Nazajutrz jednak
pozwolono siostrom wydać talerze i jedli-
śmy przy każdy z osobna. Z początku,
dopóki siostry miały zapasy, dawano nam
większe kawałki chleba razowego, zupa
kartoflana lub fasolowa lepiej była
omaszczona, a kilka razy wieczorem
dawano nam nawet herbatę ze suszo-
nych i przypiekanych łupin z jabłek.

Herbata ta była nader smaczna, a była
to zasługa sióstr. Gdy w jesieni siostry
wlały kompoty z jabłek, lub obierały
jabłka, to łupin nie wyrzucały, lecz suszy-
ły je w piecu piekarskim po chlebie.
Z łupin tych przysmażonych gotuje się nad-
zwyczaj dobry napój i może zastąpić herba-
tę. Czasem dawano nam kuleszę t.j.
mamałygę z mąki kukurydzianej. Niedłu-
go to jednak trwało, bo wszystkich
osób wraz z zakonnicami i dziećmi by-
ło do 300, a potem coraz jeszcze więcej
przybywało. Z klasztornych magazynów
wydawali żołnierze, bo siostrom tego nie było
wolno, lecz za to same gotowały, przynaj-
mniej było czysto.

Jakoś w tych dniach po naszym przybyciu przy-

przyprowadzono znów innych internowanych z okolic Żółkwi, Jaworowa, Sokala, Kamionki Strumiłowej i Radziechowa w liczbie 85 osób. Takich transportów było później kilka. Przyprowadzono wówczas także 17 jeńców wojennych. Z żołnierzami polskimi obchodzono się nader ostro. Siedzieli w osobnej celi, obok drzwi postawiono silną wartę, a gdy który z nich wyszedł za swoją potrzebą, to zawsze szli za nimi dwaj ostro uzbrojeni hajdamacy. Nie wolno im było z nami rozmawiać, pomimo tego dowiedzieliśmy się, że między nimi był jeden oficer, o czym hajdamacy nie wiedzieli. Schwytano ich pod Jaworowem, wielu z nich wprost zamordowano, w Krasnem obdarto ich z płaszczów i innych rzeczy, nadto dano każdemu z nich po 50 nahajów. Przez czas tej długoletniej wojny widziałem wiele jeńców wojennych, lecz obchodzono się z nimi po ludzku. Tu jednak pokazali hajdamacy, że są prawdziwą dziczą, niegodną nazwy żołnierzy, gdyż nawet dziki murzyn z Afryki nie uderzyłby jeńca wojennego.

Udało mi się dostać nazwiska tych jeńców:

1. Basylewicz Piotr,
2. Bartochowski Edmund,
3. Cięcki Julian,
4. Chmielewski Walenty,
5. Dłuzewski Piotr,
6. Grzywiński Maksymilian,

7. Dorabiałski Stanisław,
8. Garz Jan,
9. Gmiat Józef +.
10. Jach Wincenty,
11. Jurkowiak Jan,
12. Kuss Franciszek,
13. Kucharski Stanisław,
14. ~~Kubiak~~ Kubisiak Władimir,
15. Klimiec ~~M~~ Marian,
16. Skoczylas Stanisław,
17. Matoszek Michał.

~~Pozostawili~~ Pozostawili ci żołnierze w Jastrowie jeszcze kilka dni, a potem odesłano ich do Krasnowa koło Kołomyi (przedmieście), gdzie straszne dzieją się rzeczy i nie wiem, czy oni żyją.
Po odejściu tych wojennych jeńców, ciągle

jeszcze nowi internowani przybywali. Udało mi się zebrać ich nazwiska. Niestety brakuje mi nazwisk tych osób, którzy przyszli nas później. Aby to jednak przypomnieć sobie na spisku towarzyszów niedoli, dlatego ich tu zamieszczam:

Branicki Franciszek, adjunkt pol. Łopatyn.
Berger Józef urzędnik starostwa Brzeżan.
Bryk Jan rolnik, Kisiel obok Bełza.
Bubel Bronisław rolnik Ostrów ad Sokal.
Berger Józef szewc Skwarzawa, koło Kiew.
Blaśków Franciszek, szofer, Bohorodczany.
Burzydło Franciszek nacz. ziem. Jaworów.
Borkowski Władysław magaz. kolej.
Baumgarten Karol nacz. st. Monasterzyska, +
Butkiewicz August oficjał pod. Jaworów.

Biteń Michał wł. Rzeski, Rawa ruska.
Budarski Michał kolejarz.
Bem Stefan dyr. fabr. tytoniu Monasterzyska.
Brezowan Albin.
Bernaś Jan burmistrz Buczacz +.
Berger Stefania, rodem Niemka Żółkiew.
Czortył Marian obr. gr. kat. piekarz Czortków.
Czajkowski Marcin, dyr. szk. Monasterzyska +.
Gruber Benedykt właściciel, Józefówka Sokal.
Czernecki Michał szewc Buczacz.
Ks. Czwarzyński Odorek Bernardyn Sokal.
Chmielówna Maria szlopiłarka Żółkiew.
Chudzicka Janina, kier. szk. Dzwinogród.
Ćwiąkała Michał nauczyciel Buczacz.
Czerny Karol, aptekarz Buczacz (monolog[illegible]).
Czermak Leon, sekr. star. Łopatyn.

hrabia Dębicki Leon wł. dóbr. Jaworów.
hrabia Dzieduszycki Edward Dyliowe Turka.
Dr. Drozdowski Bronisław sędzia, Rawa ruska.
Dąbrowski Zdzisław właśc. Żółtańce Żółkiew.
Danilewicz Tadeusz, porucznik Żółkiew.
Dobrowolski Jan leśniczy, Parchacz Sokal.
Dziurawi Michał rolnik Stajo Rawa ruska.
Dziurczi Michał kolejarz, Buczacz.
Durzakowski Seweryn agronom Grzymałów.
Durkalewicz Jan, Jatka Tłumacz, rosyjski poddany.
Ks. Duszajko Michał, profesor Kamionka Strumiłowa.
Dancewicz Antoni.
Daszko Józef, płatnerz Buczacz.
Dziadek Stanisław kolejarz Monasterzyska.
Dobrzówna Aleksandra obr. gr. k. Błyszczywody Żółkiew.
Elwin Józef właśc. Turowce Rawa ruska.
Filip Antoni rolnik Barnie dolne, Cieszanów.

ks. Fulmek Julian Bernardyn Sokal.
Greś Jan, właś. Połytkiec, Rawa ruska.
Grochola Władysław wł. Ostrów Sokal.
Grochola Wawrzyniec wł. " "
Górski Jan właś. Rawa ruska.
Gdżała Jan, tercjan szkol. Żółkiew.
Gmiewon Mieczysław właś. dobr. Potok Złoty, +
ks. Gwóźdź Jan proboszcz Kopyczyńce.
ks. Glinkowski Rafael Bernardyn Sokal.
Grzowski Władysław kolejarz.
Gerula Marcin "
Gryziel Antoni "
Gryziel Stanisław "
Grzegorczyk Jan "
Gawłowski Stanisław "
Grabowski Józef nauczyciel Buczacz.
Göttfried Jakiw. Buczacz.
Hrobni Zdzisław poczmistrz, Brukenthal Rawa ruska.

Hołowacki Jan cieśla Niemirów, Rawa ruska.
Herchemeder Jakób prawnik Mosty Wielkie.
Herciq Lukasz kowal Mosty wielkie.
Hibl Stanisław dyrektor gim. Jaworów.
Hajduk Stanisł. inżynier Krystynopol Rawa ruska.
Horniaj Franciszek dyr. szkół Buczacz. +
Halłof Henryk ~~[illegible]~~ ... Buczacz.
Janicki Maciej wachmistrz żan. Jaworów.
Jezowski Jan komisarz namiestnictwa Radziechów.
Jakóbowski Emanuel kier. szk. Radziechów.
Jaworski Jan woźny Kamionka Strumiłowa.
Jrzeszkowski Jerzy akt. wł. Dublany.
Kukiak Maciej dyr. szk. Jasłowice.
Kusiński Kazimierz kupiec Bełz.
Kury Jan wł. Boratyn Sokal.
Kłodziejczyk Łukasz wł. Uhrynów Sokal.
Kury Zygmunt wł. Boratyn Sokal.

Ks. Kutas Karol proboszcz Boruszów.
Kardaszewski Józef gajowy Karów obok Uhnowa.
Kochański Paweł agron. Trościaniec Jaworów.
Kubes Ludwik kupiec Sokal.
Karpiński Józef komisarz Łukaszów.
Kunysz Józef rol. Lipnik Żółkiew.
Kotkuszyński Jan komisarz Rohatyn —
Kessler Henryk szewc Glinsko Żółkiew.
Krzemieniecki Jan położny Parchacz Sokal.
Knapik Józef urzędnik Monasterzyska.
Krupa Jan zarobnik Żubków Sokal.
Komenda Franciszek rol. Poddębce Rawa r.
Ks. Kozakowski Zygmunt prob. Wojsławice Sokal.
Kunyta Józef. kolejarz.
Kołodziej Stefan "
Keffermüller Józef dyr. sk. Buczacz.
Keffermüller Władysław urzęd. st. Buczacz.
Kobryń Paweł em. kol. Buczacz.

Kunek Zbigniew sędzia Monasterzyska.
Kochanowski Jan student Buczacz.
Krzyżanowski Władysław em. pol. ~~Bcz~~ Buczacz.
Klammer Anna kupcowa Żółkiew.
Kramarz Anna krawcowa Żółkiew.
Korsaniewski, nauczyciel szkoły Radziechów.
Kwiatkowski Wilhelm em. pol. Monasterzyska.
Lewartowski Józef starosta Buczacz.
Łaszewski naucz. Mosty Wielkie.
Lis Jan kolejarz
Lamszyk Franciszek "
Lewicki Leonard "
Łaszczyk Józef "
Łagiszyński Jan rol. Staje, Rawa ruska (wiadomie zginął)
Lorenc Emilia, za brata legionistę, Żółkiew.
Lang Wilhelm naucz. Wiesenthal. Kamionka Strum.
Leszczyński Michał rol. Buczacz.

Łukasiewicz Ksawery, Buczacz. +

Meliotyn Wojciech urz. sąd. Żółkiew.

Moser Jan kowal Tartaków Sokal,

Moser Paweł rolnik " "

Moser Antoni leśny " "

Markiewicz Antoni rolnik " "

Malinowski Józef rolnik " "

Morasiewicz Władysław student Buczacz.

Mroczkowski Franciszek " "

Dr. Maciński Edward adwokat w Żółkwi.

Marcinkowski Paweł rol. Łopatyn.

Mełech Michał urzędnik Buczacz,

Ks Niedzielski Jan proboszcz Jazłowiec.

Nazarewicz Franciszek cygan Potylicz.

Niżankowski Bronisław dyr. szk. Jaworów,

Narajewski Kazimierz leśny Kamionki.

Nowacki Jakób urz. pod. Buczacz.

Ks. Nawrocki Marian, proboszcz Horpin. Kamionka Str.

Niebieszczański Piotr prof. gim. Buczacz. +

Nahumko Szymon rol.

Niedzielski Andrzej sekretarz. Uście Zielone.

Ks. Ogrodnik Jan proboszcz Buczacz. +

Onyga Witold urz. pod. Mosty Wielkie.

Ostrowski Władysław inżynier. Buczacz,

Ks. Olbrycht Władysław katecheta Buczacz. +

Orzelski Alojzy student Buczacz.

Oleniczuk Stefan rolnik Nagórzanka.

Prusak Władysław burmistrz Buczacz. +

Paparra Franciszek właść. dóbr Podliski Lwów,

Pilawa Józef żandarm Bełz.

+ Potocki Józef szambelan, major w. a. [illegible] Buczacz.

Pliszka Józef rolnik Magierów.

Podolczuk Piotr szewc Stawczany Mościska.

Przybyłko Antoni, urzęd. Radziechów.

~~Władysław~~ Władysław Psarski urzęd. Jaworów,
ks. Popkiewicz Stanisław prob. Kamionka Strum.,
ks. Piotrowicz Roch. Bernardyn Sokal,
Petko Michał kolejarz
Pawluski Michał "
Pawliszak Mateusz "
Porzycki Roman, inżynier Buczacz. +
Pietrykiewicz Tadeusz inspektor Warszawa
Pniaczek Marian, muzyk Przemyśl. +
Pikaus Stanisław wach. żan. Buczacz.
Rudnicki Antoni urzędnik Buczacz.
Rad Zygmunt, starosta Żółkiew.
Radzisowski Antoni, organista Buczacz. (dano mu 25 nahajów)
Różycki Feliks student prawa Jaworów.
Ratajski Antoni naczelnik poczty Buczacz
Ratajski Kazimierz, syn "
Ratajski Mieczysław syn "

Rusiewicz Antoni nauczyciel Buczacz.
Krebs Restworowski Jan właść. dóbr Susno Kamionka. Str.
Stelmach Maciej dzierżawca Mosty Wielkie.
Smoliński Józef właśc. Horyniec Cieszanów.
Stotwiński Piotr wł. Potylice Rawa Ruska,
Stanisławski Roman grzeczni?k Lwów.
Sempowicz Jan gajowy Pawłów Radziechów.
Sidorski Szczepan, wójt, Wierzbica Rawa Ruska.
Schöntaler Agenor urzęd. Żółkiew.
Szczerba Józef wł. Józefówka Radziechów.
Szczerba — prof. gimn.
ks. Szelest Józef, proboszcz Horosiatyn Buczacz.
Szarko Michał wł. Mała Złoczów.
Stachnik Karol kowal Magierów.
Skrzynkowicz Jan uczeń Żółkiew.
Szydłowski Kazimierz urz. Radziechów,
Stępniowski Antoni wł. Warszawa.

Sawka Jan piekarz.
ks. Samborski, wikary, Jaworów.
Stelo Józef naucz. Beremlany Zaleszczyki.
Świątnicowski Alojzy rol.
ks Szlachetko Wojciech Toporów proboszcz,
Szwarcowska Joanna kupcowa Żółkiew.
Skwirkowski Jan rolnik.
Szostko Józef nauczyciel. Buczacz.
Świdziński Edmund kolejarz Buczacz.
Stawnicki Benedykt kolejarz Buczacz.
Sieniński Antoni dyr. szk. Buczacz,
Sieniński Józef major. Łuck, urzędnik.
Sieniński Zygmunt major Bochnia,
Salewicz Bazyli kolejarz Buczacz.
Salewicz Zygmunt akad. + sąd. kasacyjny Buczacz
Salewicz Jan akad. Buczacz.
Skalak Bronisław redaktor Lwów.
Schütter Edward, restaurator Monasterzyska.

Turkowski Antoni dyrektor banku Brzeżany.
Trzpanowski Stanisław urz. sąd. Mosty Wielkie.
Traxe Jakób urz. sąd. Łopatyn.
Traniecki Jan rolnik Bełżnica dolna Rawa r.
Tuski naczelnik poczty Busk.
Urbański Michał majster Kolonii Kazanówka Buczacz.
Ufryjewicz Stanisław poborca Buczacz.
Wagner Józef insp. szk. Buczacz.
Wagner Adam insp. szk. pol. Gdańsk.
Wolański Stanisław zarobnik Machówka.
ks Wrucha Józef katecheta gim. Buczacz. +
Wierzejewski Zygmunt geometra Mosty Wielkie
Wawrzaw Michał rolnik Uhrynów Sokal.
Wolański Antoni oficer Lwów.
ks. Więckowski Włodzimierz, prob. Witków nowy.
ks Wojtkowski Wincenty prob. Szczepanów.
ks. Wójcowski Stanisław prob. Żabińce, Zbaraż.
+

Wielocha Jan uczeń ?

Wolgner Józef marszałek pow. Korespondent Buczacz †

Wagula Józef kolejarz Buczacz.

Wagula Bronisław akademik "

Wagula Stanisław " "

Załanowski Agenor oficer Buczacz.

Zarembo Alojzy, urzęd. Radziechów.

Zagórski Józef rol. Sokal.

Zając Jan rol. Lipiasa .?

Ks. Zwoliński katecheta Żółkiew.

Zych Franciszek dyr. gim. Buczacz. †

Zych Stanisław felczer Buczacz.

Zręckowski Tomasz kolejarz.

Żywnicki Tomasz kolejarz.

Żołnierz Grzegorz kolejarz.

Żyłowe Józef akademik Buczacz.

Antoniemu Radziejowskiemu dano 25 nahajów za to, że śpiewał polskie pieśni.

Hajdamacy umieścili także między internowanymi także jednego szpiega, który im donosił, co który z nas mówił. Nazwiska tego człowieka tu nie umieszczam, bo nie jest tego wart, ale w Buczaczu wszyscy go znają. Jeden z naszych żołnierzy przestrzegł nas przed nim. Zdrajca ten, pomiarkowawszy, że go już znają, podpisał dla oka deklarację i wypuszczono go, a my odetchnęli.

W czasie tych przykrych dni każdy z nas popisywał się tym, co kto umiał, więc opowiadano sobie o niedawnych przejściach, a wieczorem deklamowano, mówiono wesoło monologi, śpiewano, opowiadano baśnie i bajki i t. p.

a śmiano się nieraz tak mocno, że aż za boki trzeba się było trzymać, a dziwny to był śmiech, jakiś histeryczny, krzykliwy i nienaturalny.

Syn mój Zygmunt ułożył satyryczne wierszyki, które śpiewem wygłaszał. Siadł wtedy na środku sali, jakby jakiś lirnik i dalej:

„Raz pan Wilson rzekł tak wtedy:
„Gdzie są moje wojska stworzę."
Bo nie wiedział, że za ~~[illegible]~~ Sanem
Gdzieżby Hrycio chciał być panem."
Zaś wszyscy chórem śpiewali:
„Romta, rita ta! Romta, rita ta
hop! hop! hop!"
Szybko wieść w Stryju ~~[illegible]~~ płynie,
Szybszy awans w Ukrainie,

Nie zostaniesz naprawdę carem,
Ale zato komisarzem.
Romta i t. d.
Nam także ~~[illegible]~~ przyjdzie,
Wszystkie Jaśki i pankiele,
Gdzieżby krzyczy dziś zjedzone:
„Hoch soll leben Ukraina"
Romta i t. d.

Lub też

Z początku panie z Buczacza i okolicy internowanych kupowały wędliny, kiełbasy, mięso i przysyłały nam do Jastkowa, lecz my tego nigdy nie widzieli; bo wnet mistrz Byto et Compagne wszystko zjadali, a z okolicy z początku nie pisze, bo nam się widzieć. Pani Niebieszczańska przysłała nam mięsiwo, salceson, kiełbasę i szynkę, ale pan Byto że

ze swymi towarzyszami to wszystko skon-
sumował, gdyśmy się o tym dowiedzieli,
zaśpiewał Zygmunt:
„Pan Nieliwarzanicki bardzo zły,
Bo salcesonów miał aż trzy,
Lecz by mu to nie szkodziło,
Zjadł mu to wszystko pan Beto.
Romka nato to, i t.d.
Nikt nie przypuszczał, żeby podobne
dowcipne i wesołe wierszyki dostawały
się do uszu naszych cerberów, aż raz
jeden z nich, nazwiskiem Babij, zwe-
szy dobry chłopak, przyszedł do Zygmunta
i mówi:
„Daj mi pan te wierszyki,
które pan składa"
„Nie mam żadnych
wierszyków."

Babij uśmiechnął się i mówi: „Niechże pan
nie pisze, ani nie śpiewa żadnych wier-
szyków, bo my natychmiast o wszystkim
wiemy i mogłoby być nieszczęście."
Dał wyraźnie do poznania, że między na-
mi jest szpieg i donosiciel.
Z tym wszystkim było nam bardzo we-
soło, bo wszystkie zarządzenia naszych
„dozywatelów" braliśmy ze strony śmiesz-
nej. Wspomniany Zagrajczuk mó-
wił nawet do najpoważniejszych osób
przez: „Ty"
Raz przychodzi i pyta:
„Który to Żydek?"
„Ja" mówi dyrektor.
„To ty stary Żydek, a kde młodyj?"
Następnie przychodzi i pyta:
„Który to Szetest?"

„Je" mówi ksiądz Szelert
„Nie mówi się „je" tylko „hirr", ty
psiakrew sługo Boży przeklęty."
Ksiądz starszy człowiek i nader poważny,
pyta: „Jak ty śmiesz do mnie mówić przez
„ty?"
Wówczas skoczył Zagrajczuk i
wrzasnął:
„Jak ty śmijesz do mene „ty"
kazaty? Ja je pan „Sir" a ne żaden
ty. Pst! pst! wsiaty toho wełykoho
do temnyci ne wsit' hotyn, czekaj,
ja tebe ~~nau~~ nauczu ty.....synu!"
i różne inne epitety.
W tej chwili stanęła reszta żołnierzy i
zaprowadzili księdza Szeleta do
wachmistrza Były. Ten wysłuchawszy
całą ~~sprawę~~ sprawę z obydwu stron,
rzekł do księdza Szeleta:

„Niech sobie ksiądz z gadania Sira nic
nie robi, u niego przypomnieć kome
matkę i cały wszechświat i napaskudzić
mój, to jest u niego ~~chl~~ chleb powszedni,
ani; on inaczej nie umie"
Kazał księdza odprowadzić do kaplicy.
– Światło nam nie dawano, też każde-
mu z nas przysłano z domu świeczkę, lub
trochę nafty; bo wieczory były bardzo
długie, jednakże o ósmej godzinie wie-
czór musieliśmy gasić wszystkie światła
i to w chwili uderzenia godziny, bo gdy
się kto spóźnił, to pan Sir wykrzyki-
wał najobelżywsze wyrazy i groził roz-
strzelaniem. Było to już za wiele Sta-
chniszkowi byłemu wachmistrzowi żan-
darmerji i mojemu byłemu uczniowi w

Ostrowie, a teraz siedział razem z nami
i krzyknął:
„Ty durniu jeden, nie rozumiesz
służby, to ty taki fir, że nie umiesz do
porządnych ludzi używając słowa pusić-
dzić? Czy ty nie znasz paragrafów?"
Zagrajczuk aż podskoczył ze złości i krzy-
knął: „Będziesz wystrzelany, sejczas!"
Przyszli żołnierze i zaprowadzili Sta-
chniczka do Byty, ale ten Stachniczek
były wachmistrz tak ~~[illegible]~~ zaimponował
Byte swymi wiadomościami służbowymi,
że Zagrajczuka w tej chwili napędził —
Zagrajczuk był potem w wojsku pol-
skim i bił się z bolszewikami.
Na jego miejsce przyszedł jakiś Michał,
człek spokojny i grzeczny, ten ani się

gniewał ani łajał, tylko rzekł spokojnie:
„Czas gasić światło." i zaraz go posłucha-
no. Jeden z internowanych, filut wielki
młody Steffermiller zawsze o ósmej godzi-
nie wieczór chodził po korytarzu,
krzyczał ~~[illegible]~~ wrzaskliwym głosem
udając Zagrajczuka: „[illegible] wystrzelany"
dodając do tego inne Zagrajczuka wy-
rażenia, a my pękaliśmy ze śmiechu.
Którzy zbierali się do jednej z sal i utwo-
rzyli bardzo piękny chór, a prowadził go
Pniaszek rozumiejący się dobrze na śpiewie.
Miał on ze sobą drogocenne skrzypce,
za pomocą których podawał nam głosy.
Jeden z internowanych chciał mu poma-
gać, przypadkiem upadł i rozbił
skrzypce z wielkim naszym żalem.

Oprócz pieśni poważnych i kolend śpiewaliśmy również pieśni wesołe, humorystyczne i to zawsze wówczas, gdy przyprowadzono nowych internowanych. Ci biedacy gorzej cierpieli niżeli my, pędzono ich bowiem z Jaworowa, Żółkwi, Sokala głodnych, bitych i obdartych. Potem musieli stać na podwórzu ~~szpitalnym~~ klasztornym wśród śniegu i mrozu przez kancelarię hajdamacką. Otóż gdyśmy kiedy spostrzegli przez okno, że są nowi goście, wówczas dla pocieszenia biedaków otworzyliśmy okno i nuż śpiewać. Jedną z tych pieśni tu przytaczam. Jest to pieśń lwowskich andrusów, którą warto zapamiętać:

1. Dzisiaj bal u weteranów,
Każdy zna tych panów,
Bo przy kasie tylko bierze
Czterdzieści halerzy,
Bo tak si należy, Taj psi! taj psi.
A muzyczka tidli, tidli, a muzyczka rżnie,
Bo przy tej muzyczce goście bawią się
„Wesoło, cha, cha, cha, ino, ano,
Czy to męska, czy to damska, ta muzyczka jest,
Byle tylko grata jest, ta jest. (bis).

2. Nasze panne bufetowe
Wielki pieniądz traci,
Tri gelejże piwa
Przy ~~[illegible]~~ bufecie płaci,
U wszelkiego państwa służy,
Ale szmycle w brejtrasze.
Do junka się puszy „Przyjć pan przyjć!"
A muzyczka i t. d.

3. A tam znowu jakaś sarża.
Mocno si obraża,
Bo ja mam najgniotki,
Najże pan umrze,
Ja nie będę mówił wiele,
Ty cywilne ciele,
Tylko w ~~[illegible]~~ mordę strzelę. Taj pui, taj pui.!
A muzyczka tidli tidli i t.d.

4 A tam znowu jakaś menda
Po sali się szwenda,
Malowane lice
I w ręku kibice,
Ale ona go nie znajdzie,
Bo ona ~~bio~~ biedaczka
Pójdzie do ~~[illegible]~~ Bobaczka
Na szmelc na szmelc
A muzyczka tidli i t.d.

5. Tam przy ladzie pan Wincenty
Za całe pięć centy
Kupił czekoladę,
„Naj panna zajada, bo to czekolada,
A za ladą pan Bazyli przeprasza nie chwili,
Bo mu portki pękli na samym tyli. Taj pui, taj pui.!
A muzyczka tidli i t.d.

6 Opiłowcy si zjawili, pokiś duraj cywile,
Mordy podrapane, włosy jak bandyci
Nic nikomu nie mówili,
Tylko w mordy bili
Taj bal zakończyli. taj pui, taj pui.
A muzyczka tidli, tidli, a muzyczka rżnie
Bo przy ~~tyjm~~ tej muzyce, goście bawią się
Wesoło, ~~[illegible]~~ cha! cha! cha!
cha! cha! cha, ino ano ta muzyczka jest
Bale tylko grała fest, ta fest. (bis).

Wesołość utrzymywała nas przy zdrowiu i dopuszczaliśmy do siebie smutku, bo dobry humor, to połowa zdrowia. Ludzie weseli dłużej żyją i zdrowsi są od hipochondryków, a jeden ksiądz bernardyn pouczał nas, że nawet Panu Bogu należy służyć z wesołym obliczem, bo tylko uczciwy człowiek, mający czyste sumienie, nawet w najgorszym położeniu humoru nie traci.

Dla nowych przybyszów nigdy nie gotowano wieczerzy, dlatego naszą wieczerzę zostawialiśmy dla tych biedaków i nie było dla nas większej przyjemności jak patrzeć się, gdy to biedactwo zmiatało z talerzów wszystko z apetytem.

Jak wspomniałem powyżej odebrano nam

przy wstępie szelki i musieliśmy spodnie w rękach trzymać. Jakoś trzeciego dnia dano nam znać, że przyjedzie na wizytację ataman z Buzułuku, ale już nie Łuskow, tylko jakiś inny. Tego dnia pilnowali żołnierze, aby na korytarzach i na salach było zupełnie czysto, potem zgromadzono nas w jednej dużej sali i wszedł ataman. Był to młody, przystojny chłopak, nazwiskiem Sokołowski, zapewne Polak, ukłonił się nam i pytał, czy nam czego nie brakuje. Wystąpił wówczas Niebieszczański i prosił o zwrot szelek, sznurków do trzewików, zegarków i pieniędzy, dalej by nam pozwolono wyjść codziennie na podwórze, by odetchnąć

i świeżym powietrzem i chodzić do Ka-
plicy na Msze święte. Sokołowski
nic nato nie odpowiedział i wyszedł.
Znów utożono nowota pieśń jak nie
nasze żądania pan ataman wystrze-
liwuje głowę.
Nazajutrz przyszło
pismo z Buzuzu, żeby nam oddano
wszystkie rzeczy i pozwolono nam
kupować tytoń, a na którym było
robił święte i w ... , ... nikt nic
niczego nie żałował, byle tylko tytoń
mieć. Puszczano nas na pół godziny
na podwórze i do kaplicy, ale pod
silną strażą.
W święto Trzech Króli
w r. 1919 byliśmy po raz pierwszy w Ka-
plicy Sióstr Niepokalanek.

Było kilku księży, a ołtarzów tylko
trzy, ale jakoś się zgodzili. Kaplica robi
miłe wrażenie. Na ołtarzu znajduje się
śliczna marmurowa figura Matki Bo-
skiej, którą własnoręcznie wykuła
siostra Sosnowska. Organy i chór rów-
nie piękne. Na ścianie wiszą dwa
piękne obrazy przedstawiające świętego
go Piotra i świętego Pawła. Obrazy te ma-
lowała jedna z sióstr, lecz tak udatnie,
że na pierwsze wejrzenie zdaje się, że
to praca Boccarellego. Śpiewaliśmy
Kolendy: W żłobie leży, Gdy się Chrystus
rodzi i zaraz otworzyły się drzwi par-
tie, męska i Niebios zaśpiewano. Każda
partia śpiewała jak umie i chwała tę
druga przekrzyczeć, przeplatając: pierw-

wyjść, a gdyśmy zaśpiewali: Lulajże Je-
zuniu, toby się był Pan Jezus z pewno-
ścią przebudził, a święty Józef musiał-
by nas prosić, byśmy tak ładnie nie
śpiewali. Już z powodu tego śpiewu
zaczynała być sprzeczka, ale Pusiaczek
artysta pogardził nas, ale do chóru,
pomimo naszych pięknych (?) głosów
przyjąć nie chciał.
Przysłano nam lekarza Bienenwalda.
Stary dyrektor Zych poszedł do niego, a
lekarz zapisał mu pożywniejszy obiad.
Nazajutrz rano przychodzi Zagrajczuk i mówi do
dyrektora: „Ty stary Zych distanesz extra
obiad." Naturalnie dyrektor już wspólnie
obiadu nie jadł i przyniesiono mu filiżankę
bardzo cieniutkiego rosołu i nic więcej.

Jak to inni spostrzegli, tak już nikt nie chciał
chorować, a Zych odrazu wyzdrowiał!
Jednak, gdy kto był naprawdę chory, udawał
się do siostry, a była tam bardzo sympaty-
czna staruszka, która lepiej umiała ra-
dzić i leczyć niżeli lekarz.
Drzewa opałowego było dość, wszak niedale-
ko był las pana Błażowskiego, a u nim
gospodarowali Moskale, Prusacy, Austria-
cy, a teraz każdomacy nie pytając wła-
ściciela o pozwolenie. Młodym interno-
wanym pozwolono iść do drewutni; tam
przynajmniej odetchnęli świeżym powie-
trzem, rżnęli drzewo i rąbali. Raz po-
nadto tam major Józef Potocki, właści-
ciel Rukomysza, został otyły, ale pomimo
to rżnął i rąbał. Zobaczył go żołnierz

i mówi:
„Ty hrubyj nesy sołomu."
Potocki zmierzył go wzrokiem i pyta:
„A kto bude mene nesty?"
Żołnierz pomiarkował, z kim ma do czynienia, ulakł się i dał mu spokój.
— Raz zawezwano kilku internowanych i kazano im w tej chwili przed śniadaniem jechać do Buczacza. Między powołanymi byli księża Ogrodnik i dwaj młodsi chłopcy Zyph i Salewicz. Cieszyliśmy się, że choć kilku opuściło Jazłowiec i są już na wolnej stopie, jednak tego samego dnia wieczorem powrócili wszyscy wieczorem napowrót do Jazłowca. Cóż ich tam wołano? Bociórko dał im w kancelarji deklaracje do podpisania, a ci

odmówili, a pana „komisara nad komi-sarami" tak rozgniewało, że kazał ich natychmiast odesłać do Jazłowca, a w Buczaczu nikogo do nich nie dopuścił tak, że ci biedacy cały dzień nic nie jedli. Wyjmą zato porwali obaj chłopcy w górę na ręce i zawołali: „Niech żyje polska młodzież!"
W kancelarji rzekł wówczas Bociurko:
„Polacy to twardy naród, których ugiąć się nie dadzą i gdybym był na ich miejscu, inaczej bym nie postąpił."
— Najbardziej jednak dokuczył Bociurko inspektorowi Wagnerowi. Nie cierpieli się obaj zaraz od pierwszego ich zobaczenia się. W czasie naszego internowania Wagnera nie było w domu, wrócił dopiero nazajutrz. Tu już na niego czekano,

wyciągnięto go jak nas z łóżka i zamknięto

go w wszystkim areszcie ze złodziejami.
Tu spał na twardej podłodze, a żonie
nawet nie pozwolił, aby mu przyniosła
odpowiedniejszą żywność. Dopiero po kilku
dniach odesłano go do Jastowca, ale Wagner
należy do ludzi, którzy prędzej dadzą się
złamać niżeli ugiąć.

Jakoś około 10. stycznia r. 1914 przybył
do Jastowca nowy transport internowanych
w Jaworowie, Sokalu, Żółkwi i innych
okolic w liczbie około 80. ludzi. Byli to
jak zwykle adwokaci, nauczyciele, rze-
mieślnicy, chłopi, kraliewie, księża i t. p.
Ludzie ci byli tak zmaltretowani, zna-
żeni, brudni i obdarci, że żal się robiło
patrząc na nich.

Idzie jakiś obdartus w wojskowej czapce,
zasmolony i brudny, – pytam:
„Coś za jeden?"
„Jestem profesor gimnazjalny, ksiądz
Zawliński"
Dalej idzie jeszcze większy
obdartus, czarny jak noc i bez ~~bot~~ butów
na nogach: „A ty kto?"
„Ksiądz Samborski wikary z Jaworowa."
Dalej mnie jakiś batiarzyna, także
czarny jak noc, a jeszcze więcej:
„Coś za jeden?"
„Rad, starosta ze Żółkwi."
Naresz cie widzę dziada prawie nagiego,
nogi szmatami powiązane, ubranie po-
darte bez guzików, sznurkami powiąza-
ne. „A któż to ten dziadyga?"

„Bronisław Niżankowski, dyrektor szkoły wydziałowej w Jaworowie.”
Toż to mój serdeczny kolega, przed trzydziestu kilku laty razem do Seminarium chodziliśmy, zawsze wesoły i dziś humor go nie opuszcza.
Dano im dużą salę, na porządnie zrzeszono słomę, zjedli kolację i poszli spać, a spali jak susły. Rano dopiero pytamy, którzy tak oporządził i gdzie. – Nie mogli się naopowiadać o krzywdach, jakie im wyrządzano tak, że prowadyrowie w Bazodru w porównaniu z innymi, to niewinne, tylko trochę niegrzeczne dzieci.
Ksiądz Sambowski opowiadał, że do Jaworowa zbliżał się jakiś szczupły

oddział wojska polskiego. Szli ze śpiewem, nie spodziewając się zasadzki. Nagle uderzyli na nich ze wszystkich stron ~~z~~ hajdamacy. Kilku zabili na miejscu na 23. ranili tak, że nie mogli iść dalej, reszta uciekła. Wówczas wyszli mieszkańcy z przedmieścia Jaworowa z siekierami w rękach i wszystkich rannych podobijali, miażdżąc im siekierami głowy „Z pomordowanych w ten sposób rannych polskich żołnierzy mam klisze, bom ich na miejscu ~~foto~~ fotografował.” Dalej opowiadał ksiądz Sambowski, że był u greckokatolickiego proboszcza i mówił z nim o tych pomordowanych w ten sposób żołnierzach, a ten odpowiadał:

„Nie ma się czego dziwić, ani gorszyć, bo w roku 1846. mazurscy chłopi nie byli lepsi". Ot takim to ludziom powierzają duszpasterstwo! I u nas w Buczaczu na pomniku jest także takiego numeru, ale o nim wspomnę na swoim miejscu. Internowanych z Jaworowa ~~pę~~ pędzono przez Żółkiew, gdzie zabrano staruszkę, księdza, sześć kobiet, między nimi ~~ja~~ jedną Rusinkę za to, że brat jej służył w legionach polskich i kilku innych ludzi. Pędzono ich do Krasnego i trzymano w towarowych wagonach kolejowych o głodzie i chłodzie. Przyszedł potem wachmistrz hajdamaka ze swoimi zbirami i wszystkich obrabowano z odzieży, butów, czapek, pieniędzy, a nawet z bielizny. Potem jacyś ludzie z miłosierdzia dali im stare łachmany, by nie pomarzli na ~~ś~~ mrozie. Hrabia Badeni, chociaż sam był w wielkiej opresji kazał w Kamionce Strumiłowej i Krasnem zgotować dla nich strawę i gdyby nie ta pomoc byliby dawno pomarli z głodu. Najgorsze przejścia mieli w Krasnem

Nauczycielowi Seminarium nauczycielskiego w Sokalu Teofilowi Musze zdarto całe ubranie i buty. Ktoś zmiłował się i podarował mu koc, w którym na środku zrobiono dziurę, koc zarzucono mu przez głowę, a w pasie obwiązano go sznurkiem. W stroju tym przybył do Buczacza, gdzie się ~~[illegible]~~ ws-

chorował i tutaj między obcymi
ludźmi, którzy go przebrali i żywili.
— Nie wszystkich pędzono do Jastrowca,
lecz konfinowano ich w Buczaczu
i ci musieli się codziennie zgła-
szać do hajdamackiego komisaria-
tu. —
Pożywienia w klasztorze
było coraz mniej, zapasy się wyczer-
pywały i choć co uczciwi chłopi
polscy z okolicznych wsi, szczególnie
z Dźwinogrodu przywozili kartofle,
było to wszystko za mało. Internowa-
nych wraz z zakonnicami i dziećmi
było do 500. osób, prócz pilnujących
nas żołnierzy, którzy [illegible]
dali ~~[illegible]~~. Na śniadanie, obiad

i kolację, dostawaliśmy tylko trochę cie-
płej wody pomaszczonej ugotowanymi
kartoflami, lub tartą czerwoną fasolą,
którą sami nazywaliśmy czekola-
dową zupą, a ~~chle~~ chleba dostawali-
śmy dziennie tylko jedną kromeczkę
ważącą 4 dekagramów. Zakonnice i
dzieci dostawały tak samo.
Pytamy raz żołnierza, czym będą nas żywi-
li, a on odpowiada:
„Mamy jeszcze 12. świń."
„Te świnie nie wasze tylko klasztorne."
„Wszystko nasze" mówi żołnierz „a siostry
i pani Błażówska niech będą konten-
tne, że ich żywimy."
— Około północy w połowie miesiąca sty-
cznia usłyszeliśmy od dalekiej zachodniej

głuchy huk armat, jak miarkowaliśmy, bo i my już w tym mieli wprawę, bito się pod Lwowem. Kilku panów nie chciało temu wierzyć; otworzyłem wówczas okno i wylazłem na niższy przylegający dach, tam słyszałem wyraźnie huk strzałów armatnich. Wyłażenie takie było bardzo niebezpieczne, bo naokoło klasztoru chodzili żołnierze i strzelali nawet do tych, którzy przez okno zaglądali. Tak jeden hajdamaka strzelił do p. Wolgnera, a potem do mego syna Zygmunta, ale nie trafił, bo kula zgórowała, dlatego też towarzysze ściągnęli mnie za łeb napowrót do sali, ale mieliśmy pewność, że biją się pod Lwowem.

Mieliśmy nawet i

gazety, naturalnie w rusińskim narzeczu pod nagłówkiem „Nowe życie". Było i polskie pismo wydawane w Stanisławowie, lecz wszystkie pisma były tak mocno cenzurowane, że tylko biegli w czytaniu wojennych gazet, mogli coś więcej o tym powiedzieć, lub dowiedzieć się z nich, co się w świecie działo. Naturalnie nie każdy z nas musiał przy tym umieć geografię danej miejscowości na pamięć, bo map nie mieliśmy.

Powrót do Buczacza.

Dnia 21. stycznia r. 1919 przyjechał z Czortkowa jakiś sympatyczny człowiek w wojskowym ubraniu i dwoma gwiazdkami na kołnierzu. Później dowiedziałem,

tem się, że to był adwokat Wydrak.
Ale to był porządny człowiek.
Oświadczył nam, że internowanych można
puścić do domu, ale tylko zamieszkałych
w Buczaczu, tylko musimy dać pisemne
oświadczenie, że do politycznych spraw
mieszać nie będziemy, jako też iż codzie-
nie mamy się osobiście zgłosić w komi-
sariacie jako dowód, że żaden z nas
nie uciekł. Każdy na to chętnie się zgo-
dził. Zostawiono tylko, według mniema-
nia hajdamaków najniebezpieczniejszych
a to: Lewartowskiego, Rudnickiego,
Ostrowskiego, Wagnera, ks. Wrunka i ks.
Ogrodnika. Nazajutrz rano przyjechało
z Nagórzanki kilku uczciwych gospoda-
rzy, wzięli nas na sanie i zupełnie

bezpłatnie przywieźli nas do Buczacza. Sto-
larza Urbańskiego, mnie i moich dwóch
synów wziął na swoje sanie były legio-
nista polski, a mój uczeń Iłutrowski.
Jaki ten świat, chociaż pokryty śnie-
giem, wydaje się pięknym może tylko
ten osądzić, kto jako rekonwalescent wstał
po dłuższej chorobie i wyszedł na świeże
powietrze, lub też aresztant, który odzy-
skał chwilowo upragnioną wolność. Jechali-
śmy wozem ponad rzeką Strypą
przez las buczackiego i przez Fedor,
a potem obok klasztoru O.O. Bazy-
lianów ~~wyje~~ wyjechaliśmy z powrotem
do miasta. Był to dzień targowy. Gdy
nas spostrzeżono, wszystko, co żyło polskie-
go za nami, radość na obliczach

mieszczan i wieśniaków tak Polaków jak i Rusinów była niezmierna. Wraz z księdzem Olbrychtem zajechaliśmy przed probostwo. Tu już wiedziano, że przyjedziemy i proszono nas na obiad, który był jak na ówczesne czasy bardzo luksusowy. Podano bowiem tylko rosół z kaszą hreczaną, smakował on nam jednak tak, jak nigdy w życiu, z czego panna Stefcia Olbrychtówna była wielce zadowolona. — Nadszedł ksiądz Dziurzyński, którego nie internowano, nie chciano bowiem drażnić wieśniaków na Podzameczku, także we wsiach Nagórzance i Podlesiu. Ten opowiadał nam o wrażeniu jakie wywołało w mieście nasze aresztowanie.

Mieszczanie z Buczacza bez wyjątków jako też chłopi z Podzameczka odgrażali się, że zniszczą Komisariat, dlatego w mieście podwojono straże.
Z powodu zakończenia roku był cały kościół przepełniony ludem wiejskim, a ksiądz na kazaniu powiedział, że jutro t. j. w sam „Nowy Rok" będzie odprawione nabożeństwo na intencję internowanych. Nagle powstał w kościele wielki płacz, pokazało się wówczas, że lud wiejski jest patriotyczny i odczuł naszą krzywdę, którą uważał za swoją. Chłopi zacisnęli zęby, zacisnęli kułaki, zaiskrzyły się im oczy i tylko jednej iskry było potrzeba, a byliby się rzucili na posterunkowców i wygnaliby ich

do uwagi, że to się nie stało, zawdzięczyć tylko
trzeba taktowi Księdza Dzimrzyckiego.
O tym nastroju ludności wiejskiej dowie-
dział się Bociurko i zaraz wieczorem
zawezwał Ks. [illegible] do komisa-
riatu i zagroził mu surową karą, jeśliby
się odważył mieć nabożeństwo za in-
ternowanych. W głosie jego przebijał
się strach. Nie było jednak można
w ówczesnych warunkach wszczynać
awantury, bo nie było broni, a front
był jeszcze daleki, bo pod Lwowem,
czyli stosunkowym [illegible].
Gdy kilku pozostałych jeszcze w Jazłowcu
osób, próbował Bociurko jeszcze raz
skaptować. Przyjechał sam osobiście do
Jazłowca i dał im deklarację do podpisania,

ale każdy z internowanych przeczytawszy
tę deklarację, oświadczył że jej nie podpi-
sze, a Wagner wyciągnąwszy rękę w tył
poza plecy, odrzucił ją cicho, potem
nic nie mówiąc, odszedł, co Bociurkę
doprowadziło do ostatniej pasji.
Mieszkańcy Buczacza wybrali deputa-
tów tak Polaków jak i Rusinów i prosili,
by ich wypuścił, ale pan Komisarz za-
ciął się i nikogo nie zwolnił. Jednakże
z kraju buntem objętego napływało
internowanych coraz więcej i nie było
w Jazłowcu już miejsc, przyszedł więc
rozkaz z Czortkowa, by wszystkich in-
ternowanych z Buczacza i Monasterzysk
natychmiast wypuścić, co zaraz wypełniono
i zostali tylko internowani z dalszych stron.

Sami hajdamacy nietylko w klasztorze, ale i w całym powiecie nie mieli co jeść, żadnych prowiantowych zapasów, musieli więc po dworach uciekać się do rabunków, co się nazywało tylko rekwizycją. –

W czasie naszej nieobecności w Buczaczu urządzili hajdamacy jeszcze trzy razy rabunki w moim domu, a to z tego powodu. Brata mej żony Adama Grossa i jeszcze kilku innych mężczyzn uwięziono w Sokalu i przyprowadzono głodnych do Buczacza. Brat na chwilę wstąpił do siostry i prosił o herbatę. Wypiwszy ją, wyszedł. Zhajdamaczka Iwaska, syn kucharza hrabiego Potockiego, oskarżył żonę w żandarmerji, iż u nas są konfinowani, a do domów internowanych Polaków

nie wolno było konfinowanym wchodzić!

Zaraz wachmistrz Tiahnybok wpadł ze swymi zbirami, urządził nową rewizję i czego nie zabrał Łuckiów, zrabował Tiahnybok, a więc trzy pary nowych trzewików, dwa płaszcze, dwa koce, wiktualia i innych rzeczy.

Poszła żona do atamana Sokołowskiego na skargę, opowiedziała mu całą sprawę. Sokołowski telefonicznie zawezwał Tiahnybka do oddania zrabowanych rzeczy i mówił!

„Ty maješ dobre, nizo oficyrskich riczej ne wilno rekwirowaty"

Tiahnybok jednak nic nie oddał, bo tam każdy robił na swoją rękę, co tylko chciał i jeden drugiego nie słuchał.

25.1.1919. Dostałem rozkaz, bym się natych-miast wyprowadził z budynku szkolnego. Rozkaz podpisał Bociurko. Ha, trudna rada, gotowi wyrzucić na ulicę. Na szczę-ście było wolne pomieszkanie u jednego z naj-starszych moich Kolegów, profesora Nie-bieszczańskiego i tam przenieśliśmy się. Okna wychodziły wprost na ulicę, firan-nek nie było zaco kupić i każdy przecho-dzący mógł widzieć dokładnie, co się u nas dzieje, — ba! od tego czasu ustały u mnie wszelkie rabunki i rekwizycje.

Dziwna rzecz z czegośmy żyli, wszak żaden z urzędników, ani z nauczycieli pie-niędzy nie miał, nikt z nich żadnej płacy nie pobierał, a hajdamacy nie dali im żadnej aprowizacji. Za staraniem inżyniera Włady-sława Ostrowskiego utworzono Komitet, do którego weszli Hornung, Komarzewski, Szawło-wski, Gniewosz i jeszcze innych Polaków, któ-rych nazwisk mi nie podano i pożyczyli w banku czortkowskim pieniądze i te nam na rachunek naszej przyszłej pła-cy pożyczano. Za oddanie tych pieniędzy poręczyli własnym swym majątkiem panowie Szawłowski i Gniewosz właściciele Przewłoki i Potoka Złotego. Z pieniędzy tych otrzymywano również liczną rzeszę przyby-łą tu ze wschodniej Małopolski, konfinowa-ną w Buczaczu. Hajdamacy [illegible] tu przypędzić kilkaset ludzi, ale o utrzyma-nie ich nie ~~[illegible]~~ dbali, bacząc tylko

własnej kieszeni i zysków.

[illegible] prze-wąchali skądś, że mamy jakiś fundusz, z którego żyjemy i robili u Ostrowskiego często rewizje.

Raz przynieśli ze wsi Szawłowski i Hornung cały worek pieniędzy do Ostrowskiego, ale ten bał się tak wielką sumę pieniędzy u siebie trzymać, zaproponował więc, by każdy z nich wziął z tej kwoty jedną trzecią część. Na to się zgodzono. Ostrowski włożył pieniądze do starego, podartego, brudnego worka i rzucił go na śmietnisko. Zaledwie tego dokonał, wpadają żandarmi, przewrócili wszystkie skrzynie, ~~kuf~~ kufry, szafy, strych, piwnicę, ale na śmietnisko nikt nie patrzył, chociaż worek leżał

na wierzchu i wszyscy go widzieli, żadnemu z rabusiów nie przyszło na myśl, że tam są pieniądze. Poszli więc z kwitkiem.
Konfinowanych rozmieszczono po domach polskich, też nie w tych, gdzie byli internowani, do tych konfinowanym nie wolno było nawet chodzić, niektórym dano zajęcie i tak jakoś przeżywało się.
Należałoby również powiedzieć coś o Żydach. Dziwny to lud. Są między nimi ludzie o duszy szlachetnej, lecz jest ich tak znikoma garstka, że na ogół wziąwszy, na Żydach nigdy polegać nie można. Przecież żyją z nami od paruset lat, tu porośli w pierze i doszli do majątków, o jakich ojcowie ich nawet nie śnili. Tymczasem polityka ich jest

krótkowzroczna, nie kochają tej ziemi, na której się urodzili, ani tych ludzi, z którymi tyle set lat przeżywali. W nieszczęściu potrafi żyd opuścić nawet najlepszego przyjaciela, ba, potrafi go nawet zdradzić dla chwilowej korzyści, zaś o wdzięczności żydowskiej dla narodu z którym wzrósł, nawet marzyć nie można. Ileż to razy w ciągu tej siedmioletniej wojny zmieniali oni swe uczucia i sympatje! Żaden naród na żydach polegać nie może, z mocnym trzymają tylko dla interesu, jednak gdy temu mocnemu noga się powinie, to zrobią z nim tak samo, co ów osioł, który konającego lwa kopnął kopytem. Z powodu tego nieszczerego ich postępowania, wszystkie narody nimi gardzą. Demoralizują oni narody. Dlaczego w Norwegji nie ma złodziei, to bo nie ma tam żydów. Żyd nie ma odwagi sam zabrać, kraść, ale od złodzieja wszystko kupi. Kto zajmuje się handlem żywym towarem? Z powodu tego nieszczerego ich postępowania, wszystkie narody nimi gardzą. Żydzi sami to czują i często się trafia, że szlachetniejsze z pomiędzy nich jednostki przechodzą na wiarę chrześcijańską i stają się prawdziwymi synami tej ziemi, na której żyją.

Z początkiem tej nieszczęsnej wojny domowej rozmawiałem z kilku poważnymi żydami, którzy mają o mnie ze przewidującego polityka, pytali mnie,

jak mają w czasie tej rozmowy postępować.
„Dziwne pytanie" mówię im „Polacy was przyjęli, gdyście byli biedakami, w Polsce przyszliście do majątku i znaczenia, a tym czym jesteście, zawdzięczacie tylko Polakom"
„To wszystko jest prawda" mówią żydzi „ale my się boimy"
„Jeśli się boicie, to przynajmniej nie mieszajcie się do niczego."
„My tak robimy, ale kto z nas poręczyć może za młokosów, oni głupi, gotowi coś zmalować, czego potem wszyscy żałować będą."
Tak się też stało. Mieli hajdamacy w polskim Sokole jakieś przedstawienie, na którym byli obecni prawie sami żydzi i ci na końcu przedstawienia krzyczeli:

„Hoch Ukraina, nieder mit den Polen!"
Byli to akademicy, którzy wszystkie swe naukowe wiadomości zawdzięczali tylko Polakom.
Żydowscy chłopcy trudnili się szpiegostwem, który nas podglądał w nocy przez okna, co się u nas dzieje?
Raz szedł obok gmachu Sokoła syn mój Zygmunt. Na ulicy stało około 10. żołnierzy. Naraz nadszedł jakiś około 17 letni żyd, a wskazując palcem na syna, rzekł: „To je polski legionist!"
Żołnierze zastąpili Zygmuntowi drogę i krzyczą: „Czekaj ty legionist, skidaj czoboty"
Była to ostatnia jego bieda, bo resztę znał Swarków i Tiahnybok, odwrócił się do nich i mówi:

„Ne piznajesz mene? Ja jestem szicen-cwancig (Schützenzwanzig)"
To była prawda, bo Austriacy po rozwiąza-niu drugiego pułku ułanów polskich wzięli go do austriackiego pułku strzelców k. 20. —
Zdziwieni żołnierze stanęli, lecz ten, nie czekając dłużej, ulotnił im się z oczu.
Władze hajdamackie sztabsiaty żydom, bo ich potrzebowały, ale zwykli żołnierze bili żydów po głowie, kijami po plecach, a rabowali po sklepach, gdzie się tylko co udało. Panu Eisenbergowi za to, że mówił po polsku, zabrano z domu wszystką bieliznę.
Trzech żydów naftiarzy i trzech pro-wodyrów katolików, z których jeden był ksiądz, drugi urzędnik pocztowy, a trzeci nauczy-ciel utworzyli spółkę i wzięli się do handlu

nafty, a interes szedł tak dobrze, że za litr nafty zamiast trzech koron żądali sze-snaście, a kto chciał nawet kupić za trzy korony musiał mieć kartkę z Komisariatu.
Nafty tej było kilka wagonów. Do spół-ki tej należeli z początku nawet Bociurko i Chomicki, ale coś przewąchali, że to nie-czysta sprawa, a chodziło im o sławę wśród swych ludzi, przeto wystąpili.
O Bociurce jednak opowiadano taką aneg-dotę:
„W pewnym kasynie grano w karty. Na ścianie tuż nad stołem wi-siało duże lustro. Jakiś niższy urzędnik sie-dział naprzeciw lustra i w nim karty swe-go partnera, za takie oszustwo wyrzu-cono go za drzwi. Jego miejsce zajął pan

naczelnik i także zaglądał do lustra
i wyrzucono .... "
„Jakto naczelnika wyrzucono ?"
„To nie, ale lustro."
Coś podobnego miało być z Bociurką, ale czy
to prawda, czy to był tylko złośliwy żart,
tego nie wiem.
Skandal parkowski doszedł do tego stopnia,
że nawet jakiś uczciwy adwokat, nazwi-
skiem Czajkowski, napisał w swoim
piśmie przeciwko temu parkowstwu ostry
artykuł. Zjechał w tej sprawie do Bu-
czacza sędzia Worobec, zdaje się mój
były uczeń z Betza, był to niegdyś bar-
dzo utalentowany i dobry skoczek.
Idzie Worobec do sądu, we drzwiach stoi
jeden ze spólników, uczesał portowy,
a sędzia pyta: „Kto wy?"
„Sojak, naczelnyk pocztу." i wyciągnął rękę
ku przywitaniu.
Worobec minął rękę i
krzyknął na dozorcę więzienia.
„Zamknąć jego!"
Umieszono wszystkich trzech.
Bociurkę usunięto z komisariatu, nie wiem
za jaką sprawę. Z początku sierdził się,
nie chciał ustąpić i mówił:
„Ja zostałem wybrany wolnymi głosami."
„Kto ciebie wybierał? Jakie tu były wy-
bory? Tyś uzurpator!"
Na jego miejsce przyszedł Krzysianowski,
potomek najstarszej szlachty pol-
skiej. Większa część dzierżawców żydowskich hajda-
maków pochodzi z dawnej polskiej szlachty,

jak to nieraz same nazwiska wskazują, tylko jeszcze do niedawna o to nie dbano, bo nie było różnicy jakiego kto jest obrządku. Zaniesiono dziecko do chrztu w cerkwi zwano go Rusinem, zaniesiono do kościoła był Polakiem, a ponieważ prawie w każdej wsi była cerkiew, a kościołów mało, przeto miliony Polaków stało się mimowolnie Rusinami, a ruscy księża zapisywali dzieci do ruskiej metryki, nie chodziło im o żaden patriotyzm tylko o dochody, bo czym więcej miał księdz parafian, tym większe miał dochody, a ruski ksiądz dba o dochody, bo ma żonę i dzieci.

Odebrać niegodnym ~~księ~~ księżom Bazylianom dobra, które im dali Potoccy i inni polscy panowie na to, aby szerzyli polskość na polskiej ziemi, to zaraz staną się Polakami jak byli przed laty.

Dobra Bazyliańskie i inne dotacje ruskich księży, którzy szerzą nienawiść w spólnym narodzie można oddać innym godniejszym zakonom i księżom: Polak i Rusin to krew z krwi, kość i kości t.j. jedna i ta sama rodzina.

Krzyżanowski był człowiekiem uczciwym, nikomu krzywdy nie zrobił, a humor miał niezmienny. Raz stał Krzyżanowski przed aresztantami i pytano go, co to za budynek, a on odpowiedział:

„Na górze jest magazyn

aprowizacyjny, na dole magazyn tych, co Ukrainę budowali"

Aresztowanym przynoszono pożywienie z domu ~~z domu~~, a chłopi widząc to, mówili:

„Ot dywy! Jak nam dawniejše howoryw kazanie, to zakazuwaw nam chrestyty moloko wodoju, a sam tak fajno naftu rozbawlaw, razom sydyt' za kratamy." Odstawiono wszystkich wspólników do Stanisławowa i tam sędzia zapytał księdza, ile on ma miesięcznego dochodu i jak liczną ma rodzinę. Ksiądz dochód wyliczył, ale bardzo mały, a rodzinę miał złożoną coś z ośmiorga osób. Wówczas sędzia zapytał: „A jakżeś ksiądz może, mając tak liczną rodzinę, a dochody tak mało, grać ferble, dając na „vorhand" 1000 koron, a na „besser" 2000 koron? Z jakich funduszów kupił sobie ksiądz powóz na gumach?"

Urzędnika pocztowego również naciągano, bo miał kupować wieś i obstalował u stolarza bardzo drogie meble.

Jak się Żydzi bronili, tego nie wiem. Gdy rozmawiałem z Żydami w tej sprawie, mówili:

„Żydom korona z głowy nie spadnie, a gdy wrócą, każdy z nas chętnie do spółki z nimi wejdzie, bo oni już mają doświadczenie. Najgorzej wchodzić do spółki z katolikami, bo gdy katolikowi uda się jaki dobry interes, to zaraz

Amurka i żyje nad stan, udaje pana, – Żyd jeśli zarobi, schowa pieniądze do kieszeni, a po jego otwartym chałacie nikt nie pozna, że on jest ma majątek. Jeśli się Żydowi interes nie uda i naraża go aresztu, to on honoru nie traci, ale z katolikiem to zaraz inne kato-liki wołą „gryssе Gewałt!"

Po takim żydowskim rozumowaniu po-wyłapałem wie i przypomniałem ruski przysłowie: „Kotyś ne pyrih, ne pyrosy sie."

Tymczasem Polacy zbli-żali się do Stanisławowa, więc całej sprawie ukręcono łeb, co było jeszcze najlepszym wyjściem.

Dyrektor Żydów otworzył w bursie polskiej

dla młodzieży gimnazjum, zaś dla dziew-cząt katolickich się na nauczycielki prywatne Seminarium nauczycielskie. Bocianka, dowiedziawszy się o tym, wysłał żołnierzy, aby szkołę natychmiast zamknąć, a uczennice napędzić. Ci którzy wykonali ten rozkaz w bru-talny sposób. Obili panny kolbami, porobili im siniece po plecach, a jeden nawet wystrzelił, kula przeleciała po-nad głową dziewczyny. Nie wiadomo tylko, czy ten strzał był umyślny, czy też przypadkowy.

Panu Izaakowi Pallekowi zato, że nie przypiął deklaracji nie pozostawił ... otworzyć polskiej szkoły dla dziewcząt mojżeszowego wyznania,

13. Kwietnia r. 1919 :

Ataman Sokołowski, który przyszedł na
miejsce Juszkowa nie był zdolniejszy do
rabowania bliźnich, dlatego go usunięto.
Na jego miejsce przyszedł ataman Oleksyn,
rodem z Bukowiny, lecz i ten rabunków
nie pochwalał. Nie był to hajdamaka,
ale sprawiedliwy, uczciwy Rusin.

Około 200. osób z różnych stron kon-
finowano w Buczaczu. Utworzono
więc Komitet pod cichym przewodni-
ctwem Władysława Ostrowskiego, bo nazwi-
ska jego, jako również internowanego i
konfinowanego nie mogło figurować,
bo to przecież polityczny zbrodniarz, jak
nazwał w swej „Peretowosi” wachmistrz

Byto. Dokumenty z tego komitetu były
u mnie w przechowaniu. Komitet ten
był złożony z panów i pań, starał się
o to, by wszyscy ci biedacy mieli gdzie
mieszkać i co jeść. Krzyżanowski po-
zwolił na urządzenie dnia Kwiatka,
by w ten sposób zebrać dla konfinowa-
nych żywności, pieniądze i ubranie. Miasto
i wsie okoliczne były wyniszczone, lecz
każdy dawał, co mógł. Wieśniacy wsi
Podzamecka, Podlesie, Dźwinogród i Na-
górzanki zwozili zboże, mąkę, kaszę i
kartofle. Mieszczanie, urzędnicy i nau-
czyciele dzielili się ubraniem i bielizną.
Panie Stefcia Czechowiczówna (Krupińska), Ma-
rylka Stefanowiczówna zawiadywały gospo-
darstwem, a praca to była ciężka i wyczer-

miejsca. Inne panie gotowały w kotłach jedzenie. Zabawny był to widok, gdy maleńka panna Kazia Chymiakowska, nauczycielka, wydawała własnoręcznie ugotowaną w kotle potrawę pomiędzy zgłodniałych ludzi, którzy ją nazywali „matusią." Jeżeli w czasie tej długiej wojny wojujące państwa brały niewolników, lub zakładników, dbały o to, by ci mieli co jeść, lecz hajdamacy nie mieli tego zwyczaju, także nieszczęśliwiec mógł zginąć z głodu, a nikt o niego nie zapytał i gdyby nie tutejszy Komitet, pewnie niejeden, a i połowa z nich nie wróciłaby do domu. — Oznajmiono konfinowanym, jeżeli

chcą, to zawiozą ich do Stryja, do wymiany za tych niby ukraińców.
Zgłosiło się około 100 osób i zawieziono ich do Stryja, lecz w mieście tym nie było żadnego Komitetu, nikt im jeść nie dał, wymiana jeńców nie udała się i tak zgłodniały pędzono na powrót do Buczacza. Ludzie w drodze omdlewali z głodu. Konwojujący ich wachmistrz, widząc to, zatrzymał się w Stanisławowie i prosił oficera, by im dał co jeść, ale oficer odmówił. Wówczas wachmistrz zwrócił się do konfinowanych i rzekł: „Samiście słyszeli, że nie ma co jeść, idźcież więc do miasta i proście dobrych ludzi, może wam kto co da." — Oficer słysząc to, pomyślał

chwilkę i kazał ugotować duży kocioł pokrzyw, kaszy i gdyby nie ta kasza, kto wie, czy wszyscy wróciliby do Bu-czacza.

23 kwietnia 1919:

Od kilku dni krążą po Buczaczu dziwne wieści. Oto przejeżdżają przez Buczacz liczne pociągi towarowe. Są to zwykle wozy, tak zwane „lory" a na nich poskładane w nieładzie różne sprzęty wojskowe. Przez otwarte w wozach drzwi widać poskładane na kupie karabiny, armaty, amunicję, odzież, kuchnie polowe, a wszystko w naj-większym nieładzie. Widocznym jest, że to ucieczka z frontu. Porzucana amunicja grozi wybuchem, ale

nato nikt nie zwraca uwagi. Po-wiadają, że Podwołoczyska wzięte przez jakichś bolszewików. Co to za jedni ci bolszewicy? Czy oni Polakom po-magają? Nikt nie wie. Hajdamacy boją się ich. Mówią, że gdy tylko przyj-dą gdzie bolszewicy, to zaraz wszystko zabiją, a ze zrabowanymi rzeczami dzielą się na równe części. Powiadają, że kule armat bolszewickich dochodzą już do Tarnopola. Już bolszewicy są w Husiatynie. Żydzi kręcą się i nie wie-dzą, czy się cieszyć, czy się smucić. My również nie możemy im dać żadnych wskazówek. Wiemy tylko, że bolszewicy wypędzili cara i sami się rządzą. Komenda wojskowa nakazała

obejść wszystkie domy i sklepy i za-
bierać dla herojów wszystko, co się da.
Heroje bowiem walczą na froncie i
trzeba im sprawić święta. Chodzą
więc żandarmi od domu do domu, od
sklepu do sklepu (katolickie domy
omijają) i proszą o darunki.
Jeżeli żyd był mądry, zaraz wszystko
wyjął i mówił: „Ja dla naszych walecz-
nych wojaków niczego nie będę żało-
wał" Dawał im kilka mydełek, wstą-
żeczki, lusterka i inne drobiazgi. Po
cichu zaś mówił: „Szwarz pur, a
ganew, niechaj tata a mamy haran,
niech im przyjdzie nasz Kapurze, ablag
soll sie treffen, brech di kiszkies i.t.d."
Głupi żyd mówił: „Co ja mam? Ja
nic nie mam." Takiemu rozbijano sklep
i zabierano, co się dało.
Na ulicy ściągano przechodniom buty
z nóg, zabierano odzież, zdzierano czap-
ki, a nikt nie mógł ani słówkiem pisnąć,
bo mógł także dostać kolbą od karabi-
na. Sam widziałem jak kilku żydom ścią-
gnięto na ulicy buty z nóg, a nawet
spodnie, jeżeli jeszcze były dobre.
Bociarko i Luszkowie wyjechali, powiada-
ją, że uciekli do Polaków. Żona Lusz-
kowa jest Polką z domu Krimmerówna.
Ojciec jej miał niegdyś we Lwowie w ho-
telu Żorża wielki sklep z artykułami
gumowymi, zaś Luszkowa jest jako
wdowa wyszła za Luszkowa mając dwoje
dzieci. Sam Luszków był niegdyś

prezesem Sokoła polskiego we Lwo-
wie. Dziś powiesił w swoim pokoju
portret Szewczenki, ale żona zerwa-
ła go, a powiesiła portret Piłsudskie-
go. Łuszków protestował, ale w końcu
musiał żony słuchać, ba! przyjął na-
wet do swego domu dwóch konfino-
wanych! Około czasu wielkanocnego
zmienił się całkiem i nie chce mieć
z hajdamakami nic do czynienia.
Zaczynają go podejrzewać!
Bociurki żona jest również Polką.
— Nad wieczorem przyjechali obcy,
ale gdzie byli, nikt nie wie.
Nazajutrz rano w Wielką Środę patrzę,
idzie setka nowych hajdamaków na
front, na ich czele jedzie na koniu

sam Łuszków w ogromnej baraniej
czapce na głowie. Wszystkie sklepy
Żydzi natychmiast zamykają, bo tra-
fiało się, że heroje na dany znak wpa-
dali do sklepów, zabierali, co się ko-
mu podobało, a kupiec musiał mil-
czeć. Bywało i tak, że heroje idący
na front po takim rabunku
sklepów rozprószyli się i pouciekali.
— Komitetowi polskiemu pozwolono
znów chodzić po domach z kwe-
stą. Zbierano dary na rzecz in-
ternowanych w Pastowcu, którzy tam
jeszcze zostali. Nazbierano darów
[illegible] dość dużo i zawieziono
do Pastowca. Biedacy mieli świę-
ta. Z darów i rabunków, które

żandarmerja zbierała dla herojów po
sklepach i domach żydowskich, które
nie korzystali wcale. Mnóstwo dzie-
wek z okolicznych wsi przyszło do Bu-
czacza, postrojone były jak laleczki,
w lakierowanych bucikach, w różno-
kolorowych chustkach na głowach,
w jaskrawych spódnicach. Żadna
z nich tych rzeczy nie kupiła, tylko
były to podarunki od adoratorów,
a heroje dostali figę!
Naraz rozkaz:
„Nie wymordowywać!"
Zdziwieni mieszkańcy miasta wy-
chodzą na ulicę i nikt ich nie za-
czepia. Rusini i Polacy grzecznie się
witają, pozdrawiają, rozmawiają i

narzekają:
„Ach żeby to się przy nas skończyło,
ta ta przeklęta Ukraina, bo już ona
nam wszystkim dojadła."
W czasie rezurekcji mnóstwo ludzi
przyszło do kościoła tak Polaków jak
i Rusinów i wszyscy zgodnie śpie-
wają: „Przez Twoje Święte Zmartwychwstanie"
Łucków szedł z procesją obok mnie.
Niedawno jeszcze, odprowadzając władzę
na kolej, jechał na koniu z ogromną
kuczmą na głowie, w której wyglą-
dał jak jakiś dziki Zulus z Afryki
dziś skromnie ubrany i nikt by nie
poznał, że to ten sam człowiek.
— Dzieją się w mieście kradzieże, ale
zwykłe. Od p. Bergerowej w nocy

skradziono z chlewa świnię. Do apteki
p. Czernego wleźli przez okno złodzieje,
ale ich spłoszono i uciekli.
Nadeszła straszna wieść:
Oto w Złoczowie wymordowali haj-
damacy 23. Polaków, ludzi zupełnie
niewinnych, a między nimi inżyniera
Niecia. Wśród wystrzeliwania tych
ludzi dobijano ich kolbami, a przed
wystrzelaniem bito ich kijami i w strasz-
ny sposób męczono. Jak się to później
okazało, było to zupełnie prawdą.

26.4.1919:
Pojawiło się na rogach ulic ogłosze-
nie, że ktoby się odważył szerzyć pani-
kę, że bolszewicy się zbliżają, będzie od-
dany pod sąd polowy i natychmiast
wystrzelany. Ogłoszenie to ma na celu, jak
mówi afisz, ostrzeżenie, gdyż niesumien-
ni ludzie, zwłaszcza żydzi, umyślnie roz-
szerzają te wiadomości, aby za swe towa-
ry podwyższać ceny i wyzyskiwać ludzi.
Może to i prawda.

Tegoż dnia pojawiło się znów ogłosze-
nie, które poruszyło całe miasto. Ogłoszenie
to było tej treści:
„Z powodu ważnych wydarzeń na
froncie zachodnim wzywa się wszyst-
kich urlopowanych żołnierzy, by natych-
miast urlop przerwali i szli na front.
— Wszystkich Kozaków Wschodniej Ukra-
iny wzywa się, by natychmiast opuścili
tutejsze terytorium. Cywilni mają się
zgłosić w Równem, a wojskowi

w Dubnie u jakiegoś Petlury. Dalej zakazano wszelkich zabaw, przedstawień teatralnych, kin, a nawet zabaw domowych. O godzinie ósmej wieczorem mają być zamknięte wszystkie domy gościnne."

Zaczęliśmy więc omawiać, co tam na froncie zajść mogło. Buczacz, tak słynny z plotek i fałszywych świadków, które się czasem sprawdzają, nagle zamilkł. — Po południu wreszcie się wieść, że Polacy pod Bóbrką przerwali front, a hajdamacy w panicznym strachu uciekają. Dalej mówią, że z Polakami chcą zawrzeć pokój, ale Polacy o niczym słyszeć nie chcą. Zaś co do zabaw,

to się tyczy tylko hajdamaków, którzy urządzali w polskim Sokole i w Besidzie codzienne huczne zabawy, podczas gdy Polacy głodowali. Mogli hajdamacy hulać, bo wszystkie dwory porabowali, a chłopom Polakom zabierali konie, bydło i świnie jak swoje, nie pytając o pozwolenie gospodarza i właściciela.

Dlaczego jednak każą przerwać urlop i iść na front? Oto na święta wielkanocne obrządku grecko-katolickiego powróciło mnóstwo żołnierzy z frontu do każdej wsi. Każdy z nich wziął ze sobą karabin i naboje i strzelają wciąż na wiwat ostrymi nabojami. Nawet w Buczaczu odbywa się taka strzelanina, a [illegible]

nie do żydowskich okien i niebezpie-
cznie stać w oknie. Jakąś żydówkę po-
strzelili, żydzi: „Gewalt!" krzyczą. —
— Do Petlikowic Starych przyjechał pewien
~~ułan~~ ochotnik i przywiózł ze sobą armatę
wraz z nabojami, a gdy go pytano, naco
on tę armatę przywiózł, odpowiedział:
„Czyż ja nie jestem wart, bym sobie w czasie
świąt wielkanocnych postrzelał trochę
na wiwat?"
(Ten sam żołnierz we
dwa miesiące później wraz z armatą wstąpił
do wojska polskiego)
— Przyjechał do Buczacza jakiś pan
„Fir" z Koropca i wiózł na wozie
prowianty. Powoził chłopak nazwiskiem
Antków. Stanęli przed cukiernią Pistreicha

i Fir wstąpił na kawę. Tymczasem nadszedł
szpieg Hanczakowski i chciał z wozu owe pro-
wianty zarekwirować. Chłopiec narobił
krzyku, żydzi się zbiegli i powstał hałas
na ulicy. Usłyszał to Fir, wyszedł i za-
pytał jakim prawem chcą mu te pro-
wianty zabrać. Hanczakowski pokazał
mu swoją legitymację. Wówczas Fir
wyciągnął browning z kieszeni i wy-
mierzył do Hanczakowskiego, ten wi-
dząc niebezpieczeństwo zaczął uciekać, ale
Fir strzelił za nim i trafił żyda na-
zwiskiem Falaschuk w brzuch. W pół
godziny później Falaschuk umarł, a Fir
siadł na wóz i pojechał dalej. Nikt nawet nie
zapytał się, jak się ów morderca nazywał.
— Nazajutrz ~~rano~~ rano jakiś inny

hajdamaka przebił bagnetem żyda Bottenberga i zabił go na miejscu. Żaden żyd nawet słówkiem na te zabójstwa się nie odezwał. Takie to były czasy, że wszelkie kradzieże, rabunki i zabójstwa uchodziły bezkarnie.

W czasie tej wojny wielu ubogich mieszczan i chłopów przyszło do dobrego mienia. Przed wojną nie mieli nawet czym tyłka nakryć, teraz mają pościeli po sufit. Po ulicach chodzą jak panowie. Dziewki wiejskie chodzą w kabatach z najpiękniejszych materyj, ale ubranie te zrobione przez wiejskiego krawca i dziewki wyglądają w nich jak świnie w końskich chomątach.

Ludzie na rynku i na ulicach możemy

zobaczyć wielu chłopów i bab, którzy sprzedają za bezcen bucikí, sukienki, samowary, primusy, żelazka do prasowania i różne inne niepotrzebne na wsi rzeczy. Nikt się nawet nie zapyta, skąd oni te rzeczy wzięli. Ot zdobycz wojenna.

Całymi gromadami powracają dziś żołnierze z frontu, rozchodzą się po mieście i po wsiach i mówią: „Szlag by ich trafił z ich . . . . . . Ukrainą, ja jestem sobie Rusin, mojej matka Polka, to cóż, że Polka, wszyscy ludzie dobrzy, — najlepiej by było wszystkim tym, co nas do wojny wysyłają własnych broni mordować, tłuc pyski i miłować nas ściskać."

Do Korczyna wielki ludzi z frontu,

zabrawszy ze sobą karabiny i naboje, nawet jeden karabin maszynowy. Wysłano tam żandarmów, aby owych z tłuszczy, których szumnie nazywano ochotnikami, zabrać napowrót do wojska.

— Tu muszę nadmienić z jakich to osobników składali się ci żandarmi. Byli to fornale dworscy, którzy nie mieli ani kawałka własnej ziemi, szumowiny z miast, których ze szkół wypędzono, niedouki, niesumienni terminatorowie, którzy u żadnego majstra nie mogli nauki dokończyć, leniuchy. Takim ludziom, jako żandarmom, działo się bardzo dobrze, nikt im nie przeszkadzał rabować, mieli żyć z czego, sami na front nie szli, tylko wyszukali i wyłapywali gospodarskie dzieci. Otóż do Korropa wysłano 20. żandarmów, ale nie wrócili. Słyszano tylko z daleka jakieś strzały karabinowe. Wówczas wysłano z Brzeska około 60. nowych żandarmów. Nazajutrz wrócił tylko wachmistrz. — Cóż to się stało?

Otóż wójt Korpiecki postanowił chłopców do wojska nie dać. Uzbroił straż i kazał pilnować, czy nie idą żandarmi. Gdy nadeszli, otoczono ich dokoła i przedstawiono im, że nie mają o co wojny prowadzić. Ci złożyli broń i rozproszyli się. Jedni poszli do swoich domów a inni zostali w Korroplu. Tosamo stało się z drugim oddziałem. Wrócił tylko wachmistrz, który widocznie nie miał interesu zostać w Korropau.

4.5.1919.:

Konfinowanych w Buczaczu jest obecnie około 100 osób, między nimi znajdował się pan Szczerba profesor gimnazjalny, na wojnie stracił oko, do tego był chory. Na ulicy stało kilku ludzi, a jakiś hajdamaka mówi:

„Z jednej strony Polacy, z drugiej bolszewicy, a bieda z nami."

„To czemuż się nie godzicie?" mówi Szczerba.

„A tobie co do tego?" wrzasnął hajdamaka, zaaresztował Szczerbę i odesłano go do Jazłowca.

— W tutejszych arestach siedział hrabia Korytowski, któremu dwór zupełnie obrabowano. Wówczas Korytowski przyjechał do Buczacza, aby w komendzie wojskowej

upomnieć się o swoją krzywdę, lecz śmiano mu się w oczy. Rozgniewany Korytowski powiedział im:

„Jesteście złodzieje, rabusie i chamy!"

Zato wsadzono go do arestu, gdzie siedział 21. dni. W końcu puszczono go na wolność, a on na odchodnem rzekł im:

„Pomimo tego iżście mnie puścili, nie przestaniecie być złodziejami, rabusiami i chamami."

Dano mu spokój.

Syn mój Zygmunt wyszedł dziś na ulicę, mając sztylpy na nogach. Nadszedł jakiś uzbrojony żołnierz, Rusin i mówi:

„Wróć pan do domu, bo dziś na ulicach ściągają ludziom buty z nóg. Panu w tej chwili buty wezmą."

Zygmunt posłuchał tej rady i wrócił do domu.

Kazano nadrukować nowe pieniądze i nazwano je hrywnami i karbowańcami. Były to czerwone papiery podobne do ~~etykiet~~ etykiet na flaszkach z winem, a na nich były drukowane cyfry 10. 100. lub 1000 hrywien. Nikt jednak nie chciał tych pieniędzy brać. Komisariat i urząd podatkowy brał tylko korony, a wypłacał hrywnami. Żydzi i chłopi wnet się pomiarkowali i nie przyjmowali tych pieniędzy, bo były bezwartościowe. Wszystkim urzędnikom i nauczycielom wypłacano hrywnami, korony zabierali tylko prowodyrowie. Żołnierze i żandarmi nie wiedzieli, co

z tymi hrywnami robić, bo nikt ich nie chciał brać. Wydano więc rozkaz, że ktoby się odważył tych hrywien nie przyjąć, ulegnie surowej karze i konfiskacie sklepu. Żołnierze więc kupowali w sklepie jakąś tanią rzecz, płacił papierkiem opiewającym n.p. na tysiąc hrywien, a resztę żądał koronami. Wielu więc żydów pozamykało sklepy. Wpadli więc żandarmi na inny koncept. Stanęło ich kilku na ulicy, zatrzymywali przechodzących żydów, przeszukiwali im kieszenie i zabierali im korony. Gdy ~~więc~~ więc w ten sposób zebrali 1000 koron, zabierali je sobie, a dawali im papierek, na którym wydrukowano 1000 hrywien i rzekli:

„Wy teraz dzielcie się." Był to prosty rabunek. Chodzą nawet po domach prywatnych i szukają po szufladach za koronami, za które płacą rosyjskimi. U pana Hajdukiewicza, sędziego, zabrano dziś w ten sposób 4.000 koron.

Była dziś również rewizja w domu p. Wolgnera, który obecnie mieszka w Buczaczu; zabrano mu wiele par butów, damskich trzewików, bielizny i pieniądze, zaś przedtem obrabowano mu w [illegible] cały dwór.

Około 11 godziny przed południem przeprowadzono przez miasto setkę internowanych ludzi. Wszyscy obdarci, prawie nadzy, głodni, zmizerowani, że aż strach i bólem było na nich się patrzeć.

Kto widział obraz Grottgera: „Pochód na Sybir" może mieć tylko słabe wyobrażenie o pochodzie tych nędzarzy. Tam artysta przedstawił przynajmniej ludzi zdrowych i ciepło ubranych, tu zaś widzieliśmy gromadę ludzi, którym się niewiele do śmierci należało. Artysta umieścił na swym obrazie psy, tu zamiast psów stali na ulicy żydzi z drwiącymi minami.

4.5.1919: Tych biedaków zaprowadzono na stację kolejową, mianowicie odstawić do Konarzowa. Wyjątkowym naczelnikiem stacji był nauczyciel Symonyk. Był to człowiek ludzki, przystępny i starał się o ile możności tym biedakom pomagać. Dopuszczał do

nich znajomych i tych, co im przychodzili z pomocą. Nie podobało się to władzom hajdamackim i przenieśli ją do Czortkowa. W mieście naprędce nakupili Polacy żywności, napiekli chleba i nieśli na stację. Między innymi ofiarodawcami była panna Ziobrówna z Rzeszowa i przyniosła im dwa bochenki chleba. Pod jednym chlebem była przylepiona kartka, a na niej napisało:

„Nie bójcie się, bo wkrótce to z się wszystko skończy. Sursum corda!"

Kartka była źle przylepiona i odpadła. Spostrzegli to hajdamacy, kartkę podnieśli, przeczytali, pannę obili kolbami, a przezywali ją takimi wyrazami, jakich ona nigdy w życiu nie słyszała i odwieźli ją pod sąd polowy do

Czortkowa. Dowiedział się o tym ojciec, stary Ziobro pojechał do Czortkowa i jakoś po czterech dniach udało mu się wydobyć dziecko z pod opieki hajdamaków.

8'5'1919:

Zawsze w Buczaczu we czwartek odbywa się targ. Zjechało więc na targowicę mnóstwo fur i przywieziono na parowank świnie, gęsi, cielęta, przyprowadzono krowy i konie. Zaczął się targ. Chłopi jednak sprzedawali swoją prócz za korony. Podmówieni przez hajdamaków żydzi płacili za kupione bydło koronami, lecz czynili to tak ostentacyjnie, że każdy widział. Gdy po chłop miał w garści pieniądze, przystępowali żandarmi, zabierali

mu krowy; a dawali mu krupony. Z tego powodu powstał na targu wielki hałas, bo chłop, to nie bojaźliwy żyd. W jednej chwili stanęli chłopi z orczykami w ręku, otoczyli żandarmów, ci zagrozili strzelaniem, a chłopi krzyknęli: „Spróbuj wystrzelić, a noga z was tu nie ~~[illegible]~~ zostanie!” Już miało przyjść do rozlewu krwi. Przytomniejsze jednak baby zaczęły zawracać wozy i w przeciągu dziesięciu minut nie było na targu ani jednej fury, ani świni, ani bydlęcia. Rzucano trochę kamieniami i na tym się skończyło. Dopiero gdy plac był pusty zaczęli żandarmi strzelać, ale w górę. Widziałem niéraz cofające, lub nawet uciekające frony, ale takiego widowiska jak

wówczas jeszcze nikt w życiu nie widział. Konie pędzą, wozy turkocą, świnie kwiczą, krowy ryczą, baby przeraźliwie wrzeszczą, kamienie padają, chłopi przeklinają, żydy uciekają, żandarmi powdziewiali gęby, patrzą głupowato, a nie wiedzą co robić, aby zapobiec tej ucieczce. Karbowańce i krupony zaczęły nagle spadać, za sto krupowi płacą trzy korony i to papiero-[illegible] zupełnie nowy, a kupujący krupony wyraźnie zaznacza, że kupuje je tylko, aby schować je sobie na pamiątkę.

— Idąc dziś do meldowania się w Komisariacie, widzę grupę ludzi czytających jakiś afisz. Jest to nowe ogłoszenie z wojskowej Komendy w Czortkowie:

Panowe Strilci!
Bolszewiki i legionisty korystajuczi, szczo
naszi herojśki strilci powtikały do domu
na świata neporty na nas wid wschodu,
Polaki wid zachodu, a naszi herojśki woj-
śka musiły utikaty. Chodit' otże na
front, bo pak ne pidete, ne budete
panamy!"
Myślałbyś, że ktoś sobie
kpiny robi i w ten sposób zagrzewa nie
do wojny ale do ucieczki. Polacy się śmie-
ją, Rusini kiwają głowami i mówią:
„A chorobe na was z waszoju Ukrainoju,
wydko, za mataśte szcze nakłaty."
Baby na cały głos przeklinają i krzyczą:
„Złodiji! Złodiji!"
Następnego rano pojawił się znów na ulicach
miasta afisz w ruskim języku na-
stępującej treści: „Stała sia dla nas taka
wraśna ricz, szczo ukrainśki siczowi
strilci w swojeji ślipoti i hłupoti ne-
pamiatajuczi na swiatu ta strilećku
czest' opustyły swoji sotni w chwyli
najtiaższoji dla ukrainśkoho narodu
i pišły do domu światkuwaty. Opusty-
ły swoji riady w chwyli, koły wid
wschodu natariat' naszu zemlu wojenni
bandy Madiariw, Kitajciw i polśkich
legionistiw, wid zachodu widwiżnyj
nam woroh Polaki.
Woroży naszi znały
dobre, szczo serid nas hłupyj i durnyj i
dlatoho wybraly swiata wełykodni do ho-
townoho udarenia. Polaki kinuly sie z
najbilszoju syłoju na nasz front, aby
joho rozirwaty, a riwnoczasno

pidijmy spryminemi z nymy ~~bolszewiki~~ bolszewyćki bandy wid wschodu. Nastała dla nas ważna chwyla, koły abo „pan" abo „propaw!" - Siczowi Stril'ci, ta my ne jeste taki ślipi i durni, szczoby za jeden, abo dwa dni świat zapropa- styty budusznist' narodu. Praci dla durnoji takoji wiry budete dowhi lita rabamy. Opamiętajte się poki czas, wer- tajte do swojich riadiw, by wspownyty swij obowiazok. Wertaj poki czas, bo aby ne buło za pizno."

Czortkiw 23 ćwitnia 1919.

— Przezywiście ogłoszenie to powinno mieć swoje miejsce w jakimś humory- stycznym piśmie, a może wszystka Komen- da umyślnie robić zakpiła z tej całej rachunki.

— Opowiadają na ucho, że Polacy wzięli Mikołajów, a 40.000 wojska hajda- maków uciekło do Rumunji i tam ich rozbrojono. Wątpię, aby ta ostatnia wia- domość była prawdą, bo w czasie tej długiej wojny, każdy operował ty- siącami, aż miło.

— Nad wieczorem tegoż dnia przywiezio- no do Jazłowca 154 Polaków, między nimi było kilku w wojskowym ubraniu. ~~Zna~~ Znajdowała się tam również jakaś kobieta z dzieckiem przy piersiach, a dzie- cko nie miało już co wyssać. Jedna z tu- tejszych pań spostrzegła ją i wzięła ją do siebie.

— Do Tysmienicy wzięto mnóstwo chłopców ochotników, którzy już nie chcie- li dalej wojować. Tutejsza komenda woj-

[illegible] czytało tam żandarmów. Ci przyszli i złapali Hrycia, temu zaś było żal, iż go samego złapali, powiedział, gdzie schował się Jurko, Jurko zdradził Semena i tak w kółko złapano 5-ciu ochotników. Przyprowadzono ich do Buczacza i powieziono pociągiem do Jezierzan. Dyżurujący ich wachmistrz zszedł z wagonu i poszedł na dworzec do pokoju, gdzie mieszkał kapitan, by zameldować jakich wiezie ochotników. Kapitan chciał ich zobaczyć i przyszedł razem z wachmistrzem do wozu, lecz nie zastał tam już nikogo, wszyscy uciekli, a po nich, jak opowiadają żandarmi, pozostał tylko „duch” (nieprzyjemny zapach). Idą chłopi drogą i rozmawiają o komisarzach i komendzie wojskowej:

„Czy oni głupi? Czyż nam przedtem było źle? Bogatszy pracował na swojej roli, biedniejszy zarobił sobie we dworze, każdy pan, kto pracuje, a ci buntownicy narażają naszą krwią i życiem, aby sobie brzuchy paśli. Niech sami idą się bić, kiedy chcą być panami i nic nie robić.”

W niedzielę w Trybuchowcach było w cerkwi nabożeństwo. Nadeszli żandarmi, otoczyli cerkiew dokoła i nuż wyłapywać młodszych ludzi na ochotników. ~~Dziew~~ Dziewki zaczęły krzyczeć i wydzierać chłopców. Żandarmi zaczęli strzelać i poranili [illegible] dziewcząt, inni mówią, że nawet zabili; ale temu nie wierzę. [illegible] w liczbie 60 osób przyprowadzono do Buczacza i sam ksiądz w gmachu Sokoła.

U bramy postawiono silną straż, ale jeden z wartowników pokazał trybuchowie-ckim chłopom okno zabite deskami. Ci nie wiele myśląc, oderwali deski i przez okno wszyscy uciekli.

— Tacy odważni byli we wszystkich wsiach, a mieszkańcy wsi Kujdanowa wszyscy obrządku grecko-katolickiego odpowiedzieli: „My jesteśmy polską szlachtą, do buntu nie pójdziemy" Tak samo po-wiedzieli mieszkańcy wsi Kurdwa-nówki. Szlachectwo to otrzymali za usłu-gi i pomoc w wojnach z Turkami ze czasów króla Sobieskiego.

23.5.1919: Nadeszła wiadomość że Polacy są już w Stanisławowie i dochodzą już do

Niżniowa. Bociurko z Wyrwanem chodzą po rynku. Pan „komisarz" blady i przestraszo-ny, rękoma coś żywo gestykuluje, widocznie bardzo podniecony, jak to mó-wią „Rura mu zmiękła"
Około 10 godziny rano nadjechało około 200 wozów naładowanych pościelą i różny-mi domowymi sprzętami. Na każdym wozie siedzą panie ubrane w kapelusze i płaszcze. Cały ten tabor pojechał w stronę Czortkowa.

— Żydzi dla Polaków coraz grzeczniej-si, arogancji już u nich ani śladu. Pewien znany mi kupiec, zresztą nie zły człowiek, przychodzi do mnie i mówi: „Może pan pożyczyć pieniędzy?" Zaśmiałem się i odpowiadam:

„Teraz pożyczacie nam pieniądze, a niedawno krzyczeliście w Sokole: „Hoch Ukraina, nieder mit den Polen."

Żyd skurczył przestraszony i mówi: „To nie ja, ani żaden z mądrych ludzi, to tylko te młode głupie akademiki, to ten durny Witieś, i to dlatego krzyczeli, bo się bojeli. Niech mi pan wierzy."

Żydzi to najlepszy barometr, oni więcej od nas wiedzieli, ale bali się wydać, bądź co bądź oni także Polaków oczekiwali z niecierpliwością, bo wiedzieli, że ci nie będą im sklepów rabować, ani strzelać na ulicy. Około godziny 11ej przejechały przez Buczacz do Czortkowa dwa pociągi z wojskiem.

Pomimo wojny i takiego zamieszania odbywają się w kościele i cerkwi śluby i to małżeństw mieszanych. Dziś rano przyjechali goście

weselni z Podzameczka coś na dziesięciu wozach. Naraz zjawiają się żandarmi i nic nie mówiąc, rekwirują konie i wozy, bo chcą jechać do Dżurynogrodu. Naturalnie, gospodarze nic mogli powierzyć swych koni żandarmom, więc sami jako ~~f~~ furmani pojechali, a goście ~~[illegible]~~ weselni i państwo młodzi poszli do ~~do~~ domu pieszo.

Po wsiach również szczególnie u Polaków żandarmi ~~z~~ ~~a~~ rekwirują konie. Do gospodarza Jakóba Kulasa w Dżurynogrodzie weszli do stajni hajdamacy i chcieli mu wziąć jedynego konia, ale Kulasowa nie chciała go dać. Wśród tej sprzeczki wyszedł Kulas z chaty, a hajdamaka strzelił do niego z tyłu i zabił go na miejscu, kobietę obito i konia zarekwirowano.

Paroch tamtejszej cerkwi, dowiedziawszy się o tym, rzekł: „Dobrze mu tak, niechby był konia dał." Napełnił w tym samym duchu mówił ów paroch z Jaworowa. I to są ludzie przedstawiciele religii Chrystusowej, — do tego prowadzi polityka nie oparta na etyce chrześcijańskiej, którą się niegdyś szczycili, lecz z serca wyrzucili.

Śmieszna rozmowa.

Urzędnik z sekretariatu zachodniej Ukrainy z Niżniowa telefonował do Stanisławowa:
„Co tam chwaty?"
„W mieście są Polacy"
„A kto mówi?"
„Polacy."
„A więc do widzenia"
„Do widzenia." Rozmowa była skończona.

28.5.1919. Widziałem niedawno w Buczaczu Habsburga Wasyla Wyszywanego. Nazwano go Wyszywanym, bo chodzi w nocnej koszuli, jak ją ludzie niekulturalni nazywają „ukraińską". Właściwie powinna się nazywać perską, bo wzory i koszule wyszywane biorą swój początek w Persji. Chodził Wasyl po mieście w ubraniu zwykłego austriackiego oficera, zawsze w towarzystwie ordynansa Niemca. Średniego wzrostu, dość pięknej twarzy, a po jego skromnej postaci niktby nie poznał, że to potomek dawnego rodu Habsburgów. Mieszkał w klasztorze o.o. Bazylianów. Mówiono o nim, że ma być królem Palestyny, tylko go muszą wpierw obrzezać. Toż toby skakał!

U Bazylianów mieszkali również schizmatycki chełmski archimandryta Eulogiusz i archimandryta Antoniusz, tudzież jakiś ksiądz z wyższej hierarchii prawosławnej. Ludzi tych widywałem dość często używających świeżego powietrza na Tudorze. Zawsze byli bardzo smutni.

Ktoś by pomyślał, że Pan Bóg użył tych ludzi jako narzędzia kary Swej dla upokorzenia pychy naszych zaborców. Wszak to Eulogiusz oderwał ziemię Chełmską od Polski, by tamtejszy lud utwierdzić ~~w~~ na zawsze w prawosławiu. Ziemia Chełmska jest przesiąknięta krwią naszych Świętych Męczenników. Ziemia ta wołała do Boga o zmiłowanie, a Pan Bóg widocznie ich wysłuchał, a ktoby tej ziemi chciał krzywdę uczynić, paść musi. Tak było z Niemcami i Austriakami, gdy ją chcieli przeszachrować w owym niegodziwym traktacie w Brześciu nad Bugiem.

— Słychać jakieś strzały armatnie od strony Jazłowca. Mówią, że Polacy stoją nad Dniestrem i dalej nie idą. Do Buczacza zjechał sekretariat ukraiński, jakiś Petrycki, Hołubowicz, Greków. Na mieście moc oficerów, pułkowników, ale wszyscy rozmawiają tylko po niemiecku, polskiej, ani ~~ru~~ ruskiej mowy zupełnie nie słychać. Mnóstwo rachmistrzów, firów i kaprali przechadzają się po mieście, lecz bez podkomendnych, bo ochotniczy pouciekali. Chłopom i mieszczanom zabierają bez pytania krowy i świnie. Na miejscu zarzynają je dla wojska. Chłopom nie

Nagórzance i mieszczanom zabierają bez pytania krowy i świnie i zarzynają je na- raz na miejscu z dla wojska. Chłopom na Nagórzance zabrano z domów wszystkie widły, zapewne boją się, aby chłopi nie bronili widłami swej własności, pracy i dobytku.

— Na moście ~~pała~~ pałacowym stali nad Strypą dwaj nauczyciele Boktało z Petlikowic i Schabowski z Rawy Ru- skiej, których tu konfinowano, ci widząc takie zamieszanie między hajdamakami rozmawiali ze sobą:

„Czas tym Kabanom źle się powodzi."

Ktoś tę rozmowę podsłuchał i dał znać do Komendy, gdzie atamanem był już Kuzma, były uczeń IV klasy gimna-

zjalnej w Buczaczu i wielki [illegible]. Ten kazał obydwóch zaaresztować i dać im po sto kijów!

— W mieście nie wolno chodzić kup- kami po trzech, a nawet po dwóch. Młody p. Sadliński i p. Bohuniewicz szli razem i skarżyli się, że nie mają za co kupić mydła aby wyprać koł- nierzyki. Zaprowadzono ich do Kuźmy i trzymano w zamknięciu tak długo, dopóki rodziny ich nie złożyły po dwieście koron wykupu, co było wów- czas bardzo trudnym zadaniem.

Zaczynają się znów rabunki na ulicach. Staremu Salewiczowi zdarto buty na ulicy i poszedł do domu boso. Pan Szawłowski z Przewłoki jechał

wózkiem do Buczacza. W drodze na-
padli go hajdamacy, kazali mu i
woźnicy zleźć z wózka i wracać
pieszo do domu. Sami siedli na wózek
i przepadli jak pies na jarmarku.
Utworzono kompanję szpiegów. Było
ich ośmnastu. Miałem ich spis ale mi
przepadł. Jeden z nich przystąpił w
kościele do mego syna Józefa i mówi:
„Panie poruczniku, ja jestem z Podza-
mieskie, mamy tam ze sto chłopców,
może pan stanie na ich czele?"
Syn Józef jednak zmiarkował podstęp
i rzekł: „Cóż mnie to obchodzi?"
Prowokator poszedł jak zmyty.
Generałem ukraińskim jest Greków, ale
mu nie wierzą, bo miał się wyrazić,

że gdyby miał tylko sposobność, zaraz by
przeszedł na polską stronę. —
Między starszyzną hajdamacką wielki
ruch. Napchali kieszenie pieniędzmi,
chcieliby uciekać, ale gdzie? Nikt
z nich nie wie. Ideowców między
nimi nie ma ani jednego, a boży-
szczem dla nich jest tylko ich własna
kieszeń.
Znów nowe ogłoszenie:
„Wszyscy ukraińscy oficerowie mają zło-
żyć broń i mogą jechać na wschód. —
Punktualnie o godzinie szóstej wieczorem
nie wolno nikomu wyjść na ulicę."
Gdy tylko jaki Żyd stanie na progu
swego domu, lub sklepu musi pokazać
przepustkę, gdy jej nie ma, to go aresztują.
-/-

Zdaje się, że tu głównie chodzi o to, by
jak najwięcej pieniędzy zebrać.
Bez pozwolenia Komendy wojskowej
nie wolno nikogo na noc przyjąć.
Żydzi i paskarze zaczynają zarabiać
szalone pieniądze. Restaurator Pie-
traszek i Herzlerowa chcą kupić kamienicę
za 100.000 koron. Oficerowie ukraińscy
i hajdamacy mają całe skrzynie prze-
pełnione hrywnami i karbowańcami,
bo im tych papierków nie żałowano,
cóż z tego, jeżeli te papierki nie mają
żadnej wartości i nikt ich brać nie
chce.

30.5.1919:

Dwieście wozów trenowych przyjechało

do Buczacza, a ponieważ nie znaleziono
tu już dla nich miejsca, odesłano te wo-
zy do Sorok. Rano nad miastem po-
kazał się polski aeroplan, leciał bar-
dzo nisko nad miastem i badał okolicę.
Żydzi uśmiechają się i zacierają ręce, bo
im hajdamacy za wiele dokuczyli.
Już nie tylko żołnierze, ale nawet chłop-
cy niedorostki rabują na gościńcu.
Dwaj bracia Marcinkowscy, jeden 18
letni, drugi 14 letni wybrali się pieszo
do Jazłowca. W drodze we wsi Trybu-
chowce napadli ich wiejscy pastuchy i
z obu pozdzierali ubrania i buty. Szczę-
ściem nadszedł jakiś ukraiński żołnierz pa-
stuchów odpędził, a chłopców przyprowa-
dził napowrót do Buczacza. Złoś to

będzie trzeba lat pracy, nim lud ten
przyjdzie do równowagi i wejdzie na
drogę cnoty!
Pojawił się znów afisz:

„Ludy, czyście podurily i powtikały?
Upustyłyście inteligencju, a my wam po-
darowały i podiłyły meży wes zla-
chocku zemlu. Czomu wy powtikały?"
Chłopi tak polscy, jak i rusińscy, czyta-
jąc to, mówią:
„A to hołodrygi, nami ne
majut' kusnoczka zemli, z hołodu by po-
zdychały, jakby nas ne rabuwały i ośta-
tnioj swyni z chliwczyka ne zabyrały,
a czużim majnom skorut'sia dili-
ty, bo i darunki robyty."

31 maja 1919:
Rano pojawił się rozkaz:
„Wzywaje sia wsich żowniriw, szczoby na
własnu ruku ne widważyły sia po domach
rabuwały pid karoju rozstriłania!"
W sam raz taki rozkaz, sami naczelnicy
pokazali jak się rabuje, napchali pod-
ne kieszenie i widzą, że nie ma już co
rabować; Polacy nad karkiem, wyda-
ją humanitarne rozkazy. Co za ~~perfi~~
perfidia!
Pomimo tego „Prykazu" nikt
z Polaków nie odważa się wyjść do
miasta w czapce na głowie, będąc
przekonany, że mu ją zaraz zedrą.
Słychać od zachodu coś jakby z nad
Złotej Lipy dość głośne strzały armatnie.
Znawcy ocenili je najwyżej cztery mile

w prostej linji.

Przez miasto całą noc je-
chały armaty, tabory, wozy, tego widzieć
nie mogłem, bo nikomu nie było wolno
wyjść na ulicę, - lecz silny turkot wozów
było dobrze słychać.

Zato rano, gdym szedł
do Kościoła, jechała przez miasto kawale-
rja na pięknych koniach porabowanych
w dworach w powiecie sokalskim, żółkiewskim,
złoczowskim, jaworowskim i radziechow-
skim.

Było ich do 200 ludzi. Stałem wówczas
na bocznym chodniku, jak zwykle ubrany
w czamarkę, a jeden z nich, patrząc na
mnie mówi: „To także patriota" Lecz żad-
nej krzywdy nikt mi nie zrobił.
Za kawalerją jechało sześć armat.

Nadeszły wiadomości o różnych mor-
derstwach popełnionych w powiecie i tak:
W Jastkowie zamordowano w straszny spo-
sób dwóch braci Piwowarskich, moich
byłych uczniów. Kazano im dla siebie
grób kopać, rozstrzelano i dobito bagne-
tami.

We wsi Torczowa wpadli hajda-
macy na rzym.-kat. probostwo, wywlekli
z łóżka tamtejszego proboszcza księdza
Dziurkiewicza. Był to siedmdziesięcioletni
starzec. Tak nieubranego, tylko w negli-
żu przywiązano go do drzewa i wypuszczo-
no mu bagnetem wnętrzności.
Na Podzamesku, tuż przy gościńcu zamor-
dowano 18 letniego chłopca Józefa Gra-
manskiego i to bez żadnego powodu. Dostał

30. pchnięci bagnetami, a głowę zmiażdż„
żono mu kolbami
W Buczaczu miejski budowniczy Charecki,
tuż obok niego mieszka sąsiad jego Ro„
hatyński, obaj uczciwi Rusini.
Synowie ich pracowali na stacji kolejowej,
gdzie mieli polecone sprzedawać
garnki żelazne. Filko Charecki był to
chłopak powszechnie lubiany, to każdemu
starał się dobrze robić i nie jednemu
pomagał. Na obu chłopców napadł
kapitan Hessel, hajdamaka, ale z rodu
Niemiec, ten obu młodzieńców kazał za„
kłuć bagnetami. Przed śmiercią kazał im
tańczyć i strzelał do nich z browningu.
Starszego brata Mikołaj Chareckiego po„
kłuto bagnetami i chciano go również

dobić; ale prosił się, że ma żonę i dzie„
ci i jakoś go puszczono. (Chorwat
jednak trzy miesiące). Byłem na po„
grzebie tych nieszczęsnych chłopców,
tam dowiedziałem się, że Piwowarskich
ze braci Piwowarskich major Ilrauss,
również Niemiec.
Panią Borzowską, żonę rządcy z [crossed out]„
w Jezierzanach, bez względu na to, iż
miała dziecko przy piersiach pobili
kolbami tak, iż miała sińce na ca„
łym ciele. Córce jej 16 letniej pannie
odebrano 6.000 koron i bito ją do krwi„
[illegible] wił.
Księdza Dominikanina w Potoku
bito tym za to, że miał patriotyczne ka„
zanie pobito bardzo ciężko po nabożeń„
stwie tuż pod kościołem.

Przyszło do mego syna dwóch studentów i mówią: „Moglibyśmy zrobić oddział i ude-„rzyć na hajdamaków z tyłu?"

„Ilu was jest?"

„Do pięćdziesięciu."

„Ile macie karabinów?"

„Pięćdziesiąt."

„Czy dobre?"

„Nie wszystkie"

„Był który z was w wojsku?"

„Nie"

„Ile macie naboi?"

„Tysiąc."

„No, to moi kochani, wytrzymajcie ~~jeszcze~~ jeszcze kilka dni. O napadzie z tyłu niech się wam nie śni, bo tysiąc naboi może-„cie w godzinę wystrzelać i to bez żadnego skutku, bo strzelania trzeba się uczyć. Wybiją was w jednej chwili do nogi, ale tu nie chodzi o was, tu się wasi rodzi-„ce i wasze rodziny, na nich mścić się będą i oni wyginą. Miejcie cierpliwość, a wszystko dobrze się skończy."

Odeszli.

Popołudniu znów przeszło kilkaset ~~[illegible]~~ żołnierzy z piechoty w stronę Czortkowa. Idąc przez miasto, śpiewali, lecz nie rabowali. Szesnastoletni syn księdza z tutejszych okolic, chciał uciec z domu i pójść na wo-„jaczkę, ale matka, rozumna kobieta, obiła go patykiem i rzekła:

„Sydy tycho, ne rypajsia."

i dobrze się stało.

Mleka i mięsa w całym mieście nawet na lekar-„stw dostać nie można.

W budynku Sokoła polskiego znajdowało się 154 Polaków, bo w Jarkowcu już dla nich nie było miejsca, a między nimi był major Rybiński. Siedzieli oni tam pod ścisłym dozorem, ale nie dawano im jeść; nawet z domów przyjaciół nie pozwolono im nic posłać. Bieday omal nie pomarli z głodu.

Przy samym końcu zamianowano atamanem wachmistrza, nazwiskiem Sabat. Ten zbadawszy tak niegodziwy stan rzeczy, a będąc człowiekiem uczciwym, rzekł: „Nie wolno przecież ludzi tak głodem morzyć, nawet zwierzęciu, gdy jest w ~~[illegible]~~ niewoli, trzeba dać jeść." W tej chwili kazał zarżnąć krowę i ugotowano w kotle rosół dla uwięzionych.

Wspominam tu dlatego o tym, że i między napastnikami znajdowali się ludzie uczciwi.

— Zaczęto radzić w komisariacie, co zrobić z Polakami znajdującymi się w mieście w razie dalszego odwrotu. Wiele osób w komisariacie było bardzo przestraszonych i przerażonych tak, że zdrowo myśleć nie mogli. Wielu z nich krzyczało: „Internowaty! internowaty, bo jak toho ne zrobymo, to ony budut' nas internowaty." Ale nowy komisarz Krzyżanowski, człek rozumny, mówi: „Nie mówcie głupstw, jeżeli będziecie cicho, to wam włos z głowy nie spadnie, a jeśli Polakom tu na samym końcu zrobicie krzywdę, to będą mieli święte prawo aby się mścić."

Były jednak głosy opozycyjne, doszło do tego, że Krzyżanowski rzucił książkami o ziemię i krzyknął:
„Albo ja tu rządzę, albo wy?"
„To, co się działo w Komisariacie, to nam natychmiast powiecie Rusini wszystkim mówili."
Wiedząc o tym, mieliśmy w każdym czasie przygotowany w plecakach chleb i bieliznę, aby nam nie zrobiono tak, jak to było w czasie naszego aresztowania do Jastrowca.
Nazajutrz rano, a była to niedziela w czasie Mszy świętej powstał w kościele wielki ruch. Oto najdemony otoczyli kościół dokoła, wyłapywali młodych ludzi i wiedli do gmachu Sokoła. Moim synom, znającym wszystkie drogi i zaułki w mieście, udało się umknąć. Uwięziono bardzo wiele osób.
Nagonka ta narobiła w mieście między Polakami i Rusinami wiele hałasu, a najbardziej oburzony był sam Krzyżanowski, gdyż to się stało wbrew jego woli. – Pomiarkowano więc, że zrobili wielkie głupstwo i po południu puszczono wszystkich napowrót do domu.

1.6.1919:
„Nowy rozkaz."
„Wszyscy obcy mają miasto opuścić w przeciągu 48. godzin."
Jak ten rozkaz rozumieć, nikt nie wie.

Idzie kilku żandarmów drogą i rozmawiają:
„Kto tam się bije na froncie?"
„Kilku głupich inteligentów i nauczycieli."
Zaczęło się śmiać.

„O samitetki to fajni diwczata, do teperka
matysimy z nych potichu, teper kolij na
Polakiw."

„A ja tobi kazu, jak tych
naszych inteligentiw czort wizme, to
nam bude lipsze, bo Polaki nikomu
krywdy ne zrobyly i ne zroblat'"

— Na zachodzie słychać silny
huk armat. W szpitalach nie dają już
rannym jeść i głodują. Służba sanitar-
na uciekła do domu

— Przyszedł Luśków do inżyniera
Ostrowskiego i zaproponował mu, aby
Polacy w Buczaczu utworzyli milicję.
Z tą samą propozycją zgłosił się również
u mego syna Józefa, ale odpowiedziano
mu odmownie, tembardziej że to była

propozycja Luśkowa. Nie ma on już wiary
ani u Polaków, ani u Rusinów, ani u hajda-
maków.

3·6·1919:

O godzinie drugiej po południu
przeszedł przez Buczacz ostatni patrol ~~z~~
hajdamacki.

O godzinie piątej po południu
szli przez Nagórzankę dwaj hajdamacy, ale
prawdziwi bandyci. Widziałem ~~ich~~ ich naocznie,
bo przeszli obok mnie i skierowali swe kroki
do wodnego młyna, stojącego tuż obok cer-
kwi Świętego Mikołaja i tam przed żydówkę
rzucili na ziemię zapalony ręczny granat.
Młynarka nie widziała, co to jest i cieka-
wie się temu pudełku przypatrywała. Naraz
granat wybuchł, wszystkie szyby w pobliskich
domach zadrżały, żydówka pokaleczona

upadła na ziemię, ale po kilku tygo-
dniach wyzdrowiała. Obaj ci bandyci
zbiegli na dół na rynek i zrabowali prze-
chodzącemu żydowi buty. W kilkana-
ście minut później dowiedziałem się, że
Luszków własnoręcznie zastrzelił nieda-
leko Czarnego Mostu dwóch bandytów.
O ile przypuszczam, byli to ci sami,
którzy rzucili na żydówkę tlejący się
granat. Wszyscy hajdamacy uciekli.
Luszków został i objął komendę miasta,
czy miał jakich podkomendnych, tego
nie wiem, zdaje się, że nie miał nikogo.
Dziwny to człek. Czy Luszków miał pra-
wo zastrzelić dwóch hajdamaków, tego
nie wiem. Mówią, że mieli się na niego

porwać z bronią. Tego nie widziałem, zresztą
niech go Bóg sądzi.
Dwóch innych zamordo-
wanych ludzi pochowano tuż przy drodze
niedaleko Czarnego Mostu, a groby ich
można jeszcze dzisiaj widzieć.
Internowani z gmachu Sokoła Polacy
wyszli, bo pilnujący ich żołnierze pucie-
kali. — Naraz ktoś krzyknął:
„Polacy idą!"
Biegnie, kto może, za miasto, lecz nikogo
nie było widać. Noc zapadała, a ostrożniej-
si obawiali się jakiejś zasadzki; co wszystko
było możliwe, poradzili, by wracać do mia-
sta. Głucha cisza zapadła na całym mie-
ście, a jednak nikt nie spał.
4.6.1919: O godzinie siódmej rano wychodzę

z kościoła, idą ulicą Potockiego w górę.
Wtem patrzę, jadą jakieś zwykłe wiejskie fury, a w nich siedzą Polacy z bagnetami. Oczom nie wierzymy, wszak to prawdziwi Polacy. Lica uśmiechnięte i wesołe, oczy śmiałe, postawa dzielna. Witamy ich z entuzjazmem. Mieszkańcy zarzucają ich kwiatami. Tak zajechali na rynek i pozłazili z wozów. Było ich razem 40. żołnierzy, którymi dowodził porucznik Moczek, człek niewielkiego wzrostu, ale nadzwyczajnej odwagi. Czarny, ogorzały, opalony od wiatru, odzież na nim, jak i u wszystkich wyblakła, nie dziwota, wszak to wojna.
Komendę miasta objął najstarszy rangą oficer major Rybiński, niedawny jeniec wojenny. Polacy stanęli we dwóch szeregach na

rynku. Otoczyliśmy ich dokoła. Dziewczęta nasze tak Polki jak i Rusinki przynoszą kiełbasy, szynki, gotowane mięso, chleb, bułki. Panie przynoszą kawę, herbatę. Wszyscy się cieszą i radują, każdy rad, że widzi po tylu zmartwieniach tak upragnionych gości.
W ten tłum wchodzi na rynek Szaszków we wojskowym ubraniu z epoletami pułkownika i ostentacyjnie oddaje Rybińskiemu komendę miasta. Major popatrzył na Szaszkowa, uśmiechnął się i rzekł:
„Nie potrzebuje pan tej komendy mi oddawać, bo ona mi się z prawa należy." Zaraz kazał Szaszkowa wziąć pod straż i odprowadzić go do jego własnego domu. Ciekawa rzecz, coby hajdamacy zrobili, gdyby takiego ptaszka dostali w swe ręce.

Wszystka młodzież burszka i z Podzameczka zbiegła się natychmiast i utworzyła milicję. Myśleliśmy z początku, że porucznik Maczek ze swym oddziałem tworzy pierwszy patrol, pytamy, gdzie reszta wojska.

„Idą, ale jeszcze daleko."

Naokoło stali w wielkiej gromadzie także żydzi, a jakiś żyd zagadał coś do żoł-nierza po rusińsku, a ten jego „cap" za brodę i mówi:

„A ty Kabanie jeden, ty nie wiesz, jak się mówi do polskiego żołnierza? Ej! jak ci zajadę w pidouskę, to ci się niebieszczka babka przywidzi!" Przestraszony żyd zawołał:

„Ja nie znał, ja nic znał!"

Puszczono go, naraz jakiś żyd krzyknął:

„Szildy! Szildy!"

W jednej chwili rzucili się żydzi i nie pyta-jąc, że to były zielone święta mojżeszowego wyznania zaczęli zrzucać z nad sklepów niemieckie żółte z niemieckimi napisami wy-wieszki, a zakładać białe z czerwonymi napisami. Niektórzy mieli już gotowe polskie wywieszki, a było bardzo wiele takich fik-tów, że deskę przeznaczoną na ~~wywies~~ wywieszkę mieli pomalowane z ruskimi napisami, a po drugiej z polskimi.

W przeciągu pół godziny miało całe miasto wygląd polski i zyskaliśmy odrazu 5.000 nowych Polaków, a między nimi adwokata Dr Ausschnitta i stał się cud; Oto wszyscy żydkowie zapomnieli w jednej chwili mowy rusińskiej, a rozmawiali tylko po ~~pols~~ polsku.

Nad milicją objął komendę najstarszy mój syn Józef, któremu z rangi, jako porucznikowi to się należało.
Gdy się tylko ściemniło wyszedł za miasto w stronę lasu trybuchowieckiego, przez który to las prowadzi droga do Czortkowa. Wziął ze sobą dwunastu towarzyszów, którym dano stare niewypróbowane karabiny i po kilkanaście naboi. Gdy weszli do lasu w Trybuchowcach usiedli cicho tuż przy gościńcu w leszczynie rosnącej tuż ponad rowem i czekali. Drugi mój syn Zygmunt pobiegł za nim zupełnie bez broni na wywiady i wszedł do lasu z drugiej strony gościńca. Naraz słyszy na gościńcu głośne rozmowy i okrzyki.
„Co u licha” myśli sobie „brat mój stary żołnierz, a pozwala na takie rozmowy, jakiś on patrol prowadzi” i krzyknął:
„Józek!”
„Czoho tam?” odezwał się głos z gościńca. Poznał po głosie, że to hajdamacy, którzy stanęli w liczbie 150. ludzi na gościńcu tuż nad Serpentyną, oddaleni zaledwie o 10. kroków od polskiego patrolu ukrytego w leszczynie. Dwaj studenci Adam Wagner i Jaś Kakanowski, którzy razem z nim leżeli na ziemi głowami do strzału zapytali Józefa:
„Panie poruczniku, czy strzelać?”
Nakazał im milczenie.
Tymczasem jeden z hajdamaków wyszedł z lasu ku miastu i stanął tuż nad

powiatowym szpitalem znajdującym się u podnóża góry. Po jakimś czasie wrócił i mówi:

„Ne musyt' buty kupa Polakiw w misti, bo nawet patroli ne wystały."

„Ne howory durnyci, czy ne czujesz, jak lis howoryt'?" mówi inny. Wszyscy ze strachem popatrzyli po obu stronach gościńca do lasu i wyszli w największej ciszy zawróciwszy na drogę do Dziurzyna.

Tymczasem w mieście stał się wielki popłoch. Ktoś tych hajdamaków widział i dał znać do miasta, że polska placówka dostała się do niewoli. Całą noc wszyscy w mieście nie spali, ale nad ranem wszyscy chłopcy wrócili bez

straty do ~~domu~~ miasta.

Komendę wojskową objął major Józef Potocki, zastępcami jego byli Józef Sieniński i Gotwald. — I tak ci, którzy niedawno byli internowani i konfinowani dziś rządzą miastem i w ich rękach jest życie i śmierć pojmanych hajdamaków. Po domach podejrzanych robiono rewizje i znaleziono u profesora Wynarza, mieszkaniu Leszczyńskiego i u młynarza Füttenbauma strzelby. Żołnierze przyprowadzili ich pod bagnetami do Józefa. Wszyscy trzej wiedzieli dobrze czym to pachnie, ale znaliśmy ich jako ludzi spokojnych i dobrych, szczególnie Wynarza trzeba było ratować, toż to profesor mych synów. Zatrzymano ich z godzinę

w kancelarji, a po spisaniu protokołu puszczono do domu.
Porucznik Maszek pojechał na wozach aż do Dziurynu. Tu przyszło do potyczki. Tu zdobył on cztery armaty, lecz miał za mało ludzi, aby je zabrać, odcięto więc konie i przyprowadzono do Buczacza. Jednakże czterech ludzi z kompanji Maszka było rannych, a między nimi jeden oficer. Jednego rannego musiano zostawić; bo hajdamacy naciskali wielką siłą. Żołnierze rusińscy zanieśli polskiego żołnierza do przydrożnej chaty, lecz przyszedł jakiś prawdziwy hajdamaka i chciał go zastrzelić, ale inni żołnierze nie dopuścili do tej zbrodni. Inny przyszedł jakiś

wachmistrz, ten również odgrażał się, ale żołnierze wyrzucili go z chaty, mówiąc: „Polaki ne dobywajut' ranenych, tylko ich ratujut'".
Nazajutrz Polacy poszli znowu do Dziurynu i owego rannego żołnierza przywieźli do Buczacza.
W Jazłowcu było wówczas uwięzionych do 200. osób. Żołnierze, którzy tych internowanych pilnowali, bardzo się przestraszyli, iż Polacy są już w Dziurynie. Wszyscy ci żołnierze, którzy tych internowanych pilnowali, pochodzili z tych okolic, niektórzy nawet z pod Jazłowca, a jeśli hajdamakom służyli, to tylko dlatego iż nie potrzebowali iść na front, a podrugie mieli co jeść. W klasztorze było

jeszcze nieco prowiantów, przywozili jeszcze
mieszkańcy z pobliskich wsi, co który
mógł. Internowani i zakonnice z tego
bardzo mało dostawali, gdyż żołnierze
w pierwszym rzędzie pamiętali o sobie.

— Jakoś jeszcze w czasie świąt wielka-
nocnych przyjechało do Jartowca automo-
bilem kilka pań ze Lwowa, dostały one
pozwolenie od władz hajdamackich
zwiedzenia Jartowca i innych miejsc,
gdzie byli internowani. Przywiozły ze sobą
ubrania i buty dla tych, którzy najbar-
dziej tego potrzebowali. Paniom tym
towarzyszył umyślnie do tego delegowany
oficer, a to dlatego, że mogły być przez
różne grasujące bandy napadnięte i
obrabowane. Między tymi paniami

były znane z patriotyzmu panny Ma-
ria Dulębianka i Teodozja Dzie-
duszycka. Niestety Dulębianka naba-
wiła się w Kosaczowie tyfusu pla-
mistego i umarła z wielkim żalem
wszystkich Polaków.

Po odjeździe tych pań odebrali zaraz in-
ternowanym te podarunki i tak jak
byli przedtym internowani gołymi i
bosymi, tak i teraz zostali.

— Obecnie żołnierze w Jartowcu do-
wiedziawszy się, że Polacy są już w
Dzurynie, obawiali się, by ich nie
napadnięto w samym klasztorze,
zgromadzili więc wszystkich więź-
niów na podwórzu klasztornym i
kazali im natychmiast z klasztoru

więksi, mówiąc do nich:
„My będziemy za wami strzelali, ale
nie bójcie się, będziemy strzelali
w bok lub w górę i nic wam nie
będzie."
Tak się stało.
Stanęli wszyscy w szeregach, były tam
także i kobiety, tak uroczyście przybyli
do Brzeżan. Żołnierze strzelali za nimi,
ale kule szły w bok, lub w górę
do lasu, a w końcu porzucali wszystką
broń i poucikali do swoich domów.
Więźniowie zaś siedli do pociągu i
wrócili do swoich domów. Młodzi
wstąpili natychmiast do wojska pol-
skiego.
— Jak wspominałem na początku moich

pamiętników, że wsie Podzameczek i Podlesie
w r. 1914 nie dały ani jednego legionisty.
W ogóle mieszkańcy tych wsi, choć są sami
Polacy okazały do tych czas jak najmniej
patriotyzmu. Nie wchodzę w to, czyja to
była wina, gdyż Towarzystwo Szkoły Lu-
dowej otaczało te wsie szczególną opieką
a młodzież gimnazjalna, Sokół i „Zarze"
nie dawały tam liczne amatorskie przed-
stawienia, jednak gdy do czynu, młodzież
tych wsi zawiodła.
Dopiero teraz, gdy im
już biedę dokuczyła, gdy poznali swój błąd,
od razu pierwszego dnia stanęło z wsi-
go Podzameczka 40. chłopców jak dęby,
z Podlesia również chłopcy się zgłaszali
i codzień napływał świeży i zdrowy kontyngent.

Z innych wsi wówczas nawet Rusini na-
pływali do wojska polskiego, bo dość
już im było tej hajdamaczyzny i ich
gospodarki.

Wojna jednak nie była skoń-
czona. Hajdamacy doskonale wiedzieli
jak słabe siły polskie znajdują się w
Buczaczu, a mieli przecież jak wówczas
mówiono, do 30.000 wojska. Wojsko to
było wprawdzie zniechęcone i na nim
polegać nie było można. Liczbę jednak
było.

Był tu nauczyciel Antoni Dębicki,
pochodzący z rodziny polskiej i ożeniony z Polką
panną Zajączówną. Ponieważ był on obrządku
grecko-katolickiego, przeto zmuszono go, by
pisał w komendzie wojskowej. Profesor
Wynar, mając dobrą strzelbę, należał do To-

warzystwa Twieckiego. Wziął on raz Dę-
bickiego na polowanie, ale ten ze
strzelbą nie umiał się obchodzić, siada-
jąc do sani, nie wyciągnął naboju.
Przy wyciąganiu strzelby z sani, zaczepił
o kurek, strzelba wypaliła, a cały na-
bój uderzył go w lewą rękę tak, że mu-
siano mu ją amputować. Leżał trzy
miesiące w lazarecie, a gdy wyzdrowiał,
wzięto go znów do kancelarji wojskowej
jako taki był wtajemniczony do wie-
lu spraw wojskowych.

W czasie gdy
Polacy weszli do Buczacza, przystąpił
on do mego syna Józefa, jako komen-
danta miasta i mówi:

„Ja wprawdzie nie jestem wojskowy

i zostałem w Buczaczu, bez mówię panu, miejsc się na ostrożności. Tu po lasach i po wsiach jest wiele ukrytego wojska, mają nawet i armaty, a Polaków tak mało, że w razie ofensywy, która w tych dniach nastąpi nie dadzą im rady."

Ósmego czerwca r. 1919 był targ na rynku i na targowicy. Zjechało się wiele mieszkańców z pobliskich wsi. Naraz około godziny 10. rano z pod lasu w Łysomierzu zaczęły grać armaty, a było ich dwie. Kule szły najpierw na Trybuchowce, tam jedna kula uderzyła w duży dom, gdzie ukrywały się kobiety i dzieci. Granat pękł i zabił czternaścioro osób. Potem skierowano

armaty na Buczacz. Byłem właśnie wówczas na ruinach zamku buczackiego, a kule leciały nam tuż nad naszymi głowami i to dosyć nisko, padały jednak dalej, za miastem, bez żadnych szkód nie uczyniły. Jedna z tych kul padła na nasyp kolejowy, a inna wpadła przez otwarte okno do domu egzekutora Mazura. Wpadła ona między poduszki i pierzyny, tam została i nawet nie wybuchła.

Dano wówczas 25. strzałów.

Ludzie z rynku zaczęli uciekać, żydzi sklepy na gwałt pozamykali, a w mieście powstał niepotrzebny popłoch. Strzelanie to nie miało najmniejszego sensu, było zupełnie bezcelowe, a nawet dla napastników wielce szkodliwe,

bo zdradzały pozycję, a mówiono nawet,
że straty te były umyślne, aby dać Pola-
kom znać, skąd im niebezpieczeństwo za-
graża. Straty te były powodem, iż natych-
miast przysłano pomoc z Monasterzysk.
Przyszło tysiąc piechoty, ułani i kilka armat.
Prowadził je major Heinzl. Wojsko
szło spiesznym marszem, było nader we-
soło, a major Heinzl był najlepszej
myśli i nadziei. Już wówczas byliby
Polacy położyli koniec całej tej ruchawce
i byłby koniec. Tymczasem nadszedł rozkaz
z góry, nie wiem z jakiego powodu by atak
wstrzymać, bo kazano nawet wojsku
polskiemu cofnąć się poza Złotą Lipę.

Rozkaz ten był dla zwycięskich żołnierzy
bardzo nieprzyjemny, ale żołnierzowi nie
wolno filozofować, on musi słuchać.
Zaczęto więc przygotowywać się do odwrotu.
Od północy byli Polacy już w Czortkowie
i szli zwycięsko naprzód. Do nich również
przyszedł rozkaz wstrzymania wojennych
operacyj i ~~kaz~~ kazano się im także
cofać.
Między żołnierzami polskimi w Czortko-
wie był pewien sierżant, który dowodzi
maszynowymi karabinami. Nazywał się Urban.
Ojciec jego był skarbowym komisarzem w
Czortkowie. Młody Urban odwiedził ro-
dziców, bo cóżby to był za syn, któryby
nie korzystał ze sposobności, aby po la-
tach niewidzenia się nie zobaczył i nie
uścisnął starego ojca i matkę.

Po odejściu Polaków z Czortkowa pewna żydówka Fiszlerówna dała znać władzom hajdamackim, że młody Urban odwiedził ojca. Hajdamacy wywlekli starego Urbana na podwórze i kazano mu kopać grób. Daremnie stara Urbanowa prosiła hajdamaków o zmiłowanie, mówiąc, że stary Urban do niczego się nie mieszał. Nic nie pomogło. Rozstrzelano go w obecności żony na podwórzu, a ponieważ jeszcze żył, dobito go kolbami.

Do tego prowadzi rozbestwienie.

„Straszny jest tygrys, kiedy się wścieka,
Lecz okrutniejsze szaleństwo człowieka"
(Goethe)

Równocześnie z odwrotem Polaków szła w ślad za nimi armia hajdamaków.

Jakiś uczciwy wachmistrz Rusin wpadł do mnie i mówi:

„Inżynier Ostrowski, ksiądz Wrucha i dyrektor Siewiński niech w tej chwili uciekają."

Kto nas kazał ostrzec, tego się nie dowiedziałem, może profesor Wynar, może Bociurko, w rodzinie o tym mówiono, dość że to był jeden ze starszyzny.

Nie namyślając się wiele, ubraliśmy się, wzięli ze sobą najniezbędniejsze rzeczy i ruszyli pieszo do Monasterzysk, a potem dalej do Korościatyna. Stąd siedliśmy do nadchodzącego pociągu towarowego i zajechali do Stanisławowa.

W godzinę później nadszedł syn Józef, ale pieszo, bo Zygmunt pojechał wprost do

Warszawy. Oprócz nas było tam do 200 osób z różnych stron, którzy nauczeni doświadczeniem, nie mieli ochoty oczekiwać hajdamaków.

Wszyscy byli głodni jak wilki, ale mieszkańcy miasta Stanisławowa nie ustępują w gościnności mieszkańcom miasta Buczacza. Panie z inteligencji stanisławowskiej nagotowały kilka kotłów rosołu, fasoli i wło-[illegible] wydawały te potrawy uciekinierom. Na stacji w Stanisławowie widzieliśmy 30. armat, które Polacy hajdamakom odebrali.

W Haliczu czekaliśmy dwa dni, bo naprawiano most na Dniestrze.

Razem z nami – o cudo! – uciekał także były ataman Wiktor Lusków, który się pierwszy opamiętał. Wiózł on ze sobą żonę i dzieci. Przystąpił do mnie na stacji w Haliczu i mówi:

„Panie dyrektorze, przyznaję, że pana skrzywdziłem, bo miałem taki rozkaz z Czortkowa, aby pana mieć najbardziej na oku. Niech mi pan wybaczy."

Cóż miałem na to mówić, podałem mu rękę i przebaczyłem. Żartowano potem sobie ze mnie, bo ja byłem zadowolony, gdyż wiem, że każdy Polak będący na moim miejscu to samo by uczynił.

(We dwa lata później wezwał mnie sąd w Buczaczu do przesłuchania w sprawie Luskowa, powiedziałem wręcz, iż mnie przepro-

sił. Sędzia pan Biller zawezwał mnie jednak, że muszę opowiedzieć dokładnie, jaką szkodę mi wówczas zrobił. Opowiedziałem, co w tym pamiętniku tu umieściłem. Zapytał mnie, czy żądam kary dla niego. Odpowiedziałem przecząco.

„W takim razie" mówi sędzia, „za zane-kwirowane rzeczy musi się pan udać na drogę cywilną."

„Ej nie! niech go Bóg sądzi, on był wówczas w stanie szaleństwa i sam nie wiedział, co robi."

„To pan szlachetnie postępuje" rzekł sędzia.

Laskowie był potem inżynierem w Ostrowcu nad Stawku i tam pracował bardzo intensywnie wśród tamtejszej Polonji. Jednakże w roku 1931

czytałem w Ilustrowanym Kurierze Codziennym, że Laskowie z nieznajomych przyczyn rzucił się pod koła pociągu i zginął na miejscu.

Tak zajechaliśmy do Lwowa. Synowie zgłosili się do wojska, gdzie dano im dawne rangi oficerskie.

W dawnych czasach pod względem patriotycznym miały przym miasta Warszawa, Poznań, Kraków, Wilno i dziś zastęp mieszkańców tych miast nikt nie zaprzeczy, dość wspomnieć czasy Kościuszki, rok 1830, 1863, 1848, lecz Lwów nigdy nie zostawał w tyle. Ileż to razy odpierał on napady hord pogańskich w wieku XVI i XVII. i tak jak Polskę nazywano Przedmurzem Chrześcijaństwa, tak Lwów można nazwać

Przedmurzem Polski
W latach jednak 1918 i 1920 stanął
Lwów na czele rycerstwa polskiego i o
mieszkańcach tego walecznego grodu śmiało
powiedzieć można:
„Jak ginąć za Ojczyznę, odemnie się ucz!"
W tym lwowskim oddziale byli także moi
uczniowie z Buczacza, a trzech z nich
oddało życie za Lwów i za Polskę. Salewicz
i Czeszowski zginęli w okolicy Lwowa, a
Tadeuszowi Wiśniowskiemu po bohaterskiej
obronie lwowskich dzieci pod Zadwórzem
jakiś bolszewik ściął głowę.
Cześć ich pamięci!
Cześć także walecznym Poznańczykom i
Hallerczykom i ich dowódcom, którzy
nie żałowali swej krwi i życia na

obronę tego bohaterskiego miasta i wscho-
dnich granic Polski.
Lwowianie odznaczyli się wówczas nie
tylko jako bohaterowie, o których
nawet w następnych wiekach pisać
będą, ale Lwów słynny z gościnności
w czym zachodnie miasta, które
nie zaznały takiej biedy, nigdy mie-
rzyć się nie mogą. Na zachodzie sły-
szałem narzekania: „Ach, te uciekinie-
ry, przez nich taką drożyznę mamy!"
Lwowianin takich słów nigdyby nie
wypowiedział, zato mówi:
„Gość w dom, Bóg w dom"
Nas przyjął na mieszkanie gimnazjal-
ny profesor Polka i nie przyjął żadnego

wynagrodzenia, chociaż sam nie opły-
wał w dostatki.
Lwowianie potworzyli komitety, które się
zajęły wychodźcami. Niektórzy wy-
chodźcy mieszkali w prywatnych po-
mieszkaniach, inni w budynkach
szkolnych, a inni w kolejowych wa-
gonach. Było tego ludu kilka tysięcy
Z zagrożonych wsi przybyli mieszkańcy
nawet z całym swoim dobytkiem
na wozach, pędzili krowy, aby im nie
porabowano. Były tu bowiem w czasie
tej długoletniej wojny różne narody ze
wszystkich stron świata. Trudno, aby
głodny żołnierz był aniołem, szukał
więc pożywienia, bo żaden z nich bez

pozwolenia swej władzy nikomu rozmyśl-
nie szkody nie zrobił, jeżeli zaś coś wziął
do jedzenia, lub przebrał się w znalezio-
ną, lub podarowaną koszulę nie można
mu tego wziąć za złe.
Lecz wojsko hajdamaków składało się po
większej części z samych bezkarnych band,
nieodpowiedzialnych przed nikim, którzy
mordowali bezkarnie nie tylko Po-
laków, ale i Rusinów, czego najlep-
szym dowodem jest zamordowanie
w Borszczu Chareckiego i Rohatyńskie-
go, a nikt morderców nie miał odwa-
gi do odpowiedzialności pociągnąć
We Lwowie nie ma urodzajnych pól tylko
same kamienisto brukowane drogi i place,
wszystką żywność muszą kupować za

drogie pieniądze, a przecież chociaż sami mało mieli, dzielili się z uchodź-cami. Wiele osób nie miało się w co przebrać, bo każdy uchodził w tym, co miał na sobie, dlatego Lwowianie zrobili zbiórkę po mieście, i biedni uchodźcy mieli nie tylko dla siebie, ale przede wszystkim dla dzieci z któ-rymi przyjechali

W ten sposób postępowano prawie we wszystkich miastach Wschodniej Mało-polski, bo tylko ten można poznać bie-dę bliźniego, kto jej sam zaznał, zaś „Syty głodnemu nie wierzy."



Jakoż w miesiąc później nadeszła wia-domość, iż pod Jazłowcem poddali się wszyscy ci, którymi hajdamacy przewodzi-li i rozeszli się do domów

Bunt ustał, lud zaś najspokojniej wró-cił do pracy, a szczególnie lud wiejski, któremu nawet nie śniło się o jakiejś zachodniej Ukrainie, którą wymyślili Austriacy, jedynie na to, aby poburzyć na siebie lud polski i ruski, dzieci tej samej Matki Polski, a sami chcieli cudzymi rękami wyciągać z ognia go-rące kasztany.

Były różne nadużycia, to prawda, lecz czy lud ten naprawdę zawinił?

„Nie."

Może zawinili ich prowadyrowie,
wszyscy księża i inni zbałamuceni
ludzie?
„I to nie"
Dom Habsburgów i ich zwolennicy już od
czasów pierwszego rozbioru Polski sę-
czyli jad nienawiści, aby społeczeń-
stwo polskie poróżnić. Ustanowiono
mandatariuszów, aby poróżnić dwory
z ludem wieśniaczym. Pobudzili
krewki lud mazurski w roku 1846
do straszliwej rzezi, tak zwanych pa-
nów. Chcieli Austriacy podobną rzeź
wzniecić i we Wschodniej Małopolsce, lecz
mężny i rozważny lud ruski nie
dał się do zbrodni namówić.
Zaczęła się więc po ówczas zjadliwa,

systematyczna, tajemna, lecz ciągła praca,
aby lud ruski, który jest krwią z krwi
naszej, kością z kości naszej zdeprawo-
wać, co im się wreszcie po większej części
udało.
Upamiętanie jednak przyszło
nadeszła znów miłość i zgoda we wspólnym
narodzie, a potomkowie nasi wstydzić się
będą, że ojcowie ich dali się tak przez najstraszli-
wszych wrogów naszych, jakimi są austriaccy i pruscy
Niemcy zbałamucić. O naszym zaś ludzie rusi-
skim, nie wyłączając nawet tych, którzy w
tych zamieszkach główną grali rolę, możemy z
poetą powiedzieć: „Ależ o Panie, oni niewinni,
Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz, Inni szatani
byli tam czynni, O rękę karz nie ślepy miecz."
Śpiewaliśmy tę pieśń przeszło 50 lat po kościołach

i w zaciszu domowym, pewni, że Bóg i wszystkiego nieba nas wysłucha. Dziś widzimy, że na ufności w Bogu nie zawiedliśmy się. Austria, ten wróg nasz ciężki i podstępny leży w prochu, a historja kiedyś powie o tym państwie, jako o sztucznym zlepku z różnorakiej gliny, który się chciał trzymać kupy. — Była prusko-niemiecka upokorzona, a carat padł pod ciosem nowej idei, która tam daleko na wschodzie powstała, a jednak jeśli ona nie jest oparta na miłości Boga i bliźniego, również prędzej, czy później paść musi.

My zaś dążymy do tego, jak to ruski poeta Platon Kostecki powiedział:

„W Imię Ojca, Ducha i Syna
To nasza motytwa;
Jak Trojca Jedyna
Polszcza, Ruś i Łytwo."

O Bolszewikach.

Czy kto przed wszechświatową wojną słyszał kiedy taką nazwę? Powstała ona w czasie wojny wszechświatowej. Rząd rosyjski uciemiężał swój własny naród, dlatego też były w Rosji ciągłe niepokoje, a każdy car ginął śmiercią nienaturalną. Naród rosyjski jest bardzo cierpliwy, jednakże każda cierpliwość ma swe granice, a ostatnia przegrana wojna, gdzie wyginęły całe armie rosyjskie i przyprowadziła Rosję do upadku, miała te skutki, że naród powiedział: „Dość już tego."
Ponieważ niższa część narodu rosyjskiego była dotychczas w ucisku, a teraz zrzuciła swych ciemiężycieli, przeto nazwali

się bolszewikami, czyli większością. Bolsze-
wicy obalili carat i ogłosili nowe prawa,
ponieważ jednak każda ustawa, każde
prawo nagle uchwalone nigdy nie jest
dobre, przeto bolszewicy robią straszliwe
błędy. Nastały u nich nowe mordy i ze-
branki i doszło do tego że czasy Iwana
Groźnego i Piotra Wielkiego były o wiele
łagodniejsze niżeli czasy bolszewickie.
Wyrzucono religię, która jest głównym
motorem każdego państwa, otumaniono
naród równością, która nigdy w żadnym
społeczeństwie nie da się utrzymać.
— Otóż z tymi bolszewikami mieliśmy
wojnę i to wówczas, gdy Polska po
długiej niewoli i uciemiężeniu zaledwie
powstała.

O przyczynach i przebiegu tej wojny pisać nie
będę, gdyż jako nauczyciel mogę tylko
mówić o młodzieży, która mi powierzona.

Po uspokojeniu kraju, po wewnętrznej domo-
wej wojnie wróciłem do Buczacza na dawne
moje stanowisko. Budynek szkolny nad
Strypą był zupełnie zniszczony, bez okien
i podłóg, ławek i wszelkich sprzętów
szkolnych. W budynku szkolnym na Baszo-
wcach, również zniszczonym znajdował
się szpital wojskowy. Po prymitywnym
naprawieniu budynku szkolnego zwołałem
uczniów i otworzyłem klasy siedem. Dziwna
to była młodzież. W pierwszej klasie byli
chłopcy od lat siedmiu do trzynastu. W wszystkich
klasach była również znaczna różnica wieku

uczniów. Nie trzeba być nawet nauczy-
cielem, ażeby zrozumieć, jak ciężką pracę
ma nauczyciel w utrzymaniu w takiej
szkole. Znaczna młodzież ta wychowana
w czasie wojny, niedaleko pozycji nie-
przyjacielskich, patrząca bezustannie od
zarania swego życia na ciągłe prze-
chody różnych wojsk, mająca przed oczy-
ma wszystkie rabunki i kradzieże, które
bezkarnie uchodziły, nie mogła być mo-
ralną. W klasach prawie codziennie
zdarzały się kradzieże, a mali złodzieje
byli tak wyrafinowani, że trudno ich było
uchwycić na gorącym uczynku. Potrafili
nawet szybę z okna szkolnego wyjąć i
zanieść do domu, gdzie niczym sprawca

otrzymał od rodziców pochwałę. ~~Sła~~ Ślusarz
do zamków podorabiał klucze. Nie mi-
nęło kwadransa po odejściu ślusarza,
a już wszystkie klucze skradziono.
W takich warunkach uczyliśmy prawie do po-
łowy miesiąca czerwca r. 1920. gdy

Tymczasem

od wschodu przychodziły hiobowe wieści:

„Nasza armia cofa się.”

„W Kijowie są już bolszewicy, nasi cofnęli się
aż Proskirowa.”

Przyszedł rozkaz, by urzędnicy i nauczycie-
le wyjeżdżali na zachód, a zatem już
po raz trzeci uchodzić muszę i znów
co najniezbędniejsze rzeczy muszę za-

stawić wrogom na pastwę.
Od kilkunastu dni słychać huk armat od wschodu, a zatem bitwę, strzały coraz głośniejsze i wyraźniejsze, a zatem dowód, że nieprzyjaciel zbliża się, nie ma co czekać. Siadamy na kolej i wio do Przemyśla.

Przemyśl.

Zaledwie przyjechałem do Przemyśla, zaproponowano mi, bym jako nauczyciel wyjątkowo uczył naszych żołnierzyków historji polskiej, geografji, miłości Ojczyzny i poszanowania praw. Zgodziłem się natychmiast i to bezinteresownie, bo przecież swoją płacę nauczycielską pobierałem. Chwała Bogu zdrowie jeszcze mam, a pomimo moich

63 lat (1920) głos mam potężny i mogę przemawiać chwilę do półtysiąca żołnierzy, bo i zniżyć się do poziomu ich wykształcenia umysłowego.

Zaraz więc 15/6·1920 wystąpiłem z pierwszą lekcją. Było w dużej sali do 200 słuchaczy. Byli tam żołnierze nieumiejący czytać ani pisać, byli z ukończoną szkołą ludową, niektórzy mieli kilka klas gimnazjalnych, a byli nawet po maturze. Tutaj jednak chodziło głównie o niepiśmiennych, lub o żołnierzy z niższem wykształceniem.

Będąc niskiego wzrostu, stawałem za stołem na krześle, bo chciałem mieć wszystkich moich uczniów na oku. Potęga nauczyciela polega nie tylko na jego fachowym wy-

~~kr~~ kształcenia, ale także w jego oczach. Wszak nawet pogromiciele dzikich zwierząt całą swą potęgę nad zwierzętami zawdzięczają tylko łagodności i potędze wzroku.

Nie mam jednak wdzięczniejszego materiału do nauki jak żołnierze. Uważa- się na każde słowo, na każdy zwrot mowy i nigdy nie miałem uważniejszych uczniów jak wówczas

Całą historię Polski objąłem w formę powieści, posługując się popularnymi dziełami, a szczególnie znakomitym dziełem Lucjana Siemieńskiego: „Wieczory pod lipą." Czasem jednak dla wykształceńszych żołnierzy odczytałem opowiadania z dzieł Karola Szajnochy

i Lucjana Tatomira. Dzieła ściśle naukowe do wykładów i pogadanek żołnierskich zupełnie się nie nadają. Można jednak oprócz dzieł historycznych posługiwać się także pięknymi opowiadaniami z dzieł Henryka Sienkiewicza, Żeromskiego, Reymonta. Opowiadanie można przeplatać piękną deklamacją, byle niedługą. Pamiętam, jakie to wrażenie zrobiło na żołnierzach, gdym w opowiadaniu o nowym Kilińskim ~~zadekla~~ wydeklamował ~~em~~:

„Więc od świtu w Wielki Czwartek
Rozpoczęli w Imię Boże,
Od szlachcica wnet Bartek,
Pozostrzywszy polskie noże.
Rżnąć Moskali niby dzików
I moskiewskich postronników."

Czego szewcy nie zdołają,
Krawcy między sobą skrają,
Czego kowal nie dokuje,
To im stolarz dosztuje.
A lud dzielny idzie przodem,
Więc i wszystko za narodem
Po ulicach i po rynkach
Nasi Markała po tem linkach,
Szukała byka za indyka.

W opowiadaniach tych chodzi głównie o to, aby żołnierza ująć za serce i dowieść mu, że on w rycerskości praojcom swym w niczym nie ustępuje, a nawet czę-sto go przewyższa.

Dawniejszy rycerz, idąc na wojnę, przy-wdziewał przed bitwą stalową zbroję, która go chroniła od ran, dzisiejszy żoł-nierz tego uczynić nie może, bo kula prze-bije najtwardszy pancerz, idzie więc do bitwy bez żadnej ochrony, chyba z ło-patką służącą do kopania rowów. Życie dawniejszego rycerza było bardzo ciężkie, w lecie żelazna zbroja wpie-kała się do niemożliwości, a w zimie mrozem dotkliwie przejmowała. —

Życie to było i twarde i surowe
A głośne jak bitew fanfary.
Do Świętej szli Ziemi po śmierć lub po sławę
Pod Krzyża białego sztandary.

Dziś życie żołnierza w czasie wojny jest również ciężkie i nasi żołnierze niejeden ca-łymi miesiącami w zimie wśród najtęż-szych mrozów i zasp śnieżnych,

w jesieni i na wiosnę nieraz wśród topieli
i błota, wśród gradu kul karabinowych
i armatnich siedzieć w okopach, czego dawni
wojerze nie znali. — Tu przedstawiłem
matkę Żółkiewskich, która przyprowadziła
synów do grobu hetmana Żółkiewskiego
i kazała im odczytać napis na marmuro-
wej tablicy: „Jak ginąć za Ojczyznę
~~od~~ odemnie się ucz."
Przez takie opowiadania pragnąłem się
podnieść żołnierza i nieraz widziałem
na ich twarzach niezwykły zapał i
ochotę do walki bez względu na to, czy im
ta walka przyniesie dla miłej Ojczyzny
śmierć chwalebną lub zwycięstwo.
Co tygodnia coraz nowe oddziały szły
na front, lecz nie tak jak ongiś

widziałem przerażonych Moskali, pędzo-
nych przez oficerów, to polscy żołnierze
wiedzieli, za co się biją, szli ze śpiewem,
ochotą i z okrzykiem: „Na bolszewików,"
a z oczu tryskał im zapał i zaciętość.
— A jednak w tym czasie odbywały
się zacięte bitwy na wschodzie. Nasi
cofali się z nad Berezyny ku Warsza-
wie i linii Bugu.
Raz w czasie pogadanki spytali mnie
żołnierze, dlaczego nasi się cofają. Na to
im odrzekłem:
„Lew, gdy chce bawołu odrazu powalić
na ziemię, zawsze się cofa, aby nabrać
sił i impetu do skoku. Tak było w
bitwie pod Kircholmem za czasów kró-
la Zygmunta III. Wazy. Hetman polski

Karol Chodkiewicz miał tylko 3.600 jazdy, podczas gdy król szwedzki Karol Sudermański miał 17.000 najwaleczniejszych żołnierzy i stał z nimi na pagórku. Karol Chodkiewicz, widząc taką potęgę, umyślił zwabić Szwedów na dolinę. W tym celu ściągnął swoje wojsko tak, że zdaleka wyglądało, jakby tylko było 2.000 wojska i zaraz zaczął się cofać. Król Karol Sudermański, spostrzegłszy to, zawołał: „A co, nie mówiłem, że Polaczki będą uciekać?"
I zeszedł z wojskiem z pagórka na dolinę. Tego tylko czekał Chodkiewicz. Zatrzymał się, uformował swoją jazdę i wrzasnął do swych rycerzy: „Hej chłopcy! dalej naprzód, robota będzie dziś, bo Szwedów moc wielka!"

„Policzymy ich, gdy ich położymy!" krzyknął wesoło jeden z rycerzy.
Uderzyli jak grom. Rycerze schylili nisko kopie, na których trzepotały biało-czerwone chorągiewki, a całe szeregi szwedzkie waliły się pokotem na ziemię, nareszcie zaczęli uciekać, a król Karol zrozpaczony biegał pomiędzy Szwedami i wołał po łacinie: „Sum, sum, sum" to znaczy po polsku: „Jestem, jestem, jestem." W końcu widząc, że jego sumkanie nic nie pomaga, wziął sam w nogi, mój drogi, a za nim pędziła jazda polska. Wtem koń królewski uderzony kulą, padł na ziemię. Zobaczył to jeden żołnierz szwedzki, zeskoczył ~~[illegible]~~ czym prędzej ze swego konia i podał go królowi, wprawdzie sam

zginął, bez uratował króla.

„A co myślicie o tym żołnierzu?" pytam.

„Był to morowy chłop" mówią żołnierze.

„Tak, bo i w nieprzyjaciela uderzyć i poświęcenie dla swych przełożonych bez względu na to czy to byłby król, czy oficer, czy podoficer, czy starszy żołnierz czy kolega szanować i ratować w niebezpieczeństwie należy.

~

Wówczas w czasie wojny w Przemyślu była ciągła strzelanina, nie było kwadransu, żeby ktoś na wiwat nie wystrzelił. Daremnie pułkownik i oficerowie zakazywali niepotrzebnej strzelaniny, a trudno było karać, bo toby nie wiele pomogło. Był to już siódmy rok wojny, żołnierz był przemęczony i zakradała się

bezkarność. Były nawet wylepione afisze, aby zaprzestano tej strzelaniny, ale mało kto słuchał.

Prosił mnie ś. p. pułkownik Szlak, bym w czasie lekcji odczytał żołnierzom ten rozkaz i pouczył ich, że nabojów daremnie psuć nie można.

Słuchaczów miał wówczas do 400. osób, za oknem stali oficerowie i pułkownik o czym nie wiedziałem.

Aby wypełnić to polecenie, wziąłem się do tego w następujący sposób:

Na ścianach wojskowej uczelni były wywieszone obrazy służące do nauki poglądowej. Był tam obraz przedstawiający rasy ludzi, a między nimi był portret czerwono-skórego amerykańskiego

Indianina. Obraz wziąłem do ręki i po-
kazałem jak to Indianie wycinają właś-
ne twarzy i na ciele różne symetryczne
wzory i znaki; opowiedziałem o skalpach,
o wojennych indyjskich podstępach, o
przebieraniu się w skórę dzikich zwie-
rząt i t.p. Gdym spostrzegł zaintereso-
wanie się żołnierzy, opowiedziałem im
następujące prawdziwe zdarzenie:
Przed stoma laty prowadzili Francuzi z
Anglikami wojnę i to nie tylko w Europie,
ale i w Ameryce. Wojskom angielskim
pomagali Huroni, bardzo dzikie, odważne
i zacięte plemię. Francuzi stali obozem
w lesie. Jak wiecie, że z obozu głównego
musi się wysyłać w różne strony mniej-
sze oddziały, aby pilnowały, czy gdzie
nie podchodzi nieprzyjaciel. Generał francu-
ski wysłał starego wachmistrza z dziesię-
cioma żołnierzami daleko za obóz. Wach-
mistrz zaś wysłał na noc jednego żołnie-
rza, nazwiskiem Sarto, jeszcze dalej.
Była tam skała wysoka i pod nią miał stać
żołnierz na straży. Gdy jednak rano
żołnierze zluzować, jego tam nie było.
Uciec nigdzie nie mógł, bo wszędzie były
nieprzebyte dziewicze lasy, a w nich pełno
Huronów i innych dzikusów, którzyby go
natychmiast uśmiercili, a śladów po
żołnierzu nie było żadnych. Drugiej
nocy postawił tam znów żołnierza, był
to człek odważny, silny i pewny, nazywał
się Trestin, ale i ten znikł bez śladu.
Między żołnierzami powstał wielki strach,

byli pewni, że tych dwóch żołnierzy porwał diabeł. Widząc to wachmistrz, rzekł do żołnierzy:

„Moje dzieci, sam nie chcę wyznaczać jednego z was do pilnowania tego miejsca, jednakże strzał tam stać musi, ciągnijmy więc losy, a kto z nas los wyciągnie, ten tam pójść musi."

Rzucono losy i padł na samego wachmistrza. Był on jednak żonaty i miał kilkoro dzieci. Żona wachmistrza była właśnie tam obecna i zaczęła rzewnie płakać, bo wiedziała, że mąż jej z tej placówki już nie wróci.

Wtem przystąpił do wachmistrza młody osiemnastoletni Gaskończyk. — Gaskonja jest to prowincja w południowej Francji. Mieszkańcy tej prowincji podobni są do naszych Kurpików, słynni z tego, że doskonale strzelają. Młody żołnierz oddał wachmistrzowi należny ukłon i rzecze:

„Panie wachmistrzu, proszę mi dać moją gaskońską strzelbę, a chętnie stanę na tym miejscu."

Przyniesiono strzelbę, Gaskończyk nabił ją, a kilka naboi schował do torby i mówi:

„Panie wachmistrzu, proszę mi pozwolić dać jeden strzał, bym w razie potrzeby mógł wystrzelić, lecz bym za ten strzał nie był odpowiedzialny."

— Tu przerwałem opowiadanie i mówię: „Widzicie, jaki to był prawy żołnierz, on przecież by mógł jeden nabój wyekspensować, bo wiedział, że ten nabój

kosztuje wiele pieniędzy i jego ojczyznę Francja nabój ten kupiła. – A wiecie wy, ile kosztuje obecnie nas nabój polski? On kosztuje obecnie 15 marek. Jest to suma ogromna i nikomu nie wolno nabojami bezużytecznie szafować i nawet nie wolno po nocach strzelać. Oto Ojczyzna, ta Matka nasza, prosi was, byście naboje szanowali; a jeśli chcecie strzelać, to tylko do nieprzyjaciela. Mam tu nawet rozkaz naszej Ojczyzny, który was o to prosi."

Tu przeczytałem ów rozkaz.

„Teraz wróćmy do Gaskończyka. Stanął on na przeznaczonym miejscu. Nad nim wznosiła się wysoka prostopadła ściana skalna. Żołnierz popatrzył w górę i rzekł

do siebie:

„Nie boję się z góry żadnego niebezpieczeństwa."

Przed nim rozciągała się obszerna równina, na której było pełno sitowia i szuwaru. Były to mokradła i bagno, w którym żerowały dzikie świnie. Jest tych zwierząt w Ameryce ogromna moc, ale do świń w czasie wojennym wobec wszystkiego nieprzyjaciela strzelać nie wolno. Tymczasem z bagniska o jakie pięćdziesiąt kroków wyszedł ogromny dzik i zaczął wietrzyć. Gaskończyk nic sobie z niego nie robił. Dzik jednak zaczął go okrążać i pomału zbliżać się do niego. Księżyc właśnie wyszedł z poza chmur, a dzik podniósł swój ryj do góry. Zaniepokoiło to Gaskończyka i pomyślał sobie:

„Mam przecież jeden strzał dozwolony, będzie
pieczeń dla kolegów."
Wymierzył i strzelił.
Za kilka minut nadbiegł wachmistrz z żoł-
nierzami i pyta:
„Do kogo strzelałeś?"
„Od głupstwa" mówi żołnierz. „Tam dla was
jest smaczna pieczeń z dzika."
Żołnierze pobiegli na wskazane miejsce.
Naraz wachmistrz odskoczył i krzyknął:
„Uważaj, bo ten dzik zajedzie ci toma-
hawkiem po łbie."
Tomahawk jest to siekiera osadzona
na długim toporzysku, a Huroni umieją
nim doskonale rzucać. Żołnierze ostrożnie
się zbliżyli i spostrzegli umierającego ol-
brzymiego Hurona, który wlazł w skórę

dzika i podchodził cichaczem do żołnierzy.
Wyciągnięto go ze skóry zwierza i spo-
strzeżono, że miał przywiązane do pa-
sa skóry z głów biednego Sarta i
Prestina."
Opowiadanie to zrobiło wielkie
wrażenie między żołnierzami. Oglądali
z wielkim zajęciem Indianina na
obrazku i od tego czasu w koszarach
na Bałkonach nikt strzałów nie
słyszał.
Pułkownik Szkark i oficerowie
cieszyli się tym lekcjom i mówili:
„Gdybym im tylko przeczytał ów rozkaz,
byliby go wysłuchali, pomimo tego strzelali-
by dalej, a teraz przekonali się, że strze-
lanie na wiatr przynosi szkodę ojczy-
źnie."

Dano znać, że bolszewicki generał Bu-
dienny wdziera się po wschodniej Mało-
polsce. Zaczęto nawet koło Przemyśla za-
kładać kolczasto druty i inne okopy.
Zarazem nadeszły wiadomości o
polskich zwycięstwach nad Wisłą i
Bugiem. Żołnierzom dziwnem się to
wydawało, że gazety piszą o zwycię-
stwach nad Wisłą i Bugiem, a tu każą
pod Przemyślem zakładać druty.
Zresztą nie można im było tej nieufności
brać za złe. Wnet w czasie tej siedmio-
letniej wojny, gazety, bez względu na to,
w czyjej stronie pisały, zawsze kłamały.
Wtem dostałem list od najmłodszego
syna Romana, który był w artylerji
bombardjerem, a stał wówczas nad

Bugiem. List ten odczytałem żołnierzom
mniej więcej w te słowa:
„Nasze tanki przeszły przez Bug na prawy brzeg
rzeki. Tam stało stotysięczne wojsko bolsze-
wickiego. Ci spostrzegłszy tanki, myśleli, że to
kuchnie polowe, przybiegli na koniach
i piechotą również i zaczęli krzyczeć:
„Poddaj się! Poddaj się!“
Wówczas tanki zaczęły walić z karabinów
maszynowych, padło kilka tysięcy bol-
szewików, a reszta rzuciło broń i pod-
dało się. Dziś prowadzono koło nas
10.000 bolszewików.“ Po odczyta-
niu tego listu powstała wielka radość
między żołnierzami i okrzyki:
„Niech żyje nasze wojsko!“
„Niech żyje nasza Ojczyzna“

„Niech żyje nasz dziadek!" (Piłsudski)
Samodzielnie zaczęli śpiewać i radości nie było końca.

Powieść fantastyczne.

Zawsze w sobotę nie uczyłem ani historji, ani geografji, tylko opowiadałem baśnie ludowe, które najbardziej biorą żołnierzy za serce. Celem baśni ludowej jest nie tylko zabawa, ale poznanie naszej pięknej polskiej mowy, bo żołnierz, jak i dziecko stara się ustną baśń powtórzyć w tych samych słowach, zwłaszcza jeżeli baśń była piękna.

Rozpocząłem baśń w tych słowach:

„Jak wiecie mamy czterech Ewangelistów, a to św. Marka, św. Mateusza, św. Łukasza, lecz największym z nich filozofem był św. Jan. Mędrzec ten bawił się raz z przepiórką. Obok niego stał łucznik, a widząc wielkiego filozofa bawiącego się z ptaszyną, zdziwił się bardzo i zapytał: „Wiem o tym, że jesteś wielki m. mędrcem, piszesz filozoficzne książki, a teraz widzę, że bawisz się z ptaszyną i uśmiechasz się do niej, jak małe dziecię?"

Święty Jan słysząc to, zapytał: „Czy twój łuk zawsze napięty?"
„Nie"
„Dlaczego?"
„Bo przez stałe napięcie straciłby elastyczność".
„Otóż widzisz" rzekł święty Jan: „Tak samo jak twój łuk i

umysł ludzki potrzebuje czasem wypocząć, aby
po wypoczynku mógł dalej z pożytkiem
pracować."

My dziś wolimy tak samo. Przez
cały tydzień uczyliśmy się historji, geogra-
fji, urządzeń krajowych. Jak sami wiecie,
są to rzeczy trudne. Dziś jednak opowiem wam
coś innego.

Powieść o kupcu.

Bardzo dawno już temu żył w nadmorskim
mieście bogaty kupiec. Było to w czasach, gdy
jeszcze nie było kolei żelaznych, ani takich
okrętów parowych jakie mamy dzisiaj. Te-
raźniejszy, nawet zamożny kupiec nieko-
niecznie potrzebuje wyjeżdżać w obce kraje
po towary, bo załatwia wszystko listow-
nie, a przysyłają mu wszystko według jego
życzenia. Dawniej po towary musiał jechać sam.
Najmował zbrojnych ludzi i wiózł towary z ro-
dzinnego kraju w obce strony, a w zamian
za to sprowadzał zamorskie towary i sprzeda-
wał je drogo. Podróże wówczas były uciążli-
we, długie i niebezpieczne, bo nieraz bandy
zbójeckie napadały na kupca, kazały się
mu opłacać, a często nawet zabierali mu
wszystko, a kupiec tracił zdrowie i życie.
Nie weselej było na morzu. Niektórzy bo-
gaci kupcy mieli własne okręty, na nich
płynęli w zamorskie kraje po towary.
Na morzu bywają bowiem często straszliwe
burze, trąby powietrzne i morskie, wiry,
skały podwodne, na których okręty się roz-
bijają i toną, a ludzi pożerają rekiny, lub
inne potwory morskie. Na ~~do~~ domiar

tego i na morzu są rabusie, nazywają ich korsarzami. Taki korsarz miał mocny i silnie zbudowany okręt, na którym były armaty i dobrze uzbrojeni ludzie. Korsarz wiedział do-kładnie o każdym kupieckim okręcie, który wybierał się w podróż. W drodze napadał go i kazał sobie płacić wysoki podatek, a w razie najmniejszego oporu zatapiał kupiecki okręt wraz z ludźmi.
Otóż ów kupiec, o którym wspominałem, miał swój własny okręt i jeździł często po zamorskie towary w obce kraje, a jakoś tak się złożyło, że w drodze sprzyjało mu szczęście i przyszedł do wielkiego majątku. Miał on żonę i dwoje dzieci syna i córkę. Syn miał po ojcu odziedziczyć cały majątek i interes handlowy, dlatego

ojciec dbał przedewszystkiem o to, by mu dać wykształcenie kupieckie. Córkę wycho-wywała matka i o niej mówić nie będziemy. Tymczasem Jaś, bo takie imię nosił, nie miał ochoty w sklepie siedzieć i pieprz sprzeda-wać, zato uczył się gimnastyki, pływania, jazdy konnej, szermierki dość, że miał ry-cerskie usposobienie, z czego ojciec się martwił i nazywał go urwisem, był jednak tej myśli, że gdy Jaś dojdzie do lat, to się wyszumi i będzie dobrym kupcem. Najwię-cej starego kupca martwiło to, że Jaś ma-jąc pieniądze, natychmiast je wydał, jak ojciec mówił: roztrwonił, dając pieniądze koledze do skończenia nauk, lub na inny jakiś dobry cel. Ojciec jednak spodziewał się, że gdy Jaś będzie

miał własny sklep, to się zmieni. Postanowił go więc wysłać w obce kraje po towary. Jaś na tę podróż chętnie się zgodził, chciał bowiem poznać obce kraje i różne osobliwości.

Przygotowano więc okręt, najęto starych i doświadczonych żeglarzy i majtków. Jaś dostawszy od ojca wielką sumę pieniędzy na zakupno herbaty, kawy, bawełny i innych towarów, siadł na okręt. Zaraz rozpięto żagle i Jaś z portu wyjechał. Z początku wszyscy byli weseli i pieniem okazywali swą radość, lecz gdy wyjechali na pełne morze i nie zobaczyli już nic więcej, jak tylko bezbrzeżny ocean, a nad nim błękitne niebo, a

w nocy widzieli je upstrzone ~~gwiaz~~ gwiazdami, gdy słyszano tylko monotonny plusk wody, chwianie okrętu unoszącego się nad niezgłębioną tonią, poznali, że człowiek w tej przestrzeni jest tylko drobnym pyłkiem nic nie znaczącym, wówczas i pień ustał, a nadeszły smutne myśli o rodzinie, o swym kraju i o celu podróży, bo niejedno jeszcze żeglarzy spotkać może. W bardzo dawnych czasach żeglarze, jadąc po morzu, trzymali się tylko brzegów, bo na morzu można łatwo zabłądzić, a ludzie kierowali się słońcem, w nocy zaś gwiazdami, lecz gdy nadeszły ciemne chmury, burza zapędziła okręt w nieznane strony, to już okręt nigdy do domu nie wrócił.

Jaś jednak żył w tych czasach, gdy już była znana igła magnesowa, którą my nazywamy kompasem, a czasem nosimy takie kompasy przy zegarku. Na okręcie taki kompas jest duży i dokładny i lepiej pokazuje gdzie północ i południe. Jakoś po kilku tygodniach takiej jazdy, spostrzegli nasi żeglarze brzeg jakiejś nieznanej im wyspy. Niedaleko spostrzegli wygodny port i piękne miasto. Jaś zsiadł z okrętu na należące czółno i przybił do brzegu. Wysiadł i szedł ku miastu, lecz tuż przed bramą miasta uderzył go dziwny widok. Stało tam kilkudziesięciu ludzi z kijami w ręku. W pośrodku nich leżał na ziemi trup nieżywego

człowieka, a jakiś mieszkaniec miasta bił go zapamiętale. Zdziwiony tym widokiem Jaś zbliżył się do nieznanych ludzi i zapytał czemu oni biją tego umarłego człowieka, a jakiś poważny mieszkaniec tego miasta mówi:

„Człowiek ten leżący dziś nieżywy na ziemi był niegdyś wielkim przedsiębiorcą, budował domy, zakładał lasy, piękne parki. Interesy jego jednak nie były dobre, bo pożyczał od nas pieniądze i przez kiepską spekulację stracił je, w końcu umarł i zostawił wielkie długi. Ponieważ my od tego człowieka pieniądzy już nie odbierzemy, przeto musimy je na nim odbić, a ciało jego rzucimy na pożarcie psom i sępom."

Uczciwe postępowanie wierzycieli nie podobało się Jasiowi i zapytał, ile z tej nieboszczyk im zawinił, obiecując, że ten dług za nieboszczyka zapłaci, lecz żądał, by mu sprawiono takiż pogrzeb, jaki mieć jest w zwyczaju. Mieszczanie chętnie tę niebywałą propozycję, powiedzieli, ile każdemu z nich się należy. Jaś wszystko popłacił, i umarłego pochowano tak jak każdego innego mieszczanina. Lecz cóż? Na ten miłosierny uczynek nieznanego mu zupełnie człowieka wydał Jaś prawie wszystkie pieniądze i zostało mu tylko tyle iż mógł statek z okrętem opłacić. Musiał więc wracać do domu, w zgodzie na jego rozkaz natychmiast uczynił, drżąc przed gniewem z nieoględności i dobroci Jasia.

Stary kupiec bardzo się zdziwił, iż syn wrócił tak prędko do domu, lecz gdy się dowiedział o całej sprawie, wpadł w gniew wielki i omal Jasia nie obił. Długi czas nie chciał go widzieć, tylko kazał mu siedzieć w sklepie i sprzedawać towary jako zwykłemu subiektowi. Jaś również poznał swój błąd, dlatego starał się o to, by ojca przebłagać, był pilny, uważny, zapobiegliwy, jak w ogóle każdy kupiec być powinien. Ojciec wnet przestał się gniewać i pozwolił mu prowadzić cały swój interes, a Jaś pokazał tyle zdolności i pracowitości,

że stary był z niego zupełnie zatowolony. Przygotował więc znów okręt, najął żeglarzy i wysłał go powtórnie w podróż, nie zważając nauk, aby w przyszłości nie był tak naiwny, aby zmarłych, których się zupełnie bez czucia nie wykupywać od kijów od bani; których zupełnie nie znał. Jaś sam śmiał się ze swojej naiwności i miał najlepsze zamiary, aby w przyszłości podobnych niedorzeczności nie robił.

Wypłynął znów na pełny ocean, ale nie tak to się prędko jedzie, jak się mówi. Płynęli dłuższy czas nie widząc nic więcej jak niebo i niezmierzone morze. Na okręcie na najwyższym maszcie znajduje się kosz. Tam siedzi zwykle

chłopiec okrętowy i spogląda uważnie dokoła, czy czego na morzu nie zobaczy. Naraz po kilku tygodniach jazdy spostrzegł chłopiec na morzu jakiś czarny punkt i zaraz dał o tym znać na dół. Wyszli wszyscy na pokład, spoglądając ciekawie, bo punkt rósł i był coraz większy, nareszcie z przerażeniem poznali, że to był okręt korsarski. Okręt miał czarny kadłub, pięć masztów, a z boku okrętu wyglądało dwanaście armat. Korsarz wywiesił czerwoną chorągiew na maszt, aby się Jaś natychmiast poddał. Nie było rady. Jaś kazał wywiesić białą chorągiew na maszt, że się bić nie myśli. Spuszczono z korsarskiego okrętu czółno. Sam kapitan wszedł do

czółno, popłynął do okrętu. Tu podano mu ~~szno~~ sznurową drabinę i po niej wylazł na pokład Jasiowego okrętu. Tu przywitano go grzecznie, a on wzięty grzecznością i uprzejmością przywitał się z Jasiem i wszedł do jego kajuty. Tu kazał sobie dać połowę pieniędzy, które Jaś posiadał. Dano mu je natychmiast. Jasiowi zostało tyle, że mógł dalej i miało jechać, ale był ciekawy, więc prosił Korsarza, aby mu pozwolił oglądnąć swojego „Jastrzębia", bo taką nazwę nosił okręt Korsarski. Korsarz chętnie się zgodził, bo nawet przyjął go uprzejmie i gościnnie, nawet grała muzyka janczarska, która była na pokładzie okrętu. Jaś z ciekawością wszystko oglądał,

naraz spostrzegł dwie panny. Obie były sznurem przywiązane do masztu na pokładzie. Z odzieży i z twarzy można było poznać, iż pochodziły ze znakomitego rodu, ale były bardzo smutne i płakały. Jaś zapytał Korsarza, co to za panny, a ten mówi:

„Udało się nam je schwytać i wieziemy je do Turcji na sprzedaż. Głupie dziewczęta nie chcą nic jeść, schną i chciały skoczyć do morza, dlatego musieliśmy je przywiązać do masztu. Wątpię jednak, czy one przed czasem nie pomrą."

— Żal się Jasiowi zrobiło tych biednych dziewcząt i zaproponował Korsarzowi, aby mu je sprzedał. Korsarz zażądał za nie tyle pieniędzy, iż Jasiowi nie wystarczało już na dalszą drogę i kazał

wracać do domu. Jaś nie potrzebował
dziewcząt przywiązywać do marszu, ale
puścił je wolno, one przestały płakać,
bo poznały, że znajdują się w rękach
uczciwego człowieka.
Gdy przybył do ro-
dzinnego miasta i pokazał ojcu swój
nowo nabyty towar, ojciec wypędził
go z domu i nie chciał o nim słyszeć.
Cóż miał robić? Gdyby był sam, wszę-
dzie znalazłby przytułek, ale miał przy
sobie dwie panny, które przecież jeść
chciały i ubrać trzeba je było.
Nie daremnie jednak uczył się ku-
piectwa. Za pozostałe mu trochę
pieniędzy wynajął mały sklepik
i zaczął handlować. Sam chodził za to-
warami, a panny sprzedawały.

Nie wypadało mu jednak z pannami mieszkać,
dlatego młodszą pannę, która była bardzo ład-
na, wziął sobie za żonę. Nie miała ona wpraw-
dzie żadnego posagu, lecz miał w Bogu
nadzieję, że Bóg mu dopomoże. Starsza
panna, którą ciocią nazywano, pil-
nowała sklepu, a młoda żona Jasiowa
trudniła się gospodarstwem domowym.
Gdy się inni kupcy dowiedzieli o
kupnie dziewcząt, o wypędzeniu Ja-
sia z rodzicielskiego domu, przycho-
dzili do niego z różnymi sprawami,
a właściwie każdy z nich chciał zo-
baczyć owe panny. Drzwi od sklepu
nie zamykały się i sklep się rozwinął.
Gdy się ojciec o tym dowiedział, że

Jaś pracuje, jak na prawego kupca przystało, przyszedł mu z pomocą, a żonę jego Marynię uznał za swoją synową, a nawet starzy rodzice pokochali ją, jak własną córkę.

Tak minęło lat sześć. Pan Bóg dał im troje dzieci, ~~a~~ dwóch chłopców i jedną dziewczynkę, a stary dziadunio i babcia bardzo się tymi ~~wnu~~ wnukami cieszyli.

Jaś własną pracą i zapobiegliwością tyle się dorobił, iż postanowił sam na własną rękę pojechać okrętem w obce kraje po towary. Gdy się o tem żona dowiedziała, ucieszyła się bardzo, zaprosiła do swego domu artystę malarza i poleciła mu wymalować portret, na którym artysta namalował Jasia, Marynię, ciocię i ich dzieci. Strój jednak Maryni i cioci miał być taki, w jakim znalazł je Jaś na okręcie Korsarza. Obraz ten własną ręką zawiesiła na ścianie w kajucie okrętowej tam, gdzie Jaś miał swoją kancelarję.

Gdy Jaś siadał na okręt, prosiła go żona przy pożegnaniu:

„Drogi mężu, nie zatrzymuj się nigdzie po drodze, tylko jedź prosto na wschód słońca, a tam czeka cię szczęście."

Okręt odpłynął, nie będę jednak opowiadał o ~~la~~ tej długiej, niebezpiecznej i nużącej podróży dość, że po dwóch miesiącach przybył Jaś do brzegu jakiegoś nieznanego mu kraju. Gdy wjeżdżał do portu kazał wystrzelić z armaty. Zaraz z miasta

wysłano łódkę z przewodnikiem, który wskazał okrętowi drogę i tam przybyli pod sam olbrzymi kamienny mur portowy. Tu przywiązano grubym łańcuchem okręt do muru, zarzucono kładkę, a Jaś nie czekając wiele, udał się do miasta, aby je poznać.

Gdy jaki okręt przyjedzie do portu, muszą go mieszkańcy danego kraju dokładnie zbadać. Czasem jest coś do oclenia, czasem wiozą kontrabandę, a czasem broń i t.p. W czasie nieobecności Jasia, weszli na okręt dwaj urzędnicy i skierowali się wprost do kajuty, gdzie Jaś miał kanciapę. Nagle zobaczyli obraz na ścianie i wpatrzyli się weń, a jeden z nich mówi:

„Patrz, ta młoda pani podobna zupełnie do córki naszego króla, którą korsarze porwali przed trzecioma laty."

„Prawda" mówi drugi, „a ta starsza podobna zupełnie do córki ministra spraw zewnętrznych." „Czy w tym być musi, może to tensam korsarz przybył to na nowe polowanie?" Nie namyślając się długo, zdjęli obraz ze ściany i zanieśli go do króla. Ten spostrzegłszy i poznawszy rysy swojej córki, zaraz płakał i kazał natychmiast sprowadzić nieznanego kupca. Niedługo szukano, bo obcego przecież łatwo poznać można i przyprowadzono go do królewskiej komnaty.

Król siedział na podwyższonym krześle na wyróżnionym miejscu a Jaś oddał mu należny ukłon.

Król zapytał go o nazwisko, stan, o swej rodzinny, a w końcu kazał przynieść obraz, pokazał go Jasiowi i zapytał, kto to jest ta młoda pani. Jaś poznał swój obraz i rzekł:

„Ta młoda pani, to moja żona, ta starsza, to jej ciocia Perepeleczka, dzieci to nasze, a ta na końcu, to jestem ja."

„Gdzieżeś ty poznał swoją żonę?" pyta Król.

W czasie tej rozmowy weszli do pokoju ministrowie, jenerałowie, różni inni dygnitarze, był tam nawet sam hetman.

Więc Jaś mówi:

„O to długa historya." Opowiedział więc o swych rodzicach, o swej podróży, o Koszarzu, o przywiązanych dziewczętach do masztu. Wtem Król i stary minister za-częli płakać, a Jaś opowiadał dalej;

jak on te dziewczęta kupił, jak go potem ojciec z takim towarem wypędził, jak się z młodszą panną ożenił i mówił o swych dzieciach.

Wówczas Król zszedł z tronu, uścisnął Jasia za głowę i rzekł:

„Ty jesteś moim ukochanym zięciem, ta panna to moja jedynaczka córka. Jedź czym prędzej do domu i przywieź mi moją córkę i moje wnuki, niech się ucieszy serce moje." Stary minister płakał z rado-ści i wszyscy mieli łzy w oczach, tylko hetman jakoś dziwnie błysnął oczyma i zacisnął zęby, ale wśród ogólnej rado-ści nikt na niego nie zważał.

Gdy się w mieście dowiedziano o znalezieniu się córki królewskiej, nastęczyni tronu,

powstała wielka radość. Całe miasto
przybrano flagami i zielenią, a wieczo-
rem w oknach pozapalano świece,
całe miasto iluminowano, a muzyka
grała, aż hej!
Jasia przebrano w piękne
szaty, jak na królewskiego zięcia przy-
stało, chodził w czerwonych spodniach
i niebieskim kabacie ze złotymi guzami
i innymi ozdobami. Przy boku nosił szablę
brylantami wykładaną.
Potem przygotowano piękny wojenny
okręt na który wsiadł Jaś i sam dumny
hetman, aż nareszcie wyjechano z portu,
aby przywieźć królewnę.
Tymczasem w rodzinnym mieście Jasia
z oczekiwała go żona z wielką

tęsknotą, a ciocia i dzieci pytały często:
„Kiedy nam tato wróci?"
Rodzice Jasia chodzili jak struci. Wycho-
dzono codzień na brzeg morski i przeglą-
dali wszystkie nadchodzące okręty, dopy-
tywali się, ale nikt o niczym nie wiedział.
Raz o świcie wybiegła ciocia na brzeg i
spostrzegła zdaleka okręt, na którym
powiewała flaga jej rodzinnego kraju.
Ucieszona pobiegła czym prędzej do miasta
i zawołała do Maryni:
„Twój mąż wraca!"
Marynia porwała dzieweczkę na ręce, a
ciocia prowadziła chłopców i szli tak
na przywitanie męża. Dano znać
również starym rodzicom, którzy również
do portu przyszli, ale ojciec spostrzegłszy

obcy okręt, nie chciał wierzyć, aby tam był jego syn. Tymczasem okręt przybił do portu, zrzucono maszt, po nim wyszedł Jaś na brzeg, a za nim hetman i uzbrojeni majtkowie. Ojciec i matka stanęli z podziwu jak wryci w ziemię, ~~gdy~~ ujrzawszy zbrojnego męża, w którym poznali swego syna. Ten zaś, ucałowawszy ręce swych rodziców, przystąpił do żony i ukląkł przed nią:

„Cóż to ma znaczyć?" pyta królewna.

„Nie wiedziałem o tym, że jesteś córką potężnego króla." mówi Jaś. Marysia zaśmiała się i rzekła:

„Ciekawam czym byłbyś dzisiaj, gdybyś mnie nie wykupił z korsarskiej niewoli?"

Tak rozmawiając, weszli wszyscy z radością do miasta.

Gdy się mieszkańcy miasta dowiedzieli o szczęściu Jasia i o jego odjeździe, sprawili mu ucztę pożegnalną i wszyscy życzyli mu szczęścia.

Jaś pożegnawszy się z rodzicami, siostrą i przyjaciółmi, wyjechał już na zawsze z rodzinnego miasta. Wiatr wiał pomyślny. Na okręcie rozwinięto wszystkie żagle i okręt jak strzała płynął po morzu, a tylko biała piana wskazywała drogę, którędy mknęli na wschód słońca. Na okręcie byli wszyscy bardzo weseli i z radością opowiadali o przebytych przygodach. Lecz cóż? „Nic trwałego na świecie, radość się z smutkiem plecie."

Pewnego wieczora wyszedł Jaś wraz z hetma-
nem na pokład. Byli tylko sami, gdyż
majtkowie byli zajęci wewnątrz okrętu.
Jaś miał w ręku morską perspektywę
i spoglądał przez nią, bo zdala pokazy-
wała się jakaś wyspa. Jak zwykle
na pokładzie okrętu są bariery. Jaś nad
barierą przechylił się. Wtem hetman
porwał go niespodziewanie za nogi i
wrzucił go do morza. Nikt tego nie
widział, okręt popłynął dalej.
Niegodziwy hetman wszedł zaraz do
kajuty królewny i mówi:
„Twój mąż utonął."
Marynia, usłyszawszy to, zaczęła strasznie
płakać, a hetman ~~[illegible]~~ wyczekawszy,

aż jej pierwszy ból minie, mówi znów:
„Twój mąż utonął, lecz mam jeszcze two-
je dzieci i te wrzucę do morza, a potem
ciebie, lecz jeśli mi przysięgniesz, że o tym
nikomu nie powiesz, a po wyjściu z[illegible]-
ty, wyjdziesz za mnie, wówczas daruję ży-
cie tobie i twoim dzieciom."
Cóż miała robić? Nie dbała o siebie,
gdyż dla niej było już wszystko jedno
żyć lub umrzeć, ale szkoda jej było dzie-
ci, więc ci przysięgam, że milczeć będę
aż po grób i spełnię twoje żądania.
Wówczas hetman wszczął, niby to szukał
za Jasiem, na okręcie stał się wielki
ruch i szukanie po morzu, ale noc była
ciemna i Jaś przepadł na wieki.
Gdy przyjechano do portu i w mie-

ście dowiedziano się o tak wielkim nieszczęściu, powstał płacz wielki, całe miasto okryło się kirem, a najbardziej płakał stary król, bo Jasia pokochał, jak własnego syna.

Minęły dnie, tygodnie, miesiące w smutku i rozpaczy. Marynia nie wychodziła z pałacu, bo oczy jej z płaczu napuchły, a zresztą nic jej nie cieszyło.

Tak minął czas żałoby, rok i sześć tygodni.

Wówczas hetman, któremu wcale o królewnę nie chodziło, tylko o to, że wraz z jej ręką otrzyma kiedyś królewską koronę, oświadczył się o nią.

Stary król nie miał nic przeciw temu, tylko czekał decyzji swej córki, ale ta,

pamiętając o swej przysiędze, zgodziła się. Zaczęto w pałacu i w całym mieście przygotowywać się do wesela. Dla królewny uszyto prześliczną suknię, panie i druhki starały się również o piękne stroje. Sprowadzono kilku kucharzy, którzy umieli przyprawiać najsmaczniejsze potrawy, postarano się o dobre wino i piwo, bo wódka nie była jeszcze znana. Mnóstwo gości zjechało, byli tu książęta, ministrowie, panowie, wyżsi urzędnicy i oficerowie, mieszczanie, a wszystko to ze swymi żonami i dziećmi i krewnymi. Jutro po południu miał się odbyć ślub.

Wróćmy jednak do Jasia.

Jaś padł głową na dół do morza. Wy

jednak o tym wiemy, że kto wpadnie do
wody, a pływać umie, to bardzo prędko
wypłynie na wierzch, bo chce się ratować.
Jakoś w tym czasie, gdy hetman
rzucił Jasia do wody, przełamała się
bariera i kawałek ~~be~~ belki wpadł
również do wody. Jaś wypłynąwszy na
powierzchnię wody, pochwycił belkę
i trzymał się jej. Na morzu w niektó-
rych miejscach płyną prądy morskie, są to
takie same rzeki, jak u nas na lądzie.
Prąd zaniósł belkę wraz z Jasiem do owej
wyspy, na którą przed kilku godzinami
spoglądał przez perspektywę.
Jaś starał się dostać na brzeg i po dłuższym
usiłowaniu stanął na murawie bardzo
pięknej wyspy. Tu najpierw podziękował

Panu Bogu za ocalenie, następnie zdjął ze
siebie ubranie, aby je wysuszyć, a ponieważ
był bardzo zmęczony, padł na trawę i spał
jak zabity. Gdy się przebudził, słońce już
wysoko było na niebie. Zaczął się oglą-
dać w około i spostrzegł piękne palmy dakty-
lowe, ananasy, kokosy, figi i inne połu-
dniowe owoce. Nazbierał nieco tych soczy-
stych owoców i zaspokoił swój głód. Słońce
miało się już ku zachodowi, pomyślał
więc o noclegu, a ponieważ bał się dra-
pieżnych zwierząt, przeto wylazł na liść
olbrzymiej ~~agawy~~ agawy i spał do rana.
Wkrótce przekonał się, że wyspa była nieza-
mieszkaną, ani żadnych niebezpiecznych
zwierząt na niej nie było. To mu ulżyło. Ze sobą
miał szablę i nóż, naścinał sobie nieco

bambusów i zrobił niewielki szałas. Wewnątrz szałasu zrobił wygodne łóżko, wyścielił je mchem, potem sporządził stół, ławkę, krzesło, przed szałasem postawił ~~b…~~ bambusowy krzyż, aby mu przypominał, że należy się modlić i prosić Boga o pomoc. O pożywienie starać się nie potrzebował, wszak miał owoce, nad brzegiem znajdowały się gniazda dzikich kaczek, które zupełnie Jasia się nie bały, bo ich nikt nigdy nikt nie straszył. Mógł więc ~~…~~ z łatwością łapać te urocze ptaszki i wybierać jaja z gniazd. O ogień również nie miał turbacji, bo na wyspie było dużo krzemienia, za pomocą szabli mógł z nich łatwo wydobyć iskry i rozniecić ogień, w którym piekł złowione

ptaki. W wolnym czasie siedywał zwykle na wysokiej skale i patrzał na morze, aby ujrzeć jaki ~~…~~ przepływający okręt, który by go wziął. Jednakże tamtą stroną nikt nigdy nie jeździł, więc smutek ogarniał serce Jasia.
Tak mijały mu dnie, tygodnie, miesiące, wreszcie i rok się skończył, a Jaś posępniał coraz bardziej, opalił się na słońcu i zmizerniał. Raz, a było to rano przed wschodem słońca, gdy Jaś leżał na swoim łożu ze mchu zrobionym i dumał, usłyszał nagle jakiś ciężki chód niedaleko swego szałasu, zeskoczył czym prędzej ze swego posłania, wyszedł z szałasu i zobaczył przed sobą człowieka wy-

wkiego wzrostu, ubranego w zieloną myśliw-
ską kurtkę i takie same spodnie, w wy-
sokich butach i w myśliwskim kapelu-
szu na głowie. Człowiek ten zbliżył się
do Jasia i pozdrowił go, jakby jacy starzy
znajomi, chociaż Jaś nie przypominał sobie,
by go gdzie kiedy w życiu widział.

„Z Bogiem pozdrawiam cię Jasiu" rzekł ów
olbrzym

„Bądź również z Bogiem pozdro-
wiony, kto ty jesteś?" rzekł nasz pastelnik.
„Nie pytaj, kto jestem, tylko słuchaj mnie,
oto twoja żona wychodzi jutro zamąż."
mówi ów strzelec.

„Gdzież jest moja żona?
„Tysiąc mil od nas, lecz jeśli zwolisz ze mną
w drogę, możesz dziś jeszcze być w pałacu swej
żony. Tam czeka cię szczęście. Ja cię

tam zaniosę, lecz gdy będziesz na szczycie
swego szczęścia i dostatków, dasz mi po-
łowę z tego, co będziesz miał. Czy zgadzasz
się na to?"

„Z największą chęcią" mówi Jaś.

Wówczas strzelec schylił się, nastawił swe
szerokie plecy i rzekł:

„Siadaj na mnie!"

Jaś czem prędzej wziął na siebie swe spło-
wiałe i wyniszczone ubranie i siadł na
grzbiecie owego strzelca tak, jak to dzieci sia-
dają starszym na barana.

W tej chwili powstał jakby silny wiatr,
strzelec wzniósł się wysoko ponad bez-
brzeżnym oceanem, leciał jak orkan w
powietrzu, leciał też pod chmurami, dołem
migały tylko wyspy i przepływające okrę-
ty.

Jakoś w godzinę byli już na miejscu. Strzelec zostawił go w pałacowym królewskim ogrodzie, a sam gdzieś zniknął bez śladu. Jaś nie mógł mu nawet za przysługę podziękować. Potem siadł na ogrodowej ławce i rozmyślał, co dalej ma robić.

Wtem wyszedł z pałacu w białym ubraniu w białej płóciennej czapce na głowie tłuściutki, pulchniutki kucharz. Dawno on już nie był w takich opałach jak dzisiaj. Miał przygotować obiad dla kilkuset osób, a ludzi do pomocy miał za mało. Kucharz wyszedłszy z kuchni, a zobaczywszy Jasia, myślał, że to jeden ze służby pałacowej, więc krzyknął:

„My tu sobie rady dać nie możemy, a ty tu będziesz na ławie wysiadywał?

Zaraz mi idź do drewutni i przynieś drzewa do pieca."

Jaś, który wszystkie zakątki pałacowe znał, nabrał oberemek drzewa, zaniósł do pokoju i zaczął coś tam kos-kiam koło pieca szperać.

Wtem nadeszła ciocia, ta nasza stara znajoma Perepeletka. Miała ona główny nadzór nad wszystkiem, każdy bał się jej jak ognia, bo była dziś zła, a miała do tego słuszne powody, ale o tym powiem później. Ciocia, spostrzegłszy Jasia, stanęła jak wryta w ziemię. Wiedziała przecież, że Jaś utonął, a widzi człowieka, wprawdzie bardzo mizernego i w wypłowiałej odzieży, ale zupełnie podobnego do nieboszczyka Jasia.

Nic nie mówiąc, pobiegło do Królewny i mówi:

„Chodź Marysiu, a zobaczysz człowieka, który jest zupełnie podobny do twego niebieskiego męża."

Weszły obie do pokoju i zaczęły się w Jasia wpatrywać. Marysia uczuła silne bicie serca, nareszcie z wielką nieśmiałością przystąpiła do Jasia i pyta:

„Człowiecze, coś za jeden?"

Jaś popatrzył na nią, uśmiechnął się i rzekł:

„Czyż już tak zmieniłem się, że mnie nie poznajesz?"

„Ach" wykrzyknęła Królewna „Jasiu drogi" i objęła go rękami!

Przytomniejsza jednak ciocia nakazała zupełny spokój i jak

najściślejsze milczenie. Wprowadziła ich cichaczem do osobnego pokoju, sama zaś pobiegła do Króla i na osobności opowiedziała mu całą sprawę. Król w tej chwili poszedł do swych dzieci, a zobaczywszy Jasia, ucieszył się wielce i tu dopiero dowiedział się o zdradzie hetmana.

Ciocia Perepeleska tymczasem obmyśliła dla hetmana straszliwą zemstę. Hetman bowiem jeszcze przed siedmiu laty obiecał cioci, że się z nią ożeni, a teraz ją dla Królewny porzucił i zdradził. My jednak wiemy o tym bardzo dobrze, że łatwiej diabła za-czepić, niżeli z kobietą w ten spo-

sib sobie zadrwić. Zawołano wierną

służbę i kazano im przynieść wannę

z ciepłą wodą. Jasia wykąpano, odświe-

żono i przebrano w królewskie ubranie,

lecz musiał cicho siedzieć aż do na-

stępnego dnia. Cały dwór i wszyscy

goście o powrocie Jasia wkrótce się

dowiedzieli, lecz zachowali jak naj-

głębsze milczenie, bo hetmana za jego

dumę nikt nie lubiał. Zresztą każdy

zbrodniarz ma do siebie coś odpycha-

jącego, że lubić go nie można.

Nazajutrz rano zgromadzili się wszyscy

goście w sali balowej. Król za-

siadł na tronie poważny i posępny. Obo-

ku obok niego stała królewna. Nad-

szedł hetman, a pewny siebie, dumnie

przeszedł obok zgromadzonych gości

i stanął przed Królem. W tej chwili

jakaś nieznana pani ubrana w zło-

cie zwróciwszy się do Króla, zawoła-

ła:

„Królu, żądam sprawiedliwości!"

Hetman zły, że mu przerwano uroczystość

weselną, rzekł z gniewem: „Dziś jest

dzień wesela, nie sądu, takie sprawy

można na później odłożyć!"

„O nie" rzekł Król „Władca powinien

być swym poddanym w każdej chwili na

usługi. Dziś ty będziesz sądził hetmanie."

Nieznana pani mówi; a wszystko to było za

sprawą cioci udane:

„Królu, miałam kochanego męża, tego

mi zabił zbrodniarz, a teraz żąda, bym mu oddała mą rękę i majątek, poradź mi co mam zrobić?"

„Sądź hetmanie" mówi Król.

Hetman nie myśląc wiele, i nie poznawszy się na podstępie, rzekł prędko: „Takiego zbrodniarza należy powiesić na pierwszej lepszej latarni."

W tej chwili otwierają się drzwi i wchodzi Jaś uroczyście przybrany z pałaszem przy boku i pyta:

„Czy poznajesz mnie hetmanie?"

Hetman się zdumiał i patrzał i przestrachu, nie mógł ani słówka przemówić, a córka Panopeleska zaśmiała się dziko.

Król rzekł:

„Wyrok wydałeś sam na siebie."

Skinął ręką, żołnierze go obstąpili, wyprowadzili za miasto i tam go powieszono na jakiejś suchej gałęzi.

Dobrze mu tak!

W pałacu jednak zabawa trwała przez trzy dni. Była muzyka i tańce. Nic zapomniano równiez i o mieszkańcach miasta. Na rynku były wiele beczek piwa, miodu i wina, kiełbas, i pierogów. Każdy brał, jadł i pił co chciał, i wszyscy byli weseli.

— Król darował im dzie[?]ciom piękny pałac, dużo pola i lasów, piękne meble i wiele innych kosztowności. Oboje młodzi byli bardzo szczęśliwi i nic już im do szczęścia nie brakowało.

V.

Raz w czasie śniadania, na którym byli obecni stary król, Jasiowie, ich dzieci, tudzież ciocia, zjawił się nagle znany już nam ów olbrzymi Strzelec, a ukłoniwszy się grzecznie, zapytał:
„Jasiu, czy jesteś szczęśliwy?"
„Większego szczęścia nie życzę sobie w mym życiu." „Czy pamiętasz o swej obietnicy?"
„Pamiętam, podzielę się z tobą całym mym majątkiem po połowie"
„Czy w dzieciach swoich widzisz także swe szczęście?"
„Największe, za te dzieci oddałbym nawet życie swoje."
„To daj mi połowę swych dzieci" mówi Strzelec. Jasiowa, słysząc to, zaczęła płakać, stary król chciał się gniewać, lecz gdy

spostrzegł dziwną twarz Strzelca, zamilkł.
„Nie zechcesz mi takiej krzywdy zrobić, byś mi miał moje dzieci zabrać" rzekł Jaś.
Na to rzekł Strzelec:
„Jasiu, nie zrobię ci krzywdy, nie chcę twego pałacu, ani twych pól, ani twych lasów, ani twych pieniędzy, ani twych dzieci, ja tego wszystkiego nie potrzebuję, a przyszedłem, aby tobie podziękować i odwdzięczyć się za to, coś niegdyś dla uczynił, ja wrzuciłem butelkę do morza, gdy ciebie hetman rzucił do wody, ja ciebie też przyniosłem, a teraz tylko chciałem się dowiedzieć, czyś zawsze taki uczciwy i dobry, jak byłeś za lat młodszych i widzę, żeś się nie zmienił. Czy pamię-

łeś mnie, kto ja jestem?"

Jaś stanął zdumiony i nie mógł [illegible] niczego przypomnieć.

Wówczas starzec rzekł:

„Ja jestem ów nieszczęsny człowiek, któregoś ty w czasie twej pierwszej podróży od zbójów wykupił."

—

Rzekłszy to, znikł.

Baśń o trzech żmijach.

Dnia 6 sierpnia r. 1920. obchodzono w Przemyślu rocznicę wejścia Legionów polskich do Królestwa polskiego. Przeznaczono mnie, bym w tym dniu wygłosił mowę do żołnierzy na cześć Józefa Piłsudskiego. Ja zamiast uczonego szablonu, opowiedziałem im następującą baśń:

Bardzo dawno już temu żyła królowa nazwiskiem Polonja. Była to pani bardzo dobra, kochała swój lud i dbała o jego potrzeby. Miała ona trzy córki. Najstarsza nazywała się Lech, jak jej matka, średnia

nazywała się Litwenją, a najmłodsza Rutenją. Wszystkie trzy kochały się bardzo i były pociechą swej matki i starego króla. Miłość tych sióstr podobała się Panu Bogu, dlatego zsyłał na cały lud swoje dobrodziejstwa, wszystkie pola rodziły różnorakie zboża w takiej ilości, że ludzie nigdy głodu nie zaznali, ale żyli we sytości, a co im pozostawało, sprzedawali obcym ludom, zaco dostawali pieniądze lub płody krajów zamorskich.

W tym samym czasie mieszkała daleko na północy za morzem inna Królowa. Nie miała ona bogactw, dlatego nie miała czym wyżywić swego ludu. Zawistnym więc okiem patrzyła na inne bogatsze kraje i ludy, a złość swoją i zazdrość wzmogła się u niej do tego stopnia, że została czarownicą. Pewnego razu, przechadzając się po brzegu morskim, znalazła trzy smocze jaja. Wzięła je ostrożnie w rękę i schowała za pazuchę, aby je wygrzać. Po niejakim czasie wylęgły się z tych jajek trzy młode smoki, a podobne one były do straszliwego germańskiego smoka Mizgarda. Miały kształt gadzin, miały łuski czerwone, krwawe ślipia, skórzane skrzydła, straszliwe paszczy, a z pyska toczył się im jad, którym zatruwały powietrze tak, że ludzie od tego wyziewu szaleli i stawały się zwierzętami.

W miarę jak smoki podrastały, wyrastały im po obu stronach karku jeszcze po trzy głowy, zatem każda z tych trzech żmij miała po siedem głów. Z początku siedziały one cicho w domu, lecz gdy podrosły zaczęły się

rozłazić po okolicznych krajach i zatruwać
powietrze.

Raz siedzi królowa Polonja ze swoim
mężem i trzema córkami w zamku, który
był zbudowany na olbrzymiej skale, otoczo-
ny wysokim murem i basztami. Wtem usły-
szano pod zamkiem przeraźliwe wycie. Wszy-
scy obecni wybiegli na mury i spostrzegli ze
strachem nieprzeliczoną i nieprzejrzaną ilość
wilków, a na ich czele stał ogromny wilko-
łak, i zawołał tubalnym głosem:
„Oddajcie nam swą najmłodszą córkę Rutenję,
bo jak jej nie oddacie, to pazurami podkopiemy się
pod wasz niezdobyty do tego czasu zamek i
wszyscy zginiecie."

Królowa Polonja, niezra-
żona pogróżkami, nie chciała oddać córki wy-

dać, wówczas wilki zaczęły się wgryzać pod
zamek, widząc to Rutenja, rzekła do matki:
„Puść mnie matko do wilków, ja się ich nie
lękam, a nawet gdybym miała zginąć,
to wolę sama, niżeli cały naród"

Przyniesiono więc duży kosz, umieszczono
w nim królewnę i spuszczono na dół. Przy-
biegł czym prędzej wilkołak, a spostrzegł-
szy królewnę, padł przed nią na [illegible]
łapy i prosił, by królewna usiadła mu na
grzbiet. Królewna uczyniła zadość jego
prośbie, wówczas wilk zerwał się prędko
na równe nogi, zawył z radości, zwrócił
się ku wschodowi słońca i pobiegł, a za
nim cała gromada wilków.

Na zamku powstał płacz i smutek po utracie
tak miłej córki.

Nazajutrz rano jeszcze przed wschodem słoń-
ca usłyszano pod zamkiem jeszcze ~~str~~ straszniej-
szy ryk, niżeli wczoraj. Wszyscy wybiegli
na mury i spostrzegli z przerażeniem, iż
wszystkie okoliczne pola i lasy obsiadły
straszliwe stada ogromnych kudłatych
niedźwiedzi. Na samym przedzie stanął na
tylnych łapach olbrzymi niedźwiedź i ryknął
przeraźliwym głosem:

„Oddajcie nam śliczną
waszą córkę Litwanję, bo jeśli mi ją po do-
brej woli nie oddacie, wydrapiemy się na
mury i wszystkich zgnieciecie."

Nie było co długo
radzić. Spuszczono więc Litwanję w koszu
na sznurze poza mury. Przyczłapał wnet do
niej niedźwiedź, porwał ją w swe łapy,
lecz ujął ją tak delikatnie, iż nie uczynił

jej nic złego, tylko wsadził ją na swój grzbiet
kudłaty i pomknął na północ do lasu, a za
nim cała gromada niedźwiedzi i tam w
odwiecznych, nieprzebytych borach i lasach [illegible]
kały poszukiwania.

Matka Polonja płakała
rzewnymi łzami po utracie dwóch córek, lecz
jeszcze noc nie minęła, gdy pod zamkiem
usłyszano jeszcze głośniejszy ryk, niżeli przed-
tym. Zdawało się, że gromy niebieskie ude-
rzyły tak, że cała ziemia drżała, a zamek
trząsł się w posadach.

Wszyscy wybiegli na
mury i z przerażeniem spostrzegli całe stado
olbrzymich żubrów. Potrząsały one swymi
łbami, oczy im ogniem pałały i stały w szere-
gach jak mur żelazny, oczekując rozkazu.
Na czele stał ~~największy~~ najdzikszy żubr i

wołał:
„Oddajcie nam najstarszą córkę Polo-
nię, bo gdy nam jej dobrowolnie nie od-
dacie, uderzymy łbami o wasze mury i
w proch je razem z zamkiem zetrzemy, a
wy wszyscy zginiecie."
Sprowadzono więc Polonję.
Przyklęknął żubr, pochylił przed królewną głowę,
nastawił swój grzbiet kudłaty, a królewna
usiadła na nim. Żubr stanął na równe
nogi i pomknął do lasu, a ze nim
cała gromada żubrów.
Królowa z rozpaczy padła na ziemię
i zaczęła płakać.
W tej chwili zerwał się Biały Orzeł,
który tam na wieży miał swoje gniaz-
do i zaczął kwilić w powietrzu,

równocześnie wszedł do królewskiej komnaty
jakiś wysoki, okryty pokutniczym płaszczem
starzec. Długie włosy jego wlokły się po ziemi,
a broda i wąsy jego sięgały aż do kolan,
oczy miał jasno-niebieskie, a jednak smu-
tnie patrzył na obecnych i rzekł:
„Nie żubry to, ani niedźwiedzie, ani wilki
zabrały wasze córki, tylko wasz własny
naród i wasi własni poddani, na których
one trzy jadowite żmije czar rzuciły i ja-
dem swym obryzgały. Wiedz wyraźnie,
że żmije te chcą wam odebrać Lechową
koronę, w której ukryty jest duch pań-
stwa, chcą zabić waszego Białego Orła, któ-
ry was zawsze prowadził do zwycięstw
i wytrzeć z pamięci waszego ludu pieśni,
które śpiewali ojcowie wasi. Nie dozwo-

kają oni jednak tego. Koronę biorę i schowam, a Orzeł Biały, który obecnie po krwawych walkach z innymi potwornymi ~~[illegible]~~ trzema orłami jest chory, opuścił wszystko pilnować ją będzie. Na was zaś kładę obowiązek pilnowania pieśni ojczystych, a duch wasz ocaleje. Pieśni wasze są tak potężne, że czar i jad zatrutych żmij, z was opadać będzie, gdy je zaśpiewacie, a żmije ze strachu drżeć będą. W końcu przyjdzie jeden z najmłodszych synów tej ziemi, zagrzmi w Złoty Róg, on pobudzi śpiących rycerzy, pójdzie ze żmijami w bój, pobije ich, wydobędzie Lechową Koronę, a Orzeł Biały wzniesie się wysoko. Kto spojrzy na Orła, tego duch wzniesie się wysoko pod obłoki, czar żmijowy z opadnie, a żmije unikać go będą. — Ty zaś Królu, który nie umiałeś ludu swego i swych cór nad ochronić przed żmijami, zginiesz w niestanie."

Rzekłszy to, wziął starzec Koronę i Orła Białego i zniknął.

Uradowane żmije pasły się wówczas ludzkim mięsem, a ludzką krew piły jak wodę. Szukały one za Koroną i Białym Orłem, bo wiedziały, jaka potęga w nich się mieści, a lud tymczasem śpiewał piękne pieśni, które podnosiły jego ducha, utwierdzały w miłości Boga i Ojczyzny i ożywiały nadzieję wydobycia się z niewoli. Znamy te pieśni, jak:

Boga Rodzico Dziewico,

Kto się w opiekę,

Bóg się rodzi,

Jeszcze Polska nie zginęła,
Boże coś Polskę,
Grzmią pod Stoczkiem armaty,
Co to za gwar?
Nie rzucim ziemi,
Z dymem pożarów,
Boże Ojcze, Furje Ości i inne.
Zmije słysząc te pieśni zakazały i mus pożerać
śpiewających. Pieśń jednak ukryła się
w niskich chatkach, warsztatach rzemieśl-
niczych, dworach i kościołach i próżny
był wysiłek zmij; . Pieśni zdziałały, że
z niektórych synów tej ziemi spadał sen i
zrywali się do walki, lecz było ich zamało,
a gdy której ze zmij odcięli głowę wyrastała
im inna. Lud ginął, lecz wyrastali
nowi pieśniarze, a pieśni ich rozchodziły się

po całym kraju. Zmije tymczasem stawały
się coraz ogromniejsze, tłuściejsze i żarło-
czniejsze.
Aż raz jeden z synów tej ziemi nieszczę-
śliwej miał cudowne ~~w~~ widzenie. ~~Nie~~
Nie wiadomo tylko czy to był zachwyt,
czy sen. Gdy się ocknął namalował obraz
tak piękny, że każdy, kto tylko ten obraz
zobaczył, zadrżał, bo każdy z synów tej
ziemi miał taki obraz w swym sercu
namalowany, tylko nie mógł, lub nie
umiał okazać go innym.
Obraz ten wielkich rozmiarów wyglądał mniej
więcej tak: (Opis obrazu „Polonja" Styki)
Pod wysoką górą leżały na ziemi poprze-
wracane [illegible] i konie wojenne napół-
rzone ziemią. Widocznie była to bitwa,

nieprzyjaciel zdobył pozycję i odniósł
zwycięstwo. Naokoło leżą trupy poległych
obrońców, a gdzieś w dali stoją szubienice,
na których wiszą zwłoki obrońców, a
jeszcze dalej widać było tłum nieprzyja-
ciół, który po zwycięskiej bitwie pędzili
nieszczęśliwych jeńców gdzieś w dalekie kraje.
Do skały przykuta była niewiasta. Była
to właśnie Królowa Polonja. Twarz jej
pełna bólu, umierająca. Tuż u podnó-
ża góry, bliżej widza widać było szeregi
z dobytymi szablami, widocznie chcieli
z tych więzów swoją matkę uwolnić.
Byli tam również chłopi z kosami wbitymi
na sztorc, byli rzemieślnicy w skórzanych
fartuchach z ogromnym młotem w rękach,
jakby chcieli nieprzyjacielskie zbroje i kajdany

rozbijać, lub stalowe tarcze wrogów
kruszyć. Byli tam również uczeni, poeci,
wieszcze narodu, księża, słynni malarze
i artyści, a wszyscy wpatrzeni byli w
Polonję, w owej postaci przybitej do skały.
Na twarzach tych ludzi malowała się boleść,
lecz i nadzieja, gdyż wysoko nad ową ska-
łą i głowami tych bohaterów wśród
chmur unosił się Orzeł Biały, a przeci-
wny świat trzymał w szponach ognistą
koronę, jako znak, by nikt nie tra-
cił nadziei.

Najmłodszym synem tej Królowej był
Józef. Nazwisko jego? Na co wam tego na-
zwiska?
Otóż gdy Józef zobaczył ów obraz
zabiło mu serce jak młotem i rzekł do siebie:

„Przecież nie jestem gorszym od tych tam na obrazie, którzy mogą życie oddawali, by Matce naszej z Rosyji pęta i ja pójdę za nimi."

Wyszedł wówczas na wysoką górę i w gorącej modlitwie prosił Boga o pomoc. Naraz zja- wił się przed nim anioł, który trzymał w ręku płaszcz i czapkę niewidziatkę, na- ciepówkę i rzekł do niego:

„Weź ten płaszcz i czapkę. Gdy płaszcz weź- miesz na siebie, będziesz latał jako ptak w powietrzu, gdy czapkę weźmiesz na głowę, żaden wróg cię nie zobaczy. W ubra- niu tym i czapce leć daleko na północ do puszczy Białowieskiej, tam spotkasz pu- stelnika, a on ci powie, co masz robić, aby matkę twoją Polskę uwolnić z wię- zów niewoli."

Józef czemprędzej ubrał się w płaszcz, włożył na głowę czapkę – niewidziatkę i leciał na północ. Jak daleko i głęboko okiem spojrzał widział pod sobą miasta i wsie przydeptane olbrzymimi cielskami trzech żmij. Naraz stanął nad puszczą. Olbrzymie sosny, świerki, lipy, brzozy i dęby zasłaniały widok. W samym środku tej puszczy, wśród nieprzebytych bagien, moczarów i kniei znajdowała się leśna polana, a na niej stał krzyż dębowy i niewielki szałas sklecony z drzewa sosnowego. Pod krzy- żem klęczał starzec pokryty jak śnieg białym włosem. Ponieważ był to człowiek święty, przeto czapka niewidziatka nie ukryła Józefa przed oczyma sędziwego starca i od razu poznał, po co Józef tam przybył.

Po modlitwie i skończonym posiłku złożo-
nego z miodu i nieco korzonków, usiedli
obaj na ławeczce zrobionej z darni i
mchu, tak rzekł starzec do Józefa:
„Wiem, po coś tu przybył, ~~[illegible]~~ chcesz
uwolnić Matkę i Siostry i swój lud
z niewoli. Do tego jednak potrzeba dawnej
Korony Króla Lecha, którą on otrzymał
w spadku po świętym Kasprze, jednym
z tych trzech Królów, którzy byli przy
żłóbku naszego Zbawiciela. Korony
tej jednak nie posiadam. Jest ona za-
pewne u mego starszego brata, co
jest zaklęty w górach Tatrzańskich.
Tam on oczekuje ze swym rycerstwem
chwili, aż go zawezwą do obrony Kraju
przed jadowitymi i strasznymi żmijami,

które gnębią nasz naród."
„Ktoś ty jesteś starcze?" pyta Józef.
„Ha! pytasz, kto ja jestem? Byłem niegdyś
Królem dzielnym i odważnym, a walczyłem
z Turkami, nieprzyjaciółmi Krzyża świę-
tego. Szczęście mi sprzyjało, bo oprócz
Korony Lecha, nosiłem również Koro-
nę świętego Stefana. Turków pobiłem
tak, że ci prosili mnie o pokój na lat
dziesięć. Zgodziłem się i zaprzysiągłem
im ten pokój na lat dziesięć. Nie dotrzy-
małem jednak przysięgi i ruszyłem z
wojskiem hen daleko na południe aż
nad Morze Czarne. Tam zastałem
wielką moc Turków. Przyszło do bitwy,
a całe wojsko moje padło. Myślano, żem
ja także zginął i tak nawet w księgach

o tym napisano. Tymczasem wstałem, zaszedłem tu w tę puszczę, modlę się i cze-
kam tu tak długo, dopóki Bóg nie zlituje
się nad moim narodem."
Toteż wnet pożegnał Józef starca,
wzniósł się szybko w powietrze i leciał
daleko, daleko na południe, stanął
w Tatrach w kotlinie Kościeliskiej.
Tam spostrzegł granitową skałę, która
przed nim się otworzyła i ujrzał przed
sobą długą, ciemną i obszerną pieczarę.
Józef śmiało wszedł do niej i spo-
strzegł w niej pełno koni, a obok
nich mnóstwo rycerzy w zbrojach
zbrojach. Wszystko to jednak spało. Na
samym końcu pieczary spostrzegł Józef

tron, na nim siedział król w czerwo-
nym płaszczu i w złotej koronie na
głowie. W ręku trzymał zakrwawio-
ny miecz, a przez ramię zwisał mu
złoty róg. Król spostrzegłszy Józefa,
zdziwił się bardzo i zapytał go, czego by
żądał. Ten najpierw pozdrowił go grzecznie,
a potem zapytał, gdzie jest Orzeł Biały
i Lechowe Korona?
„No cóż tobie Orła Białego i Lechowej
Korony?"
Wówczas Józef opowiedział mu
o owych trzech jadowitych żmijach ze sie-
dmioma głowami, o owej nieszczęśliwej Kró-
lowej, przykutej do granitowej skały,
o nieszczęśliwych siostrach Polonii, Rutenii i Li-
twanii, o przygnębieniu narodu, co już się

po ciężarem niegodziwych zimy i o innych nieszczęściach swich braci. Król Arthur zdziwiony, oblicze jego było coraz smutniejsze, a w końcu rzekł:

„Ona przykuta do skały królowa jest i moją Matkę, lecz ja tu czekać muszę tak długo, aż ktoś na powierzchni ziemi zatrąbi w złoty róg, który mam na sobie. Weź go więc ze sobą, a gdy na nim zatrąbisz, zbudzą się wszyscy rycerze żyjący na powierzchni ziemi, a Biały Ukoronowany Orzeł wzbije się wysoko. Wówczas zadrżą, żmijom odbierze Bóg rozum i siłę, i poprowadzisz rycerstwo na wroga, odniesiesz zwycięstwo, a wspólna Matka nasza wraz z nami wolną będzie. Do Ukoronowanego Orła Białego musisz się udać do Kruszwicy nad jeziorem Gopłem do mego ~~[illegible]~~ najstarszego ~~[illegible]~~ brata."

Kto jesteś królu?

Ja, jak widzisz jestem królem, zwano mnie świętym, bo taki byłem rzeczywiście. Prowadziłem wojny nie dla korzyści, ale z przyjaźni dla swych przyjaciół. Byłem srogi dla swych poddanych, przeto karcił mnie pewien świętobliwy człowiek. Ja wówczas rozgniewany zabiłem go przy ołtarzu. Zabójstwo to było przyczyną mego nieszczęścia. Musiałem z miasta rodzinnego uciekać. Przeszedłem z wojskiem w te góry i zamieszkałem w pieczarze już od ośmiuset lat. Wojsko moje śpi, lecz wyjdzie na obronę mej ziemi, gdy tylko Biały Orzeł wzbija a ty zadmiesz

w Złoty Róg. Wówczas niewidzialny
wraz z swym wojskiem stanę przy to-
bie i dopomogę do zwycięstwa."
Mówiąc to, dał Król Józefowi swój
Złoty Róg.

Pożegnał Józef Króla i wy-
szedł z pieczary, która natychmiast za
nim się zamknęła. Tu znów w swej
czapce niewidzialce i płaszczu wzniósł
się wysoko i leciał na północ i stanął
nad jeziorem Gopłem. Wszędzie widział
spracowanych ludzi, którzy w pocie czoła
orali pługiem ziemię, bili w kuźniach
młotem, lecz nie dla siebie, ale dla
żmij. Żadnej wesołej pieśni nie było tam
słychać, lecz tylko jęki i płacze dzieci,
którym w ojczystym języku nawet modlić

się nie było wolno, mieszkańcom zaś na swym
własnym obejściu nie wolno było domu
postawić tak, że musieli mieszkać w wo-
zach jak dzicy Tatarzy. Stanął Józef
pod wieżą. Otworzyła się przed nim cze-
luść, a on śmiało wszedł do niej. By-
ły tam korytarze zbudowane z najtward-
szego granitu. Szedł on dłuższy czas,
nareszcie stanął w oświetlonej komna-
cie. Na środku komnaty stał ci-
sowy stół, za stołem duże krzesło z
poręczami, na nim siedział starzec
z siwą brodą, która sięgała aż do
ziemi. Przed starcem leżała otwarta
księga, z niej ów starzec coś cicho czy-
tał. Józef z uszanowaniem przystąpił do

starca i pozdrowił go. Starzec wówczas podniósł głowę do góry, popatrzył badawczo na Józefa, uśmiechnął się życzliwie i rzekł: „Synu, czekałem na ciebie wiele a wiele lat, wiem kto jesteś i poco tu przyszedł. Tu przy mnie znajduje się Biały Orzeł z Koroną złotą na głowie, zdrów on jest zupełnie i gotów do walki z czarnymi potwornymi orłami i jadowitymi żmijami. Gdy tylko zatrąbisz w Złoty Róg, on wzniesie się wysoko, a blask Korony Orła jest tak wielki i olśniewający, że każdy, kto na nią spojrzy staje się niezwyciężonym i mężnym rycerzem. Za pomocą twego Rogu i tej Korony zbudzą się wszyscy

śpiący rycerze, pójdą oni za tobą w bój po zwycięstwo i sławę i śmierci się nie ulękną. Modlitwy i pieśni mego zgnębionego ludu doszły do stóp Stwórcy i za pośrednictwem Najświętszej Panny, której wizerunek znajduje się w kościele na Jasnej Górze otrzymacie zwycięstwo i to takie zwycięstwo o jakim w historii świata jeszcze nikt nie słyszał. Nie macie broni, ani wojska, a jednak te trzy jadowite ulegną przed wami, a naród nasz stanie się znów potężnym, jak był przed wiekami. Żmije te znam dobrze, za moich bowiem czasów przyszły one z północy i wslazły się pomiędzy

krajach, a gdzie tylko przyszły tam lała się krew. Byłem niegdyś piastem tej ziemi i piastowałem władzę, a ~~[illegible]~~ zwano mnie Popielem. Wówczas żmije te myszkowały po kraju, napadły niespodziewanie na mój zamek, zdobyły go. Od tego czasu żyję tu w podziemiu, a lud nazwał mnie niedobrym, niegościnnym, mówił, że mnie myszy napadły. Tak zmyślone bywa z nieszczęśliwymi ~~[illegible]~~ władcami. Po mnie nastąpił inny piastem, którego naprawdę „Piastem" nazwano. Ciebie Józefie czeka ciężka praca i walka, będziesz miał wiele upokorzeń i zawodów, lecz nie bój się, ~~[illegible]~~ idź śmiało naprzód, bo tobie przeznaczone zwycięstwo i

będziesz sławnym nietylko u swego narodu, ale u wszystkich narodów na ziemi."

W tej chwili zajaśniała cała komnata jasnym, niezwykłym światłem. Oto nadleciał Orzeł Biały, a korona jego napełniła blaskiem całą komnatę, jakby słońce świeciło.

Wyszedł Józef z pieczary i zaczął budzić zaczarowanych i śpiących.

Poszedł najpierw do swej najstarszej siostry i zastał ją w grocie. Na jej kolanach wsparł żubr swoją głowę, a Polonja głaskała mu grzywę. Gdy Józef ze Złotym Rogiem stanął przed nią, poznała natychmiast co to znaczy i klasnęła w dłonie. W tej chwili żubry powsta-

ły, zarżały i stały się ludźmi. Ci natychmiast
wzięli się do pracy i utworzyli straszną ~~a~~
artylerję. Potem przeszedł na północ,
do siostry Litwanji. Tam siedziała ona
na zwalonym pniu i głaskała niedźwie-
dzia. Gdy Józef stanął przed nią i poka-
zał jej Złoty Róg, klasnęła w dłonie.
Niedźwiedź zerwał się, zaryczał. Na ten
ryk zerwały się wszystkie niedźwiedzie
i stały się ludźmi. Posiadali na koń
i utworzyli najlepszą konnicę w świecie.
Każdy z nich miał w ręku dzidę i miecz,
a przed sobą nieśli sztandar ~~[illegible]~~ na
którym był wyszyty złotymi nićmi
rycerz na koniu goniący za krzyża-
kami. Herb ten nazywa się Pogonią.

Powrócił się Józef do trzeciej siostry Rutenji
i zobaczył ją w głębokim jarze niedale-
~~la~~ ko Ruszarza nad Stugną. Pieściła
ona w swych dłoniach wilka. Józef po-
kazał jej Złoty Róg. Siostra klasnęła
w dłonie. Wilk zerwał się, zawył, mnó-
stwo wilków zleciało się, te natychmiast
stawały się ludźmi, którzy utworzyli
straszną piechotę zwaną Legionami.
Naraz zjawił się święty Michał z ko-
pją w ręku i pobłogosławił całe
wojsko. Józef nie przestał na tym, lecz
przebrawszy się w bluzę zwykłego robo-
tnika, chodził po fabrykach, szkołach,
bywał w rozlicznych miastach, wsiach,
po dolinach i górach i budził śpiących.

Aż naraz na rozkaz Boży pokazał się wśród błękitu Nieba Biały Orzeł z jasną Koroną na głowie. Lot jego był poważny a śmiały. Na ten widok poznał Józef, że już czas zadąć we złotym Rogu. Stanął wówczas na wysokiej skale tak, aby go wszyscy widzieli i zadął, a głos Rogu rozległ się w najdalsze zakątki uciemiężonego przez przeszło sto lat kraju. Jak kiedyś na Sądzie Ostatecznym na głos trąby Archanioła powstaną wszyscy umarli z grobów, tak obecnie na głos Rogu złotego powstał naród z długiego uśpienia, gdyż naród ów

7.

poznał, że Bóg stworzył go do wolności. Stawała w szeregi młodzież szkolna i rzemieślnicza po miastach, stawali chłopcy z pod wiejskich strzech, stawali górale z pod Karpat i Tatr, stawali chłopcy z wyżyn Podola i nizin Pokucia, pól mazowieckich, poznańskich, śląskich, litewskich, pomorskich, poleskich, stawali młodzi i starzy, uczeni i prostacy, chłopcy i dziewczęta, a wszyscy owiani duchem jedności i zapałem wrzeli na wroga. Nie mieli oni na sobie żelaznej zbroi, ani tarcz, ani stalowych hełmów, lecz byli ubrani w skromne, wiatrem podarte sine mundurki, a każdy miał na głowie maciejówkę lub konfederatkę ozdobioną orłem.

Głos trąby zabrzmiał w stosownej chwili,
bo kogo chce Bóg ukarać, temu rozum
odbiera, gdyż owe straszliwe żmije za-
raz między sobą się pożarły. Wschodnia
żmija miała na swych głowach olbrzy-
mie, kudłate baranie kuczmy, lub
szerokie płaskie tortownice. Zachodnia
przystroiła się wspaniale, wszystko ze
szpicem na wierzchu pruskie hełmy,
zaś południowa żmija miała na
głowach okrągłe baniaszki z bączkiem
na przedzie.
Rozżarte gadziny zionęły na siebie
silne pociski z ognia i żelaza, lub
wyrzucały ze siebie siarczyste wyziewy
od których ludzie jak muchy na ziemię
na ziemię padali i ginęli. 6

Józef ze swym zbudzonym wojskiem wal-
czył najpierw ze wschodnią żmiją, bo
miał się na baczności i przed innymi.
Sąsiednie narody, wiedząc dobrze, iż żmi-
je w razie zwycięstwa mogłyby cały
świat zaplugawić, przyszli Józefowi
na pomoc.
Stał się cud, osłabła naj-
pierw wschodnia żmija, gdyż ucię-
to jej kilka głów, potem zachodnia
również kilka głów straciła, a na
południu ta żmija z bączkiem pękła
i zdechła. Ginąc jednak, plunęła swym
jadowitym sokiem z pyska na
wschód, gdzie z tego powodu powsta-
ło wielkie zamieszanie, a nawet roz-
lew niewinnej krwi. W końcu

jednak uspokoiło się, jad przestał działać i nastąpiła miłość i zgoda w narodzie. Znów Biały Orzeł ze złotą koroną wzniósł się wysoko i rozpostarł swe skrzydła daleko i szeroko, spoglądając bystro na wszystkie strony. Matka Najświętsza, Królowa Polski, otoczona dwunastu gwiazdami okrytą niebiańskim płaszczem cały kraj, prosząc Boga o błogosławieństwo i pomoc dla przez tyle lat ciemiężonego narodu.

~

Czy wiecie, kto to był ten Józef?
„Wiemy, wiemy" krzyknęło wszystko. „Niech żyje nam Dziadek Józef Piłsudski!"

Powyższą baśń opowiedziałem na dwa tygodnie przed bitwą, którą nazywamy: „Cudem nad Wisłą."

~

Utworzono na Bakończycach kurs dla podoficerów. Trwał on około sześciu tygodni. Ludzie byli wybrani, każdy z nich umiał czytać i pisać i ukończył co najmniej trzecią klasę szkoły wydziałowej, lub czwartą klasę gimnazjalną. W szkole tej uczyłem prawie codziennie, uczyłem historji i geografji jakoteż o ustroju państwa polskiego. Przyjemna to była nauka, gdyż byli to ludzie inteligentni i chciwi wiedzy. Przy końcu kursu odbył się egzamin, któremu przewodniczył

i p. pułkownik Szlank, a byli obecni kapitan hrabia Rusocki i inni oficerowie. Rzadko kiedy doznałem takiej przyjemności jak wówczas. Uczniów było 60. Egzamin z historji i geografji trwał półtora godziny. Przepytałem całą historję w połączeniu z geografją i urządzeniem Państwa Polskiego. Pytanie stawiałem do wszystkich, a potem pytałem na wyrywki i nie znalazłem ani jednego, któryby mi na pytanie nie odpowiedział. – Trzeba być nauczycielem, żeby zrozumieć i odczuć to błogie uczucie i radość, gdy się miało tak pilnych i chętnych słuchaczy, że nauka moja nie poszła na marne.

Przyszli nowi rekruci, lub urlopnicy, a zobaczywszy mnie pytali:
„Któż to jest ten cywil?"
„Czekaj, usłyszysz, to nasz profesor."
Zaiste, można pokochać żołnierzy i zyskać ich miłość.
Uczyłem w tej szkole od 15 czerwca do 15 października r. 1920 i czas spędzony między żołnierzami zaliczam do najmilszych chwil w mym życiu.

Władza moja powołała mnie napowrót do Buczacza. Objąłem kierownictwo siedmioklasowej szkoły męskiej, a miałem oddziałów 11. Nauczycieli miałem czternastu oprócz dwóch nauczycieli religji.

W klasach nie było także, ani jednego stołu, ani tablic, ani krzeseł, szyby w ~~[illegible]~~ oknach powybijane, drzwi porozbijane, a miasto biedne; zrabowane; jednak burmistrz miasta Władysław Pruszak starał się ~~[illegible]~~ przede wszystkiem aby budynek szkolny choć trochę połatać, aby nauka nie cierpiała.

Ileż to razy naukę tę przerywano, a jednak mieszkańcy miasta postępowali tak jak owe mrówki, którym się kopiec rozbije.

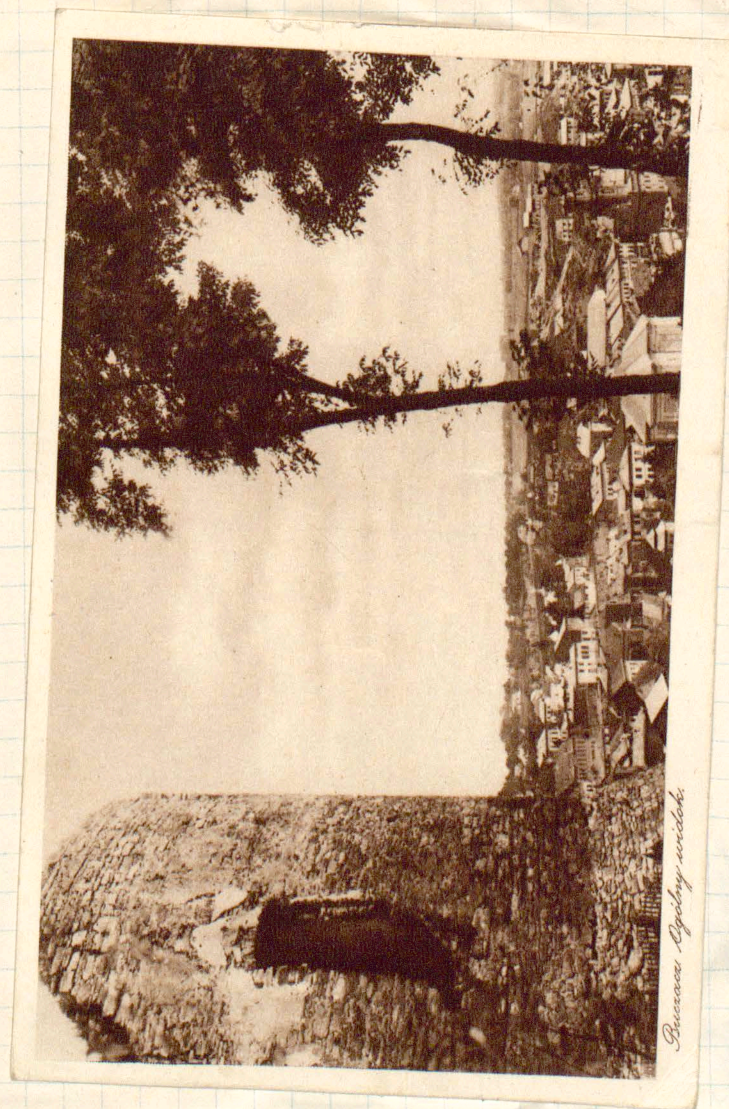
Młodzież była rozwydrzona, źle wychowana, czemu się dziwić nie można, wszak przez lat siedm patrzała tylko na rabunki, mordy, bitwy i różne, jak to to zawsze w czasie wojny bywa, niemoralne sprawki żołnierzy różnych państw i narodów. Dałoby się o tym dużo pisać, lecz lepiej dać spokój. Nam zaś należy usilnie starać się o to, aby rany te zadane naszej młodzieży jak najprędzej się zabliźniły.

Dowiadywałem się od mieszkańców miasta jak to w ostatnich czasach zachowywali się tutaj bolszewicy.

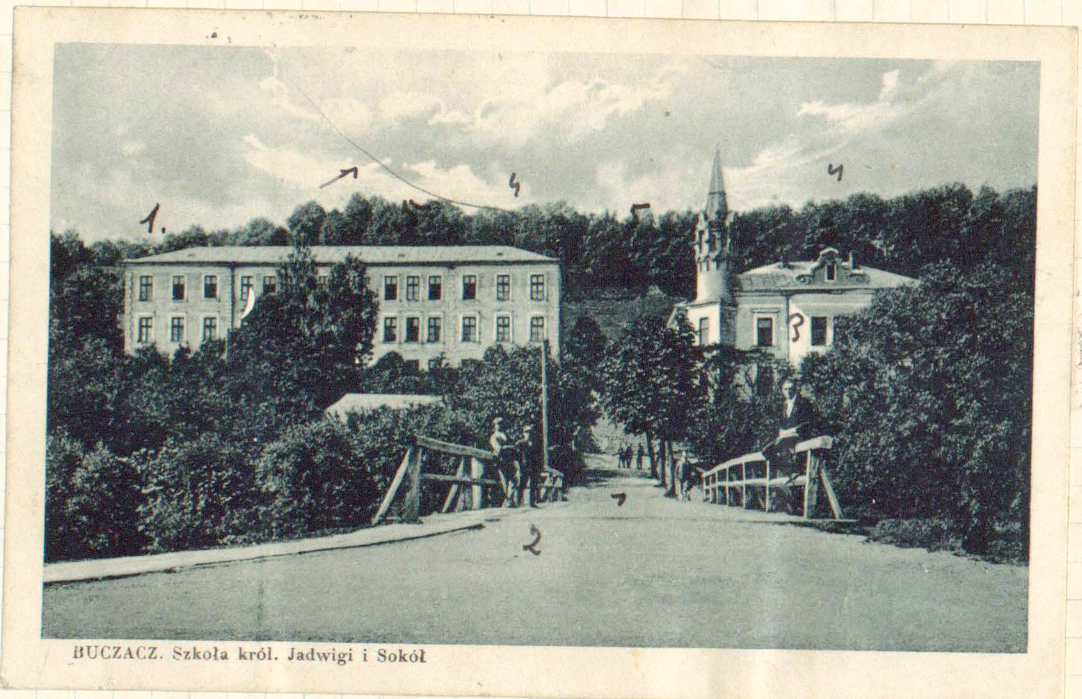
Z opowiadań tych doszedłem do wniosku, iż bolszewicy postępowali nader systematycznie. Naczelnikiem miasta i powiatu był żyd galicyjski, nazwiskiem Seidler. Był on dla wszystkich bardzo

grzeszny i uprzejmy, tylko wysyłał do wszy-
stkich domów sołdatów, którzy nazywali
się „towariszami" i ci wszystko spisywali,
co kto miał w domu. Naturalnie byli-
by to wszystko zabrali po towariszesku
na wozy i pojechali z tym wszystkim do
„Rassiei," jak to zrobiono w powiecie brodzkim
i tarnopolskim. Niestety nie było już czasu,
bo po „Cudzie nad Wisłą" drapnęli tam
szybko jak przyszli i zapewne nie poku-
szą się wpadać na nasze ziemie, co
daj Boże. Amen.

Złotniki 14.3.1939
Antoni Sieniński


Buczacz. Ogólny widok.

Ruiny zamku


BUCZACZ. Szkoła król. Jadwigi i Sokół

1 Szkoła nad Strypą
2 Most nad Strypą
3 Sokół
4 Fara
5 Cmentarz.

